

Dodatek do Numeru 1048 „Kłosów“.

ALICJA LORRAINE.

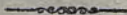
PRZEZ

Ryszarda Doddridge Blackmore.

Przełożyła z angielskiego

T. P.

T o m II.

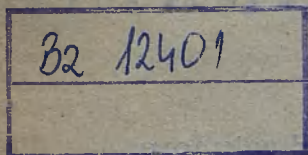


WARSZAWA.

W Drukarni S. Lewentala.

Nowy Świat Nr. 1258a (nowy 39).

—
1885.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Июля 1885 г.

A 8491

т. 2.



51

T O M II.

ROZDZIAŁ I.

Niepożądane towarzystwo.

Wpośród północnych stoków i załamów wzgórz Sussexu dłużej zatrzymuje się zima, a wiosna przybycie swoje opóźnia. Dzieci, na południowych stokach mieszkające, już oddawna zrywają kaczeńce, kapelusze i główki stroją przyłasczkami, zanim północni ich rówieśnicy ujrzą pierwszą zielenią wiosenną.

Złotogłów, który po to rozkwita, by „wiatry marcowe pojmać pięknoscią“ tu, na północnej stronie, czekać musi pierwszych powiewów Maja, zanim łup ten sobie zdobędzie; bo tu jeszcze kołący dech zimy przewiewa nie tylko fałdy płaszcza, którym zmarzluch-Kwiecień się otula, ale nawet rozruca i ten płaszcz, gradową przybrany frendzlą, z po-za którego blado-majowe prześwieca słońce. Jestto właśnie ta pora, kiedy człowiek zawołać może: „Hura! Już wreszcie mamy lato! z pewnością już jest lato! Żono, na miłość Bożką, daj nam trochę powietrza i poźdejmuj z dzieci zimowe ubranie! Jeżeli mnie będziecie potrzebować, znajdziecie mnie w altance, gdzie sobie przynajmniej spokojnie fajeczkę wypalę”. I akurat wtedy, gdy wszystkie okna pootwierano, a wszystkie dzieci z dumą pokazują odkryte ramionka, szpilkami podrapane, wbiega czémprędzej ojciec w surducie, pod samą szyję zapiętym i z fajką, którą grad mu zagasił.

Niemniej przeto, mimo tych drobnych przeszkód, ludzie, lubiący się przypatrywać biegowi rzeczy, chociaż to bieg bardzo powolny, mają teraz właśnie sposobność przyjrzyć się przyjemnym drobno-

stkom, które przyjemność im sprawia. Teraz bowiem drzewa, krzewy, rośliny, a nawet ziemia i kamienie, zaczynają czuć zmianę, jaka na nie przychodzi. Teraz to, co całą zimę jest czarne i jak kamień twarde, gdy na nie dziś spojrzysz z blizka, pokaże się napełniałe i odcieniem życia rozjaśnione. A gdy ludzie, wychodząc z kościoła, znajdują się (skukiem zbyt długiego zamknięcia) w najbardziej spostrzegawczém usposobieniu, wtedy małe jakieś dziecko dojrzy pierwszego listka, co się na bzie czarnym rozwinął, i tłum dziecięcych twarzyczek zbierze się wówczas wkoło tego jedynego listka, a starzy ludzie, którzy zbyt wiele widzieli już wiosen, zacząną się zżymać i autentyczności tego listka niedowierzać.

Wszystko to nieledwie następowało już, i tydzień po tygodniu nadchodził kolej, już płoty zaczęły się okrywać puchem młodej zieleni, a łąki porastać trawą, już ruń zbożowa szmaragdem w słońcu połyskiwać zaczęła, gdy pewnej niedzieli przed Zielonemi Świątkami wszyscy wychodzić zaczęli z kościoła. Kościół to był należący do wielbego Struana Hales (w jego przynajmniej przekonaniu), zarówno jak i całe zgromadzenie wiernych, jak wreszcie i wszystko inne, z wyjątkiem wszakże kazania. Teraz właśnie rektor został w zakrystyi, gdzie z pomocą ulubionej córki, Cecylii, zdejmował kapłańskie szaty.

— Mam nadzieję, że matka się pośpieszy — odezwał się proboszcz, pochylając się trochę, by córka łatwiej do ramion sięgnąć mogła — nie może już teraz chodzić tak prędko, jak dawniej, to też przez ostatnie pół godziny drżałem ze strachu o naszą pieczeń.

— Widziałam, że cię coś niepokoi, ojcze, właśnie gdy text czytałeś z ambony. Zdało mi się, że spaleniznę jakąś czujesz, ojcze.

— Dobrze ci się zdawało — oświadczył rektor, z zadziwienia spoglądając na rozumną i domyslną córkę. — Ale zkąd mogłaś się domyślić? Mam w Bogu nadzieję, że nikt z pobożnych nie był tyle domyslnym. Ale mięso drogie... to coś znaczy dla ojca trzech głodnych córek!

— Których ojciec ma także apetyt nielada! Otóż powiem ci, ojcze, jakim się sposobem domyśliłam... Oto, masz, ojcze, właściwy sobie sposób podnoszenia nosa do góry, ile razy ta nowa kucharka zanadto zbliży mięso do ognia, a potem patrzyłeś, ojcze, ciągle przez okno za amboną, jakbyś się spodziewał ujrzyć tam dym...

— Hm! ja podnoszę nos! — odparł rektor — podniósł-bym co innego: podniósł-bym ciebie za uszy za to, że wyśmiewasz biednego starego ojca. Patrz-no! nie golilem się dziś rano, z powodu jutrzej-

szego obiadu u Sir Remnanta! Cóż ty na to, panno Wyśmiewalska?

— Ach, ojcze, cóż za straszliwa broda! Ale kiedy mówimy o Sir Remnancie, czy widziałeś, ojcze, kto to w połowie nabożeństwa wsunął się chyłkiem do kościoła i usiadł za filarem galeryi, na jednym z niezajętych miejsc?

— Nie, nie widziałem. Powinna-byś wstydzić się tego, Cecyljo, że się tak po kościele rozglądasz. Nic ci nie ujdzie, prócz umiejętności zastosowania moich nauk.

— Mój ojcze, musiał chyba ojciec gdzieś podziąć oczy, albo mieć myśl zajętą nową kucharką wyłącznie, jeżeli ojciec nie widział kapitana Chapmana?

— Kapitana? — zawołał rektor z żywością, która i w każdym innym miejscu mogła-by za zbyt świecą uchodźcie — co znowu? czegoż u Boga mógł on chcieć tutaj? Z pewnością nie po to przyszedł, żeby mnie słyszeć mówiącego.

— Nie, ojcze, nic słuchać nie przyszedł. Przyszedł po to, żeby się cały czas wpatrywać w biedną Alicyę i trapić ją swoim towarzystwem w powrocie do domu.

— Biedne dziecko, z tym niecnym urwisem! Kto siedział w ławce służby? Wiem ja to potrosze, ale ty z pewnością wiesz lepiej.

— O! nie było nikogo z pewnych. Ani starego kredenserza, ani Mrs Pipkins, ani nawet Mrs Merryjack. Był tylko ten zarozumialec, „Mister Trotman”, jak sam siebie nazywa, i jego „młodszy lokaj” jak mianuje chopca kredensowego, i kilka wystrojonych dziewcząt z garderoby.

— Ci wszyscy, jak im gwineę pokaze, pójdą do domu inną drogą, a on calusienki czas nudzić będzie Alicyą. Biegnij do domu, Ciesiu, moja ty pocziwa dziewczeczko, i sama odsuń pieczeń o dziesięć cali od ognia; a potem powiedz Kubie, niech w mig osiodła Małgosię, niech weźmie mój harap myśliwski i czeka z kucką koło zielonej bramki; a matce powiedz, że bardzo nagły interes wezwał mnie do Coombe Lorraine.

— Ach, ojcze, przerażasz mnie! Czyż Alicya nie może pilnować się sama?

— Znam ja lepiej, niż ty, dziecko, świat i ludzi. Rób, ja ci mówię, i nie rezonuj. Czekaaj-no! a pójdz dróżką przez łąkę, żeby cię nikt we wsi nie zauważył. Ja iść będę powoli i stanę u bramki jednocześnie z kucką.

Cecylia Hales, nic już nie mówiąc, wyszła z zakrystyi i na cmen-

tarz, potem fórtkę, na łakę prowadzącą, a ztamtąd dziurą w płocie dostała się do ogródka plebanii.

— Otóż-to moje szczęście! — rzekł sam do siebie rektor, idąc główną, przez wieś prowadzącą ulicą, aby, jak co niedziela, pokazać parafianom. — Dwóch rzeczy jak najbardziej nienawidzę: awantury i popsucia dobrego obiadu. Od piątku jedliśmy same siekaniny i zimne mięso; a dziś, gdy się prawdziwa, wyborna pieczeń dorumienia... a! niech lichy porwie to wszystko! zapomniałem prawie o szparagach! pierwsze to i sam je wycinałem, a grube jak mój wielki palec. Ach! gdybym ja tu miał Mabel Lovejoy! Ach! gdyby oni mieli tyle rozumu, żeby nie stawiać szparagów na ogień!... a nie mogę powiedzieć tego Kubie, bo-by to strasznie po babsku wyglądało. Może napisać im słówko? Tak, tak, napiszę. Kuba czytać nie umie, to cała pociecha!

Jak powiedział, tak i zrobił: oddał luźną kartkę od kazania i poniżej tekstu, nauczającego chrześcijańskiej czujności, dopisał ołówkiem. „Co bądź robicie, nie przystawiajcie szparagów do ognia”.

Powierzył tę kartkę staraniom Kuby, poczem, mocno w rękę harap ująwszy, ruszył opłótkami, mimo pryhanie Małgosi, niezadowolonej z tej niezwyklej wycieczki. Konie bowiem rozumieją, co to jest niedziela, równie dobrze, jak ludzie, a czasem nawet dużo lepiej.

Struan Hales był człowiekiem cokolwiek prędkim, jak są po większej części ludzie dobrego serca i bystrego, choć niezbyt rozległego, rozumu. Jak większość ludzi, silne przesady mających, miał on także silne popędy; mało bowiem pospolitą jest najsłabsza forma przesądów, oderwana i przecząca. Rozsądek jego, zarówno jak i znajomość świata, mogły go były upewnić, że kapitan Chapman nie zrobi nic, coby mogło urazić, lub nawet obrazić Alicyą. A jednak, dlatego tylko, że miał do Stefana silnie zakorzenioną niechęć, istotnie uwierzył w tej chwili, że obowiązkiem jest jego pojechać śladem kapitana.

Tymczasem wytworny i dzielny kapitan uczynił przynajmniej jedną rzecz, zgodną z przewidywaniami rektora. Weisnąwszy gwineę w dłoń Trotmana, wyprawił wszystkich służących do domu, drogą przez góry, tym sposobem zapewniając sobie przechadzkę-sam-na-sam ze swoją czarodziejką, wzdłuż opłótków, malowniczo się wijących podgórzem. Sam strój jego dzisiejszy wystarczał do podbicia serca każdej sielskiej piękności, a gdy mijał drzwi wiejskich domków, wszystkie dzieci wołały: „Patrzcie go!” To mu się niezmiernie podobало i nie mogło nie dodawać mu chociaż jednego cala wzrostu

i jednego funta wagi za każdym podobnym wykrzyknikiem. Co dowodzi, że nie był on skończonym łotrem; bo skończone łotry nie przywiązują żadnego znaczenia do opinii dzieci.

Nieświadoma bliskości nieprzyjaciela, Alicya przeszła, jak zwykle, przez wieś, w towarzystwie ciotki, oraz dwóch swoich kuzynek, i pożegnała je słowem: „Z Bogiem” u wrót plebanii, wiedząc, że chciały dogodzić wujowi, dając mu wczesny obiad niedzielny. Większy proboszcz, z wyjątkiem tylko niezmiernie już dystygrowanych, lubią objadować w niedzielę punktualnie o pół do drugiej. Przez cały tydzień (polując, łowiąc ryby, lub jeżdżąc konno) udaje im się jako tako opóźnić głód do piątej, czasem nawet do szóstej. W niedzielę zaś bywa zupełnie inaczej. Jakies uczucie przynębiającej czczości odzywać się zaczyna w proboszczu mniej więcej w połowie kazania. Dlaczegoż to? W połowie najwymowniejszego ustępu, proboszcz rzuca naokoło spojrzeniem, chcąc poruszyć całe zgromadzenie. Zapomina na chwilę, że jest tylko jednostką, podczas, gdy słuchacze są stugłowym zastępem. Cóż się tedy dzieje? W chwilach podobnie wymownych, ludzkość cała bywa wrażliwą, do przejęcia i odczuwania wrażeń skorą. W kościele jest ze stu ludzi, na których za powrotem czeka wczesny obiad; myślą o nim, zajmują się tym przedmiotem, a zatem na osobę setną i pierwszą, na samego proboszcza, (który prawdopodobnie sam nic o tém nie wie, a nawet o całe siedm nieb jest po-nad życia prozę wzniesiony) spada spotęgowane odbicie własnych jego wzruszeń w postaci zaraźliwego apetytu.

Wszystko to może być naturalnie złém, a nawet przeciwném obowiązkom stanu kapłańskiego i zasadom nauki (dopóki nauka sama za pewnik tego nie uzna), ale fakta mają twarde kości, a to jest faktem niezaprzeczonym. Alicya Lorraine wiedziała o tém, chociaż ani się domyślała powodu, to téż ucałowała ciotkę i sióstr dwie (trzecia bowiem, Cecylia, posługiwała, jak wiemy, w świątyni) i poszła w stronę domu. Zatrzymała się na chwilkę u Nanny Stilgoe, aby otrzymać zwykłe mrukliwe niezadowolenie, oblane sosem nieuchronnej niewdzięczności, poczem, przypuszczając, że służący nie o wiele ją wyprzedzić musieli, lekkim i szybkim krokiem weszła w samotną pomiędzy opłotkami drożynę.

Niebawem stanęła w miejscu, gdzie opłotki spuszczały się nagle ku dawnemu łożysku wyschłego dziś strumienia; według podania (jeżeli wierzyć mu mógł ktokolwiek) miało to być łożysko Waebun'u. Nie było tam już teraz ani kropli ciekącej żywej wody, tylko troszkę wilgoci i skorupa błota, jakby jakiś podziemny nurt koniecznie się

upierał téj drogi dla siebie używać. Trochę zaś w bok od płotu, stary, ogromny pień dębu, (wysoko nad łożyskiem umieszczony i zaopatrzony w połamaną już poręcz) świadczył, że musiało ta być coś, po-nad czém trzeba było przechodzić; chociaż dzisiaj już nie było nikogo, kto-by to pamiętał. W tym-to parowie zaczął się kapitan, spokojny i z siebie zadowolony, i z wielkiem na pozór zajęciem przyglądający się jakiejś kępce ziela, czy niezapominajek.

Alicya, chociaż chwilowo przestraszona tém niespodziewaném spotkaniem, nie mogła jednak powstrzymać uśmiechu, na widok niewczesnej świetności stroju swego konkurenta. Wyglądał on, jak w zwiększonym formacie wydanie żurnalowej ryciny: kamizelkę miał z amarantowej materyi, z ogromnym żabotem koronkowym, a zamiast białych pończoch, olśniewał zapiętymi na złote guziki spodniami z pomarańczowego aksamitu. Nie mając chęci ośmielać go zbyt uśmiechem, młode dziewczę odwróciło trochę twarz, witając kapitana ukłonem, i bez innego powitania, szło dalej drogą ku domowi, krokiem, którego z pewnością nic a nic nie zwolniła. Ale Stefan Chapman, wyszedłszy z parowu, przystąpił do niej z tém szczególném spojrzeniem, które było-by zuchwałém, gdyby pochodziło ze strony człowieka, jakąś istotną siłą obdarzonego, ale pochodząc od takiego, jak kapitan fireyka, było tylko śmieszném i razem niegrzeczném.

— Miss Lorraine, nie odmówisz mi pani zaszczytu przeprowadzenia pani do domu. Ta droga jest mało uczęszczaną, a i dziś jeszcze trafiają się rozbójnicy; widziano z nich jednego w zeszłym tygodniu na drodze do Brighton. Pozwoliłem więc sobie myśleć... powinien-bym może powiedzieć: mieć nadzieję, że pani nie będzie miała nic przeciwko eskortie wojskowej.

— Dziękuję panu — rzekła Alicya — bardzo pan jesteś grzeczny, ale ja się wcale nie boję, i zresztą wiem, że służący nasi są niedaleko; mają rozkaz trzymania się blisko.

— Musieli tedy nie wiedzieć, którą drogą pani idziesz. Mam wzrok bardzo daleko sięgający i w téj chwili właśnie widziałem liberyą państwa, idącą tą ścieżką, która prowadzi przez góry.

Alicyą bardzo to zmieszało, wcale jęj się bowiem nie uśmiechała nadzieja długiej i samotnej przechadzki w towarzystwie dzielnego wojaka. A jednak wrodzona odwaga nie pozwalała jęj zawrócić się z drogi i pójść przez góry, nie mogła téż wyrządzać mu takiego afrontu, bo jakkolwiek nie cierpiała tego człowieka, musiała jednak postępować z nim, jak na dobrze wychowaną kobietę przystało.

— Bardzo panu jestem wdzięczna, kapitanie Chapman — odpar-

ła więc najgrzeczniej, jak mogła — ale istotnie nie potrzeba mi wcale żadnej eskorty, cywilnej ani wojskowej, w tak spokojnej jak ta okolice, gdzie mnie wszyscy znają. A przytém dogodniej może panu będzie odwiedzić ojca mego po południu. Zawsze jest rad, gdy może zatrzymać pana na obiad.

— Nie, dziękuję pani, muszę dziś być na obiedzie w domu, i dlatego chciał-bym się teraz widzieć z Sir Rolandem, jeżeli można. Mogę zatém towarzyszyć pani do domu, nie prawdaż?

— Tak — odparła z leciutkiem westchnieniem, widząc, że nie już poradzić na to nie może; ale za to postanowiła sobie poprowadzić kapitana takim krokiem, jakim z pewnością nigdy dotąd nie chodził.

— Dalibóg, Miss Lorraine, nie miałem pojęcia, że pani tak chodzić umiesz! Ależ to prawie to samo, co my w wojsku „podwójnym marszem” nazywamy. W takim marszu niepodobieństwem jest nie złamać linii frontowej, gdy na nieprzyjaciela uderzamy.

— Ach! jak to strasznie być musi! — zawołała Aniela z grymasikiem, który zachwycił kapitana. — Czy mogę pana prosić o jedną łaskę?

— Nie możesz pani prosić o żadną łaskę — odparł, przykładając rękę do amarantowej kamizelki, — albo, jaśniej mówiąc, gdy prosisz pani o łaskę, wyświadczasz mi ją przez to samo.

— Jakże pan grzeczny jesteś! Wiész pan, że mój drogi brat Hilary znajduje się teraz tam właśnie, gdzie najstraszliwsza wre wojna. Myślałam więc, że pan, jako wojskowa eskorta, nie będziesz miał nic przeciwko dokładnemu opisaniu, coś pan czuł, gdyś po raz pierwszy uderzał na nieprzyjaciela.

— Licho siedzi w téj dziewczynie — pomyślał kapitan — a tak na niewiniątko wygląda. Może jednak zrządził to prosty traf. Ale z tém wszystkiém zanadto jest cięta, aby z nią można romansować.

— Miss Lorraine — odparł — ja należałem do gwardyi, która w kraju głównie służbę pełni. Nie byłem nigdy w służbie czynnej.

— A! rozumiem: nie wiész pan zatém, jaka to smutna i straszna rzecz bić się na prawdę. Biedny Hilary! bardzo-śmy o niego niespokojni. Widzieliśmy jego nazwisko w depeszach i wiemy, że był ranny, ale kiedy to nastąpiło, ani on, ani major Clumps (bardzo zacny oficer w jego pułku) nie pisali do nas ani słowa.

— Pierwszy wdarł się na mury Badajoz i okrył się sławą.

— Wiemy to — rzekła ze złami w oczach Alicya i na krótką chwi-

lę miłszym ję się wydał kapitan. — Ale jeżeli przytęm okrył się i ranami, jakaż jest korzyść sławy?

— Bardzo rozsądne pytanie — odparł Chapman i spadł znowu niżej zera w opinii swojej czarodziejki. Z całą zatę pogardą, którą wynurza się milezieniem wtędy, gdy odpowiedź jest spodziewaną, pędzila Alicya tak szybko w stronę rezydencyi Bonny, że ję konkurent (który, pomimo wojskowej postawy, chodził nie lepiej od gołębia) z trudnością mógł ję dotrzymać kroku.

— Widok ztąd jest tak piękny — przemówił wreszcie — że istotnie muszę panią prosić, abyśmy tu na chwilę usiedli. Zapewne nie potrzebujemy tak się śpieszyć.

— Chłodno jest i nie mogę opóźniać się z powrotem; ojciec ma dziś silny ból głowy. Dlatego właśnie nie był w kościele.

— Tędy z pewnością nie pilno mu do śniadania, a ja mam tak wiele do powiedzenia pani. Z łaski pani mam istotnie ból w boku.

— Jakże mi to przykro! przepraszam pana, na myśl mi nawet nie przyszło, że to z moję winy. Niech pan trochę wypocznie, będzie panu lepiej.

Alicya była-by za żart jędynie uważała tę skargę, gdyby pochodziła ona od kogo innego. Wiedziała jednak, że kapitan nie ma ani silnych płuc, ani serca, ani nie wreszcie silnego; pozwoiliła mu zatę usiąść, a sama stojąc, puściła wzrok wzdłuż opłotków, które wiosna, zbliżyć się jeszcze wahająca, ustroiła w powiewne frędzelki i puszystych listków obrzuciła obłoczkiem.

— Pięknosc przygląda się piękności, — rzekł kapitan, tak kierując sporzenie, aby mieć widok krajobrazu, w oczach Alicyi odbity. Zdanie, przez niego teraz wyrzeczone, było trafne. Alicya, zupełnie teraz zdrowa, łącząca wdzięk młodocianej siły z powabem wrodzonej żywości, z cudnie pięknej twarzy patrząca wielkimi oczyma, które nie miały niepewno-błękitnej barwy (tak u biedaka Hilarego powabnej) ale były ciemno-siwe, tego rzadkiego koloru, który, w miarę głębi życia sam głębszym się staje, i miłością nad inne jest wymowny, Alicya, jędnę słowem, wartą była spojrzenia każdego mężczyzny. Największy z urodzonych z niewiasty mężczyzn, który wiedział, czę jest kobieta, zarówno jak i czę mężczyzna, jędyny, który łączył w sobie obu płci równie dokładną znajomość, jędyny, prawdziwy wszystkich wieków poeta (w porównaniu z którym wszyscy inni poeci płytkimi są tylko) najukochańsze dziecę natury i miłośnik ję najgorętszy — on nawet, patrząc na Alicyę, na wielkie, smutne, słodko

spoglądające jej oczy, był-by tego zdania, że dobrze jest wzrokiem na nią spocząć.

Kapitan (choć nosił imię wielkiego, a niesłusznie zapomnianego poety) nie miał w sobie i za pół szeląga poezyi. Dla niego Alicya była po prostu ładną panną, dobrze urodzoną i dobre mającą skłonności, która mogła sprowadzić go wpływem swoim z niejednej złej drogi, i dogadzać mu, i mieć go za coś wielkiego. Wiedział, że jest ona nieskończenie wyższą od niego „umysłem, poglądami i tam dalej” i tém więcej ją za to lubił, że mu to wiele kłopotu oszczędzić miało.

— Pozwól pani powiedzieć sobie słów parę — zaczął, rzucając jej najmocniej przekonywające i najsilniej podbójcze spojrzenie (miał bowiem istotnie piękne oczy, jakie ma wiele osób słabego charakteru i umysłu) pani często surową dla mnie jesteś, Miss Lorraine, a ja niczego tak nie pragnę, jak przypodobać się pani, służyć pani i dogadzać.

— Doprawdy, jesteś pan niezmiernie grzeczny, kapitanie Chapman; nie wiem, czém na to zasłużyłam.

— Niestety! — odparł z westchnieniem, które ulgę mu przyniosło, ponieważ ściśnięty gorsetem, mocniej niż jakakolwiek panna, tchu nie mógł złapać i cały był zdyszany — Niestety! czyż może być, abyś pani nie widziała boleści, jaką mi sprawiasz?

— Tak, wiem, że byłam niegrzeczną: szłam za prędko dla pana. Przepraszam pana najmocniej, nigdy już tego nie zrobię.

— Ja nie o tém myślałam, daję słowo, nie o tém; wdrapał-bym się na Andy, lub Himalaje, byle tylko uśmiech pani otrzymać!

— Uśmiechnęła-bym się pewno i nieraz — odparła Alicya, teraz znowu uśmiechając się złośliwie — gdybym tylko miała teleskop, ale mimo to, żałowała-bym pana. Tam gorzej się wdrapywać, niż na nasze góry.

— O! już się pani ze mnie śmieje! Pani jesteś taka rozumna, Miss Lorraine, nie dajesz mi pani nic powiedzieć.

— Wcale nie jestem rozumna, owszem, jestem bardzo niemądra, a przytém zawsze pan więcéj mówisz ode mnie.

— Naturalnie, że więcéj; dopóki nie dowiesz się pani, co chcę mówić. Potém już zawsze słucham; bo panie więcéj mają do mówienia i mówią to daleko lepiéj od nas.

— Doprawdy? — odparła Alicya, myśląc (podczas gdy kapitan, wstawszy z miejsca, prostował się, jakby dla pokazania swéj postawy) „może on ma skusność, zdaje się mieć wcale niezłe pomysły.” Od-

gadł, że w téj chwili lepiej o nim myśli Alicya i że pokora jest właściwszą dla niego drogą postępowania. Nigdy on nie znał miłości prawdziwej: wolném i rozwiązłym życiem zmniejszył niewielkie, jakie miał do niej zdolności, ale pomimo tego, Alicya natchnęła mu ją po raz pierwszy. Jest to wielki przewrót w umyśle i sercu człowieka *lubiącego żyć*, a jój wynik może go ocalić od najgorszego wroga, jakim sam on jest dla siebie. A co w tém najlepsze (czy może najgorsze) to to, że ilekroć sercem gorąca, myślą świeża, a umysłem wyższa dziewczeczka uwierzy w to, że pozyskała wpływ dobroczynny nad upadłym i zepsutym mężczyzną, tylekroć ciekawe wzruszenie, chrześcijańska pobłażliwość i kobiece w paradoxach zamiłowanie, nastąpią po słusznym wstręcie. Alicya jednak nie miała charakteru, słabo i niewolniczo popędom serca uległego, a w dodatku najzupełniejszą dla kapitana czuła pogardę.

— Mam nadzieję, że teraz nie będziesz pan tak się śpieszył — rzekła do zamyszonego kapitana — tu na zakręcie zacznie się dopiero góra naprawdę. Ja zmuszona jestem iść prędko, bo ojciec wygląda mnie niecierpliwie, ale jeżeliś pan łaskaw dom nasz nawiedzić, może będzie panu dogodniej iść wolno?

Stefan Chpman spojrzał na nią, nie tak jak spoglądał zwyczajnie, widząc w niej tylko ładną pannę, ale z nowym jakimś uczuciem, tak, jakby się bał jój odpowiedzieć. Jego pogląd na kobiety, poziomy, ograniczony i rozwiązły, uległ w téj chwili zmianie, która go samego zdziwiła. Żaden zdawkowy frazes nie przyszedł mu w téj chwili na myśl, by mu pomódz, lub może zaszkodzić, a tymczasem Alicya znikła na zakręcie.

— Hola! Chapman! a co tam porabiasz? Wyglądasz tak, jak wieprz Bottlera, co się wyrwie z pod noża i biega z poderzniętym gardłem. Gdzież moja siostrzenica? Coś tu robił? — rektor gniewnie ściągnął Małgosię i gotów był schwycić Stefana za gardło.

— Niepotrzebnie tak się pan zapalasz, rektorze — odparł, przychodząc do siebie kapitan — Miss Lorraine idzie teraz pod górę daleko prędzej, niż-bym ja mógł iść.

— Wiem, co z ciebie za ptaszek — krzyczał rektor, dysząc oburzeniem, na myśl o zepsutym niedzielnym obiedzie i o tém, że nie-wiedzieć czego robił scenę. — Zmusiłeś mnie do tego, żem gonił za tobą. Wytlómacz mi, co to miało znaczyć?

— Panie Hales, nie mam pojęcia, czego pan chcesz. Zdajesz mi się pan być bardzo wzruszonym; proszę, zechciej mi wytłómaczyć przyczynę.

— Aha, tłumaczyć! po co mam tłumaczyć, kiedy wiem, co zasz pan jesteś? Dwie najpoczeziwsze pod słońcem dziewczyny wykradłeś pan z mojej galeryi i wstydem okryłeś moję parafią. Jesteś-że pan godzien zbliżyć się do mojej siostrzenicy? Przez wzgląd tylko na ojca pańskiego nie mówiłem nic o tém Sir Rolandowi, ale teraz powiem mu wszystko i, jakolwiek spokojnego jest temperamentu, ile téż, przypuszczasz pan, potrzebować będzie czasu, by zepchnąć pana z Combe Lorraine na złamanie karku?

— No, no, rektorze — odparł Stefan, dość już długo słusznemu oburzeniu się opierający — musisz pan przecie wiedzieć, że cały ten dawny skandal rozleciał się już na cztery wiatry i żem z niego wyszedł bez plamy.

— Doprawdy? nie o tém nie wiem. Zrobiłeś pan wszystko, co pieniędzmi zrobić się dało, i kawał to już czasu od téj pory... i mozebyć lepiej uczynił, dając już temu pokój... stara historia, nie prawdaż? Z drugieję znów strony, gdyby tylko...

— Rektorze, pan zawsze masz słusność, chociaż czasem nie masz pan miłosierdzia. Cóżeś pan powiedział w dzisiejszczém przepyszném kazaniu swoim? Powiedziałeś pan najwyraźniej, a głos aż się odbijał od filarów, że żałujący grzesznik zawsze znajdzie przebaczenie.

— Mówiłem to bezwątienia, i mam nawet to przekonanie; ale, mówiąc o przebaczeniu, miałem na myśli niebieskie, tam w górze; w mojej parafii go niéma. Nie mogę być miłosiernym w mojej własnej parafii.

— Przestańmy już o tém mówić, rektorze! nie jestem już młodzińcem i pragnę się ustatkować. Teraz mam zaszczyt kochać pańską siostrzenicę tak, jak nigdy nie kochałem nikogo. I wręcz pytam się pana, jako człowieka, którego przyjaźń wysoko ceni mój ojciec: czy pan masz co przeciwko temu.

— Chcesz powiedzieć, że naprawdę zamierzasz ustatkować się, to jest ożenić z Alicyą? Dziewczyna dwa razy młodsza od ciebie i dziesięć razy więcej sił życiowych mająca! Co za pomysł, Stefanie!

— Zapewne, sir, wiem dobrze, że nie jestem tak silnego, jak ty zdrowia. Prześcigniesz mnie pan w chodzie bezwątienia, gdybyśmy obaj razem wyszli ze strzelbą; ale mimo to potrzebuję tylko mieć trochę spoczynku, mieszkać na wsi i polować, a mniej siedzieć w klubie, mniej grywać w karty i mniej mieszać złego towarzystwa, które drogo kosztuje. Mam zamiar wyrzec się tego wszystkiego, raz na za-

wsze, dostać dobrą żonę, która-by mnie trzymała krótko, dopóty, póki pocziwy mój ojciec nie przeniesie się do wieczności. Jak tylko się ożenię, zaraz zaprowadzę sobie psiarnią i zakasuję ze szczerem biednego lorda Unicorna, który nie się na psach nie zna. Haniebnie tu idzie teraz polowanie.

— Niéma co mówić, haniebnie! rumienie się ze wstydu, ile razy na polowanie wyjadę. Tak! jest racya w tém, co mówisz; zdała-by nam się nowa sfora, a jak mi się zdaje, ja-by'm ci w tém potrafił doradzić.

— Byłbym ślepo twemu zdaniu posłuszny, rektorze. Na koniach znam się wybornie, ale co się tyczy znawstwa psów, nie wart jestem potrzymać świecy memu wujowi, Hales'owi.

— No, drogi chłopcze, niezaadługo zatém pokażę ci, jak się wziąć do rzeczy. Rasa psów, jakiej tu potrzebujemy...

Tu rektor pochylił się na szyi Małgosi i, wzięwszy kapitana za dziurkę od guzika, cały przejęty ważnością sprawy, wygłosił rozprawę, zbyt razem uczoną i poufną, aby ją można pośpiesznie powtórzyć. Stefan zaś słuchał tak dobrze i tak mądrze, że Mr Hales powziął o nim dużo lepszą opinią, niż miał kiedykolwiek, i zaczął powątpiewać, czy w takich, jak te, czasach, nie było-by to rzeczą właściwą ścisnąć szeregi ludzi trzeźwo myślących i zjednoczyć uczciwe, ważne i dobrze pojęte żywotne interesa przymierzem pomiędzy dwoma najznamienitszymi domami w sąsiedztwie, z których jeden posiadał świetny rodowód, drugi dobra rozległe... Teraz szczególnie, gdy Hilary zamierzał ożenić się dla miłości jedynie, przymierze takie było-by bardzo pożądanem.

Ale wbrew wymaganiom rozsądku, pan Hales miał pełno silnych i gorących wrażeń; to téż, kochając siostrzenicę, pogardzając w głębi serca Kapitanem i mało mając wiary w nawrócenie łotrów, postanowił zachować neutralność, nateraz przynajmniej, skutkiem czego pojechał do domu na obiad.

ROZDZIAŁ II.

Ciężka artylerya.

Jeżeli kto ma takich, którzy powinni dbać o niego, a nie jest pewnym, o ile i czy ścigają go myślą, i chce się o tém przekonać, niech się weźmie na sposób i głuche zachowuje milczenie, gdy wszystkim

wiadomo, że się w niebezpieczeństwie znajduje. Próba taka, ze względu na ludzką naturę, trochę jest niebezpieczna, wtedy głównie, gdy doświadcza istnienia uczuć u tej płci silnej, która męzkie nazwisko nosi; ale gdy doświadcza lepszej, słodszej i piękniejszej połowy rodu ludzkiego, której głównym powabem jest brak zimnego rozsądku, wtedy ciężka ta próba (dotkliwie zastosowana) z pewnością skutek jakiś odniesie, wtedy naturalnie, jeżeli nikt się w niej próby nie domyśla. Z tego więc wynika, że obecnie były trzy osoby, do płci lepszej należące, a mocno o Hilarego zaniepokojone.

Z tych trzech pierwszą była przeznacna jego babka, Lady Walerya Lorraine, której umysł (choć silnie dzielami poważnej treści wzmacniany) wielkie żywił obawy, że Hilary nie żyje, a może nawet został spalony, nie zostawiwszy nawet jedynego śladu swego istnienia, popiołów! Ale wszelki, choć by nawet wątpliwy, dowód, przypuszczenie to utwierdzający, był-by ją niesłychanie zmartwił; istotnie bowiem kochała młodzieńca i chlubiła się z nim; brak jednak dowodu, oraz prawdopodobieństwo nie znalezienia go nigdy, zarówno jak perspektywa różnych zawikłań, znalezieniem dowodu wywołanych, wszystko to jednym słowem utrzymywało niezmordowany umysł tej niezwyklej kobiety w ciągłej i większej niż kiedykolwiek, a zdrowiu jej szkodzącej, ruchliwości.

Drugą z trzech, trawiących się niepokojem i obawą, była młodziutka siostrzyczka Hilarego, Alicya. Jakkolwiek dumną była ze swego rodu, stanowiska, nieskażonego imienia, oraz wszystkich dobrych życia warunków, jednak życie brata było jej droższe nad te wszystkie, czysto światowe względy. Znając go, wiedziała, że był prędko i zapalony, zbyt dobroduszny, a nawet, w porównaniu z ludźmi światowymi, dziecinnie naiwny. Ale ona właśnie jeszcze lepiej go za to kochała; a będąc sama silniejszego charakteru i silnej woli, wyrosła (sama sobie z tego sprawy nie zdając) na użytecznego obrońcę jego sławy i poplecznika jego interesów. Ma się więc rozumieć, że to go jeszcze droższym czyniło, i że w jej oczach był on męczennikiem, boleśnie obrażonym, lecz nikomu obrazy nie wyrządzającym.

Ale z tych trzech trzecia była najsmutniejszą i najcięższą dolę swoją znosiła. Wiara w Opatrzność podtrzymuje siostrę, nawet matkę męczyzny, jeżeli dadzą jej przystęp do serca; ale ta sama wiara zdaje się nie mieć *locus standi* w sercu jego kochanki. Delikatny ten przyrząd, co chwila ze szczytów nadziei w otechłanie rozpaczy przekakujący, zawsze jest gotów robić, co trzeba; wmawia to w siebie, pociesza się jak może, ale, mimo to, z wyżej przytoczonych powodów,

wpada niewiadomo czego w niedorzeczność, i różnych a niespodzianych dopuszcza się wtedy wybryków.

W takiem-to położeniu, nie przypuszczając nawet przeniewierstwa kochanka, ani żadnych powodów do zazdrości, Mabel Lovejoy czekała długi czas, dziwiła się, miała nadzieję, rozpaczała i martwiła się, a potem znów ciężko pracowała i znowu odzyskiwała nadzieję. Nie miała ona nikogo, komu-by mogła powierzyć swoje troski; żaden głos, pociechę i spokój niosący, nie spierał się z nią i nie gniewał, i nie dowodził jęj, że niedorzecznością jest tracić nadzieję, podczas gdy ona dowodziła-by, że mieć ją, jest właśnie niedorzecznością, a mimo to nabierała otuchy, i czuła się pocieszoną i mężniejszą. Matka nie chciała z nią mówić wcale; nieraz wprawdzie mówić miała ochotę, ale sądziła, że lepiej i rozsądniej będzie pokryć tę sprawę milczeniem. Podczas bytności Hilarego u nich w domu, lub przynajmniej w Anglii, pani Lovejoy zmiękła była na widok młodzieńczych tych uczuć; ale teraz, gdy odjechał daleko, i prawdopodobnie w pierwszym numerze Tygodnika miejscowego miało być doniesienie o śmierci jego i pogrzebie, kentyjska ta białogłowa, jako rozsądna niewiasta, wołała ptaka, którego można było mieć w ręku.

Takich zaś było co najmniej pół tuzina, schwytanych na lep i gotowych dać się zamknąć do klatki na resztę życia, gdyby tylko Mabel chciała z nimi w klatce zamieszkać; dwóch z nich nie dało się przekonać, że „nie” znaczy u Mabel naprawdę „nie”, a to dlatego, że jeden miał „tak” od matki, a drugi od ojca.

Pretendentem, któremu sprzyjała pani Lovejoy, był młody doktor w Maidstone, Dr Daniel Calvert, człowiek dobrego urodzenia i dobrych stosunków, mający przytém świetne nadzieje majątkowe. Gospodarz na swoją znów rękę znalazł sobie zięcia takiego, jakiego potrzebował i pragnął: Eliasza Jenkinsa, statecznego i porządnego młodzieńca, syna fabrykanta słoju w Sevenoaks, który, od czterdziestu lat z górą zakupywał wszystek jęczmień na folwarku Old Applewood. Eliasz był okrutnie rozkochany w Mabel, i nagle znajdować począł wielką bardzo przyjemność w sadzeniu i obcinaniu drzewek owocowych; to téż przez cały Marzec i Kwiecień codziennie prawie przyjeżdżał na naukę, jak mówił, szczepienia, oczkowania, rozsadzania wisien i przeróżnych innych zajęć pokojowej sztuki ogrodniczej. Ma się rozumieć, że gospodarz nie mógł nie prosić go za to na obiad, pomimo niechętnego skrzywienia pani Lovejoy; Eliasz więc, rumieniąc się i uśmiechając, przysuwał swoje krzesło, jak mógł najbliżej, do Mabel, i starał się, jak mógł i umiał, zabawiać panienkę. Udaowało mu

się o tyle, że anioł jego duszy nie czuł dla niego najmniejszej chęci; ale któż-by go śmiał równać w myśli nawet z Hilarym?

Mabel była-by lubiła fabrykanta słodu daleko więcej, niż go lubiła, gdyby tylko stracił zwyczaj ponawiania swoich oświadczeń co sobota w wieczór. Wynikało to ztąd, że wiedział, iż niedziela jest dniem niebezpiecznym, a ponieważ nie mógł w niedzielę przyjeżdżać szczepić, uważał przeto za rzecz bezpieczną zapewnić sobie miejsce w jej myślach do poniedziałku rano.

— Probuje, probuj raz jeszcze, chłopcze — zachęcał go gospodarz — nie zrażaj się grymasami dziewczyny; na dziewczęta, widzisz, czatować trzeba, jak na słomki. Jeżeli nie chce powieścić ci „tak” przed obiadem, bierz się do niej znowu po południu, wyciągnij ją na spacer po łąkach, i po kolacyi znów swoje gadaj. Niektóre łaskawiej przyjmują oświadczenia rano, inne wolą ich słuchać w porze obiadowej, a inne znowu przy świetle księżyca.

— E! jużem próbował na wszystkie sposoby i o wszystkich porach, nigdy nie chciała mi powiedzieć „tak”. Zaczynam już nie wierzyć sobocie, muszę kiedy spróbować piątku.

— Patrzaj-go! — zawołał gospodarz z podziwieniem, jak-by miał przed sobą sprawcę najważniejszego odkrycia — dobrze, dobrze, probuj w piątek, akurat sam dzień targowy!

— To dopiero głupiec ze mnie — zauważył Elias — że się tak upornie trzymałem sobót. Wiem ja, że jejmość jest przeciwko mnie, a to zawsze dużo znaczy u dziewcząt. Ale trzeba, żebym już coś wiedział pewnego, nim przyjdzie pora słód przysposabiać.

— Będiesz wiedział, chłopcze, daję ci słowo na to, bądź spokojny... Ni tak, ni owak, to zabawka, której niecierpię, i córka moja bawić się w nią nie będzie. Ale tyś więcej tu winien, niż ona, chłopczel! nie wiesz, jak się brać do dziewcząt. Trzeba je brać, jak wołu... za rogil! Niema to, jak brać za rogi, zobaczysz.

— Zapewne, gospodarzu, gdyby to tylko wiedzieć, jak się do tych rogów dostać. Ale panienka tak mi się wymyka, że ani rusz trafić do niej nie mogę. A przytém jejmość co niedziela prawie sprowadza tu tego Calverta.

— Aha! — zawołał gospodarz z kiwnięciem głowy znaczącem, że wie już, o co chodzi — to tędy kozy wiodą? Dlatego to moja jejmość miéwa bóle po kościach i ogólny brak sił i tak jej ciężko się ruszyć? No, no, zostaw to mnie, chłopcze, ja temu koniec położę. W moim folwarku taki Pigułkiewicz! doprawdy! A ja anim się domyslał, żeś ty zazdrośny.

— Nie, panie, nie zazdrosny, pogardzam bowiem zazdrością. Ale tam, gdzie jest dwóch do jednej, to każdemu z osobna ciężiej idzie, niż gdyby był sam tylko.

Squire Lovejoy przekonał się jednak niebawem, iż zanadto sobie ufał, chwając się, że potrafi usunąć współzawodniczącego z fabrykaniem słodu konkurenta. Pani Lovejoy albowiem, na swój sposób wcale rezolutna kobiecina, od razu wszędzie gwałtowne uczuła bóle, i tak stękać zaczęła, że zamiast mieć doktora raz na tydzień, musiała go miewać co najmniej trzy razy tygodniowo. Niebawem też rada młodego lekarza okazała się potrzebną dla pacjentki bardziej zajmującej.

Córka bowiem i główna domu pociecha, piękna i łagodna Mabel, zamiast świeżo wybujac z wiosną i wraz z różami pączkiem rozkwitnąć zaczęła blednąć, szczupłéć, smutnieć, nieustannie chodzić do kościoła i nie dbać wcale o obiad. Ale pobeżnej ochocie uczęszczania do kościoła w niedzielę tylko zadośćuczynić mogła, albowiem zwyczaj odczytywania modlitw... filarom kościelnym, dwanaście razy na tydzień, nie był jeszcze wprowadzonym w użycie. Nowość zatem tego żądania u Mabel czyniła symptom ów bardziej jeszcze zatrważającym, i sam ojciec przyznał, że tak nadzwyczajna choroba gwałtownie wymaga rady lekarskiej. Ona jednak przez czas dość długi powtarzała tylko ojcu, własne jego, często wygłaszane opinie o mistrzach sztuki lekarskiej, jednocześnie stanowczo zaprzeczając, aby w niej jakakolwiek istniała choroba... Tak więc na czas jakiś zdołała uniknąć doktora.

Tymczasem mężnie walczyła z głęboką troską i udręczeniem niepewności. Walka ta zaś była tém cięższa, tém bardziej nużąca, tém rozpaczliwsza, że musiała toczyć ją w milczeniu, wiedząc, że nikt z nią nie współczuje, (a co gorsza), że każdy ma jej walkę tę za złe, choć słowami poznać jej tego nie daje. Ojciec jej szczerą i serdeczną powziął był dla Hilarego życzliwość, przenosząc go o wiele (co do życzliwości) nad fabrykanta słodu. Ale, mimo to, zupełnie inne mając dla córki widoki, uważał, że już pora, by to szaleństwo minęło. Matka znowu była-by rada widzieć ją żoną Hilarego, ale oddawna ułożyła to sobie jako rzecz pewną, że żyw nie wróci z Hiszpanii i że Mabel zmarnuje najpiękniejsze lata młodości, czekając na skazanego na śmierć żołnierza. Jeden tylko Gregorz Lovejoy gotów był stanąć po stronie siostry, dla miłości Hilarego, przyjaciela, którego tak bardzo uwielbiał, i za jego-to pośrednictwem odbierała Mabel poselstwa miłości, aż do dnia wzięcia Badajoz. Ale jedyny ten pocieszy-

ciel i pewny przyjaciel był cały ten czas daleko od niej, niezmordowanie bowiem kopał się na drodze do krutek sądowych i w końcu wysokie to namaszczenie otrzymał. Wtedy więc Gregorz zapłacił pięć gwinei za perukę, jedną za pudełko do niej, wydał stosowne ale smaczne śniadanko „kolegom” i, nie wstydząc się już dłużej rodzinne-hrabstwa, ani stanowiska, jakie w niém ojciec jego zajmował, odważnie dźwignął niewdzięczne obowiązki nowicyusza w zawodzie sadowniczym. Ma się rozumieć, nie spodziewał się, że mu się od razu dobra sprawa trafi, ale nigdy nie zaniedbywał być na posiedzeniu sądu, a miły jego humor i uprzejme obejście wprędce mu przyjaciół zjednały. Matkę jego uszczęśliwiała to nad wyraz; ale Franklin mruzczał, niezadowolony, że musi worki napełniać pieniędzmi po to, by niemi Hilary (święcie był o tém przekonany) sypał na koleżeńskich zebraniach.

Setny zjazd sądowy odbyć się miał w Maidstone, w początku Lipca, i Grzegorz przez Johna Shorne nakazał z Londynu, że zjedzie razem z sądem i będzie mógł spędzić jedną noc w domu, jeżeli ojciec przyśle mu konia wieczorem, gdy się już posiedzenie skończy. Teraz dopiero przekonał się Grzegorz, jak mądrą jest reguła, która aspirantowi prawnemu przepisuje dobre odżywianie się za konieczny do wypełniania obowiązków warunek: sto examinów nie było-by go uzdolniło tyle, ile obiady w Temple, z kolegami zjedzone, — jeżeli nie wiedział, co ma robić, wiedział przynajmniej, czego unikać.

Gospodarz pełen był radości, na myśl, że wejdzie do sali sądowej i będzie mógł powiedzieć pierwszym w mieście osobom: „Proszę pani, z wijącym się włosom pod peruką... O! widzi pani, jest... tam... Ale jaśniewielmożny prezes coś teraz szepce do niego, nie mogę mu przerywać”. A zatém, chociaż godzina jego czasu mogła być warta gwineę, nim-by ta sama godzina czasu Hilaremu jeden penny przyniosła, stary napróżno opierał się pokusie dojechania do Maidstone, by popatrzeć na Grzegorza. Przed śniadaniem gdierał na poln, wstawszy po to, by każdemu spaść na kark niespodzianie, dlatego poprostu, by ludzie wiedzieli, że to talent w rodzie dziedziczny. Robotnicy mrugali tylko na siebie, a gdy poszedł, jednogłośnie wyrazili przypuszczenie, że musiał źle wstać z łóżka, lub, że może zmyła mu głowę stara jéjmość.

On zaś, wzniosłemi myślami zajęty, dalej kroczył i od czasu do czasu ustami poruszał, rzucając bystre spojrzenia na każdą żerdź płotu, jakby do niego przemawiał w wyobraźni. Nie mógł on nie czuć, że, ogółem wzięwszy, syn jego rozumniejszym był od niego i przenie-

wierzał się teraz rydlowi i motyce, wzdychając za togą i peruką. „Gdyby mój ojciec — mówił — dał mi być taką samą sposobność wybicia się na wierzch, jaką ja dałem Grzegorzowi, czém byłbym dzisiaj? Jednym może z tych jasnych panów, którzy zasiadają w sądzie i biednym ludziom imponują. Albo, gdybym nie miał dość pańskiego na to obejścia, któż-by mi zabronił stanąć przed kratką i mówić tak długo, ażbym wypowiedział wszystko, co dla objaśnienia sądu powiedzieć-bym potrzebował? A może-bym się mylił? cóż wtedy? Mam ochotę wcale nie jechać na posiedzenie... Nie taki to wielki dla mnie zaszczyt! Mój ojciec do sądu nie należał, a był przecie uczciwym człowiekiem”.

W takim stanie umysłu zasiadł do śniadania, opromieniony odbiciem blasku jaki na niego padał od Grzegorza, lecz mimo to napadany chwilami przez wątpliwości, czy blaski te uczciwego są pochodzenia. Wreszcie, zwyczajem swoim, postanowił nikogo o radę nie pytać i pojechać do miasta, nie nikomu w Applewood nie mówiąc. John Shorne, poprzedniego jeszcze wieczoru, otrzymał był polecenie nie nikomu o swoim poselstwie nie mówić, w czém staremu powiernikowi zaufać było można; co zaś do kobiet, pewny był gospodarz, że więcej wiedziały o praniu i więcej o nie dbały, niż o zjazd sądowy. Poszedł więc do stajni koło dziewiątej, włożywszy na siebie tyle odświeżonego ubrania, aby porządnie wyglądać, a nie tyle, aby zwrócić na siebie uwagę kobiet i, wzięwszy dobrego konia, odjechał, nie powiedziawszy nic więcej prócz tego, że może nie wróci do domu na obiad, ale przywiezie z sobą gościa na kolacyą i dlatego przysposobić trzeba jakieś pieczyste.

Ogólną i prawdziwą jest zasada, że „pycha zawsze prowadzi za sobą upadek”, ale pycha ojca w tym razie była tak naturalną i dobrą, że natura zawiesiła ulubione swe prawo i nie pozwoliła losowi sprowadzić upadku. Chociaż, wszedłszy do sali sądowej, nie zastał syna poufnie szepczącego z prezesem sądu, ani nawet poważnie radzącego ze znakomitym jakim adwokatem, ale przeciwnie, bliskiego porażki w sporze z jakimś rybakiem; chociaż obywatele miasta nie byli przejęci należytem poszanowaniem dla zbiorowej, przez Grzegorza uosobionej, prawa mądrości; chociaż sam nawet Grzegorz nie miał do tego pretensyi, by choć trochę mędrzej wyglądać od ojca: jednakowoż szczęśliwy traf zrządził, że wszystko poszło dobrze, a nawet przysłużył się Grzegorzowi. Gospodarz bowiem, ujrzawszy syna, nie dał się zatrzymać szwajcarom i woźnym, lecz łokciami utorował sobie drogę aż do miejsca, przez dygnitarzy sądowych zajmowanego i, tam

stanąwszy, przywitał Grzegorza pocałunkiem, na głowie jego złożonym, i głośnóm po grzbiecie klapnięciem, poczem, dumnym spojrzeniem wyzywając opinią sądu i kratek, zawołał czystym akcentem kentyjskim:

— Dobrze chłopczel! Niech żyje mój Grzegorz! Słuchajcie panowie, niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli mój syn nie wygląda na mądrzejszego od was wszystkich.

Głośne śmiechy rozległy się w kole sędziów, głośniejsze jeszcze wybuchnęły w tłumie, salę napełniającym, podczas gdy woźni wołali: „Cyt” a *Lord Chief Justice* (Prezes Sądu) i uczony jego kolega spojrzeli na śmiałka, który, położywszy obie ręce na ramionach syna, spoglądał wokoło i wdzięcznie się uśmiechał.

— Kto jest ten człowiek... ten *pan*, chciałem powiedzieć — spytał prezes sądu, poprawiając się przez grzeczność dla młodego Grzegorza.

— Ojciec mój, mylordzie — z mężką śmiałością odpowiedział Grzegorz, chociaż zarumienił się przy tém, jak jego siostra Mabel. — Dawno już bardzo nie widział mnie, mylordzie, i kontent jest, że mnie widzi na tém stanowisku.

— Że kontent, to kontent, mylordzie — wtrącił gospodarz, składając pełen godności ukłon — z początku słyszeć o tém nie chciałem, ale matka... ach! co-by ona teraz na to powiedziała? Marcin Lovejoy, mylordzie, z folwarku Old Applewood, do usług Jaśnie Wielmożnego Prezesa.

Prezesowi podobała się ta scenka; łaskawie spojrział téż na Grzegorza, za którym, jako o bardzo pilnym uczniu, słyszał był od swego przyjaciela, pana Malakide, a będąc człowiekiem, umiejącym korzystać ze sposobności (czego dowodem było obecne jego stanowisko), odezwał się do uszczęśliwionego Franklina: „Panie Lovejoy, miło mi będzie przepędzić z panem z jakie pół godzinki po skończoném posiedzeniu”.

Te parę słów sprowadziły Grzegorzowi dwie sprawy na przyszły zjazd sądu i popchnęły go na przód na drodze prawa, chociaż prezes sądu (jak o tém cała adwokatura wiedziała) wołał, ma się rozumieć, przyjmować, niż dawać. Ale jego jaśnie wielmożność stawiał sobie w Kencie dom wiejski i zakładał ogromne ogrody, do których potrzebował w jesieni jak najlepszych szczepów; przyszło mu więc na myśl, że specjalny hodowca, taki, jakim był właśnie pan Lovejoy, lepiej będzie mógł mu poradzić od innych.

Gdy gospodarz rozmówił się z presem o wszystkiém, co się do

drzew owocowych ściągało i zaprosił go, by przybył zobaczyć, jak rodzą, odjechał w jak najwyborniejszym humorze wraz z synem, który, załatwiwszy swoje obowiązki, nie został na obiedzie z braćmi swymi... po peruce. Chcąc, by się wszystko odbyło, jak wypada, najęto konia dla Grzegorza, i obaj, rozkoszując się wieczorem, jechali sobie z wolna jedną z najpiękniejszych dróg w Anglii. Pan Lovejoy nie był do zbytku domyślny, uderzyło go to jednak, że syn nie był bardzo wesół i nie okazywał wielkiej radości z przybycia do domu; wreszcie zagadnął go niespodziewanie:

— O czém myślisz, Grzegorzu, mój chłopcze? Nauka cięży na mózgu, jak ołów, jak zwykł mawiać biedny twój dziad. Dam grosz za twoje myśli, przysłyż prezesa sądu.

— Nie ojeze, nie myślałem o książkach prawnych, ani nawet o... no, kiedy ojciec koniecznie chce wiedzieć, to nie myślałem o niczém, tylko o biednej Mabel.

— Tak? John ci pewno powiedział, jak mało jada i jak blade wygląda. I nie dziw, nie dziw! te młokosy ją nudzą i dokuczają jój. No, ale, tak między nami mówiąc, mam nadzieję, że gdy nadejdzie pora zbierania chmielu, ona już będzie mężatką. Słuchaj-że, teraz kiedy już jesteś skończonym prawnikiem, Mabel będzie z pewnością więcej na twoją radę uważać; słuchaj-że, mów jój o Jenkinsie, ani słowa o tym paniczku Hilarym.

— Nie, ojeze, nie powiem o nim ani słowa — smutnie i potulnie odpowiedział Grzegorz — żałuję, że go tu przywoził.

— No, nic złego się nie stało, mój synu, nic złego. Ten kapryślik przetrwać się musi. Elias nie jest bardzo świetny, o tém wiemy, ale porządny i zacny z niego młodzieniec i dobrym będzie mężem.

— To najgłówniejsza rzecz: stateczny człowiek, który jój wiernym będzie. Ale nie naglij jój teraz, ojeze. Był-by to sposób popsucia wszystkiego

— Czy to kto słyszał? — zawołał gospodarz — to mi dopiero radca prawny! Własnemu ojcu radzi, jak ma rządzić rodziną!

Grzegorz usiłował cię uśmiechnąć, ale blask zachodniego słońca odbił się w łzie, która mu się kręciła w oku i pojechali dalej w milczeniu.

ROZDZIAŁ III.

Jak przyjmować złe wieści.

O zachodzie słońca, Mabel wyszła trochę na drogę, prowadzącą do Maidstone, w nadziei spotkania ojca. Słońce, już ku zachodowi się skłaniając, oglądało się jeszcze z po-za drzew; tu i owdzie promienie jego ślizgały się po płotach, wieszały na kwiatach polnych, luk kładły na kępie traw, która się im do tego wydawała sposobną. Pocziwe ptaszęta szukały zwykłego noclegu, gdzie usiąść i z kąd wylecieć i naszczębiotać się można dowoli, i wstrząsać skrzydełkami i ogonkiem, dopóki sen nie zamknie oczu. Ale drozd, jedyny śpiewak, odkąd słowik trele wywodzić przestał, czyścił sobie dziobek do wieczornych pieśni, a raszka, dumnie siedząc na żerdzi od płotu, przecierała gardziółko, nakarmiwszy pisklęta, trzecią już w tym roku rodziłą! Nietoperze czekały, by się więcej jeszcze ściemniło, ale ogromny jelonek, wychyliwszy się z bluszczu, spuszczał się prostopadłe ku ziemi, kołyszając rozłożyste swe rogi.

Wszystkie te rzeczy odbijały się w sercu Mabel i przejmowały ją smutkiem ucząc razem, nie zatapiać się w smutku zbyt wiele. Wszystko, co wkoło siebie widziała, dobrém było i wielkiem, i od tysiąca lat niezmiennie trwającém. Gdy raszka żyć przestanie, a drozda ktoś zastrzeli, dosyć jeszcze drozdów i raszek po nich nastąpi; kiedy spadnie liść, dziś w słońcu połyskujący, na gałęzi okażą się pąki, przyszłoroczny liść zapowiadające; nawet gdy drzewami miotać zacznie burza zimowa i wichur do ziemi je zegn timer, znajdą się wśród nich drzewka młode i radośnie do słońca wybiegną, a zatem tego światła, co, mimo ciągłych przemian, zawsze jednaki, nie obciążaj, Mabel, swym bólem!

Wprawdzie nie rozumowała tak Mabel, a nawet wcale o tém wszystkiem nie myślała. Od czasu do czasu spoglądała wkoło siebie i nasłuchiwała tententu ojcowskiego wierzchowca, a głębokie rozradowanie letniej nocy wlewało z walną w jej serce łagodną cierpliwość. Dotąd jeszcze nie czuła się ona pokrzywdzoną, nie przychodziła jej na myśl zmienność, ani też posądzenie o zdradzeniu miłości. Hilary zawsze był dla niej jeszcze ideałem bohatera, rycerzem o nieskażonej tarczy, Bayardem romansu jej życia. Teraz jednak leżał ranny w barbarzyńskim kraju, nie żył już może, a nie miał przy sobie niko-

go, kto-by go w grób złożył z miłością. Zaszumiały liście na starym dębie, królik przemknął, położywszy po sobie uszy, łasica chyłkiem wyrzwała z pod korzenia, a delikatne gardziołko dziewczęcia ścisnęło się obawą, złemi prognostykami wzbudzoną, nie miała bowiem odwagi Alicyi Lorraine.

Pomimo szeptu nocnego wiatru (w Lipcu tylko tak szepeącego), który tu i owdzie podnosił na drzewach liście, zbyt grube, by niemi mógł pomiatać, pomimo dreszczu, który wstrząsał pnąciami się roślinami i odbierał im nadzieję, że kiedyś wreszcie zasną spokojnie, pomimo wyrwania się wszech rzeczy na najswobodniejszą ze wszystkich swobodę, najgłębszą głębią spoczynku, Mabel, w tém wszystkiém zasłuchana, usłyszała jednak tentent koni, donośnie rozbrzmiewający na pagórku, któredy prowadziła droga. Była chwila, że szalona jakaś nadzieja błysła jój w myśli, oparła się więc o wrota, przez płot wiodące, i rada-by była przez nie przeskoczyć. Czuła, że nie jest zdolną spotkać się z nim! Przybywał wreszcie, razem z ojcem do niej przybywał! A tu ona nie ma nic porządnego do włożenia na siebie, on zaś musiał się w Hiszpanii tylu panien napatrzeć! Ach! jaki niedobry, że tak przybywa, tak ją schodzi niespodzianie! A może się w końcu pokaże, że to o nią, nie o jój ubranie, dba on przedewszystkiém! Lepiej jednak puścić go do domu... ona tu cichutko w bramie postoi, a potem cichutko do domu się wsunie, włoży inną sukienkę, tę samą, która mu się tak w lecie podobała, a chociaż trochę za luźno na niej leży, on domyśli się z łatwością, kto był tego zeszcuplenia figurki przyczyną

— Co! Mabel, Mab, sama jedna aż tutaj! i chowasz się przed własnym bratem?!

Grzegorz zeskoczył z konia, w pół ją pochwycił i, przy tém nawet znikającym już pół-świecie, przeląkł się, gdy na niego spojrziała; ale ona rzuciła mu się na szyję, okrywając go pocałunkami. Jakkolwiek boleśnie zawiodła się w oczekiwaniach, jednak i to coś znaczyło, że ma znowu brata z powrotem, brata, od tak dawna niewidzianego, który przynosi może jakie o Hilarym wieści. Czuł Grzegorz, że twarz jój cała jest od łez wilgotna, czuł, jak drży cała, jak szczupło teraz wygląda, i w jednej chwili zrozumiał, co to wszystko znaczy; a w ucziwém sercu jego podniosło się coś, co mogło-by wyrazić się grubém przekleństwem, gdyby nad niem nie przeważył smutek, który on, jako mężczyzna, musiał pokonać i utaić.

— Pójdę z tobą piechotą, siostrzyczko, i poprowadzę konia; albo może ojciec będzie tak dobry, weźmie uzdę i powie matce, że zaraz

przyjdziemy. Mabel taka konténta, że mnie widzi, iż musi się mną nacieszyć.

— Bóg z wami, dzieci! — rzekł gospodarz — co wy macie zawsze z sobą do gadania. I dopiero jesteście kontenci, kiedy wam się uda zachować wszystko w tajemnicy przed rodzicami.

Pozrządziwszy tak trochę, odjechał, wzięwszy za uzdę konia Grzegorza i na zakręcie jeszcze głośno zawołał na dzieci: „A nie zagadajcie się zbyt długo, dzieci! ledwie przetrąciłem coś dzisiaj i nie mam ochoty psuć sobie dla was kolacyi.

Grzegorz uważał to za zły znak, że Mabel nie odpowiedziała ojcowi zarcikiem, jak to zawsze czynić przywykła; lecz, nic nie mówiąc, objął ją w pół silném ramieniem i w milczeniu prowadził do domu. Ona jednak z dotknięcia jego i kroku wymiarkowała już, że dobrych wieści nie przywozi.

— O, Grzegorzul co to wszystko znaczy? — zawołała, opierając mu rękę na ramieniu i patrząc na niego usilnie błagającemi oczyma. — Musisz mieć w końcu jakieś do mnie poselstwo... tak dawno nie od niego nie miałam! On taki dobry, nigdy-by mnie nie zostawiał tak długo bez wiadomości o sobie, gdyby... gdyby nie...

— Ranny jest, jak wiesz, jakże może pisać? — nie bez ironii spytał Grzegorz. — Dopóki nie został raunny, ileż razy przynosiłem ci w poselstwie pięćdziesiąt tysięcy pocałunków?

— O! ja nie o tém myślałam, chociaż i to było bardzo ładnie ze strony Hilarego. Nie potrzebujesz się śmiać, Grzegorzu, tak jak gdybyś nie był taki sam dla Filis. Ale powiedz mi, co słyszałeś, bracie, drogi? wszystko łatwiej zniosę od niepewności.

— Czyś tego pewna, Mabel kochana? Czy potrafisz się przygotować na bardzo... bardzo złe wiadomości?

— Nie byłam dotąd przyzwyczajoną do nich, Grzegorzu... zawsze taka byłam szczęśliwa. Czy umarł? Powiedz tylko, że nie umarł?

— Nie, nie umarł. Usiądź-no na chwilę pod tą starą brzozą, a ja ci przyniosę trochę wody.

— Nie mogę usiąść, póki się nie dowiem wszystkiego. Jeżeli nie umarł, to pewno umiera z ran. O! mój drogi, mój najdroższy Hilary!

— Nie umiera, jest dużo zdrowszy, i niezadługo już wróci do półku.

— Więc dlaczego mnie tak bez przyczyny przestraszasz? Och! jak to okrutnie z twojej strony! Naprawdę myślałam, że zemdleję, co mi się jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło. Przywozisz mi najle-

psze w świecie wiadomości i psujesz mi je takim sposobem opowiadania o nich.

— Nie zapalaj się tak, kochanie. Chciał-bym, żeby to było wszystko, co ci mam do powiedzenia. Ale ty masz dużo miłości własnej, nie prawdaż?

— Ja... ja nie wiem sama, ale przypuszczam, że jestem taka sama, jak inne dziewczęta.

— Gdybyś przypuszczała, że Lorraine jest ciebie niegodzien, mam nadzieję, że potrafiła-bys go zapomnieć?

— Nigdy-bym tego nie zrobiła, bo nigdy nie uwierzę temu o Hilarym, który we wszystkiém ode mnie jest lepszy. W przekonaniu, że ja jego niegodna, potrafiła-bym może wyrzec się go... ale zapomnieć go... nie potrafię nigdy!

— Nawet gdyby on ciebie zapomniał?

— Nie zapomni — dumnie odpowiedziała — obiecał, że nigdy mnie nie zapomni... Żaden gentleman nie łamie obietnicy!

— A zatém Hilary Lorraine nie jest gentlemanem. Zapomniał o tobie i zakochał się w jakiejs wielkiej pani w Hiszpanii.

Jakkolwiek dobrym i kochającym był bratem Hilary, jednak, oburzeniem uniesiony, zbyt prędko złe wieści wypowiedział. Mabel smutnie tylko spojrzała na niego; cios trafił ją w samo serce, tak, że słowa przemówić nie mogła. Ale pierwsza fala całego morza łez zadrgała pod jej powiekami.

— No, chodź teraz na kolacyą, chodź kochanie — szepnął Grzegorz, przerażony milczącym smutku wybuchem — jeżeli nie siądziesz do stołu, wszystko pójdzie do góry nogami i wszystkim będzie, Bóg wie, jak...

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się, chcąc dowieść, że obowiązek swój pojmuje; poczem, sama nie wiedząc, co czyni, przycisnęła prawą rękę do serca, oparła się o sztachety, i rzuciła się w potok płaczu, którego wstydzić się nie myślała. W tej chwili była tylko małym dziecięciem, któremu serce pęka od zmartwienia, a głośne jęk łkanie rozlegało się wśród wysokich płotów, drożynę oceniających.

— No, zamknij szluzę — odezwał się Grzegorz, wytrzymawszy tak długo, jak tylko męczyzna widok łez wytrzymać może. — Cóż ci z tego przyjdzie? No, Mabel, Mabel, myślałem, że jesteś rozsądniejszą. Może to jeszcze nieprawda!

— Nie, to prawda; ja to przeczuwałam oddawna. Nie był-bys

mi powiedział, gdyby to było nieprawdą. To wyszło od jakiejś osoby straszliwie podłej i nieczestnej, która go na każdym kroku szpieguje.

— Słuchaj, Mabel, nie poznaję ciebie, nigdy nie wymyślałaś nikomu... Nikt wcale nie szpieguje Hilarego, nie zdaje mi się, żeby był tego wart! Wiadomo jest tylko w pułku (a wiem to z jak najlepszego źródła) że on... że on...

— Że robi, co? I to jest twoje „najlepsze źródło”? Zaczynam śmiać się z tego wszystkiego!

— Śmiej się, droga Mabel, śmiej, chciał-bym, żebyś się śmiała... To najlepszy sposób zapatrywania się na takie rzeczy.

— Może dla was, wielkich ludzi! Wy myślicie, że i kobiety to potrafią, a tu niema... niema się z czego śmiać. Nie zdaje mi się, Grzegorzu, żebyś powinien namawiać mnie do śmiechu... *Najlepsze źródło* — powiadasz? Jest-że tu śmiać się z czego?

— Ha! może... może to nie było najlepsze źródło. Mówili to bowiem dwaj oficerowie z jego pułku, znajomi mego przyjaciela, którzy ode mnie dwa pokoiki odnajmuje.

— Jakiś pan, dwa pokoiki odnajmujący, pozwala sobie obmawiać Hilarego, który się pierwszy wdarł na mury, no, proszę! I dwóch oficerów z pułku! Ach, Grzegorzu, doprawdy myślałam, że masz więcej rozsądku!

— Ależ, Mabel, zdaje mi się, że oni właśnie wiedzieć mogą prawdę... Czy wołała-byś, żeby to byli oficerowie z innego pułku?

— O! nie, owszem bardzo jestem rada, że są z pułku Hilarego, bo to właśnie najlepszy dowód, że kłamią. W całym jego pułku niema ani jednego oficera, który-by mu nie zazdrościł tyłu świetnych czynów wojennych. Jaki ty musisz być tępy, żeby się tego nie domyślić! Chyba ja będę bywała zamiast ciebie na posiedzeniach sądowych? No, jakże ja się spłakałam, Bóg wie czego!

— Mabel, szlachetna z ciebie dziewczyna, i mojem zdaniem warta jesteś najszlachetniejszego z kochanków.

— I mam go — uśmiechając się, odparła Mabel — i nie dam go nikomu. I nie uwierzę niczemu, co na niego mówić będą, dopóki mi sam nie powie, że to prawda. Czy myślisz, że był-by nie napisał do mnie, chociaż-by lewą ręką, żeby mi powiedzieć: „Mabel, znudziłaś mi się; Mabel, widziałem dziewczęta ładniejsze i równe mi urodzeniem; Mabel, musisz się starać zapomnieć mnie”. Jak to robi, wtedy płakać będę naprawdę, i wtedy nie będzie już Mabel!



— Chodź-że na kolacyą, pieszczoszko — zaproponował Grzegorz. I poszła na kolacyą z oczyma, jak gwiazdy lśnącemi.

ROZDZIAŁ IV.

Niewinność.

W pobliżu jednego z głównych przejść, przez Sierry Moreny prowadzących, lecz z dala od kurzawy wojennego gościńca, znajdował się pański dworzec, poważny starożytnością, niewiadomo jak daleko sięgającą. Maurytańskie jego pochodzenie, przebijało się jeszcze tu i owdzie, wśród śladów hiszpańskiego, włoskiego i francuzkiego budownictwa, które pierwotną budowę przerabiały i powiększały. Gmach ten, z tylu różnolitych, z sobą niepasujących, części złożony, wyglądał-by dziwacznie, gdyby letnie słońce i zimowe burze nie wprowadziły pomiędzy nie harmonii. Teraz więc stary ten zamek hrabiów Zamora był wspaniałą i imponującą budowlą, ogromną na wysokość, zarówno jak i na rozległość.

Położenie dobrze także było wybrane, stał bowiem tak ów zamek, że od północy miał widok na przepyszną dolinę Guadiany, a od południa na równiny Gwadalkwiwiru. Gdy ranne mgły się rozproszyły, można było widzieć wieżycę Meridy i płaskowzgórza, nad miastem Badajoz górujące, podczas, gdy w dali z przeciwnej strony błyskały złożone krzyże Korduby, a czasem nawet, mimo odległości, wzrok chwycił promienie słoneczne, po-nad Sewillą igrające. Tutaj-to, w ostatnich już dniach Sierpnia 1812 roku, Hilary Lorraine przebywał, jako gość, którego życzenia były rozkazem, z wyjątkiem jednego tylko.

Lato było, nawet jak na południową Hiszpanią, niezwykle skwarne, i piąta część angielskiej armii znajdowała się podobno w szpitalu. Przyczyną tego mogło być po części zwyczajne jój pijaństwo i rabowanie; z którym nawet lord Wellington, jak sam oświadczył, do ładu trafić nie umiał. Do każdej dywizyi swojej armii przyłączył on dwudziestu *prevost-marshals*, ale i dwustu było-by za mało do punktualnego wieszania tych bohaterów. Patryotyczni zaś Hiszpanie także nie widzieli racyi, dlaczego-by nie mieli pozwolić sobie trochę wygody w swoim ojczystym kraju. Przebiegali go zatém w różnych kierunkach bandami, złożonemi z dzielnych, wojowniczo-usposobionych ichmościów, mających wielką do wszystkich dobrych rzeczy

skłonność) byli oni niesłychanie użyteczni Anglikom, nie tylko dlatego, że przejmowali listy Francuzów, ale i dlatego jeszcze, że żyli sobie wygodnie a bezpłatnie, skutkiem czego, Anglicy, czasami płacący, wyglądali przy nich, jak owieczki przy kózłach.

Jednym z najstraszniejszych tych Guerillasów, lub „Partidasów” (jak się sami nazywali) był głośny Mina, którego adjutantem i zastępcą był człowiek wysokiego urodzenia i świetnej niegdyś pozycyi, niejaki Don Alcyd d’Alcar, siostrzeniec hrabiego Zamory.

Człowiek ten stracił co do grosza ogromną ojcowiznę i niejednego szlachcica w pojedynku na tamten świat wyprawił, to też zaczynało się dla niego w kraju robić za gorąco w chwili najazdu Francuzów. Nieład, przez nich spowodowany, był najdogodniejszą dla niego rzeczą, zebrał więc niewielką bandę różnych podejrzanych osobistości i puścił się na rozboje w górach. Z początku dość mu było łupić bezbronnych i eskorty pozbawionych cudzoziemców; ale w miarę, jak mu się wiodło, jak wzrastał w siły, wyższe zakreślał sobie cele. Tak więc z roku na rok, on i jego ludzie, doskonalili się w rabunku, a mając do tego upoważnienie od Junty i poparcie angielskich generałów, byli na wielką skalę plagą swojej ojczyzny, a nierównie mniejszą Francuzów.

Hilary wiele słyszał od Kamilli o Alcydzie d’Alcar, ale Klaudya nigdy o nim nie mówiła, oblewając się tylko rumieńcem dumy, gdy kto wspomniał nazwisko patrioty. Kamilla mówiła, że był to człowiek nadzwyczajnego wzrostu i męstwa, dość wielki, aby każdego przestraszyć, a za wielki, żeby się jęj podobać. To mówiąc, słodko spojrzała na Hilarego i spuściła oczy, chcąc mu dać przez to poznać, że on jest właśnie takiego wzrostu, który się jęj podoba, jeżeli mu co na tęg wiadomości zależy. Jemu nie a nie na tęg nie zależało; ciekaw był jednak słyszeć o Alcydzie.

— O! jeżeli tak, to pytaj pan lepiej Klaudy! — odparła Kamilla z siostrzanem spojrzeniem, pełnem subtelного znaczenia, ale Klaudya przeszła obok nich z dumą królowej i na oboje z pogardą spojrziała.

Niebawem zwycięstwo pod Salamanką i jego tam nieobecność, a potem tryumfalne wejście Anglików do Madrytu (choć ich wprzódce znowu ztamtąd wyproszono) zaczęły zaprzętać umysł Hilarego i budzić w nim gwałtowną chęć połączenia się z pułkiem. Przed trzema już tygodniami złożono o nim raport, że wrócić może, i gotów był natychmiast wyruszyć, ale Hiszpanki pełno mają subtelnych czarów i Kamilla potrafiła go nie puścić. Sędziwy, dwa lustry liczący

kogut, został zabity gdzieś opodal od domu, a stara Teresa ukradkiem wsunęła się w nocy do pokoju i oto nazajutrz rano pokazało się, że rany pacyenta znowu się otworzyły. Hilary wprawdzie zadziwił się, ale nie mógł wątpić o świadectwie własnych oczu; ani też wątpić mógł licencyat medycyny, obecnie nad zdrowiem jego czuwający.

Lecz teraz, wieczornym oddychając wietrzykiem, co od Atlantyku w głąb kraju pociągał, po raz ostatni przechadzał się Hilary po ogrodach Monte Argento. O trzeciej rano ruszyć miał w drogę do głównej kwatery, końmi, których mu dostarczał pan domu. Hrabia znany był ogólnie za szlachcica miłującego kraj, rozumnego i razem bogatego; obaj jego synowie mężnie walczyli w hiszpańskiej armii, i za jego-to wpływem pozostawiono Hilarego opiece gościnności, zamiast opiece szpitalów, które oddawna przepełnione już były chorymi. Ale major Clumps oddawna już wrócił do służby, z mocno zranioném sercem, usłyszawszy od Donny Kamilli, że „w istocie lubi go bardzo, ale nigdy nie potrafi go pokochać”. Bystrém okiem zazdrości wysledził major, że Hilary jest tego przyczyną, i nie mógł się na to zdobyć, by w listach, do kraju pisanych, imię jego wspomnieć; nieprędko też uczynić to potrafił.

Wśród ciszy tego letniego wieczoru, gdy lekkie, upał zapowiadające, obłoczki na wschód pędziły, a szmer orzeźwiającego wietrzyka łagodnie się przymilał przeciążonemu skwarem powietrzu, Lorraine wszedł do małego ciennika, lub raczej do naturalnej groty z głązów liściem obrosłych, gdzie (jak wiedział) obie piękne siostry lubiły przyglądać się, jak cienie wieczorne wieszają się po wzgórzach i rozścielają po dolinach, zanim szybko nadchodzący zmierzch zapadnie. Było tu coś takiego, co mu często przywodziło na myśl rodzinne góry Southdown'u, choć roślinność była tu zupełnie inną. Zamiast ciemnej, połyskliwej zieleni buku, zamiast srebrzystego drżenia osiki, zamiast wdzięcznie spuszczonej pióropuszy brzozy, miał tylko przed sobą monotonnie okrągłe oliwne i cytrynowe drzewa, ciemną rozłożystość dębu i sterczące korkowych drzew konary, tu i owdzie wprawdzie urozmaicone symetrycznością jodeł, lub wytworzeni palm wachlarzami. Ale co uderzało Hilarego i co go zawsze pod tym południowém niebem, w obec drzew południowych, korciło, to ostro odcinający się na widnokregu zarys drzew, pozbawionych tej drżącej łagodności, tej słodko chwiejącej się zmienności kształtów, która tyle powabu drzewom północy dodaje i kochać je zniewała.

Na nieszczęście w Hilarym nie pozostało teraz, ani miłości, ani

podziwu dla niewinnéj dzieł przyrody piękności. Miłość jego dla Klaudyi, stawiała się coraz to gwałtowniejszą i wszystko pochłaniającą namiętnością, burzą straszną, która zdruzgotała i rozproszyła wszystko, co najlepszego w nim było. Przestał być wesołym i we wszystkiém dobrą upatrywać stronę, przestał lubić uśmiechy dzieci, rozumieć niewinne żarciki i odpowiadać na nie. Przestał nawet rozmawiać sam z sobą, jakby własne jego sumienie ostrzegało go, że nie wart jest, by do niego mówiono. Wszystkie godziny, których w nieobecności swéj czarodziejki snem nie zapełnił, przepędzał na uczeniu się hiszpańskiego języka, pogardzać nawet zaczął ojczystą mową angielską.

— Niema w niej melodyi, niema rytmu, niema dźwięków, wspaniale brzmiących — niejednokrotnie ubolewał — podobna jest do swoich właścicieli: twarda, nieokrzesa, parafianka.

Cóż tedy pozostawało innego, jak litować się nad stanem jego umysłu?

Czy Klaudya odwzajemniała tę namiętność, — bo namiętność to była raczéj, niż prawdziwe uczucie, — dotąd było rzeczą wątpliwą, choć ze wszystkiego na świecie najważniejszą. Najczęściej zdawała się traktować go z uprzejmém lekceważeniem, jak gdyby był miłym chłopaczkiem, chociaż o kilka lat starszy był od niej. Ogniste ciemne jéj oczy taką miały głębokość, że choć wcale nie skąpiła drogocennych swych spojrzeń, nigdy jednak nie potrafił Hilary dojrzeć wewnętrznych blasków, które prosto, z głębi serca strzelają. Jakże innym był... *ktoś*, o kim teraz coraz mniej myślał i daremnie usiłował nie myśleć wcale, bo na myśl samę, rumieniec watydu go palił! Ale jeżeli hiszpańska ta dziewczica, w istocie nie dbała o niego, dla czegoż usiłowała (co było wyraźném i niewątpliwém) podbić go i ujarzmić? Dlaczego ciskała na niego takimi błyskawicami, jakie z Hiszpanki tylko oczu strzelać mogą? dlaczego tak łagodnie ugiwała wdzięczną szyjkę? dla czego tak pochylała drobną główkę, pokazując jedrny, pełny owal policzków? dlaczego, niedbale się pochylając, pozwalała kruczym swoim włosom muskać włosy młodzieńca? Hilary nie mógł pojąć dlaczego; ale biedna Kamilla wybornie to wiedziała. Jeżeli kiedy zdarzyło się Kamilli uczuć pociąg chwilowy do kogo, natychmiast Klaudya (śmielsza, więcéj uderzająca pięknoscią i mniej o godność własną, a więcéj o tryumfy dbająca) z pewnością całą jego uwagę na siebie zwracała.

Hilary zastał obie urocze siostry w owéj małej grocie z głązów, gdzie gorący wiatr rzadko mógł się dostać przez frendzlę zwieszo-

kogut, został zabity gdzieś opodal od domu, a stara Teresa ukradkiem wysunęła się w nocy do pokoju i oto nazajutrz rano pokazało się, że rany pacjenta znowu się otworzyły. Hilary wprawdzie zadziwił się, ale nie mógł wątpić o świadectwie własnych oczu; ani też wątpić mógł licencyat medycyny, obecnie nad zdrowiem jego czuwający.

Lecz teraz, wieczornym oddychając wietrzykiem, co od Atlantyku w głąb kraju pociągał, po raz ostatni przechadzał się Hilary po ogrodach Monte Argento. O trzeciej rano ruszyć miał w drogę do głównej kwatery, kołmi, których mu dostarczał pan domu. Hrabia znany był ogólnie za szlachcica miłującego kraj, rozumnego i razem bogatego; obaj jego synowie mężnie walczyli w hiszpańskiej armii, i za jego-to wpływem pozostawiono Hilarego opiece gościnności, zamiast opiece szpitalów, które oddawna przepełnione już były chorymi. Ale major Clumps oddawna już wrócił do służby, z mocno zranioném sercem, usłyszawszy od Donny Kamilli, że „w istocie lubi go bardzo, ale nigdy nie potrafi go pokochać”. Bystrém okiem zazdrości wysledził major, że Hilary jest tego przyczyną, i nie mógł się na to zdobyć, by w listach, do kraju pisanych, imię jego wspomnieć; nieprędko też uczynić to potrafił.

Wśród ciszy tego letniego wieczoru, gdy lekkie, upał zapowiadające, obłoczki na wschód pędziły, a szmer orzeźwiającego wietrzyka łagodnie się przymiłał przeciążonemu skwarem powietrzu, Lorraine wszedł do małego ciennika, lub raczej do naturalnej groty z glazów liściem obrosłych, gdzie (jak wiedział) obie piękne siostry lubiły przyglądać się, jak cienie wieczorne wieszają się po wzgórzach i rozścielają po delinach, zanim szybko nadchodzący zmierzch zapadnie. Było tu coś takiego, co mu często przywodziło na myśl rodzinne góry Southdown'u, choć roślinność była tu zupełnie inną. Zamiast ciemnej, połyskliwej zieleni buku, zamiast srebrzystego drżenia osiki, zamiast wdzięcznie spuszczonej pióropuszy brzozy, miał tylko przed sobą monotennie okrągłe oliwne i cytrynowe drzewa, ciemną rozłożystość dębu i sterczące korkowych drzew konary, tu i owdzie wprawdzie urozmaicone symetrycznością jodeł, lub wytworzeni palm wachlarzami. Ale co uderzało Hilarego i co go zawsze pod tém południowém niebem, w obec drzew południowych, korać, to ostro odcinający się na widnokregu zarys drzew, pozbawionych tej drżącej łagodności, tej słodko chwiejącej się zmienności kształtów, która tyle powabu drzewom północy dodaje i kochać je zniewala.

Na nieszczęście w Hilarym nie pozostało teraz, ani miłości, ani

podziwu dla niewinnej dzieł przyrody piękności. Miłość jego dla Klaudy, stawała się coraz to gwałtowniejszą i wszystko pochłaniającą namiętnością, burzą straszną, która zdruzgotała i rozproszyła wszystko, co najlepszego w nim było. Przestał być wesołym i we wszystkiém dobrą upatrywać stronę, przestał lubić uśmiechy dzieci, rozumieć niewinne żarciki i odpowiadać na nie. Przestał nawet rozmawiać sam z sobą, jakby własne jego sumienie ostrzegało go, że nie wart jest, by do niego mówiono. Wszystkie godziny, których w nieobecności swój czarodziejki snem nie zapełnił, przepędzał na uczeniu się hiszpańskiego języka, pogardzać nawet zaczął ojczyzną mową angielską.

— Niema w niej melodyi, niema rytmu, niema dźwięków, wspaniale brzmiących — niejednokrotnie ubolewał — podobna jest do swoich właścicieli: twarda, nieokrzesa, parafianka.

Cóż tedy pozostawało innego, jak litować się nad stanem jego umysłu?

Czy Klaudia odwzajemniała tę namiętność, — bo namiętność to była raczej, niż prawdziwe uczucie, — dotąd było rzeczą wątpliwą, choć ze wszystkiego na świecie najważniejszą. Najczęściej zdawała się traktować go z uprzejmém lekceważeniem, jak gdyby był miłym chłopaczkiem, chociaż o kilka lat starszy był od niej. Ogniste ciemne jej oczy taką miały głębokość, że choć wcale nie skąpiła drogoceńnych swych spojrzeń, nigdy jednak nie potrafił Hilary dojrzeć wewnętrznych blasków, które prosto, z głębi serca strzelają. Jakże innym był... *ktoś*, o kim teraz coraz mniej myślał i daremnie usiłował nie myśleć wcale, bo na myśl samę, rumieniec wstydu go palił! Ale jeżeli hiszpańska ta dziewczica, w istocie nie dbała o niego, dla czegoż usiłowała (co było wyraźném i niewątpliwém) podbić go i ujarzmić? Dlaczego ciskała na niego takimi błyskawicami, jakie z Hiszpanki tylko oczu strzelać mogą? dlaczego tak łagodnie ugiwała wdzięczną szyjkę? dla czego tak pochylała drobną główkę, pokazując jędrny, pełny owal policzków? dlaczego, niedbale się pochylając, pozwalała kruczym swoim włosom muskać włosy młodzieńca? Hilary nie mógł pojąć dlaczego; ale biedna Kamilla wybornie to wiedziała. Jeżeli kiedy zdarzyło się Kamilli uczuć pociąg chwilowy do kogo, natychmiast Klaudia (śmielsza, więcej uderzająca pięknoscią i mniej o godność własną, a więcej o tryumfy dbająca) z pewnością całą jego uwagę na siebie zwracała.

Hilary zastał obie urocze siostry w owej małej grocie z głazów, gdzie gorący wiatr rzadko mógł się dostać przez frendzlę zwieszo-

nych paproci. Miały one zręczny sposób witania, powiewów od Atlantyku za pomocą jedwabnego sznura, który podnosił całą tę zasłone poproci i skalnych bluszczy.

Teraz zasłona ta podniesioną była i wietrzyk swobodnie wpadał do środka, jakby biegnąc na spotkanie szemrzącego tam strumyka (który w żywej skale miał źródło swoje) a pomrokę groty rozświecały postacie, jak poezya promieniejące. Piękna główka Kamilli spoczywała na łonie siostry, jak-by chciała u niej miłosierdzie, lub po-błażanie wybłagać. Klaudya też wzruszoną być musiała, jak o tém świadczyły łzami lśniące jeszcze rzęsy i rzewność jakaś w twarzy rozlana, jedna jedyna rzecz, której świetnej téj piękności niedostawało. I wtedy-to, nie namysławiając się dłużej, podeszła ku Hilaremu, rzucając mu długie i słodkie spojrzenie, któremu towarzyszyło westchnienie, leciutkie wprawdzie, ale nawet od tego spojrzenia młodzieńcowi droższe.

— Niestety, drogi kapitanie — odezwała się po hiszpańsku, którą to mowę jako tako rozumiał już teraz Hilary — ubolewałyśmy nad blizkim już wyjazdem pańskim. Jak my żyć będziemy, stracimy pana?

— Myśl, że pani się o to pyta, utrzyma mnie właśnie przy życiu!

— Dobrześ pan rzekł — zawołała — pokazuje się, że Anglicy nie tak znowu bardzo ograniczeni! Czemu nie klaszczesz w ręce, Kamillo?

Kamilla, rozkaz taki otrzymawszy, spróbowała w drobne dłonie uderzyć, ale serce miała tak ciężkie, że brakło jój ochoty do wesołego zetknięcia powietrza z ciałem.

— Wierzę, panie kapitanie — rzekła Klaudya, z niedbałym wdziękiem rzucając się na proste z mchu siedzenie — że pan rad będzieś wyrwać się wreszcie z téj długiej i nudnej niewoli. Jakże bowiem mało zrobiliśmy dla pana po tém wszystkiém, czegoś pan dla nas dokazał!

— Ach! prawda — westchnęła Kamilla, smutnie spoglądając na „kapitana”, który wcale na nią patrzeć nie chciał — prawda, żeśmy mało bardzo zrobiły. Ale wierzaj nam pan, żeśmy robiły, co mogły.

— Dobroć państwa dla mnie była zawdzięczająca! — zawołał Hilary. — Dni, które spędziłem pod przychylną waszą opieką, były najszczęśliwszemi w mém życiu!

Słyszając to, Kamilla, odwróciła się trochę, by ukryć łzawe rozrze-

wnienie; ale Klaudya nie miała nic do pokazania, uśmieszek tylko ukryć chciała.

— Przyjedziesz-że pan do nas kiedy? — pytała — wspomnisz-że nas kiedy, wśród gwaru śmiertelnych bitew i upojen sławy?

— Mógłże-bym zapomnieć? — pytał Hilary najpiękniejszą swoją hiszpańszczyzną — ciągłych waszych starań o biednym cudzoziemcu, niestrudzonej nad nim opieki i tego przedewszystkiem, że ty, pani, ty, ocaliłaś mi życie? Tobie je zawdzięczam i tobie w każdej chwili gotów jestem je oddać.

Tego było za wiele dla Kamilli, bo ona-to ocaliła go istotnie, a za młodą jeszcze była, by wiedzieć, że rzadko odbiera pochwały ten, kto na nie zasłużył, zaczęła się więc mieć ku odejściu.

— Klaudyo najdroższa — zawołała — nie nie mogę robić bez srebrnej mojej iglicy; ta stalowa tak zardzewiała, że mi całą robotę plami. Wiész przecie, jak szkodliwem jest zardzewiałe żelazo, nie prawdaż?

— Kamilla jest w złym humorze — zauważyła Klaudya, gdy siostra z łagodną powagą opuściła grootę — ciekawam, co ją dziś w zły humor wprowadziło?

— Wszyscy święci, łaskawi dziś na mnie — odparł Hillary, nie domyślając się wcale prawdy — dają mi sposobność powiedzenia panu tego, co oddawna powiedzieć pragnęłam.

— Jakto? mnie? — zawołała dziewczica, błyskając drżącym światłem podłużnych czarnych oczu i oblewając się bozkim rumieńcem, przyczem szczerza ta natura nie uważała za potrzebne tłumie westchnienia. — To chyba nie mnie, Senhor!

— Owszem, tobie, pani, tobie jedynéj na świecie, jedynéj na niebie, jedynéj wśród aniołów! — I zapalczywy młodzieniec upadł na kolana przed pięknem swego bożyszczem i pochwycił rękę, którą Klaudya przyciskać zaczynała mocno bijące serce i, pociągając ją całą ku sobie, sądził przez chwilę, że ona chętnie podaje się w jego objęcia. Wśród tych zachwytych odgarnął z jej czoła rozrzucone i rozkosznie pachnące włosy, i z najwyższém serca natężeniem, czekał na to nieocenione spojrzenie, które *wszystko* powiedzieć mu miało. Ale jakkolwiek silnie bezwątpienia wzruszona namiętne słowy jego i uściskiem, i współczuciem, jakie młodość ma zawsze dla miłości, nie podniosła jednak spuszczonej powiek, jak-by się lękała, aby w nich zwycięstwa swego nie wyczytała. I nawet, gdy Hilary chciał ją mieć coraz bliżej i coraz gorętszym obejmował ją uściskiem, leciutko wyśliznęła mu się z objęć i trochę odwróciła twarzyczkę, pozwalając mu

jednak usłyszeć eichutkie łkanie i ujrzyć łzy, których już powstrzymać nie mogła.

— O! najpiękniejsza z pomiędzy pięknych—zaczął znów Lorraine wcale przyzwoitą hiszpańską mową (taką wreszcie; jakiej sama go nauczyła) o! ty, najlepsza razem i najdroższa...

— Przestań, Senhor — szepnęła smutnie niby, a razem figlarnie poglądając na tego jeńca swoich oczu i niewolnika ust swoich — nie mogę panu pozwolić za dużo powiedzieć. Jedziesz pan jutro i niebawem o wszystkiem zapomnisz, na cóż więc przydać się może sen przelotny?

Na te słowa młody wojownik odpowiadał zwykłemi zapewnieniami szczerości, wierności i wiecznotrwałej pamięci, a tak się śpieszył i zapalił, że w innym języku płynęły mu z ust dzisiaj te same słowa, któremi przed rokiem ledwie wypowiadał miłość czystsza, szczerzą i o wiele szlachetniejszą.

— Niestety! — jęknęła młoda Donna, głosem i postawą naśladowując nieszczęsną jakąś opuszczoną kochankę — do iluż to ślicznych dziewic angielskich używałeś już pan tych słów! O! wy mężczyźni, wszyscyście jednacy! Teraz nic ci już więcej nie powiem, dzielny kapitanie; dowód prawdy nie leży w słowach, ale w czynach szczerości i poświęcenia. Znasz pan nasze przysłowie: „korek jest najgłośniejszy, gdy się z butelką rozstaje”. Jeżeli pan chcesz, abym cię zachowała w pamięci, musisz mi dać dowód, że mnie nie zapomnisz.

— Kosztem życia, kosztem dobrej sławy mojej, wszystkiego, co mam i co mieć będę, kosztem wszystkiego, prócz nadziei posiadania ciebie.

— Pamiętać będę te słowa, kapitanie, i może kiedy szczerość ich wystawię na próbę. — Pozwoliła mu wziąć delikatną i drzącą rączkę, którą on do ust swoich przycisnął, i ust jej szukając, chciał pieczęć miłości przyłożyć, ale cefnęła się, mówiąc:

— Nie jeszcze, nie jeszcze, o! ukochany! — Może powiedziała: o! zakochany! tego nie był pewny Hilary, bo zanim zdołał co więcej powiedzieć lub uczynić, wymknęła mu się i szybko przesunęła pod liściastą zasłoną téj altany, wspomnieniami teraz uświęconej. — „Moja jest, moja!” — wołał młody Lorraine, podnosząc aksamitkę, która z jej włosów wypadła i okrywając ją pocałunkami, poczem téż same względy okazał owemu siedzeniu, na którym postać jej spoczywała. „Najpiękniejsza pod słońcem istota jest moja! Czém-że mogłem na to szczęście zasłużyć?”

Podezas gdy on tonął w tryumfalnej extazie, „najpiękniejsza,

pod słońcem istota” szybko się przemykała skalistą ścieżynką, ocienioną mirtami i dereniem i pnąciami się roślinami, których gałęzie po-nad głową idącej nieprzebite tworzyły sklepienie. Biegnać tak krętą ścieżynką i często się oglądając, czy nikt za nią nie idzie, stanęła wreszcie u drzwi chatki, w cieniu drzew kasztanowych ukrytej. Drzwi stały otworem, a wewnątrz mężczyzna jakiś ogromnego wzrostu leżał na kanapie, za krótkiej dla niego, i palił cygaro, rozmiarów lepiej niż kanapa, do rozmiarów jego osoby zastosowanych. Tuż pod ręką leżącego stał ciężki karabin i miecz olbrzymiej długości, z drugiej zaś strony leżał wielki dzban, przewrócony i pusty.

Gdy krok młodej Donny uderzył słuch jego, mężczyzna zerwał się z miejsca i odciągnął kurek u karabina, ale natychmiast, rozpoznawszy chód zbliżającej się, karabin postawił na miejscu i nie dbała o drzwi się oparł.

— Przyszłaś wreszcie! — zawołał z niewątpliwym akcentem północnych prowincyi (nie wrodzonym mu wszakże, lecz od towarzyszy przejętym) myślałem, że mi dasz umrzeć z pragnienia. Zapominasz, że odwykł od tych przeklętych upałów.

Klaudia spojrzała w oczy kuzyna swego, Don Alcya d'Alcar (albo, jak sam się nazywać lubił „wielkiego brygadiera”) spojrzeniem całkiem inném od tych, które z takim trudem czasem u niego wyprosił Hilary. Wszystkie skarby jęj serca stały temu człowiekowi otworem. Dla niego tylko precudne jęj oczy nie igrały zwodniczymi blaski, nie ciskały iskier i błyskawic, lecz łagodnie i stale świeciły promieniem najgłębszej, niewyczerpanej miłości.

— Najdroższy — rzekła, wspierając się na paluszki i słodko gniew jego łagodząc — daremnie usiłowałam wcześniej przybiedz do ciebie. Polecenia twoje nie dają się prędko wypełnić... wy mężczyźni nie jesteście zdolni tego zrozumieć. A ta nieznośna Kamilla ciągle się obok mnie kręciła... myślałam, że już się nie doczekam swobodnej chwili. Ale wszystko dobrze poszło: on jest moim niewolnikiem na zawsze.

— Spodziewam się, że mu się nie pozwoliłaś pocałować? — ale zanim skończył gniewne to mruczenie, zamknęła mu usta i uspokoiła go zupełnie.

— Jak możesz przypuszczać coś podobnego? Jakiś nędzny, wygolony Anglik! — ale choć się tak bardzo oburzała, wiedziała jednak, jak niedaleko było od spełnienia tak oburzającego faktu.

— Jesteś równie rozumna, jak piękna — odparł brygadyer z zadowoleniem. — Ale ukochana moja, ja umieram z pragnienia. Skocz-

no szybko do zapasów Teresy, bo ja nie umiem się pokazać póki wi-
dno. Ach! żebyś to mogła tak osiedlać ojca, jak tych smyków, z któ-
rymi co chcesz, robisz!

Hrabia Zamora bowiem wydał był rozkazy, aby jego najdroższy
siostrzeniec został zastrzelony, gdyby się kiedy na jego gruncie po-
kazał. Klaudya wzięła więc próżny dzban, aby znowu przynieść wi-
na i żywności, a dopełniwszy tego obowiązku, zasiadła po raz ostatni
z zaślepionym Hilarym u ojcowskiego stołu. Życzyła mu dobrej no-
cy i szczęśliwej podróży, żegnając go znaczącem i pełném obietnic
spojrzeniem, a tymczasem piękna Kamilla schroniła się do swego
pokoju, z uczuciem próżni w sercu, a łzami w oczach.

ROZDZIAŁ V.

Dużo konnej jazdy i dużo czytania.

Za dawnych czasów, gdy ludzie więcej wazyli, nie tak dobrze ja-
dali, a twarde pędzili życie, gdy wojny nie uważano jeszcze za jedną
z umiejętności ściśłych, a żołnierz sypiał w każdą pogodę, nie tylko
bez koldry, ale nawet i bez namiotu nad głową, obowiązki różnych
oddziałów służby wojennej nie były tak ściśle odgraniczone, jak te-
raz. Porucznik Lorraine (bo panie własnowolnie dały mu awans,
nazywając go „dzielnym kapitanem”) niebawem po powrocie do pół-
ku, otrzymał nagrodę dzielnych swoich czynów wojennych. Dowiódł-
szy, że umie siedzieć na koniu, że dobrze widzi na znaczną odległość
i że nieźle mówi po hiszpańsku (dzięki dwom pięknym pannom), że
przycém posiada niejakié wykształcenie (którego teraz czarno na bia-
łym dowiedzie) został przeniesiony do sztabu, nie do sztabu swojej
dywizyi, ale do głównego sztabu, gdzie miał pozostawać pod bystrém
okiem „bohatera stu bitew”.

Jeżeli ocena współczesnych ma jakąkolwiek wagę dla człowieka,
światnością geniuszu nad poziom wyniesionego (a niezawodnie mieć
ją musi), tedy Żelazny Książę (Wellington) choć zawsze szczęściem
uwieńczony, (bo *szczęściem* nazywał każdy tryumf roztropności swojej
i nadziei) nieszczęśliwym był niewątpliwie co do dnia urodzin i wy-
boru swego zawodu. „Opatrzność nieskończenie mądra” (używa-
jąc frazesu Wesleyanów, którzy między odważnym swoim założycie-
lem, a znakomitym wodzem pewne powinowactwo upatrują) wydała
go bezwąt্পienia wtędy, gdy był nieodbitcie potrzebny, ale niemniej

tęż wtedy, gdy (choć ciągłemi zwycięztwami sławy sobie przysparzał) wyprzedzała go nieustannie sława o wiele więcej olbrzymia, bo daleko więcej krwiożercza. Wielkiemu bohaterowi Anglii nie zdarzyła się nigdy sposobność przejąć świat strachem, poćwiertowawszy go na części i pożerając jedną po drugiej; a ponieważ sława jest dziecięciem strachu, przez gwałt spłoszonem, przeto rozgłos Wellingtona nie mógł się nigdy równać z Napoleona sławą.

Jego wszakże mało to obchodziło, o tyle chyba, o ile przeszkadzało mu czasami w dokładnem wypełnieniu obowiązków. Obecnie na przykład obowiązkiem jego było oczyścić z Francuzów półwysep, i był-by to może zrobił trzy razy prędzej, gdyby rodzinny kraj jego okazał był należne zdolnościom jego zaufanie. Ale wielkość jego i opinia wzrastała powoli, jak drzewo, wieki trwać mające, i żaden może wódz nie odniósł tyłu zwycięztw, zanim w ojczyźnie jego przypuszczać zaczęto, że zwyciężkim być może.

Otóż wielki ten mąż mało był, a może nie był wcale niższym od potężnego swego współzawodnika, pod względem najważniejszej dla wodza zalety: znajomości materyału, z którym ma do czynienia. Uważał on sobie za obowiązek wiedzieć dokładnie, do czego który z jego oficerów był zdolnym, i podczas tyłu wojennych wypraw, rzadko mu się nie udało postawić „właściwego człowieka na właściwem miejscu”. Za pierwszym rzutem oka zobaczył, że porucznik Lorraine był mężnym i rycerskim młodzieńcem, skorym do czynu, po swojemu roztropnym, i że wykształciwszy go trochę, można z niego zrobić bardzo użytecznego w sztabie oficera. Tyłu zaś młodych adjutantów legło w ostatnich czasach na polu bitwy, albo na listę chorych weszło, że kwatermistrz generalny nie mało się ucieszył zdobyczą tak bystrą i gorliwą, jaką wkrótce okazał się Hilary. To też kilkakrotnie mu udzieliwszy tyczących się służby wskazówek, zasadził go do roboty z zaleceniem, by całemi siłami ćwiczył się w „potocznej mowie francuzkiej”.

Z tą już Lorraine, zdolnością do języków obdarzony, zaczynał się coraz lepiej zapoznawać; tém lepiej może, że teraz właśnie znajomość „epistolarnego stylu angielskiego” sprawiała mu bardzo mało przyjemności. Wszystkie bowiem piękne jego zasady i znaczne uczucia musiały doznawać silnego wstrząśnienia i niemniej silnego wstydu, gdy czytał trzy z kraju przybyłe listy, które go przed chwilą właśnie doszły a Valladolid. Pierwszy był od wuja Struana; w tym (odliczywszy, ile należało, na karb braku wszelkiej męskiej rozrywki i wszelkiego ruchu w Sierpniu) Hilary, sam może za wiele ruchu

mający, nie mógł nie znaleźć dużo serdeczności, jak zwykle. List ten brzmiał, jak następuje:

West-Lorraine, 20 Sierpnia, 1872.

„Kochany mój siostrzeńcze!

Od kilku już miesięcy, ojciec twój, ani ja, nie otrzymaliśmy od ciebie żadnego listu. Zdaje mi się, że nie jest to zgodne ani z obowiązkiem, ani z sercem twojem, chociaż byłeś ranny, o czém wieny, i co niepokój nasz wzmagą. Może jednak byłeś zanadto chory, by pisać, i tćm chciał-bym cię usprawiedliwić. Kto chce jednak co zrobić, zawsze sposób znajdzie. Kiedy jeszcze byłem w Oxfordzie, w całym uniwersytecie nikt może większego ode mnie nie czuł wstrętu do łacińskich, oryginalnych ćwiczćń), a jednak każdćj soboty, gdy szliśmy prosić o niedzielny urlop, miałem gotowe, porządnie napisane, dobrą łaciną ćwiczenie.

— (O! wuju, mój wuju! — zawołał Lorraine — tego już za wiele! Ileż razy słyszałem, jak się chwaliłś, że tyle a tyle płaciłś za wiersz ćwiczenia).

„Naturalnie, wymagać nie mogę — pisał dalej przeznacny proboszcz — aby dzisiejsi młodzi ludzie tak chćtnie wypełniali obowiązki sumienia, jak to za moich lat młodych bywało; ale leniwość to wazsze i niechćć do pióra *furc expellenda est*, inaczej mówiąc, widelcem i nożem wyrzucić trzeba. Nic cię może nie obchodzi wiadomość, że ciotka twoja i kuzynki mają się dobrze; po tylu świetnych czynach, wypadły ci pewno z pamięci, tak mało znaczące w kraju pozostawione osoby. Ponieważ w tym roku urodziny twoje wypadały w niedzielę, skorzystałem z tego, by w ciągu kazania wspomnieć coś o wieńcu *muralnym*, o którym pamiętam, że słyszałem coś w szkołach. Nikt nie wiedział o czćm mówię, ale wiele osób więcej było wzruszonych, niż gdyby rozumiały. Ale, mojem zdaniem, tyleż trzeba odwagi, a więcej jeszcze zrćczności, żeby przeskoczyć mur koniem, niż żeby się wędzić do Badajoz. Alicya pisze także do ciebie tą pocztą i opowie ci wszystkie nowinki, jeżeli są jakie w starym, smutnym waszym domu. Zdaje się, że teraz nikt już nie ma w sobie tyle życia, by do nowinek materiału dostarczyć. Nie słyszymy zresztą nic o nikim, prócz o kapitanie Chapmanie (który chce się żenić z Alicyą) i o tobie, Hilary.

„O tobie zaś mówią (choć ja wierzyć w to nie mogę, a wnet wstydzil-bym się za ciebie, gdybym uwierzyć musiał) że wykierowałeś się na głupca z jakąś Hiszpanką, damą wysokiego wprawdzie

urodzenia i stanowiska, ale Papistką, a zatém w bałwochwalstwie ztwardziałą. Lorraine'owie zawsze bywali smutnie nieprawowierni w kwestyach religijnych, od czasu do czasu przejmując się coraz to nowym bzikiem, na drodze napotkanym. Chwyтали się kolejno astrologii, mahometańskiego przeznaczenia, bogów Grecyi, wreszcie zdają się nigdy nie wiedzieć, kiedy im zatrzymać się trzeba. Jedyny zaś prawdziwy kościół, kościół Anglikański, zawsze mało wiernych miał w nas synów, a jeżeli ty jeszcze, Hilary, ożenisz się z Papistką, będzie to koniec świata!

„Ojciec twój może radować się będzie wszelkiemu zboczeniu umysłu i pojęć, które było-by zdolne odwieść cię od moich pojęć o honorze. Mieliliśmy z sobą małą rozmowę, w ciągu której (ponieważ używał wyrazów daleko dobitniejszych, niż-bym to mógł pochwalić) osmieliłem się przypomnieć mu, że od samego początku zarzucałem mu to, co nazywam zamiarem niskim, chęcią skorzystania z kapryśnego i zmiennego twego charakteru, by cię skłonić do niehonorowego postępuku. Biedny twój ojciec mocno był niezadowolony z téj prawdy, w żywe oczy wypowiedzianej, i tak się uniósł, używając tak niewłaściwych wyrazów, że uważałem, iż jako kapłanowi wypada mi jedynie pozostawić mu czas do rozważania swego postępowania. W następującą niedzielę wziąłem za temat trzeci rozdział Epistoły Świętego Jakóba, ale Alicya tylko siedziała w ławce waszój, widziałem jednak, że nieraz odwróciła twarz zawstydzoną, chociaż pewny jestem, że łez na twarzy téj nie było. Należy mieć nadzieję, że dokładnie powtórzyła Sir Rolandowi moję naukę, z której żaden ustęp (jakem to po nabożeństwie kochanej twojej ciotce objaśnił) nie dotyczył mego domowego kółka. Od owéj chwili nie miałem przyjemności spotkać Sir Rolanda w codziennych życia stosunkach.

„A teraz kilka słów jeszcze o twojem, Hilary, postępowaniu. Masz teraz tak złą pamięć, że zapomniałeś może, co zrobiłem dla ciebie. W chwili, kiedy rodzina moja i parafia jak najwięcej starań moich potrzebowały, kiedy dwa stada ptaków co wieczór zapadały na nocleg, tuż za łąką, kiedy upał panował nie do zniesienia, ja opuściłem dom mój jedynie dlatego, by tobie być użytecznym. Usługa, jaką ci oddałem, była może drobnostką, ale wtedy inaczej o tém myślałem. Nie moja to rzecz była wdawać się w kwestyą, o której decyzya do twego ojca należała. Ale takem się jednak zapędził, że, jeżeli jesteś do tego stopnia głupim i łajdakiem (bo ja nie zwykłem cedzić słówek przez zęby, jak to twój ojciec czyni) by zerwać słowo, dane slicznej i rozsądnej panience, dla jakiegoś tam wielkiego tonu,

ale małej wartości Papistów, to część hańby, jaką się okryjesz, spadnie i na mnie.

„A powiedz mi, proszę, któż to są te hiszpańskie rody (pochodzące może od Don Kiszota, albo nawet Szanszo Panszy) abyś je porównywał z kentyjskim właścicielem ziemskim, który posiadłość swoją po starodawnych trzyma Duńczykach? I czémże są ich kobiety, gdy żółkną (co zawsze przed dwudziestu pięciu laty czynić zwykły) w porównaniu z Angielką, która około czterdziestki najlepiej właśnie wygląda. Nie dość na tém (bo bądź co bądź, kwestya ta schodzi na drugi plan, w miarę, jak mężczyzna rozumu nabiera), ale czy cudzoziemka z Południa rodem jest zdolną uszczęśliwić Anglika? Nawet jeżeli da się odwieść od bałwochwalczej czci obrazów (przy której uparcie one obstają), czy potrafi ona zarządzić domem angielskim? czy potrafi sługom angielskim rozkazywać? obiad zadysponować? czy będzie miała pojęcie o tém, co to jest przewietrzyć pościel? czy po całodzienném polowaniu można będzie zanoć u niej, a nie dostać reumatyzmu, podagry, albo nazajutrz rano nie doznać wzburzenia żółci? We wszystkich tém, powiesz mi może, zastąpić się zdoła wyręczycielką, i w bardzo wielkich domach tak być musi. Ale bywałem ja gościem w domach, prowadzonych na pańską skalę, dużo piękniejszych, niż Coombe Lorraine (choć ojców twój obruszył-by się na to twierdzenie) i to tylko powiedzieć mogę, że wolał-bym raczej być gościem angielskiego ziemianina, a nawet proboszcza, przy którego stole pierwsze zajmuje miejsce czynna i roztropna żona, niżeli bym miał gościć u księcia ze sławnym kucharzem francuzkim, i u księżnej, która nigdy zyciu szczotki nie widziała.

„A jeżeli ożenisz się z Hiszpanką, zkądże wezmiesz na pańskie urządzenie domu? Ojciec twój nigdy grosza nie zaozczędzi, a ty tém bardziej robić to samo będziesz. A co do pani, ta naturalnie nic nie będzie miała! *Krew mam niebieską dlatego, że spodni nie mam*, z przejęciem twierdzi jeden z ich poetów, w którym to położeniu wszyscy u nich bywają. A tymczasem dowiedziałem się ja cichaczem, mniejsza o to zkąd, że Mabel Lovejoy (której szkoda dla jakiegoś tam zmiennego impertynenta) ma sobie zapisaną wcale okrągłą sumkę testamentem pewnego starego kawalera w Tonbridge. Rodzice jój, ani nikt z krewnych, nie wiedzą o tém; ale ja nie zmarnowałem przyjemnych wakacyi, w tém miaseczku spędzonych. Każdy zdawał się rozumieć mnie tam wybornie i wszyscy mi się niezmiernie podobali.

„Ale ty nie podobasz mi się wcale, i szczerze mówię, nigdy już

progu mego nie przestąpisz, jeżeli ze związaniem rękoma i nogami oddasz się na łup jednej z tych Duleynei, lub lepiej mówiąc Dalili. Wielu poznałem Hiszpanów wtedy, gdy Nelson musiał ich pobrać do niewoli, wszystko to brudasy i leniwczy, niezdolni jeździć na niczem, próczna mułach, i wszyscy zatrują powietrze czosnkiem.

„Ciotka twoja i kuzynki, list ten odczytawszy, mówią, że za surowy jestem dla ciebie. Im więcej cię bronią, tym mocniej jestem przekonany, że się okazał zbyt pobłażliwym. Dodam więc tylko, że ci przesyłają serdeczne wyrazy i pozostają, drogi mój siostrzeńcze,

Kochającym twym Wujem

Struan Hales”.

„P. S. Spodziewamy się pysznego polowania zeszłego roku, skutkiem suszy i upałów, w całej parafii nie udało się rzepy. Ptactwa było mnóstwo, jak zwykle w gorące lato, ale nie dało dostąpić do siebie. W tym roku rzepy wyrosły mi do kolan. Jakże-bym pragnął, abyś był tutaj, zamiast mierzyć do Francuzów! Przez wielką grzeczność Stefana Chapmana będę miał pozwolenie polowania w ogromnych dobrach Sir Remnanta. Wolę jednak polować u nas; nie wątpię, że przed pierwszym ojciec twój wróci do właściwego usposobienia. Nie bierz mi za złe, drogi chłopcze, wszystkiego, com dla dobra twego powiedział, *Scribe cito, Responde cras.*

Kochający twój wuj

S. H.”

Całą tę długą epistolę odczytał Hilary na siodle, miał bowiem teraz dwa konie, dla siebie przeznaczone (o ile mógł ich dostać) i teraz właśnie jechał z rozkazem do forpocztów oddziału, trafiającego na Clausela. Nie wiedzieli oni jeszcze, co to mieć do czynienia z Clauselem, jednym z niewielu ludzi, którzy śmieli, stawić czoło Wellingtonowi, a przecie ująć jego rąk zdołali. Sztab angielski, chociaż świeżo Hilarym wzmocniony, słabym był jednak, inaczey prawdopodobnie nie byłoby się wiodło Francuzowi w śmiałych jego manewrach.

— Strasznie musi być zły — rzekł młody Lorraine, nie mając na myśli ani Clausela, ani Welligtona, ani nawet Napoleona, lecz poprostu wuja Struana — niema w liście ani słowa o żadnym psie nieporównanym, ani o koniach kupionych, lub wymienianych, ani nawet o Cesi. Musiał się dobrze posprzeczać z ojcem i poszukuje tego na jego potomstwie. Jak mógł słyszeć o anielskiej Klaudyi i, mówiąc o niej, wspominać o czosnku? Kochanko moja, ja jeden wiem, coś ty

za jedna, chociaż ociężali Brytowie nie mogą wznieść się do pojęcia takiej doskonałości! Teraz list Alicyi! Ta, spodziewam się, będzie umiała się odezwać! Oho! jak zaczyna, jakbym był jej kuzynem w trzydziestym drugim stopniu! A jak się z pismem droży... króciutki list! Ale co za śliczne, pewne, wyraźne pismo!

„Drogi mój Hilary!”

„Ojciec mój, nie mając wolnej chwili, a przytém nie odebrawszy od ciebie listu, na który-by chciał odpowiedź ci przesłać, mnie polecił ci donieść, że wszyscy mamy się dość dobrze i miło nam było słyszeć, że, jak się zdaje, bardzo się odznaczyłeś. Sam zapewne czujesz, że wiadomość podobna będzie zawsze radością i chlubą naszą. Byliśmy też przytém i bardzo niespokojni, bo podano cię w gazecie, jako ciężko rannego. Mamy wszakże nadzieję, że tak nie jest, bo udzielony nam został łaskawie długi list od majora Clumpsa z twojego pułku, do przyjaciółki drogiej naszej babuni, do Lady de Lampnor, w którym-to liście bardzo podchlebnie wyraża się major o tobie; od téj zaś pory nie wcale o tobie nie donosi, co niezawodnie by uczynił, gdybyś był ranny. Proszę cię, natychmiast nam donieść, jak się rzeczy mają. Wuj Struan bardzo się niesmacznie znalazł względem ojca w rozmowie o tobie, używał jak najniewłaściwszych wyrażen i takie kazanie sam przeciwko tobie w niedzielę powiedział! Ale nie był jeszcze u nas dla przeproszenia, i słyszałam od pocziwój Cesi, że o wszystkiém donieść ci zamierza. Kochany wujaszek jest naprawdę pocziwy i dobry, ale trzeba mieć dla niego—wyrozumiałość.

„Doniesie ci on, ma się rozumieć, wszystkie tutejsze nowinki i, jak zwykle, głównie o tém mówić będzie, co jego samego się tyczy. Przywiązuje on niezmierną wagę do tego, co my za drobnostki uważamy, i czasem nadzwyczajnych rzeczy dokazuje.

„Oto teraz na przykład, wziął tego chłopca, co mieszkał w wydrążeniu u stóp góry, tego, co to ukradł osła i żył z lachmanów, z kości i ze starych butelek, ma go u siebie na plebanii i codziennie, z wyjątkiem niedzieli, każe mu czyścić noże i buty. Cała wieś niezmiernie się temu dziwi, chłopak bowiem uciekał jak przed śmiercią, na widok pocziwego wuja, to też mimowoli nam się zdaje, że to dlatego właśnie zrobiono, żeś my nigdy nie umieli chłopca ośmielić.

„Ojciec przypuszcza, że prawdopodobnie będziesz teraz potrzebował trochę gotówki, wie bowiem, że płaca młodych oficerów jest bardzo skromną, i że nawet niezawsze ich dochodzi, ponieważ dzielnemu naszemu wojsku nieraz podobno brak pieniędzy; złożył zatem dla

ciebie u Shotmana i spółki sto funtów sterligów, z których możesz czerpać w miarę potrzeby, a na Boże Narodzenie znowu takąż samą kwotę złoży. Babcia też każe mi dodać, że tak ją cieszy twoje powodzenie w jedynym zawodzie, dla szlachcica właściwym, iż z własnej swojej kieszeni posyła ci dwadzieścia gwinei, także na ręce Shotmana i spółki. Babcia ma przytém nadzieję, że teraz zaczniesz się się ćwiczyć w oszczędności.

„Temi słowy muszę teraz kończyć, dodając tylko jeszcze serdeczne od nas wszystkich wyrazy i życzenia wszelkiej pomyślności, co wyraziwszy piszę się

Przywiązaną twoją siostrą

Alicya Lorraineⁿ.

„P. S. Braciszku najdroższy! To, co wyżej napisano, głównie było od babci. Teraz wolno mi pisać od siebie samęj, a reszta téj ćwiartki nie pomieści pewno i setnej części wszystkiego, co ci chcę powiedzieć. Bardzo się martwię i o ojca, i o ciebie, i o wuja Struana, i o kapitana Chapmana, i o wszystko inne. Wszystko tu źle idzie, a jeżeli ty się bijesz w Hiszpanii, to my tu w Anglii daleko gorszą prowadzimy wojnę. Ojciec ciągle myśli i ciągle zamyślony siedzi w bibliotece. Sam to czuje, że był dla ciebie za surowy, a im lepiej ci się powodzi, tém więcej ojciec się trapi, bo wiesz, jak bardzo mu o to chodzi, żeby być dla każdego sprawiedliwym. A co się tyczy pewnej młodej osoby, to nie jest tak, jak wuj Struan myśli. Wiesz, jaki on uparty i jak ojca zrozumieć nigdy nie może. Ojciec ma poczucie sprawiedliwości takie, o jakim ani ci się marzy, ale ojciec wątpi o stałości twoich uczuć, drogi braciszku. Jak to niepoczciwie ze strony wuja podejrzuwać, że ojciec cię wysłał do Hiszpanii po to, byś tam jakiej uległ pokusiel Mnie, tak jak i wszystkim w domu, wcale się to nie podobało, co przeszłego roku zaszło w Kencie, ale sądzę, że ojciec pogardzał-by tobą (i nawet pewną tego jestem) gdybyś zawiódł kogokolwiek, kto słowom i prośbom twoim zawierzył. Ale naturalnie, nie zrobił-byś nic podobnego, bo i ja-bym zrobić tego nie była zdolną.

„Napisz-że teraz do domu pocziwy, serdeczny list, opisz wszystkim, co robisz, i wszystko, co myślisz. Ojciec udaje, że jest bardzo spokojny, ale pewna jestem, że ciągle o tobie myśli, i zdaje mi się, że bardzo się postarzał. Chciała-bym wszystkie jego książki wyprawić bodaj do Hanoweru! wtedy namówiła-bym go codzień na porządną przechadzkę! Bywaj zdrów, najdroższy! Jeżeli z tego wybrniesz, zasłużysz na wieniec nielada. Wuj Struan myśli, że jest bardzo uczo-

ny, ale pomieszał wieniec *muralny z obywatelskim!* Zasłużywszy na jeden, zasłuż też i na drugi, ocalając nas wszystkich i twoją własną Alisję”.

Hilary po dwakroć list ten odczytał, potem odłożył go na bok, by go raz jeszcze przeczytać, bo niektóre ustępy smutnie go wzruszyły. Potem, powtórzywszy rozkazy, jakie wiozł z sobą i naprędce zrobiwszy szkic miejscowości, powracał inną drogą, czytając list trzeci. Tego właśnie bał się najwięcej, bo poznał na nim rękę Grzegorza, a sumiennie srogie czyniło mu wyrzuty. Jednak, że prędzej czy później list trzeba było przeczytać, na nic się nie zdało odkładać przykrą chwilę na potem, czytał więc Hilary, co następuje:

„*Mid. Temple, 22 Sierpnia, 1812.*”

„Kochany Hilary!”

„Kilka już miesięcy, jak nie miałem wieści o tobie, a ponieważ wiem, że byłeś ranny, bardzo byłem o ciebie niespokojny i trzy razy pisałem, dopytując się o twoje zdrowie, pod datą 3 Maja, 7 Czerwca, i 2 Lipca. Ma się rozumieć, żaden z tych listów rąk twoich nie doszedł, bo adresowałem je do pułku w braku poczty, bez której nie rozumiem, jak się możecie obywać. Słyszałem jednak od mego przyjaciela Capperera, który zna dwóch oficerów z twego pułku, że spodziewano się, iż wrócisz do służby w Lipcu, i od téj pory nadaremnie z przybyciem każdej poczty wyglądam wieści od ciebie. Nikt zatem nie będzie mógł zarzucić mi pośpiechu lub niecierpliwości, jeżeli nareszcie poproszę cię o wytlómaczenie mi twego postępowania. Czynię to z ciężkiem sercem, na smutek wiadomości, jakie mnie z dobrego źródła doszły.

— (Niech go licha porwie — zawołał domyslny Hilary — jak on z ogródki zaczyna! Czyż nigdy nie zdobędzie się na powiedzenie od razu tego, co ma powiedzieć? Co za obrzydliwa prawnicza, zimna krew w stylu! Aha! otóż jest wreszcie!)

„Wiadomo ci być musi, że pozyskałeś najserdeczniejsze uczucia, powiedzieć nawet mogę całe serce, siostry mojej Mabel. Stało się to zupełnie wbrew życzeniom i zamiarom jój blizkich. Nie narzucano ci się z nią, by złapała sobie na męża utytułowanego i bogatego pannie; wiedzieliśmy, że związek ten napotka wiele przeszkód i chcieliśmy mu wszyscy zapobiedz. Ja nawet, chociaż uniesiony za wielkiem dla ciebie przywiązaniem, nigdy za tém nie byłem. Jeżeli ci została chociaż odrobina dawniej twojej szczerości, to przyznasz, że od pierwszej do ostatniej chwili ty tylko jeden chciałeś owych zarę-

czyn. Co do mnie, wiedziałem, i siostra moja również to wiedziała, że trudno się było spodziewać, by ojciec twój na to małżeństwo zezwolił, lub z niego był zadowolony. Ale wiedzieliśmy także, że jest on człowiekiem honorowym i prawym i że, jeżeli zamiarom twoim w poprzek stanie, to i wtedy uczyni to za pomocą uczciwych, nie zaś nieszczęśliwych środków. Wszystko więc od ciebie tylko zależało. Nie byłeś niedorostkiem, ale mężczyzną, przynajmniej o pięć lat starszym od mojej siostry; przywiązanie do niej powziąłeś, dobrze wiedząc, co robisz, i całemi siłami starałeś się wzajemność pozyskać.

— (Ma się rozumieć, że się o to starał! — zawołał młody oficer, ścignawszy szpicrutą konia dlatego, że sam na baty zasługiwał — jakże mogłem się nie starać? Mabel taka śliczna! Jak-bym był kontent, gdybym nigdy nie spotkał Klaudy! Ale, Grzegorzu, słuchaj-no, doprawdy za surowy jesteś dla mnie!)

„I niedosć tego — ciągnął dalej nieubłagany młody adwokat — nie chcąc, aby ktokolwiek mógł wątpić o prawdziwości twoich zamiarów, skłoniłeś twego wuja (a przynajmniej pozwoliłeś wujowi) Struana Hales, aby odwiedził Mabel, dodał jej odwagi i zapewnił ją, że wszelki opór upaść musi, jeżeli ona wierną i stałą pozostanie.

„Mabel pozostała wierną i stałą, do tego stopnia, że nawet uwierzyć nie chce, że ty innym być możesz. Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, wyglądała wieści od ciebie, choćby nawet jednego tylko słowa. Śmiało powiedzieć mogę, że ranę twoją odczuła daleko boleśniej, niż ty ją sam odczułaś. To, co ona „chwałą” twoją nazywa, przejęło ją daleko większą, niż ciebie, dumą. Co dzień rano, wygląda chwili, w której posłanica po listy wyprawia, co wieczór czeka i słucha natęży, by usłyszeć krok, który nigdy słyszeć się nie daje.

„Gdyby tylko raz zrozumiała, żeś jej zupełnie już zapomniał, mam nadzieję, że usiłowała-by wyrobić w sobie przekonanie, że nie jesteś wart, by cię tak boleśnie żałowała. Najgorsze w tém jednak jest to, że nie może przenieść na siebie, by źle o tobie myśleć miała, i dopóki własnoręcznie jej nie uwiadomisz, żeś ją oszukał i okrutnie względem niej postąpił, dopóty uśmiechać się tylko będzie i za nic mieć tych, którzy to za prawdopodobne uważają.

„Takiemu stanowi rzeczy koniec położyć musimy. Niesłusznie jest, aby jakąkolwiek młodą osobę ludzić tak i w niepewności trzymać, a szczególnie taką, jak Mabel, łagodną, wierną i kłiwego serca osobę. Muszę cię zatem prosić, abyś natychmiast napisał do siostry, albo do mnie, i szczerze zamiary swoje wyjawił. Jeżeli zamiarem jest twoim porzucić swoją siostrę, proszę cię, jak o ostatnią łaskę,

zrób to tak szorstko i niegrzecznie, jak tylko możesz, tak, aby podrażniona duma dopomogła jej do zniesienia ciosu. Jeżeli jednak możesz uczciwie postępowanie swoje wytłómaczyć, to wiesz przecie, że nikt się szczerzej tém nie ucieszy, nikt pokorniej i serdeczniej o przebaczenie prosić cię nie będzie, jak były twój przyjaciel

Grzegorz Lovejoy."

ROZDZIAŁ VI.

Staraj się myśleć o mnie jak najlepiej.

Doczytawszy list do końca, Lorraine spał konia ostrogami. Po-
ra już mu było galopem uciekać od jednej mianowicie myśli: od gorz-
kiego przeświadczenia, że z całej tej sprawy nie wyszedł tak, jak na
gentlemana przystało. Miał więc racją uciekać od siebie, jak mógł
najprędzej, bo o żadnym z Lorraine'ów nigdy jeszcze nie słyszano,
żeby tak sobie postąpił. W dawno minionych dniach nizkiego mo-
ralności a wysokiego pojęć feudalnych poziomu, niejeden Lorraine
mógł upodobać sobie ładną dziewczynę i porzucić ją, ale nigdy tak,
jak on to zrobił, zbliżając się do skromnej i zacnej dziewczynki, jak do
równiej sobie, zaciągając honorowe względem niej zobowiązanie i wte-
dy dopiero niehonorowo ją porzucając.

— Słowo daję, nie wiem, co robić — myślał, oblewając się zimnym
potem, podczas gdy koń jego gorącym się oblewał. — Bógu jednemu
wiadomo, którą kocham; co do mnie... prawie pewny jestem, że Ma-
bel kocham prawdziwie, ponieważ, gdy o niej myślę, robi mi się go-
rąco, a gdy myślę o Klaudyi cały drętwieję.

W tém, co mówił, mogło być cokolwiek sensu, a w każdym razie
jest to kwestya dla meteorologów, chociaż ludzie, z gatunku tych, któ-
rzy zawsze wszystko umieją wytłómaczyć, z pewnością oświadczą, że
wszystko to wybornie rozumieją, i powiedzą, że młody człowiek ma-
gnetycznie jest przyciągany przez dwie dziewczynice, zupełnie od siebie
odmienne: jedna ma magnetyczność dodatnią, druga ujemną, a on wa-
ha się między jedną a drugą, co naturalnie tłómaczyć się musi „dzi-
wnymi zjawiskami elektryczności". Wtedy jednak mało takich rze-
czy wiadano, i każdy sam musiał czyny swoje nazywać, nie posił-
kując się żadnymi pięknymi frazesami. Hilarego zaś czyny postawiły
go teraz w takim położeniu, że nawet najpomysłowszy z pomysło-

wych, najwięcej na wybiegach się znający, z trudnością-by potrafił wyprowadzić go z kłopotu.

Ale, bądź co bądź, dolegliwości ciała (z którym ciągle ma się do czynienia) głośniej kołatają do drzwi organizmu ludzkiego, niż dolegliwości umysłu. Teraz zaś nie tylko Hilary, ale nawet i cała angielska armia z trudnością mogła dostać coś do zjedzenia; co zaś do pieniędzy, tych nie mieli wcale, albo tak prawie, jak wcale; było to jednak rzeczą mniejszej wagi dla ludzi, tak dobrze radzić sobie umiających. Ale teraz, spędziwszy całe dwa tygodnie w Madrycie, czuli brak takich naprzykład wygod, jak obuwie, odzienie, kawałek mięsa na obiad, kawałek mydła do umycia nóg i łyk czegoś mocnego, co-by można wypić wieczorem przed położeniem się spać w jakiej dziurze. Pozbawieni tego wszystkiego, musieli jednak maszerować codziennie, piętnaście do dwudziestu mil angielskich, po bardzo twardym gruncie, w niezmiernie skwarną porę, w pogoni za nieprzyjacielem, z którym łatwiej się było bić, niż go pobić. Z tych-to powodów, każde łono angielskie gotowe było gniewem wybuchnąć, i — jak to zwykle bywa — wszystkiemu winien był sztab, który oskarżano o niedbałość, nieznajomość rzeczy, o gnuśność, nieudolność i tam dalej. Wyrzuty te głęboko wnikały w zbolełe serce Hilarego i przejmowały go taką gorliwością, że zwierzechnik jego, chwalać go, nieraz się przytém śmiał z niego. I dlatego-to w dolinie Arlanzana, podczas marszu na Burgos, mianowany został kapitanem, z wielką radością wszystkich, którzy go znali.

Lorraine dumny był z tego, jak król, bo nie była to natura wszystko w sobie zamykająca. Miał on myśl napisać sporo listów, zaczynających się od wyrazów: „Kapitan Lorraine zasyła swoje uszanowanie i tam dalej” i nawet była chwila, że chciał wyzwać w ten sposób wuja Struana. Jednak, zastanowiwszy się trochę, uznał, że najrozsądniej będzie nie odzywać się czas jakiś do rektora; było to bowiem rzeczą wszelkiej racji pozbawioną (choć może nieraz się zdarzającą), żeby on, najamniej ze wszystkich poszkodowany, najgłośniej się prawie użalał! Dobrze mu tak, niech dowie się z nieprzyjaznego sobie źródła, z Coombe Lorraine, o tym zdumiewającym fakcie, że, złąjany przez niego siostrzeniec, został na prawdę armii angielskiej kapitanem.

Do Alicyi zatem napisał nasz kapitan za pierwszą sposobnością, donosząc o swoim awansie, oraz dziękując ojcu i babce za pieniądze; nie wzmiankował jednak ani słówkiem o sprawach domowych, przesyłając tylko wszystkim życzenia pomyślności. List ten wyprawił

17 Września, poczem, zbity i zmęczony całotygodniowem siedzeniem na siodle, uciekł od ognisk obozowych i obozowej kuchni i zaszył się w trawę, gdzie zasnął kamiennym snem zmordowanego żołnierza.

Następnego dnia, armia angielska we wcale nieszczególnym humorze, weszła do palącego się miasta. Słońce dopiekało sumiennie, osmalając czerstwych Brytonów na brudno-murzyński kolor, a niejeden okaleczony żołnierz, nie mając gdzie przysiąść, musiał maszerować pomiędzy dwoma rzędami palących się domów. Dom w płomieniach wielce jest zajmujący i, jak teraz, stał się przysłowiową ilustracją świetnego powodzenia; ale przenośnia owa polega na przypuszczeniu, że dom przez tych został podpalony, którzy zrobić to czuli się w prawie. W tym zaś wypadku inaczej rzecz się miała: Francuzi bowiem domy podpalili, postarawszy się o to, by je przedtém do szczętu zrabować.

Nie mogąc znieść gorąca, panującego w Burgos, chociaż pożar został już ugaszony, Hilary poszedł w stronę zachodu, by trochę świeższego powietrza poszukać. Obowiązki służbowe, jak dotąd, na chwilę nieustające, ustały teraz na dni parę; ale nienaturalną wydało mu się rzeczą, stąpać po ziemi, konia pod sobą nie czując. Minąwszy wązkie, tłumu pełne uliczki, gdzie brudna i obdarta ludność tłoczyła się pod karłowatemi jaworami i pigwami, wydostał się na jałowe, skwarem spieczone pole i obrócił się, by spojrzeć na cytadelę. Teraz, kiedy dym z domów, (dla większego bezpieczeństwa) podpalanych, już opadać zaczynał, ujrzyć można było przy blaskach zachodu załogę, z karbinów celującą do miasta, które się od hiszpańskich gerylasów roilo.

Krajowcy owi rabowali właśnie z takim zacięciem, jak-by sami zdobyli nieprzyjacielskie miasto; a w zapale téj chwili, lub może tylko siłą nawyknięcia, niektórzy z nich chętnie dokładali ręki do rabunku własnych swoich domów. Ale angielscy żołnierze, broń w koźły ustawiwszy, markotnie na to spoglądali; nie oni bowiem szturmem wzięli miasto, i poczucie uczciwości brało w nich górę. Bawiło to Hilarego, który się wszystkiemu przez perspektywę polową przyglądał, siedząc na skalistym złomie po-za miastem; wypoczywał, bo nogi mu podrętwiały od zmęczenia, i czuł się w nieswoim żywiole, mogąc robić, co mu się podoba. Teraz jednak ujrzał, że Francuzi, pilnie krzątający się w twierdzy, zamierzali przyjąć, tak Anglików, jak i Hiszpanów, gorącym bomb powitaniem; zerwał się więc z miejsca, by ostrzedz swoich, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Rzu-

cił więc pół dolara portugalskiemu żołnierzowi, który się przechadzał drogą poniżej, kazał mu biedz co sił i ostrzedz, że niebezpieczeństwo grozi.

Ale zanim wysłaniec jego wbiegł w mury warowni, spostrzegł Hilary hiszpańskiego dowódcę, (bo takim wydawał się z dala) który, szybko wybiegłszy z bocznej jakiejś uliczki, nagle mi znaki odwołał i po-za linią ognia umieścił wszystkich hiszpańskich rabusiów. Człowiek ten (o ile mógł przez lunetę swoją dojrzyć Hilary) ogromnego był wzrostu i krzepkiej postawy, kapelusz miał z dużemi skrzydłami i krótkim czarnym piórem, zielony skórzany kolet i szeroki pas biały; potężne jego nogi, wsunięte były po-za kolana w buty ze skóry niewyprawnej, a uzbrojony był w długi, prosty miecz i w sztylet. Znając już nieco z doświadczenia obyczaje rabusiów, zadziwił się Hilary, ujrawszy szybkie posłuszeństwo, temu dowódcy gierylasów okazane, a nawet ucieszył się widokiem niezwyklego wśród nich przykładu karności. Dwóch bowiem z pomiędzy tych ludzi za mało się śpieszyło z porzuceniem łupu, za co wódz rzucił ich na ziemię, wedle wszelkich prawideł angielskiego boksowania, łup ich oddał innym, a ich samych wlec kazał za pięty wzdłuż ulicy. Ustawiwszy wszystkich swych ludzi w miejscu od kul bezpiecznym, stanął wtedy w spokojnej i zamysłonej postawie, z ogromnym cygarem w ustach, by się przypatrzeć pięknej gromadce spragnionych Anglików (pijących na środku skweru), w których były kule i bomby. A gdy poseł Hilarego biegł co tchu, by Anglików zaalarmować i uczciwie swoje pół dolara zapracować, cóż robi ten nielitościwy żołnierz?... oto podstawia mu długą swoją nogę, i przewróciwszy, oddaje go ze szkaradnym śmiechem w ręce owych zbójów, którzy plądrują mu kieszenie i zakneblowują usta. Potém zaś nastąpiło to, co przewidywał Hilary: strzały, krzyki, kłęby dymu, i z dziesiątek dzielnych Aglików padło rannych wkoło fontanny.

— Z Hiszpana dziwny jest sprzymierzeniec — rzekł, wdrygając się Hilary. — Wiedział on, co nastąpi, i postarał się, by temu nie zapobiedz. Muszę ja przypatrzeć mu się, jeżeli go przez szkła dojrzyć zdołam. Słowo daję, to nic innego, tylko zbój jakiś! *Partidas!* do prawdy! Nie partyzanci to, ale rzezimieszki!

W téj-że samej chwili, olbrzymi gierylas odwrócił się, by wybuchnąć serdecznym śmiechem, a mając po-za sobą całą ścianę walącego się i osmalonego muru, ukazał Hilaremu twarz swoją nakształt portretu, w hebanową ramę oprawnego. Stojący kołnierz koletu odwinięty ukazywał obnażony, szeroki jak u byka, kark, i grubą szyję,

od której kruczą czarnością odbijała krótka broda, ciężkie szczęki zarastająca. Gęsty wąs zakrywał usta, a rozdęte nozdrza rzymskiego nosa, ostre rysy twarzy i gniewne oczy, zwieszającą się brwią zasłonięte, wszystko to razem skłoniło Hilarego do wykrzyku: „Cóż to za szkaradny brzydali” i do zwrócenia szkieł w inną stronę.

Była to jednak jedna z tych twarzy, które nieraz podobają się kobietom, uwielbienie w nich nieledwie wzbudzając. Siła bowiem jest najpierwszą rzeczą, której kobiety szukają w mężczyźnie, a przynajmniej najpierwszą, która je uderza, a „siła” tego właśnie rodzaju jest niezłomną, nieprzepartą, na nikogo nieogładającą się wolą. Jest ona tak dalece odrębną od siły moralnej i umysłowej, że rzadko znaleźć mężczyznę, w którym-by się obie wcieliły, co zresztą łaskawie przewidziała natura, o szczęście dbała. Ale kapitan Lorraine, przyglądając się temu Hiszpanowi, wiedział, że musi to być znaczny między swoimi człowiek, ale ani mu się śniło, że dla dzikiej „szkaradnego brzydala” miłości, Klaudya odrzucała i miłość i wcale przystojną jego osobę.

Ale w tej właśnie chwili, widok tego zbroja i morderstwo pocziwych angielskich żołnierzy, zwróciły Hilarego (który, mimo wszystkich wad swoich, gorącym był patriotą) przeciwko całemu plemieniu Hiszpanów, tak mężczyznom i kobietom, jak i wszystkim zresztą innym.

Co więcej, długie jego rozłączenie z Klaudya, jój opieszałość w pisaniu do niego (co czynić przyrzekła), również jak i anegdotka, którą z bardzo pewnego źródła o niej słyszał, złożyły się na osłabienie uroku, jakim czarowała go namiętna i olśniewająca jój piękność, która o tyle bywa siłą, o ile ofiarę swoją ma pod ręką. A nawet w tém, co się tyczyło osobistych wdzięków, Hilary, im więcej miał do czynienia z plemieniem hiszpańskim, tém więcej uznawał prawdę słów pocziwego wuja Struana: „w trzydziestu latach Mabel będzie w całym blasku piękności; Klaudya za to szybko zmieniać się będzie w żółtkły i uwiędły liść”. Im więcej nad tém rozmyślał, tém więcej rozgrzewało mu się serce od strony téj, która go kochała, a ziębło od strony, ku chłodnej cudzoziemce zwróconej.

Podczas, gdy się w takim stanie umysłu znajdował, przycwalał konny ordynans i wręczył mu mały pakiet. „Z domu sir”, oświadczył i, skłoniwszy się po wojskowemu, dalej pocwalał. Hilary, otworzywszy odebraną przesyłkę, znalazł wewnątrz śliczną miniaturę Mabel. Miał więc przed oczyma łagodną, wesołą, rozumną twarzyczkę; spokojne i pogodne czoło, ciemne piwne oczy i różowe usta-

czka, do wdzięcznego uśmiechu gotowe, i lśniące miękkie włosy, które same z siebie obwijały się kędziorami wokoło pieścących je palców. Przedewszystkiém zaś miał przed oczyma to, czego nigdy widzieć by nie mógł na twarzy Klaudy: wyraz słodkiej, miłosnej szczęśliwości, wiary, prawdy i stałości.

Przez długie lata nikt, prócz wysyłającego, nie wiedział, kto przesłał ten portret. Pokazało się w końcu, że wuj Struan.

Hilary nie spuszczał oczu z portretu i była chwila, że patrzył na niego bardzo smutnym wzrokiem, ale im dłużej patrzył, tém jaśniejszym i lepszym stawał się wyraz własnych jego oczu. Dobroć téj, którą miłował naprawdę, zdawała się przechodzić z jój twarzy na twarz jego i czynić go do niej podobnym, oczyszczając go, podnosząc i uszlachetniając.

Minęły więc wszelkie wahania, a ponieważ, jak zwykle, powodować się dawał Hilary więcéj ostrodze niż cugłom, przeto gwałtownym susem desperacko przesadził przeszkodę, nad którą biedził się już od kilku miesięcy. Nieszczęściem, konie nie pisują (choćaż umięją mówić, śmiać się i myśleć, i oczyma powiedzieć daleko więcéj, niż nie jeden z nas, którzy na nich jeździmy), trzeba więc porzucić tę metaforę, albowiem Lorraine wyjął z kieszeni zwitek papieru, atrament i pióro (co wszystko mieć przy sobie był obowiązany) i postawiwszy kolana bolące i zesztywniałe, na takim pulpicie zrobił wreszcie to, co od trzech przynajmniej miesięcy zrobić był powinien. Napisał do kochającej go Mabel, trzymając się téj zasady, że lepiéj późno, niż nigdy.

„Najdroższa moja Mabel!”

„Wiem, że postąpiłem względem ciebie niegrzecznie, i nie tak jak gentlemanowi przystało. Choćaż bowiem nie dozwolono mi pisywać do ciebie, powinienem był napisać oddawna do twego brata Grzegorza, a nie zrobiwszy tego, sam siebie się wstydzę. Więcéj jednak wstyd mi powodów mego miłczenia, z których usprawiedliwiać się nie będę. Trudném jest to, co ja chcę powiedzieć, ale jedyną moją wymówką jest wypowiedzenie całej prawdy i mam nadzieję, że będziesz się starała nie być dla mnie zbyt surową.

„Prawda zaś jest taka. Zakochałem się, nie tak jak w tobie, najdroższa, dlatego, że cię pokochał, ale dlatego że... no! nie mogę powiedzieć dlaczego, choć chciał-bym powiedzieć całą prawdę... nie mogę powiedzieć, dlaczego tak zrobiłem. Ona ocaliła mi życie i długo doglądała mnie w chorobie, była przytém niebrzydką, a młodą i odważną.

„Zdaje się, że to już przeszło, i w Panu mam nadzieję, że tak jest wistocie. Widzę teraz, że ci Hiszpanie są okrutnymi ludźmi i dniem i nocą pracuję nad sobą, by ich zapomnieć. Gdy zasnę, ty do mnie przychodzisz i ślicznie na mnie patrzysz, a gdy morduję te uprzykrzone owady, twarz, którą wtedy widzę przed sobą, jest twarzą Hiszpanki. To jedno niech ci służy za dowód, gdzie zwraca się moje serce. Ale na szczęście niema tego u was w Old Appleowood.

„Teraz nie już więcej powiedzieć nie mogę. Piszę wśród grzymotu dział i powiesz może, przeczytawszy słowa moje, że lepiej-by było, gdybym umarł z ran, niż dożył niesławy, jak to uczynił twój.
Hilary”.

P. S. Staraj się myśleć o mnie jak najlepiej, kochanie! jeżeli jest ktoś, co tego potrzebuje, to ja właśnie. Grzegorz napisał do mnie taki list, że boję się przesłać ci... przesłać... coś!”

ROZDZIAŁ VII.

Coś, co warto całusa.

Pesymiści, którzy lubicie kłaść nacisk na ciemne strony natury ludzkiej, znajdując (co do koloru przynajmniej), że ten wiekuiście zmienny przedmiot harmonizuje z posępnością własnych waszych myśli, i że cały nasz świat nielepszy jest od was, ponieważ jest kameleonomem waszém odbiciem; pesymiści, mówię, przypisujący każdą czynność, każde słowo i myśl każdą, albo nader niskiemu samolubstwu, albo też nader wysokim przeznaczeniom (zależnie od ulubionój waszój teorii) pozwólcie chmurnym myślom naszym powędrować najweselęj jak mogą na odwrotną stronę księżycą, na tę, która ani sama ziemi nie przyświeca, ani też od ziemi światła nie bierze. Ale wtedy nawet, jeżeli nie zechcecie zobowiązać w ten sposób niższych od siebie śmiertelników, nie zbliżajcie się do miejsc, gdzie przemieszkuje prawdziwa miłość i prosta wiara, i gdzie mile upływają godziny na dopomaganiu naturze w okazywaniu nam swęj dobroci.

Tam, gdzie bogate tajnie wnętrza ziemi po brzegi pełne są rozmaitości wszelkiej; tam, gdzie każdy krok, przez człowieka uczyniony, odkrywa mu nowe jakieś, jemu wyświadczone dobrodziejstwo, gdzie każda godzina dnia inne szczęścia warunki odsłania, gdzie skośne światła spojrzenia jaśniejszym świecą blaskiem, w miarę jak słońce

do zachodu się chyli i z głębszą wykazuje miłością własne swoje dobre uczynki, oraz całe ich potomstwo; tam gdzie dzieci światła chwala mu się różnorodnością swoich uciech, niektóre się chyli, inne wolno się obracają, a wszystkie, jedną myślą przejęte, wdzięcznie, słodko i wesoło pokłonem mu hołdują;—tam... czy może tam człowiek (z natury nawet skwaszony) gdy go zachód słońca siłą swoją ogarnia, przechadzać się pomiędzy drzew szpalerami i wśród nich niejedną wolną spędzić godzinę, a bezwiednie nie dopuścić do serca spokojnej dobrośliwości jakiegś?

Jeżeli jest pod słońcem człowiek, tak niewdzięczny względem Dawcy wszystkiego, co dobre, tedy nie znaleźć go w ziemi Kentu, lecz szukać go należy w jakiegś północnej okolicy, gdzie kwaśne rosną porzeczki. Znany nam bowiem Marcin Lovejoy miał w miesiącu Wrześniu roku 1812, tak piękny urodzaj gruszek, że każde drzewo podobnem było do wodotrysku, deszczem owoców sypiącego.

Owczesi bowiem hodowcy inaczej rozumieli hodowlą drzew, niż my teraz. Byli to sobie wcale poczciwi ludziska, rządzący się starym rozumem praojców: nigdy nie przycinali drzewom korzeni w ziemi, ani w lecie gałęzi, nie rozpinali ich na drutach, wyrывая im członki ze stawów, a jednak zbierali równie dobre, jak my teraz, owoce... Nie mieli prawa tak robić, ale fakt sam zaprzeczyc się nie dał. Za tém idzie, że można było widzieć wówczas gruszę, naturalnym kształtem rosnącą, wysoką i rozłożystą, zwieszającą stożkowate gałęzie, jak świeczniki, z których, rząd za rzędem, zwieszał się lśniący ciężar owocu, połyskującego słonecznych pieścizot rumieńcem, lub rudawej żółtości słodyczą. Rosły więc różne gatunki: jedne kuliste i jednobarwne, drugie stożkowate, pręgami purpurowego rumieńca na żółtej wypukłości naznaczone, inne znowu ogromne i podługowate, albo całe w garby i plamiste. Tu więc miejsce było i pora właśnie po temu, by człek, usiadłszy sobie we własnym ogrodzie, uczuł, że rok nie przeszedł mu marnie, ani téż życie bezowocnie zbliżało się do końca, i żeby, rozejrzawszy się wkoło siebie, podziękował Panu i wspominał pamięć ojca.

W takim-to korzystnem usposobieniu i w takim duchu, siedział wczesnem październikowem popołudniem jegomość, Marcin Lovejoy i, paląc fajkę, używał sobie rozkoszy. Tylko co jadł był obiad, smaczny choć prosty; żeby miał zdrowe, trawienie wyborne, dziesięciny wypłacał i chadzał do kościoła; na całym świecie, o ile mógł wiedzieć, nie miał ani jednego wroga, a od Canterbury aż do Reigate, nazwisko jego znaczyło tyleż, co tysiąc funtów. Zboże mu obrodziło, chmiel

pięknie się zapowiadał, jęczmiona nie chybiły bynajmniej, wisien i truskawek było w bród, a gruszkom i jabłkom miło się było przypatrzeć. Gdyby więc jeszcze taki człowiek ciągle chodził w deptaku, popełnił-by błąd wielki. Fortuna zachęcała go, by usiadł, przystawiła mu fotel z poduszką, przygotowała dla niego szklanę chłodzącego z winem napoju, z plasterkiem cytryny, i dała mu żonę, by miał kto zapytać, czy go nogi nie bolą, również jak córkę, której obowiązkiem było pantofli jego pilnować.

— Nic jakos nie pijesz — odezwał się, wlewając w szklanę pani Lovejoy ostatnią kroplę, dlatego, że wiatr zaczynał wiać od północy — zanadto jesteś wstrzemięźliwą, droga duszo; odpokutujesz za to kiedyś!

— Powinnam być wstrzemięźliwą, Marcinie — odparła pani Lovejoy z łagodnym, smutnym uśmiechem. — Przechodzi to moje pojęcie, jak kobiety całemi popołudniami wypijać mogą tyle dżynu, piwa, wina i innych mocnych napojów, ile ich niektóre wypijają!

— Przywykną do tego — spokojnie odpowiedział gospodarz — tak, że w końcu organizm ich tego wymaga. Nie mówię przecież, uważasz, żeby niektóre nie przebierały miary. Umiarkowanie jest złotem prawideł, ale ty je za daleko posuwasz.

— Lepiej za daleko, niż za mało — sentencyonalnie odparła pani Lovejoy. — Cokolwiek piję, lubię wiedzieć, ile mi wypić trzeba, a więcej ani kropli. Nie, Marcinie, nie, proszę cię, nie chcę więcej, jak na grubość poznogcia. A teraz, wróćmy do tego, o czém właśnie mówiliśmy. Słuchaj-no, tak już dalej być nie może.

— Żono, powiem ci, co jest — i tu Marcin Lovejoy spróbował przybrać minę melancholijną razem i poważną, ale mu się to nie udało — nie wypełniamy naszych powinności, jak należy, nie odpowiadamy stanowisku, na którym podobało się Bogu nas umieścić. Nie nauczyliśmy naszych dzieci rozumieć, że są... nie wiem, dalibóg, jakie to słowo?...

— „Obligowane”, chcesz powiedzieć, Marcinie. Obligowane są dzieci nasze...

— Nie, nie, „obowiązane” chciałem powiedzieć; *obowiązane* stoi w katechizmie. Obowiązane są być posłusznemi, czy im się to podoba, czy nie, i takie jest znaczenie wyrazu. No, a powiedz-że mi, które z nich jest takim?

— Tego powiedzieć nie mogę, — odparła żona, z kolei wszystko troje myślą dotknąwszy — nie, Marcinie, robią, co mogą, ale nie mo-

żesz wymagać, żeby były skrepowane. Wątpię nawet, czybyśmy je mogli więcej kochać, gdybyśmy im ciągle rozkazywać musieli.

— Może i nie; tego nie wiem. Nie dały mi sposobności sprobo-
wać. Robią one to, co im się zdaje najlepsze, a że tak robią, twoja to
wina, matko.

— Czyż robią kiedy co złego, Marcinie Lovejoy? Czy ci kiedy
wstyd w czémkolwiek przyniosły? Czy włóczą się po świecie i poży-
czają pieniędzy, albo frymarczą nazwiskiem swoim, lub czémkolwiek
inném? Niezawodnie chcesz mnie do gniewu przyprowadzić, Marci-
nie, kiedy zaczynasz wygadywać na moje dzieci.

— Dobrze już, dobrze — odpowiedział gospodarz, w sposób
prawdziwie męzowski, kłęby dymu puszczając — przejdźmy-no do
czego innego. Jest na placu tu sprawa Mabel: jak myślisz ją zakoń-
czyć?

— Ja myślę, że to ty powinien-bys mi powiedzieć, Marcinie, jaki
temu koniec zamierzasz zrobić. Od dawna można już było postanowić
o jój losie i dobrze wydać ją za męża, gdybys mojej rady usłuchał.
Ale ty jesteś najupartszy w świecie człowiek!

— No, no, kochanko, nie sędzę, abys miała prawo być bardzo
w téj mierze surową. Tyś sobie ułożyła jedno, a ja drugie, i mamy
do czynienia z kimś, od nas obojga może upartszym. Mabel wdała
się w matkę.

— Prawdopodobniej w ojca, Marcinie. Ale Mabel już dała sło-
wo i chce go dotrzymać, a pora już się zbliża.

— Tak! tak! dwudziestego pierwszego Października, rocznica
bitwy pod Trafalgar! Panie Święty! siedm lat już, a mnie się zdaje,
że to wczoraj było. Jak to w całym kraju zawrzało, a chłopak nasz
wyrwał nam się na morze! Nigdy już takie czasy nie wrócą... kapu-
ściane dzisiejsze głowy, nikt nic nie utarguje!

— Skaranie Bożkie z targiem, Marcinie! Doprawdy nieraz mi
się zdaje, że ty więcej myślisz o kapuście i targu, niż o wszystkiém
inném. Ale Mabel sama dzień oznaczyła, dlatego, że to bitwy roczni-
ca, nie prawdaż?

— Prawda, żono, prawda, ale mimo to, nie wiem, co nam tak da-
lece z tego przyjdzie? Przypuściwszy, że do jutra wieczorem listu
nie odbierze, to co z tego wyniknie?

— O! bardzo wiele rzeczy. Ale wy mężczyźni nigdy nic nie wie-
cie! Oto Mabel da pokój wszystkim niemądrym konceptom i postara
się być rozsądną.

— Zdaje mi się, że powinna-by zrobić coś więcej. Powinna-by przynajmniej wyrzec się zupełnie Hilarego.

— Tak, tak, wyrzecz się go biedactwo i spłacz się nad tém porządnie. Prawda, Marcinie, że, jak my byliśmy młodzi, inaczej szło między nami?

— Na co się zda mówić o tém? — odparł gospodarz — każde z nich musi mieć dziś swój romansik. To zupełnie tak, jak-by ktoś beczulkę piwa otwierał... trzeba im pozwolić plunąć odrobinę na wierzch.

— Niema się o co spierać! Nie pamiętam jednak, żebyś za czasów naszego kochania się wymagał ode mnie, bym trochę „na wierzch plunęła”! Taki robisz się rubaszny, Marcinie! im lepiej się wiedzie, tém jesteś rubaszniejszy!

— No, i cóż jeszcze masz powiedzieć? Zrzec się Hilarego i postara się być rozsądną. Pora robienia sładu się zbliża, jakże Eliasza może co teraz zrobić?

— Marcinie, czy mogę powiedzieć słówko? Tak nieustannie mówisz, że ja nie mam nawet czasu tchu złapać. Niepotrzebny nam tu wcale ten twój Jenkins. Ile razy na tydzień sól zaparza, to mi jest wszystko jedno i nie mnie obchodzić nie może. Jeżeli już mamy zejść na rzemieślników, sto razy lepiej wolę garbarza, można miewać od niego przynajmniej wołowe ogony. Doprawdy, zdaje mi się, że chciał-bys sprzedać córkę, aby za sól nie płacił!

Oburzenie gospodarza na tak niegodne posądzenie było takim, że zakołysał się w krześle, jak na okręcie, wyciągnął krzepkie nogi i, bojąc się czegoś jeszcze gorszego, nic nie odpowiedział. Wtedy zwykłym sobie sposobem poruszył parę razy łokciami, z czego pani Lovejoy słusznie wniosła, że sobie zanadto pozwoliła.

— No, no — poprawiła się zatem — może to niekoniecznie tak... Nie wątpię, że i ów Jenkins nie jest bez zalet i, o ile to ode mnie zależy, nie będę mu przeszkód stawiała. Ale pamiętaj, że i doktor Calvert musi mieć te same szanse; taka przecie stoi umowa, Marcinie. Każdego dnia w tygodniu obaj wstęp mają wolny, a obiad nie stanowi różnicy.

— Dobrze, bardzo dobrze! — odmruknął Franklin, wciąż jeszcze trochę o sól urażony — co do mnie, ja na wszystko przystaję. Calvert może ją sobie brać, jeżeli wykurować potrafi; nie mogę pa-trzyć na to bledne dziewczę, niknące nam w oczach. Nieraz serce mnie o to boli, więc ja jednak wierzę w skuteczność jęczmienia, niż jałapy, chociaż jednego ani drugiego nie pragnę miewać bezpłatnie.

— Zobaczmy, zobaczmy, kochanie, co jój pomoże. Doktor zaleca jój przejażdżkę powozem, a proszę cię, gdzież ona mieć to może, jeżeli nie w jego powozie? A przecież, zdaje mi się, nie może mieć jego powozu wprzód, nim za niego pójdzie?

— Przejażdżka powozem? Przypuszczam, że doktorzy rozumieją przez to jazdę kołową? Jeżeli jazda kołowa ma jój pomódz w czémkolwiek, to może miewać pięć razy na tydzień żółtą naszą karyolkę. Ja także potrzebował-bym objechać sąsiedztwo, tu i owdzie winni miludzie trochę grosza, zaraz jutro mógł-bym przewieźć trochę dzieciny.

— Żółta karyolka! I ty to nazywasz powozem! Nie zdaje mi się, żeby Mabel takiej przejażdżki potrzebowała! Cóż znowul trzęsie i rzuca, ile razy trafi na kamień, duszy mało nie wytrzęsie. Jeżeli takie masz wyobrażenie o powozie, Marcinie, to proszę, powieź nas wszystkich na spacer w karach od śmieci.

— Stara karyolka była dość dobrą dla mojej matki, pytam się więc: dlaczego nie ma być dobra dla mojej córki? Ci doktorzy i kobiety zawracają jój głowę gorzej jeszcze, niż młody Lorraine. Ach! gdybym ja miał Eliasza do podcinania moich drzew (a sam go tego uczyłem) i Hilarego, żeby znowu stanął na wozie, mógł-bym jeszcze wywinąć się od bankructwa... myślę przynajmniej, że mógł-bym.

Tutaj Gospodarz ciężko westchnął, przez fajkę wciągając powietrze. Co rok bowiem wybierał się zbankrutować, ale nigdy jakoś szczęścia tego dostąpić nie mógł.

— Dość już mam tego — rzekła pani Lovejoy — dawniej straszyleś mnie tém zawsze, ile razy przyszedł mróz, albo burza, albo deszczu i słońca za wiele, czy za mało, Bóg jeden wie, że jeżeli doczekałeś się jakiego owocu, toś go tylko wymógł na Panu Bogu mrużeniem. A teraz znowu, jak poganin jaki, wzdychasz do tego, żeby za dwóch naraz mężczyzn wydać córkę! Jednego chcesz jój dać na noc, a drugiego na dzień! No, proszę cię, czy raz przecie szczerze powiesz, co myślisz?

— Słuchaj, żono! nikt na świecie tak nie dokuczy człowiekowi i tak go cierpliwości nie nauczy, jak własna żona. Znany już jestem z tego, że zawsze otwarcie mówię, co myślę, czasem nawet za otwarcie! Tobie nie mogę tego powiedzieć, tak, jakbym powiedział komu obcemu, bo, widzisz, ty jesteś moją żoną i masz wszelkie prawo napadać na mnie; muszę więc odstępować od rzeczy, o które pospieszać-by się należało. Ale co się tyczy mojej córki, mam prawo mieć własną opinią, tak samo, jak ty masz prawo mieć swoją, bom ja ojciec

a tyś matka. Ale, co mówię, to prosty rozsądek dyktuje. Nasza Mabel jest właśnie w tej porze życia, w której dziewczęta ciągle marzą; możesz im wtedy mówić, co chcesz, one wcale na to nie zważają. Teraz wygląda blado i cała jest jakaś dziwna, skutkiem tej choroby młodości. Ale niech-no odbierze list od Hilarego, a zobaczysz, co się z nią zrobi!

— List mam! list! — nagle jak-by w odpowiedzi zawołał młody głosik, choć zbliżył się tak prędko, że słów przed chwilą wyrzeczonych usłyszeć już nie mógł. — Ojcie, mam list! list mam, mateczko! Długo na niego czekałam, mam go wreszcie! No, i cóż rodzice na to?

Twarcyzka jej promieniała uśmiechem zachwytu, oczy błyszczały łzami szczęścia, gdy stała tak pomiędzy zdumionymi rodzicami, powiewając otwartym listem, który, pod lekkim wiatru podmuchem, mniej drżał, niż własne jej wierne serduszko. Poczém przycisnęła papier do ust i kilkakrotnie głośny na nim złożyła pocałunek, a potem znowu przycisnęła go do serca i skłoniła się matce i ojcu, jak-by powiedzieć im chciała: „Możecie myśleć o mnie, co wam się podobał wcale się tego nie wstydzę!”

Gospodarz odrzucił z czoła dwa siwe kędziory i spjrzał na nią z najwyższem zadziwieniem. Stała oto przed nim dziewczyna, która jeszcze przy obiedzie ledwo była zdolną „tak” lub „nie” odpowiedzieć, która wzdrygała się przestraszona, gdy ktoś do niej niespodzianie przemówił i musiała zebrać myśli, nim zdobyła się na odpowiedź; uśmiechała się wprawdzie od czasu do czasu, dlatego, że uśmiechnąć się wypadało, ale nie dlatego, że do uśmiechu miała ochotę; z której, jedném słowem, zrobiła się nudna, o nie niedbająca, nienaturalna, chmurna, przygnębiona i obrzydliwie nieznośna Mabel, przyczyną niepokoju dla ojca, obojętoci dla siebie samej będąca;—aż tu nagle, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zjawia się Mabel dawna, równie jak dawniej zuch-dziewczyna!

Ojciec, zarówno jak i matka, ujrzeni dawny wyraz znów na ukochaną twarzyczkę wryty, i z radością powitali powrót familijnego trybu myślenia, patrzenia, kochania i dziękowania rodzicom za miłość, co wszystko rodzice tylko w twarzy dziecka wyczytać mogą. Oboje więc spojrzeli jedno na drugie i, mimo różnych drobnych nieporozumień, oboje małżonkowie jednomyślną radość uczuli.

Nie było to zgodne z ich projektami i oboje mogli się każde przy swoim upierać. Ale serca ich otwarły się teraz nagle, czy było to roztropnie, czy nie, czy źle, czy dobrze, cokolwiek ze stanowiska roz-

sądu powiedzieć-by na to mogli, nad tém pomyśleć teraz nie mieli czasu. Widzieli tylko, że słodkie, pocziwe to ich dziecię, przez tyle długich miesięcy, jakby zupełnie dla nich obce, teraz znowu do serca ich wracało. A nie mogli mieć lepszego nad to dowodu. Wzięła fajkę ojca, z wyniosłym lekceważeniem prychnęła noskiem na widok laku, (i to w nieszczególnym gatunku) miejsce busztynu zastępującego, i własnym swoim, w szyldkret oprawnym, scyzorykiem zeszkrobała, co jój się niepotrzebném wydało. A podczas gdy, to robiąc i nakładając fajkę, jednym palcem przyciskała tytoń, zwróciła się szybko drugą stroną do matki, tak, jak to żwawa tylko dziewczynka uczynić potrafi, i odgarnęła jój trochę włosów, które, ze znaczném naruszeniem symetrii uczesania, wysunęły się z pod czepka, i w dwóch miejscach pociągnęła matkę za niego, aby według ostatniej leżał mody, poczem ustami tylko dała matce poznać, jaką wagę do zdania jój przywiązuje. A wszystko to zrobiła w niespełna tyle czasu, ile go dwoje kochanków na jeden pocałunek potrzebuje!

— Pokonałaś mnie, Popsy! — odezwała się do niej pani Lovejoy, pieśczętliwą nazwą, którą sobie z czasów jój niemowlęstwa przypomniała.

— Niech mnie licho porwie! — zawołał gospodarz — pójdiesz, dziewczyno, nawet ze starego dyabła, jeżeli ci się podoba w nim zakochać!

ROZDZIAŁ VIII.

Niebezpieczne zlecenie.

Nietylko oczu i serca, ale jeszcze i nieograniczonej miłości prawdziwie kochającego serca potrzeba, by wynaleźć to, co Mabel odkryła za pierwszym rzutem oka: „niezmierną szlachetność” postępowania Hilarego, oraz „patetyczną piękność” wyrzutów, jakie sam sobie czynił. Może słuszność tych właśnie wyrzutów od razu wpadła-by w oczy obojętnym, ale miłość (ilekroć nazwy téj jest warta) jest siłą, zarówno wspaniałomyślną, jak i zazdrośną, szczególnież, gdy wzbierze tkliwą falą odrodzenia się swego z popiołów, oraz zgody, na nowo łączącój kochanków. Lorraine zaś szczerze myślał wszystko, co pisał, myślał nawet to samo przez dość długi czas po napisaniu, tak, że dwa serca zlały się w jedno przez pióro, daleko lepiej, niż-by się zlać mogły przez ulotnych słów mowę. Przynosząc pociechę sercu biednej Ma-

bel, znalazł też Hilary pociechę we własném swojém sumieniu i dobrych na przyszłość postanowieniach, i uczuł, że, na teraz przynajmniej, dobry jego anioł znów przy nim stanął na straży. Jak długo miał przy nim stać, to już inne pytanie. A potrzebował go teraz w kwestyach daleko drażliwszych, niż najgorętsze sprawy miłosne. Chociaż bowiem nie miał szansy odznaczenia się w którymkolwiek z rozpaczliwych szturmów, do twierdzy Burgos przypuszczonych (jako z depeszami wysłany), był już jednak z powrotem u boku wodza, gdy się rozpoczął odwrót, który był-by się musiał zmienić w bezładną ucieczkę, gdyby się nie odbywał pod rozkazami mądrego i doświadczonego wodza. Angielska bowiem armia w najgorszym znajdowała się położeniu, koło miesiąca Listopada 1812 roku. Potrosze skutkiem ciągłych zajęć z partyzantami, potrosze może skutkiem madryckich rozkoszy, a głównie bezwątpienia skutkiem braku gotówki, armia angielska nie była już tém, czém była niedawno jeszcze temu. Oficerowie nawet pozwalali sobie być najwyraźniej nieposłusznymi i iść drogą, którą sami uważali za najlepszą, zamiast iść tą, która im była wytkniętą. Wellington jednak znosił zuchwalstwo głupoty z cierpliwością, na jaką nie zdobył-by się człowiek, mniej siły charakteru mający: zmuszony znosić ją w tych, którzy wyżej od niego stali, umiał znieść ją w swojém otoczeniu, a panem być mimo niej przecie. Tysięczne kłopoty, jakie miał ze wszystkimi i z wszystkiém naraz (gdy nawet rodacy byli przeciwko niemu, a nikt nie zadawał sobie pracy zrozumieć go, gdy cały świat lekce go sobie ważył, dla tego, że nie chciał ludziom oczu zamydlać, gdy sam nawet może w głębi ducha zwątpił nieraz o własnych zdolnościach i siłach, dlatego, że je zapoznawali ludzie) niemniej jak i nużące nsiłowanie pozostania uczciwym, pomimo braku grosza, zaczynały już przypruszać siwizną włos, tak mądrą głowę pokrywający.

Była to znowu korzystna dla Hilarego sposobność i bezwiednie jakoś skorzystać z niej umiał. Szybko, zbyt może nagle, ulegający wrażeniu, jakie na nim ludzie robili, wyrył on w swoim umyśle niezatarty obraz wielkiego wodza swego. Wiedział to generał (każdy bowiem człowiek czuje, jakie na kim zrobił wrażenie, równie wyraźnie, jak wyraźnie widzi odciski na masle ozdoby) i naturalnie życziwym się czuł dla młodzieńca, który z taką czcią na niego spoglądał. Nową było to rzeczą dla znamienitego wodza, który tyle już odniósł zwycięstw, być za cośkolwiek uważanym; nie był on bowiem Francuzem.

Będąc jednak surowo sprawiedliwym (choć nie był Francuzem),

lord Wellington nie wyniósł kapitana Lorraine po-nad głowy towarzyszy broni. We własnym tylko umyśle, dziwnie bystrym i nie zapomnieć niezdolnym, zaznaczył go sobie, jako człowieka, któremu można było powierzyć śmiałą jakąś imprezę, i który zasługiwał na danie mu sposobności do niej.

Po długich tedy walkach, po wielu zwyciężkach szturmach, bitwach i oblężeniach, ściągnęli na zimowe leże do Aguada. Rząd angielski, który na prawo i na lewo rozrzucił miliony złodziejom, pozostawiał wtedy własną armią bez grosza, zezwalając na to, by wieszano człowieka, jeżeli jedną ukradł cebulkę. Jedyną zaś satysfakcją, Anglikom pozostawioną (a i w tej używaniu wielce się wspaniałomyślnymi okazali) były wieści o marznących w Rossyi Francuzach, wieści o tyle pośpieszne, o ile być mogły.

Owo cofanie się ku granicy i odpływ powodzenia, wywołując sarkanie w Anglii, a upadek ducha w żołnierzach, niezmiernie też szkodliwie oddziaływały na pomyślność pewnego sztabowego oficera, który słynął z dzielności, jak i z gorliwości zarówno. Zaplątały go one bowiem ponownie w jedwabne te sieci, z których już prawie był się wymknął bez wielkiej dla siebie szkody. Teraz jednak nie było już dla niego nadziei wyzwolenia, trudne więc to było położenie i w samej rzeczy zasługiwał teraz Hilary na trochę litości; nie powrócił on bowiem z własnej woli paść u nóg czarodziejki, ale, idąc najściślejszą drogą obowiązku, padł mimowolnie ofiarą. A stało się to w sposób następujący.

W miesiacu Maja 1813 roku, gdy dowódzca angielski wszystko miał w pogotowiu do przesławnej tej kampanii, która Francuzów za Pireneje przegnała, i gdy wojsko angielskie, orzeźwione, pokrzepione i w ścisłe karby karności ujęte, rwało się niecierpliwie do boju, nagle smutna stanęła na drodze przeszkoda. Nie żadna zaś bynajmniej nowa forma przeszkody; owszem, z dawna zbyt dobrze znana, po wszystkie czasy i we wszystkich krajach: nerwu wojennego zabrakło. Kasa wojskowa była pustą. Żołd wojsk angielskich zalegał już oddawna, również jak i dodatkowa gratyfikacya, ale do tego byli już żołnierze oddawna przywykli, i jakkolwiek sarkali, ile mogli, gotowi wszakże byli do marszu. Inaczej się jednak rzeczy miały z Portugalczykami, którzy ważnym teraz byli żywiołem, a nawet i regularne wojsko hiszpańskie kroku zrobić nie chciało przed wzięciem dolarów do ręki.

Tę potrzebę pieniędzy przewidział należycie wszechstronny umysł Wellingtona, ale czego nie przewidział, i co nikomu nie było-by przy-

szło do głowy (tak wprędce po Nelsonowskich czasach), to gnuśność angielskiej marynarki. Czy stało się to z winy rządu, czy z winy dowodzącego tam admirała, to jednakże jest pewnem, że ujście Tagu (będąc razem ujściem całej angielskiej armii), na wiele dni, a nawet na wiele tygodni, zostało zamknięte przez kilka statków amerykańskich. Tak więc okręty, wiozące dla armii angielskiej zasilki żywności, odzienia lub nawet najpotrzebniejszego ze wszystkich złota, o tyle tylko wymknąć się mogły, o ile zboczyły niebezpieczną drogą na Docro albo na Kadyx.

W takim-to stanie rzeczy „Generalissinus” posłał pewnego dnia po kapitana Lorraine i wyprawił go ze specyálném poleceniem.

— Znasz pan hrabiego Zamora — stanowczym, wyraźnym głosem swoim przemówił lord Wellington — i zamek jego w Sierra Morenie?

Hilary skłonił się, nie mówiąc, wiedział bowiem, co lubi generał!

— Znasz także dobrze okolicę i przesmyki w Morenach. Pułkownik Langham ma polecenie dostarczyć panu pięć najlepszych koni i dwóch najzaufanszych ludzi. Pojedziesz pan prosto do hrabiego Zamora i oddasz mu ten oto list. On panu powie, co masz dalej uczynić. Zdaje mi się, że okręt z pieniędzmi, który pan pod straż wezmiesz, nie mógł płynąć na Lizbonę, ani na port Kadyxu, ale musiał obrócić drogę na Malagę. Hrabia jednak wie to lepiej ode mnie, pamiętaj pan więc, że jesteś oddany pod jego rozkazy, we wszystkiém, z wyjątkiem wszakże pieniędzy. On pana zaopatrzy w eskortę hiszpańską, za całość pieniędzy odpowiedzialną, która pana przeprowadzi przez Andaluzję i góry, aż do Zujar, gdzie spotkasz pan wysłany naprzeciw ciebie oddział generała Hilla. Proszono mnie, by nie wysyłać angielskiego konwoju (prócz tego, ile koniecznie potrzeba, dla upoważnienia do wydania pieniędzy) bo hiszpańskie wojsko dodaném nam będzie do eskorty. Nie zważaj na to, bądź tak czujny, jak-by każdy szeląg był twoją własnością, a raczej jak-by był honoremu twego częścią. Rzadko mi się zdarza umieścić młodego człowieka na stanowisku, na którym tak mu ufać potrzeba. Ale wypadek to wyjątkowy, a ja panu wierzę zupełnie. Będziesz pan miał pod swoim dozorem stotysięcy funtów szterlingów w złocie. Hiszpanie dostarczą ci podwód, a hrabia Zamora otrzyma połowę téj summy, jako pełnomocnik Junty Sewilskiej, dla zapłacenia posiłków hiszpańskich, i pokwituje cię z odbioru. Resztę doprowadzisz pan tutaj najprędzej, jak będziesz mógł, pod opieką oddziału generała Hilla. Nie mam

czasu dłużej z panem mówić. Pułkownik Largham udzieli panu szczegółowej instrukcyi. Pamiętaj tylko, że daję ci dowód zaufania, które rzadko tak młodemu oficerowi okazuję. Bywaj pan zdrów i czujne miej oko.

Lord Wellington, skończywszy te słowa, podał Hilaremu rękę i ukłonił mu się tak, jak się starzy ludzie kłaniać umieli. On zaś, oddawszy mu wojskowy, zwierzchnikowi należny, ukłon, przyjął ukłon, generała jak grzeczność, *gentlemanowi* od *gentlemana* należną. Ale, dotknąwszy téj dłoni chłodnej, silnej i muskułarnej, uczuł, że generał okazuje mu w istocie niezwykle zaufanie, i że cała jego przyszłość, jako oficera, a może nawet i jako *gentlemana*, zależy od sposobu, w jaki wywiązać się z zadania potrafi. W dziedzińcu spotkał pułkownika Langhama, który dał mu instrukcye piśmienne i listy wierzytelne, a przytém i sporo dobrych rad, których generał nie miał czasu mu udzielić. W godzinę potém odjeżdżał już Hilary, pełen najlepszej myśli, marząc o Mabel i o szczęściu, jakie go spotkało, i nie przypuszczając wcale, że szybkim krokiem zdąży do przepaści, która szczęście jego pochłonie.

Za nim jechało dwóch starannie wybranych szeregowców, tak wybornie wytresowanych, jak najlepszy kamerdyner lub leśniczy, lub nawet jak najlepszy legawiec. W całym świecie stateczności nie można-by znaleźć dwóch stateczniejszych od nich ludzi. Jednym z nich był sierżant Bones, a drugim kapral Nickles, każdy z nich wiodł za sobą luźnego konia na uździe, przyrządzonej z miękkich, brunatnych gałązek wierzbowych, moczonych w odwarze z kory dębowej i w oleju, którą to uzdę konie uważają za coś bardzo wielkiego. Jechali więc tak sobie wśród pięknej, gwiazdami oświetlonej nocy, starym, rzymskim jeszcze gościńcem, otoczeni cudowną różnorodnością widoków, rozkosznie wonnym powietrzem, a nigdzie i od nikogo napaści obawiać się niepotrzebujący. Francuzka bowiem armia, leżała dalej na wschód i północ, Portugalczycy dalej byli jeszcze, a siły hiszpańskie skupione były w stronie południowej, z wyjątkiem kilku gerylasów, którzy nie na téj napaści zyskać nie mogli. Ale dzień, po nocy owęj następujący, okazał się gorącym, droga była trudna, konie pomęczyły się prędko i, mimo całego pośpiechu, nie zdążyli do Monte-Argento wcześniej, jak na drugi dzień po zachodzie już słońca.

Hrabia Zamora czuł w sercu pewne dla Hilarego przywiązanie, a nawet i wdzięczność niejaką, i uczuć tych składał dowody dworską grzecznością, z jaką go u siebie przyjmował. Hilary znów ze swéj strony nie mógł nie podziwiać dzielności, patryotyzmu i poetycznej

prawie godności tego wojownika, minione już czasy przypominającego. Będąc bowiem prostego dość umysłu, a płynnej i górnej wymowy, Hrabia zawsze prawie zaczynał od retorycznego zwrotu, ile-by to on mógł być się przyczynić do wyswobodzenia ojczyzny, gdyby tylko był młodszym. Wyczerpawszy te przypuszczenia, z wolna przechodził zwykle do wojskowej cnoty swych synów. Jeżeli wtedy okazał ktoś zniecierpliwienie, hrabia z wyniosłym ukłonem rzecz swą przerywał, jeżeli nie, prowadził ją dalej, a im dalej prowadził, tém więcej znajdował w tém przyjemności. Hilary, młodzieniec bardzo grzeczny i istotnie dobre mający serce, pozyskał był względy hrabiego (że już o wdzięczności nie mówię), niezłomnie wierząc w jego świetne czyny, również jak w te, których ojciec jego i praojcowie dokonali, a najbardziej w te, których dokonali dwaj jego synowie, i opowiadał hrabiemu bez ziewania słuchając.

— Jesteś pan pod mojami rozkazami — rzekł hrabia z oschłym uśmiechem na pięknej, sędziwej twarzy. — Dobrze to, mój synu, dobrze i chwalebnie, skoro tak wielki nasz dowódzca rozkazał. Pierwszym tedy moim rozkazem jest, abys przyszedł wieczerać, wypoczął i w pantoflach przez całe trzy dni chodził.

— Czy instrukcje te otrzymam na papierze — spytał Hilary — i pod pieczęcią Junty?

— Junta jest starą babą — odparł gospodarz domu — pape, gderze i dusi pieniądze. Ale wejdź, mój synu, wejdź proszę. Przybyłeś, jakieś to zwykł czynić, w samą porę; inaczey nie był-byś mnie zastał. Mamy właśnie prosiaka bardzo szlachetnego rodu, a w nim trufle ze znajomych ci miejsc. Rozbierzesz go, jesteś silny, a wy Anglicy umiecie się obchodzić z ostrą stalą. Synowie moi dotąd są na wojnie; ale córki... jakże się ucieszą, zobaczywszy cię!

Młodociane upieczone niewiniątko (takiem było w istocie) wabiło ku sobie wonią i właśnie w téj chwili podniosła się lekka franka i weszły dwie lekkie postacie; wszystkie bowiem hiszpańskie dziewczęta umieją się poznać na tém, co dobre. Kamilla i Klaudya przywitały Hilarego, jak-by z nim były od samego rana i od razu całą swą uwagę na stół zwróciły. Hilary zaś, na wylót je znający, sam do siebie rzekł tylko: jak one doskonale wyglądają!

I nie mylił się: świetna i wyzywająca piękność Klaudyi odbijała przy delikatnym i łagodnym wdzięku Kamilli. Żadna z nich nie zdawała się ani trochę dbać o to, co kto o niej pomyśli, lub czy w ogóle ktokolwiek pomyśli cokolwiek o przedmiocie tak obojętnym, tak dalekim i tak zupełnie oderwanym. Kapitan Lorraine był więc

dla nich czéms nakształt braciszka zakonnego, pustelnika lub piel-grzyma. Były mu bardzo wdzięczne za to, że rozbiera prosię i do-wodnie to okazywały, że prosię wydawało im się dobrém.

Tymczasem tak się zdarzyło, że taktyka ta pokazała się nieodpo-wiednią chwili. W zwykłym będąc usposobieniu, Lorraine mógł-by był paść ofiarą pięknych dwóch dziewcz; ale wiedząc, na jakie naraża się niebezpieczeństwo (którego uniknąć nie miał szansy), całą drogę przysposabiał się do tego, aby jak najsurowszym być krytykiem. Szczere przywiązanie Mabel, (którego mu dowiodła listem, w odpowie-dzi na list jego pisanym) wzruszyło go; nie wspomniała mu ona ani słówka o żadnej rywalce, albo o ostygnięciu jego miłości, ale ciepłym, wiernym, kochającym sercem wypowiedziała mu dumę swoją, radość i miłość, jaką dla niego czuła. Hilary list ten miał w kiesze-ni i z jego właśnie powodu do krytyki czuł się skłonny.

Bez żadnej obrazy majestatu wielkodusznego kobiet plemienia, na pewno twierdzić można, że, wiedząc, jak są piękne, dobre i stano-wczo od mężczyzn wyższe, są jednak tak względem nich wspa-niałomyślne, że się (po największej części) powstrzymują od ujawnia-nia zbyt wielu doskonałości. Nigdy się bowiem nie wydarzy, aby jakikolwiek doskonałości tych objaw, poddany krytyce, okazał się całkiem bez zarzutu, chociaż, ma się rozumieć, krytyce podlegać ko-biety nie chcą. Było to zatem źle ze strony Hilarego i w uwłaczają-cém mu okazywało go świetle, że śledzącami oczyma przyglądał się młodym pannom dlatego, że one niebardzo na niego patrzeć chciały. Wynikiem zaś tych spostrzeżeń, przy ogryzaniu prosięcia uczynionych, było co następuje.

Ze strony fizycznej, *physique*, a słowo to od lekarstwa, *physic*, gor-zszym być dla Anglików powinno, nic a nic nie można było obu mło-dym tym pannom zarzucić. Były one szlachetnemi okazami najpię-kniejszego hiszpańskiego typu: wysokie, kształtne, bogatęj karnacyi, z czarującami oczyma, z bujnym w klasyczne karby połamanym wło-sem, z gracyą w każdym kroku i ruchu, z melodyą w każdego słowa dźwięku. Ale w najwyrazistszém ich spojrzeniu, w najsilniej cza-rującym uśmiechu, byłaż-ta prostota i dobroć, ta prawosć i prawda, ta moc pocieszenia i rozweselenia, którą znaleźć można było w mło-dęj osobie, równie powabnej, choć mniej wspaniałej urodą?

Ztąd więc młody kapitan zaczął przemyśliwać nad radą wuja Struana, a nawet nad słowami siostry w téj kwestyi, które to słowa, pochodząc od dziewczyny tak dumnej (za taką ją bowiem uważał, choć wiedział, że wcale dumną nie była) sprawiły mu z razu niemałe

zdziwienie, a razem i skutek wywarły niemały. Ostatecznym tego wynikiem było przyciśnięcie do serca portretu Mabel i miłosego jój liściku, poczem sam sobie oświadczył Hilary, że jedna angielska dziewczeczka warta jest dwunastu hiszpańskich.

Następnego dnia, piękne dziewice zmieniły sposób postępowania. Prześcigały jedna drugą w grzecznościach dla Hilarego, oprowadzały go po najlepiej mu znanych miejscach, najmuzykalniejszym głosem szczebiotały mu po hiszpańsku, śpiewały mu miękkie miłosne piosenki, szafowały dla niego spojrzeniami i uśmiechami; nic w ich przekonaniu nie było dość dla niego dobrém. Ma się rozumieć, że Hilary niezmiernie się tém rozkoszował i przez samą wdzięczność czuł się obowiązany trochę z pannami poromansować; ale, ogólnie wzięwszy, zachowywał się jeszcze bardzo przyzwoicie. Nie okazywał naprzykład żadnej, zazdrość wzbudzającej, stronności dla jednej z dwóch swoich czarodziejek; ale równie był uprzejmy dla biednej Kamilli (której serce wybierało miłością i szczęściem) jak i dla Klaudyi, która teraz na seryo zaczęła troszyć się o to, by siostra nie zdobyła go dla siebie. Był to niebezpieczny dla Hilarego obrót wypadków i szczęściem to dla niego było, że go niebawem odwołano. Gospodnrz domu otrzymał bowiem depesze, które go zmusiły do okazania się niegościnnym, i kapitan Lorraine z wielką swoją pociechą, rnszył nazajutrz rano do Malagi, Sierżant Bones i kapral Nickles nie próżnowali téż na dole, wśród dziewcząt służebnych i niebardzo im się chciało odjeżdżać; ale obowiązek jest zawsze przewodnią gwiazdą szlachetnych kaprali angielskich. Nickles i Bones, posłuszni wezwaniu ojczyzny, zerwali węzły domowego ogniska i przypasali oręże. Wesoło ruszyli więc samotrzeć, bo konie wypoczęte mieli i ogniste, do głównej kwatery wojsk hiszpańskich, nieopodal od Korduby, zkąd wyruszyć niebawem mieli do Malagi.

ROZDZIAŁ IX.

Drogie i silne uczucie.

W tym właśnie czasie niczeg tak wysoko nie ceniono, niczego tak nie uwielbiano i nie kochano, o nie tak nie proszono, niczego tak nie pożyczano i niczego tak w każdym kącie stałego ładu nie kradziono, jak pocziwych złotych gwinei angielskich. Piękne staroświeckie ich oblicza i wesołą ich barwę mile wszędzie witano; dość było na nie

spojrzeć, by ocenić czystość ich, naturę i wartość, i przekonać się, że dłużej one trwać będą, niż błyskotliwy, świeżo zjawiony „Napoleon”. Szczyściem dla świata, biedna ta, słabo zabarwiona i zafałszowana moneta, „suwerenem” teraz zwana, nie była podówczas przedstawicielką wartościowego bogactwa Anglii!

A choć teraz tak nisko upadliśmy w błoto, za sprawą zmienników szalbierzy i demagogów, że głos Anglii nie więcej znaczy, jak wrzask groszowych czyszcicieli obuwia, to jednak miło-by nam myśleć o wszystkiem, co tak wspaniale i bohatercko, kosztem naszym, zdziałali nasi ojcowie, gdyby inne narody, (które, od wieków gnębione, bez wpływu Anglii nie istniały-by już dzisiaj) nie uważały tego sobie za śmiertelną obelgę, że Anglii istnienie swe zawdzięczają. Bądź jak bądź, niejeden szlachetny Hiszpan z Malagi i jej okolic raczył przybyć i przypatrywać się wyładowywaniu angielskiej korwety *Cleopatra cum Antonio*. Był to najszybszy ze statków, kiedykolwiek na Francuzach zdobytych, a imię jego zeszło zrazu na *Clipater*, a potem na *Clipper* i takiem już do dziś dnia zostało. Ten-to właśnie okręt, mimo pieniędzy, jakie wiozł, ubiegł francuzkie i amerykańskie okręty i stał na kotwicy, czekając, by z niego ładunek zabrano.

Lorraine przyglądał się tej czynności ze zwykłym sobie żywym zajęciem.

Widok był to tak nowy, ludzie tak dziwni, a ich poglądy na świat tak oryginalne, że nie mogło mu się zdarzyć żadne ciekawsze, szlachetniejsze i więcej niezwykle widowisko. Nie było tam takiej wieży Babel gestykulacyi, jaka-by dała się widzieć we francuzkim na przykład porcie; ale pomiędzy krajowcami, w liczne zebranemi grupy, ciągle były *a parte*, co zawsze dla obcego przybysza ciekawem jest do widzenia. Pełna zaś godności powaga, z jaką Hiszpanie na swój rachunek odbierali pieniądze, była zaiste dla angielskiego umysłu budującą. „Możli-by byli przynajmniej powiedzieć: — dziękuję —” myślał Hilary, biorąc kwit na oddane pieniądze i kładąc swój podpis pod kilku hiszpańskimi nazwiskami. Ale to do niego nie należało!

Sto tysięcy angielskich gwinei, wtedy nawet, gdy się je natychmiast oddaje, nie są rzeczą, którą-by lekceważyć można. Waga ich (nie rachując w to wagi żelaznych skrzyń, w które je w Ministerjum Skarbu kładziono) wynosiła nie mniej pewno jak ton, a ze skrzyniami ważyć musiały dwa razy tyle. Było dziesięć skrzyń takich, bezpiecznie zamkniętych i opieczetowanych, a każda z nich zawierała dziesięć tysięcy gwinei. Wszystkie one wydane zostały przez angielskiego agenta delegatowi hrabiego Zamora, któremu towarzyszyło

dwóch członków Junty Sewilskiej i Alkad Korduby, a znakomici ci mężowie, nagadawszy się niemało, spakowali przy pomocy oficerów hiszpańskich cały ten ładunek na cztery, mułami zaprzężone, wozy, i wysłali je pod silną strażą do Głównego Sztabu nieopodal Korduby. Tutaj spotkał ich hrabia Zamora i pokwitował Hilarego z odbioru hiszpańskiego subsydyum, które wprędce rozeszło się (zwykłą pieniądze drogą) pomiędzy żołnierzy hiszpańskich. Nazajutrz zaś, pięć mniej szczęśliwych mułów, wiozących żołąd armii angielskiej, poszło z pięciu pozostałemi skrzyniami — zawsze pod hiszpańską eskortą — w stronę Sierra Moreny.

Hilary zastosował się swoim zwyczajem do usposobienia i humoru otaczających. Hiszpańscy oficerowie przyłgnęli do niego łącznie, zarówno jak żołnierze, a nawet i muły. Był on znowu w jak najświetniejszym humorze, łaskawie i serdecznie sam z siebie zadowolony. Przez długi czas dokuczało mu sumienie z powodu owej sprawy z Klaudyą, ale teraz chwaliło go za przyzwoite zachowanie się i za powrót na drogę obowiązku. Ciągłe miał on pewne niespokojności co do przysiąg, hiszpańskiej dziewicy składanych; ale w istocie nie wierzył temu wcale, aby się ona ich dotrzymania domagać miała. W głębi serca prawie był pewny, że uroczą młodą Donna ani troszkę nie dba o niego, i że tylko dała się unieść chwilowo młodemu sercu swemu i jego własnemu głębokiemu zapałowi. Oho! teraz już zbyt on się miał na baczności i zbyt dobrze znał kobiety, by się dać którejkolwiek na manowce sprowadzić. Klaudia była śliczną, uroczą i nad wyraz ponętą dziewczyną, ale teraz, byle tylko jęj unikał, co święcie czynić postanawiał...

— Waleczny i słynny młody kapitan — przerwał mu bieg myśli hrabia Zamora, podjeżdżając ku niemu na rozdrożu, (gdzie rozdwajała się górską droga na dwie drożyny, z których jedna do domu jego wiodła) — nie pogardzi, ma się rozumieć, na noc skromnym naszym dachem?

— Boję się, że mi to będzie niepodobnem, drogi senhor — odparł Lorraine, unosząc kapelusz ruchem, właściwym Hiszpanom, a wybornie od nich przejętym — mam polecenie, aby co siłą śpieszyć ze skarbem, dopóki nie spotkam naszego oddziału.

— My za skarb odpowiadamy — odparł hrabia z uśmiechem bardzo miłym, ale z leciutkim też odcieniem wyniosłości — dopóki nie przejdiesz pan rzeki, po drugiej stronie gór naszych płynącej. Małoż-ci jeszcze tego, senhor? Odbyliśmy długą drogę i muły nasze są zmęczone. Jeżeli nawet młody kapitan woli biwakować pod gołębniem, jest przecie przysłówie, że angielski szlachcic piérwój myśli

o zwierzętach, niż o sobie. Patrz-no pan, teraz słońce jest nisko i zbierają się chmury! Eskorta jest dotąd pod memi rozkazami; jeżeli pan odmówisz, będę zmuszony użyć władzy Junty.

Cóż miał robić Hilary? ustąpił... Oddano go pod rozkazy hrabiego, a hrabia w ten sposób nim rozporządził. Wymówił sobie wszakże, że konwój natychmiast ruszy w drogę, skoro tylko wszędzie księżyc; wiosenną porą na południu lepiej jest w nocy, niż w dzień, podróżować.

Wprowadzono więc wozy w murami obwiedziony czworobok Monte-Argento, zamknięto za nimi ciężkich bram podwoje i wyprężono muły, które się radośnie koło fury żyta skupiły. Hiszpańscy oficerowie, ciągle jeszcze straż trzymający, chętnymi byli współbiedniakami, a Hilary, z właściwą sobie i dobrze uprawianą giętkością charakteru, zastosował się do ich usposobienia. Jednym słowem, wszyscy używali sobie wczasu.

Jedna tylko wśród nich gwiazda świecąca, jak gwiazda promienna i jasna, przedmiot uwielbienia wszystkich ją wielbiących, jedna tylko Klaudya smutną była. Hilary, w upojeniu młodzieńczego humoru i nadziei awansu, Hilary, dumny spełnieniem obowiązku i trudnego zadania dokonaniem, w dumę wbity pieniędzmi, wypłaconemi przez naród, którego on był członkiem, pyszniący się nawet mówieniem tylu pięknych rzeczy w języku, niedostatecznie mu znanym, Hilary chwycił jednak od czasu do czasu pełne wymówek spojrzenie wielkich tych oczu i czuł, że psują mu one prawie całą przyjemność obiadu. Ale nie na tém jeszcze skończyć się miało!

Gdy bowiem najspokojniej w świetle szedł kazać zaprzęgać wozy, by ruszać w pochód przy świetle księżyca, w pełni z za gór właśnie wschodzącego, wsunięto mu w rękę najwykwintniejszy z bilecików, tak delikatnie, jak-by pochodził on od gołąbki, za młodój jeszcze na gruchanie. Wiedział on, ma się rozumieć, że list ten pochodzi od damy, a ponieważ i czas, i miejsce nadawały się do romansu, przeto serce szybko mu bić zaczęło.

Pismo było zbyt drobne, by je dobremi nawet oczyma przy świetle księżycowem wyczytać było można; ale Hilary postarał się dostać niewielką jakąś lampkę i, przy bladém jój światelku, wyczytał, co następuje:

„Zapomniałeś o złożonych mi przysięgach; musisz wytkłomaczyć się przede mną. W domu nie znajdziemy do tego sposobności, Niańka moja ma córkę, za „echowym mostem” mieszkającą; znasz to

miejsce; droga twoja o milkę ztamtąd wiedzie. Jeżeli potrafię się wymknąć, za dwie godziny będę na moście; tam czekać będziesz na mnie, jakeś szlachcie i Anglik”.

List był bez podpisu, ale naturalnie od Klaudyi tylko mógł pochodzić. Wśród tych zarozumiałców, hiszpańskich oficerów, którzy nie podzielali zdania Hilarego, a nawet śmieli z nim się sprzeczać, czy był choć jeden, który-by nie dał prawej swjej ręki, złożonych ostróg, a nawet brody swojjej, żeby otrzymać taki list i mieć tak wyznaczoną sobie schadzkę przez córkę hrabiego Zamora?

Gdy Hilary żegnał się przed odjazdem w dziedzińcu, gdzie rozpościerał się cień murów i liści, księżycowemi blaski przerywanych, uwidziało mu się, że Douna Kamilla (która wyszła go żegnać w białej mantyli, lekko głowę owiewającą) dawała mu jakieś znaki, jakby z całego serca z nim pomówić pragnęła. Ale hrabia stał tuż obok z gośćmi swymi, ludzie mułami powożący trzaskali biezami, a koń Hilarego rwał się i spinał, podczas gdy całe towarzystwo przesyłało odjeżdżającemu pocałunki od ust. Zaczął się tedy spuszczać wśród drzew, skał i cienistych ostępów leśnych, rozkoszując się świeżością nocy letniej i spokojną pięknnością wzgórz, księżycem oświeconych. Nickles i Bones, dwaj szeregowcy angielscy, wyprzedzali go trochę, wiodąc każdy konia jednego luzem i uparcie wlepiając oczy w wozy z pieniędzmi, ciągle jeszcze pod strażą hiszpańskich kawalerzystów będące. Angliey bowiem mało bardzo ufali uczciwości „tych pyszałków Donów” i poczytywali to sobie za ublżenie, a rządowi za szaleństwo, że skarbiec opiece Hiszpanów został powierzony.

W takim porządku przybyli nad rzekę Zujar, która tu jeszcze, u podnóża gór, wązkim płynąc strumykiem, stanowiła granicę dóbr hrabiego. Stosownie do umowy z Hiszpanami i do dziś otrzymanego ostrzeżenia, konwój miał się tu spotkać z konnym szwadronem dywizyi generała Hilla, który-to szwadron natychmiast objąć miał straż nad sztabem i kierować się w powrocie wskazówkami kapitana Lorraine’a. Tymczasem nie zastano weale nad rzeką oddziału angielskiego i trębacze daremnie otrąbili pobudkę.

Hilarego zdziwiło to trochę, ale nie miał on żadnej wątpliwości względem tego, co uczynić mu należało. Pod żadnym warunkiem nie powinien był pozwalać, by wozy z pieniędzmi przebyły rzekę i wyszły z pod opieki hiszpańskiej, zanim pod opiekę Anglików oddane zostaną. Powiedział to więc najwyraźniej pułkownikowi hiszpańskiemu, który zupełnie na to się zgadzał i przyrzekł zatrzymać

się dopóty, póki Lorraine nie przejdzie rzeki. Wysłano zatem Bonesa i Nicklesa na spotkanie spodziewanego szwadronu, który do pospiechu naglić mieli; hiszpańscy bowiem kawalerzyści zaczęli się niecierpliwić, a karności ich wojskowej nie należało zbyt ciężkimi doświadczać próbami.

Wobec takich okoliczności pewny był młody Lorraine, że mu wolno, bez zaniedbania swój powinności, ująć dla siebie minut kilka, by „jak szlachcic, gdzieindziej spełnić obowiązek. Rozumiał on, iż Klaudyi wydawać się może, że sobie z nią tylko żartował, chociaż w głębi serca był pewny, że ona to samo z nim robiła. Teraz więc zamierzał powiedzieć jej prawdę i prosić, by go zwolniła ze słów, których dotrzymanie nie było do jej szczęścia potrzebnem.

„Echowy most” znajdował się o staję od miejsca, gdzie na rzeczką zatrzymały się wozy. Był to most niezmierniej starożytności, prawdopodobnie Gotów czasy pamiętający, a noszący na sobie ślady maurytańskiej reustauracyi. Był on rzucony nakszałt promu przez potok, który z hukiem z gór zbiegał, i musiał mieć niegdyś niemałe znaczenie, stał bowiem u wejścia do wąwozów górskich i, oprócz dwóch głębokich arkad, które ludziom, mostu broniącym, za schronienie służyć mogły, dźwigał jeszcze mocno obronną wieżyczkę. Cała ta budowla znajdowała się teraz w takim stanie, że każdy przybór wody, każda burza przyczyniała się do jej zniszczenia i, jakkolwiek przejeżdżać mogły tamtędy lekkie wozy, a przechodzić ciężkie nawet osoby, to jednak racją mieli oficerowie, prowadząc wozy z pieniędzmi przez bród, znajdujący się poniżej mostu.

Hilary, zanim stąpił na ten most, przez starość uszkodzony, zgrzybiałością czcigodny, ale wszelkim zbrojeckim zasadzkom sprzyjający, przekonał się piérwój, że miecz jego za piérwszém pociągnięciem z łatwością z pochwy wychodzi. Była to chwalebna może ostrożność, ale bez wątpienia nie była ona dowodem ślepego zaufania, jakie pokładał kochanek w dziewicy, na której spotkanie się udawał. Był to raczej dowód różnicy pomiędzy miłością prawdziwą a szaloną, i mimowoli uśmiechnął się Hilary, sam sobie zadając pytanie: czy potrzebował-by próbować pałasza, gdyby szedł na spotkanie Mabel? Wtedy, sam wstydząc się przed sobą tak nizkiej nieufności względem Klaudyi, śmiało wszedł pod sypiące się w gruzy arkady mostu, a ztamtąd na strome schody, na most wiodące.

Stanąwszy na środku starożytniej budowli, zaczął rozglądać się wkoło, patrząc w górę, oraz w dół rzeki. Tam, w stronie gór, samotność tylko była i grube ciemności, tu i owdzie światłem przerzniete,

a w dali zwojami mgły spowite. Z biegiem wody patrząc, widział podgórza, łagodną pochyłością ku nizinom się staczające; twór wszelki wczasował sobie w rzeźwiącym chłodzie letniej nocy, była to bowiem pora, kiedy szalę męskiej siły słońca już mija, a słodkie wahanie po nim następuje.

Hilary patrzył na to wszystko, ale, prawdę rzekłszy, nie przed sobą nie widział. Doznał tylko ogólnego wrażenia, że jest to pyszny widok i w inną porę rad był-by stał i rozmyślał nad nim. Teraz jednak czasu miał bardzo mało i korzystać z niego musiał, chwili nawet nie tracąc. Oddział angielski mógł się ukazać u brodu, lada chwila, a wtedy będzie musiał od razu tam pośpieszyć, by pilnować przeprawy. Żeby zaś tego być świadomym, prosił, by zatrąbili hiszpańscy trębacze, on zaś sam trzymał w pogotowiu konia, który sobie spokojnie chłodną trawę przygryzał.

Cień starzej warowni mostowej i bluszczem obrosłych jej arkad padał na drogę, do mostu prowadzącą, i kładł się na niej słupem ciemności. Ale zresztą widać było kamienie i można było odgadnąć wiek każdego z nich, jego dzieje i charakter jego. Żaden nawet żuczek lub skoczek nie potrafił-by ujść baczного oka śledzącego go nieprzyjaciela. Ale za krawędzią blasków, przez nocną lampę światła rzuconych, zalegały już ciemności takie, jakich nigdy w świetle tam niema, gdzie księżyc mniej jasno świeci. Hilary stał w świetle, czekając, a z cieni wysunęła się postać Klaudyi.

— Wątpiłam, czy zrobisz mi pan zaszczyt czekania na mnie tutaj — rzekła... i westchnęła: — O Hilary! jakże się dla mnie zmieniłeś!

— Nie zmieniłem się wcale, *senhoreto*; wiem tylko, kiedy jestem kochany.

— A nie wiesz... więc nie wiesz... ale może nie wypada mi mówić tego. Wasz obyczaj jest tak różny od naszego, że może pogardzać mną będziesz, gdy ci wszystko wypowiem. Ale nie będę płakać, nie, nie chcę płakać.

I, gwałt sobie zadając, podniosła przecudne swe oczy, by dowieść prawdy słów swoich; ale było to nad jej siły. Łzy nadbiegły ogromne i jak perły jasne w świetle księżyca błysnęły; ale, nie chcąc ich pokazać Hilaremu, odwróciła się tylko, wyrażając życzenie, by nikt na świecie nie wiedział, jak silnemi są jej wzruszenia.

— No! no! — rzekł Hilary (bo Anglik zawsze mówi „no. no” gdy go coś zmiesza niespodzianie) — i połowy tego nie czujesz chyba na prawdę, Klaudyo. Co mogło tak cię zmienić? Dawniej nie

brałaś tak rzeczy do serca?

— Ach! dawniej, dawniej, byłam może zmienną i kapryśną. Ale rozłąka... rozłąka jest wszechpotężną...

— Cicho! słyszę jakiś głos nad rzeką!... Stąpanie koni, turkot kół, plusk wody...

— Nie, to woda tylko tak szumi. Znam ten odgłos; dlatego właśnie most ten nazwany jest „echowym mostem”. Woda różne tu wyprowadza hałasy. Spójrz w tę stronę, a pokażę ci, co to jest.

I mówiąc to, wzięła go za rękę i odwiodła od poręczy, naprzeciwko brodu leżącej, do drugiej, z kądem był widok na góry. Wtém nagle przyszło na nią takie omdlenie, że musiała ucześć się Hilarego, cała będąc zwieszona nad niską i w gruzy się sypiącą ścianą poręczy. A jak cudownie wyglądała przy świetle księżyca, blada, czysta, przesłiznie idealna, a jednocześnie tak słaba, tak nawskroś kobietą będąca!

— Daj mi wpaść w wodę — słabo szeptała — co-by to komu szkodziło, kiedy nikt w świecie o mnie nie dba? Hilary, proszę cię, pozwól mi wpaść.

— Była-by to ładna wdzięczność, okazana tobie, któraś mnie pielęgnowała i życie mi ocalała. Usiądź, senhorito, usiądź, proszę cię... pozwól mi trzymać cię... Jesteś w niebezpieczeństwie.

— O nie! o nie! — słabo się broniła, gdy on ujrzał się zmuszonym otoczyć objęciem powabną, lecz, niestety, zbyt wrażliwą jej postać!

— O! nie powinienes pan brać mnie w pól! O! Hilary, jak możesz robić ze mną coś podobnego?

— Jak mógł-bym tego nie zrobić, chcesz powiedzieć? Jakże ty piękną jesteś, Klaudyo!

— Na co się to przyda? Ach! niestety! na co mi się przyda ta niby piękność moja? Jeden jedyny na świecie..!

— O! znowu ten sam hałas słyszę... Niel to nie może być woda... widzę jakieś konie i broń połyskującą...

— O! nie odchodź, nie zostawiaj mnie samą... wpadnę w wodę... Na wszystko, co święte, cię zaklinam! chwilę się jeszcze zatrzymaj! Ach! ja tu przecie zostać nie mogę! To niecnie, to szkaradnie!... a przynajmniej... przynajmniej jedno mi tylko zaprzysięż...

— Przysięgnę... przysięgnę, co chcesz tylko... Ale muszę, muszę iść... Jedna chwila zgubić mnie może...

— I mnie także. Na Imię Zbawiciela cię zaklinam, nie mów, żeś

się tu widział ze mną. Ojciec zabił-by mnie... Nawet wyobrazić sobie nie możesz...

— Przysięgam, że niema na świecie siły, która-by mnie skłoniła do powiedzenia jednego słówka o tobie.

— Ach! słabo mi... mdleję... Daj mi tu poleżać w cieniu... Nikt mnie tu nie zobaczy... to już po raz ostatni... Ochl jakiś ty okrutny! jakiś ty zimny! jaki z ciebie przeniewierca! jak straszliwie jesteś dla mnie okrutny!

— To prawda — półgłosem szepnął, czując, że mu nie wymownie spieszno, niosąc ją bowiem w cień arkady, usłyszał pobudkę hiszpańskiej trąbki, ale chwilę jeszcze pochyliwszy się nad nią, zapytał: — czy prawdziwie kochasz mnie, Klaudyo?

— Z całego... ach! cóż ja mówię!... — I jak-by się lękając, żeby jój nie zdradziło echo, nieśmiało rzuciła okiem w kąt arkady — o! zostań jeszcze chwilę, najdroższy! każdym atomem mego biednego...

„Serca” miała zapewne powiedzieć, ale oszczędzono jój fatygi; upadł na ziemię Hilary, odurzony strasznym uderzeniem, z tego ciemnego kąta wyszłem, i w téjże chwili Alejd d’Alcar chwycił go za gardło olbrzymiemi rękoma i wielkim kolaniem pierś jego przygniótł.

— Dobrze się spisałam? — spytała Klaudya, pełna już życia i zupełnie przytomna — O! nie chcę, żeby mnie zobaczył.. nigdy o tém wiedzieć nie powinien.

— Ani o tém, ani o niczém inném wiedzieć już on nie będzie — mruknął rozbójnik, tak wściekle dusząc Hilarego, że błękitne oczy biedaka na wierzch wyskoczyły — za dobrze grałaś swoją rolę, śliczna moja aktorko! z takim przejęciem się, że prawie zazdrośny jestem... Niech łoże rzeki stanie mu się łożem małżeńskim...

— Puść go! przestań dusić, albo zawołam na jego towarzyszy. Przrzekłeś mi, że mu nic nie zrobisz. Zrobimy mu tyle tylko złego, ile koniecznie musimy, ale na więcej nie pozwolę, choć zdrajcą się względem mnie okazał...

— Ha! ha! — zaśmiał się ogromny brygadyer — zrozumiej-że tu delikatności kobiece... Ale posłucham cię, posłucham, ukochana istoto. Odzyska on przytomność najdalej za dziesięć minut; ci Anglicy twarde mają czaszki. Zrewiduj-no go, a prędko; daj mi jego depesze. O! ty wiesz, gdzie twoi kochankowie chowają swoje rzeczy...

Jakkolwiek Hilary leżał bez przytomności, jednak piękna dziewczyna, rewidując go zręcznemi paluszkami, starała się by jój zobaczyć nie

mógł; ale, mimo to, w mgnieniu oka wyciągnęła mu z wewnętrznej kieszeni, na piersiach umieszczonej, depesze, oraz list i portret Mabel. Na te ostatnie przedmioty z wielką pogardą spojrzawszy, schowała je na użytek własnej zemsty, ale pakiet depesz otwarty podała kochankowi.

— Świetnie — zawołał, gdy przy jasnym blasku księżyca rzucił okiem na papiery. — Trudno o szczęśliwsze zdarzenie! Oto są blankiety z nagłówkami i nawet z floresem, który ma się pod jego podpisem znajdować, a tu oto jego ołówek. Pisz-że teraz po hiszpańsku to, co ci powiem, ale z kilku niewielkimi omyłkami, takimi, jakie wiesz, że on-by mógł popełnić. Pisz: „Oddział jest tutaj, ale go jeszcze powstrzymuję, nie dając przeprowić, się przez rzekę. Wyprawcie dwa wozy, ale nie przyjeżdżajcie sami. Dobranoc wam, tyśiączne dzięki. Obyśmy się jak najprędzej spotkali! (Podpisano) Hilary Lorraine”. Wiesz, jaki on ugrzeczniony.

— Już napisałam i jak najwidoczniej jego własném pismem. On przecie mnie uczył, a ja jego,.. Biedny młodzieniec, żał mi go bardzo! A teraz mnie puść... Zadowolony jesteś ze mnie?

— Powiem ci to jutro w nocy, w kaplicy. Będę miał najsprytniejszą i najśliczniejszą w całej Iberyi żonkę! Jak ja do jutra wytrzymam bez ciebie?

— Przyrzekniesz mi, że mu nic złego nie zrobisz — szepnęła mu bliźniutko twarzy, gdy ją gorącym obejmował uściskiem, a tymczasem Hilary leżał u nóg ich bez zmysłów.

— Na wszystkich świętych, jacy kiedykolwiek byli, lub będą, rozmnożonych we wszystkich Aniołów! Pocałuj mnie raz jeszcze i bądź zdrowa, skoro inaczej być nie może.

Żwawe dziewczę wymknęło się czémprędzej, a tymczasem ogromny brygadyer zaczął, z właściwym sobie spokojem, urządzać wszystko według swego upodobania. Podniósł biednego Hilarego, jak lalkę, i skrępował go zupełnie szerokimi rzemiennymi pasami, które jak najmocniej zacisnął, potem związał mu usta szarfą z delikatnej wełnianej tkaniny i położył go w cieniu arkady; był to bowiem w samej rzeczy człowiek niezmiernie honorowy, jeżeli dał „słowo honoru”. A chociaż (gdyby chciał własnym uczuciom dogadzać) był-by chętnie cisnął tego kapitana Lorraine w najbystrzejszy prąd rzeki, to przecież pamiętał o tém, że dał Klandyi „słowo honoru”. Zatem związał, go, zakneblował i usunął w cień przed blaskiem księżyca, który w téj porze roku mógł być Hilarego nabawić waryacyi. „Co zrobiwszy, Don Alcyd d'Alcar skrzesał sobie ognia i zapalił ogromnej długości cygaro.

Calusieńka Hiszpania pełna jest pcheł. Krajowcy mogą mówić, co im się podoba; ale tracą tylko wiarę u ludzi, przecząc temu, albo też pobłażliwie usposobionym umysłem dowodzą własnej nieczułości. Im starszym i dawniejszym jest sprzęt, lub gmach jaki, tém większą jest liczba ruchliwych tych owadów; a stary ten most, bądź-to Gotów, bądź Maurów, bądź Rzymian wreszcie (jak niektórzy mieć chcieli) czasy pamiętający, posiadał ogromny i starodawny ich zastęp.

Gdy zatem biedny Hilary przyszedł do siebie, co z czasem uczynić był obowiązany, uczuł się mocno niepokojonym, a niemógł znaleźć ulgi w naturalném lekarstwie drapania się. Tak był mocno skrepowany, że mógł tylko tacać się po moście, a gdyby dał się uwieść pokusie taczania się choć trochę nieuważnie, tedy przez liczne szczyrby w murowanej mostu poręczy zlecieć-by musiał na samo dno bystrym prądem płynącej rzeki. Wszystko to zważywszy, leżał i nasłuchiwał, a choć usłyszał wiele rzeczy, które mu się bardzo nie podobały (i których sam dźwięk mu oznajmiał, że cała jego przyszłość zwichnięta) jednak zebrał całą odwagę, (a miał jęj wiele) i, nie mogąc mówić do siebie (z powodu grubości tkaniny, którą miał w zębach, i która-to tkanina straszliwe stanowiła dla niego udręczenie) myślał jednak we wnętrzu własnej istności: „Przynajmniej, jeżeli teraz umrę, nikt nic złego o mnie nie powie!” Przyłożył sobie ten balsam na sumienie i, gardząc wszystkiemi na świecie owadami, ukołysał się do snu.

Niepowściągnięty wylew dziennego światła, w kraju, gdzie wszechwładnie rządzi słońce, spadł z gór, jak katarakta, i rozproszył wszelką ciemność falami światła. Kręta dolina i lesiste gór stoki, biała wstęga wody i ciemnych skał urwiska, wszystko nagle z mlistych opon wystąpiło, i nawet most ów „echowy” wydawał się w téj chwili wesołym, do spoczynku dogodnym miejscem.

— Zła sprawa! — twierdził kapral Nickles, maszerując mierzonymi krokami, jak gdyby był cyrklem chodzącym. — Bones, nie przeszukaliśmy jeszcze téj staréj budy, co to oni mostem nazywają? Bóg jeden wie, gdzie jest nasz młody kapitan... pewno na dnie rzeki.

— Lepiej, żeby się nigdy nie był rodził — odparł Bones — a żeby teraz przynajmniej nie umierał! Sprzątnęli pięćdziesiąt tysięcy gwine! Wszystko to dlatego, że się ufało tym hołyszom Donom. Kapralu, a co ja wam mówiłem?

— Przepowiedzieliście to, sierzancie, jak wyrocznia jaka. Ale bądź jak bądź, myśmy nic temu nie winni...

Hilary, przychodząc do siebie, słyszał to wszystko, i mimo zapeł-

niającój mu usta tkaniny, tak belkotać począł usilnie, że pocziwie wiarusy zaczęli szukać, czy gdzie jaka zblakana owca nie kaszle.

— Zabrano więc wszystkie pieniądze? — spytał spokojnie niby, gdy został wreszcie uwolniony z więzów, choć utrzymać się jeszcze nie mógł na nogach — czy wszystkie? wszystkie zabrane?

— Kapitanie — przemówił Bones, uroczyście salutując, co Nickles, jako niższy stopniem, uroczyściej jeszcze dopełnił — wszystko co do grosza sprzątnięto na czysto i Bóg chyba jeden wie, gdzie się te pieniądze podziały.

— Tak, Wasza Cześć, wszystko co do grosza — potwierdził Nickles. — Co do mnie, zdaje mi się, że to się sprzeciwia woli Pańskiej mieć tak okropnie dużo pieniędzy.

— Filozof z ciebie — odparł Lorraine — i pocieszająca to rzecz móżdż się tak na podobny wypadek zapatrywać. Ale, co do mnie, jestem człowiek zgubiony. Już nie kapitan, nawet już nie „Wasza Cześć”.

— Wasza Cześć musi nie tracić dobrej myśli. Może to jeszcze nie tak źle, jak Wasza Cześć myśli — obaj odparli pocziwie, doskonale wiedząc, że Hilary był człowiekiem zgubionym, ale z tém większem uszanowaniem salutując biedaka.

ROZDZIAŁ X.

Próżne skrzynie.

Można-by zapewne powiedzieć bez przesady, że w ciągu całej téj wojny, wśród olbrzymich zapasów i bohaterskich wysiłków, mało rzeczy zrobiło głębsze, przykrzejsze i bardziej przerażające wrażenie, jak zniknięcie tych pięćdziesięciu tysięcy gwinei. Z drugiej znów strony, nie trzeba przypuszczać, żeby znikanie gwinei było rzeczą rzadką. Owszem, wręcz przeciwnie, jak o tém zaświadczyć może wielu ludzi, dziś jeszcze żyjących, z których niejeden wdzięcznym-by się czuł może, gdyby gwineje znalazły się tam, gdzie należy. Ale tych szczególnie pięćdziesięciu tysięcy szukano w tak wielu miejscach, i tak długo znaleźć je miano nadzieję, (były bowiem ceną krwi bohaterów), że największy wśród tych ostatnich filozof, jeszcze miał ochotę użyć w narodowym swoim języku krótkiego jakiego słowa.

Biedny Hilary pojmował to, że jedno z takich niepochlebnych słów spaść musi na własne jego nazwisko, i daremnie rozglądał się

wkoło siebie, lekarstwa lub pomocy na to szukając. Ponieważ zdreptały mu nogi z przyczyny rzemieni Don Alcyda i kręciło mu się w głowie, dzięki pałce tego arcy-patryoty hiszpańskiego, trudno mu więc było przez pewien czas spokojnie nad tém rozmyślać, jak to uczynić był powinien. I w istocie niewiele więcej mógł zrobić, jak wsiąść na konia, który (niepodobny w tém do swego pana) statecznie wytrwał był na stanowisku, i w wielkiém tak ducha, jak i ciała udręczeniu, pojechać do owego nieszczęsnego brodu. Sierżant Bones i kapral Nickles także koni dosiedli i pojechali za oszołomionym kapitanem, trzymając się w przyzwotéj odległości, pozwalającej na spokojną wymianę opinii.

— Słuchaj-no, kapral — rzekł sierżant, zasłaniając sobie usta ręką — co wy téż sobie myślicie wedle tego nieszczęsnego wypadku?

— Sierżancie, nie wypada mi — odpowiedział Nickles, z zachodnich prowincyi pochodzący — bez ceremonii pierwszemu głos zabierać w téj kwestyi. Do was to należy, boście pierwsi przepowiedzieli to, jak z książki, prawdziwie po oficersku.

— Kapralu, zaszczyt armii przynosisz; zadziwiająca jest w waszym wieku taka dyskretność: teraz mało jest młodych ludzi, pamiętajcych, że starszy miał racyą mówić, co mówił. Ja tam nie ubiegam się o to, żeby mnie chwalono nad miarę, ani sam chluby żadnej nie szukam i wielkich rzeczy z tego nie robię. Tak to już mam w naturze, że rozpoznaję rzeczy inaczej od wszystkich.

— Prawda, prawda — przyświadczał kapral Nickles — nieraz mówiłem ja sobie: co téż to myśli sierżant o tym kroku nieprzyjaciela? A o tém teraz co myślicie, sierżancie? nie boicie się przecie wygadać prawdy przede mną?

— Kapralu, przemyślałem ja ciągle, odkądśmy go rozwiązali. A człowiek tyle bywał po świecie, że myślę jeszcze o tém pomysleć.

— Co, sierżancie, czy myślicie...

— Nickles, co myślę, to myślę. Mogę mieć racyą, a mogę się téż zupełnie mylić, boć to przecie omyłka, to rzecz ludzka. Powiadam więc tylko: „daj mi pokój”. Ale gdybym był pewny, że potrafisz utrzymać język za zębami, miał-bym ci może coś do powiedzenia. No, nie tak bardzo ważnego, ale zawsze coś nie coś.

— Przecież, sierżancie, bywaliśmy już razem w takich opałach, że nie chcieli-byście pewno krzywdzić mnie przypuszczeniem...

— Kapralu, Nickles, jeżeli to bierzesz z téj strony, to ci wcale

zaprzeczyć nie mogę. Słuchaj-że teraz: oto według mnie, bardzo to dziwny wypadek.

— Że też wam to zaraz na myśl przyszło! Wy-byście powinni zostać generałem, sierżancie.

— Tylko bez pochlebstwa, Nickles! nie potrzebuję go. Chociaż, prawdę rzekłszy, gdyby w tém była wola Boża, mogłem być stanąć tak wysoko, jak i drudzy. Ale co się tyczy tego, co dziś się stało, a z czego okrutny zrobi się hałas, to mojem zdaniem my i połowy nie wiemy.

Tak mówiąc, sierżant znacząco mrugnął na kaprała, palcem wskazał na poprzedzającego ich kapitana, potrząsł i znowu dalej mówił:

— Widzisz, kapralu, ja z obowiązku muszę mieć oczy otwarte, to też tam, u tego starego Dona niejedno mnie uderzyło. Szeptali coś po kątach i czytali coś przy lampach, i panienki mrugały oczkami, a to, mojem zdaniem, nie uchodzi. Ale byłbym myślał, że to zwyczajnie, jak to między młodymi bywa, kiedy chodzi o przystojnego chłopca, i był-bym nawet na to nie zważał, gdyby mi jeden z tych zasmolonych czortów, co to mułami powożą, nie był powiedział...

— Co takiego, sierżancie? mówcie, co takiego?

— Tak prawda, jak to, że na tym koniu siedzę, kiedyśmy o wschodzie słońca wrócili, czy wiesz, co mi ten poganin powiedział? Widzieliście go, kapralu, jak się kręcił między nami, i moglibyście byli go słyszeć, tylko że drzémaliście wtedy. „Senhor kapitan — rzece do mnie, a w białkach jego oczu znać było, że mówił prawdę — młody panicz za miękki”. Przynajmniej ja tak rozumiałem jego słowa, bo mówił tém tutejszém gadaniem, z którym się rodzą ci hiszpańscy hołysze.

— Aż skóra na mnie cierpnie — odpowiedział kapral Nickles — gdy słyszę, jak oni między sobą szwargocą. Ale cóż więcej powiedział, sierżancie?

— No, niech sobie szwargocą, albo milczą, wszystko to jedno dla kogoś, co ich nie rozumie. Potrzeba osobnego daru, żeby ich mózdz zrozumieć, a nie każdemu to dano. Słuchajcie-że, kapralu Nickles! mówił tak: że jak stał nad rzeką, kiedy wozy czekały, *przed kradzieżą* jeszcze, uważacie... zobaczył jakąś młodą kobietę, idącą ku mostowi... Już wy wiecie, jak to one idą, kapralu, kiedy się spodziewają, że ktoś na nie czeka?...

— Spodziewam się, że wiem, sierżancie.

— No, to dobrze; otóż i ta tak samo szła ku mostowi... widzieliśmy takie rzeczy ze sto razy... a miała na głowie białą chustkę, co to

one mantylą nazywają i rozglądała się wokoło za chłopcem. I nasz młody kapitan przyszedł tam za nią niezadługo. A któż to był, myślicie? Otóż wam powiem: to była jedna z córek tego starego Dona

— Niech Bóg was ma w swojej opiece, sierzancie Bones! ale ja-koś nie chce mi się temu wierzyć.

— Nickles, powtarzam ci, co mi powiedziano, słowo w słowo, nie nie dodaje. Ale wiedząc, co to są kobiety... szczególnie my dra-goni wiedzieć to musimy, nawet kiedy już mamy żonę i dzieci...

— Ach! sierzancie, sierzancie! daremnie usiłujemy zamknąć się w ciasnym kole okowiażku. Ja robię wszystko, co jest w mocy czło-wieka, a ojciec mój był rzeźnikiem...

— Kapralu, jest to jedna z tych prób, które nas z woli Bożej na-wiedzają. Jak to one umieją patrzeć! jak nastawiają usteczka i zaraz przytem odwróca się od człowieka całym ciałem, jakby nie było na co patrzeć. A przytém, Nickles, uważasz: nigdy nie dadzą ci sposo-bności przeniknąć ich do środka. Nasz młody kapitan przekona się o tém z czasem. Na dobrą kobietę zawsze trafisz na samym ostatku, na taką na przykład, jak była moja żona nieboraczka. Ale otóż i je-steśmy. Zwolniliśmy węzły dyscypliny rozmową... Kapral! oczy przed siebie i czekać rozkazów!

Podczas, gdy dwaj ci wierni weterani rozbierali przedmiot, dla całej brygady takich jak oni prostaków do zgłębienia trudny (i pełno je-szcze mieli słodkich wspomnień szczęśliwego z kobiecych zasadzek ocalenia); wtedy Hilary, jeszcze całkowitej przytomności umysłu nie odzyskawszy, daremnie tu i owdzie szperał, zaglądał i śledził, w na-dziei, że dojdzie, co się stało z pieniędzmi. Nadzieje jednak, jak zwy-kle, zawiedzione zostały. Ślady ciężkich wozów wyraźne były na piasku nadrzecznym, na skalistym brzegu, również jak i na staroży-nym rzymskim gościńcu, w stronę Merydy prowadzącym; ciągnął się on dobrą staję od rzeki, i tam dopiero kolój, przez drewniane koła wyżłobiona, zawracała nagle na górską drożynę, gdzie na garbie stro-mego urwiska widać było ślady takie, jakby pocziwym mułom, cięż-ar pod górę ciągnącym, dostały się tam liczne razy, a nawet i rany. Na drodze bowiem była krew, a tam, gdzie na twardą skałę trafiło twarde żelazo, ukazywał się ten sinawy odbłysek, z tarcia powstający; leżały też dotąd na drodze wielkie kamienie, snadź na to pod koła podłożone, by zapobiedz staczaniu się wozu i pozwolić mułom wy-technąć przez chwilę. Ślady te były wyraźne, a stawały się wyra-źniejszymi w miarę, im gorszą stawała się droga, na milowej prawie

wie przestrzeni ciągle pod górę idąca. Nagle zawracały ślady w gęstwinę ciemnych zarośli, gdzie, z dala od angielskich oczu, podzielić się musiano zdobyczą.

Wozy leżały poprzewracane, a obok dwa krzepkie muły, znużone wreszcie pracą, broczyły we krwi własnej, rade, że już się trud ich skończył i że człowiek (gorsze od nich bydłę) nie już więcej żądać od nich nie będzie. Reszta mułów, jako do dalszego dręczenia przydatnych, pociągnęła wozy, lub jeźdźców poniosła. Tutaj też leżało na ziemi pięć mocnych skryń z angielskiego żelaza, ale niestety! ulotniło się z nich złoto angielskie.

Na ten widok osłupiał Hilary, a wszystkie pięć skrzyń, tak dziwne w blasku porannego słońca odrzuciły mu spojrzenie, tak pełne szyderczo-smutnego wyrazu czczości i próżni, że, na przekorę własnemu zmartwieniu, biedny młody kapitan wybuchnął serdecznym śmiechem. Wtedy koń jego postąpił parę kroków i parsknął, przypomniawszy sobie może złób, a Hilary, zsiadając, znalazł samotną gwineę, leżącą w kurzu, ostatnią z pięćdziesięciu tysięcy. Rozejrzawszy się uważnie, zobaczył Hilary za ziemi, tam, gdzie jęj nie zdeptały nogi ludzkie, kopyta mułów i koni, tarcie grubych worów parciańnych, w które ze skryń, dla łatwiejszego przewozu, przesypano złoto. Ze wszystkich jednak śladów najwięcej obudzał podejrzenia ślad męskiego obuwia, od innych większy i cięższy, który tu i owdzie, i tam znowu, i wszędzie wyraźnie się ukazywał. Idąc pod górę, z jakie kilka stóp, z łatwością tropy te śledzić można było; nagle, dotąd razem się trzymające, rozechodziły się one w różnych kierunkach, stawały się coraz mniej wyraźnymi, aż wreszcie całkowicie znikwały w bezdrożach lasu, dla nieobznajomionych z tą miejscowością nieprzebytego.

— Ty, uczciwa gwinejo, co się wykrąś nie dałaś! — wykrzyknął biedny Lorraine, podnosząc z ziemi ocaloną monetę i obracając ją w rękę — prawdopodobnie nigdy w życiu nie będę posiadał drugiejjak tak uczciwej. Czterdzieści dziewięć tysięcy, dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć wołały towarzystwo złodziei. O! ty ostatnia gwineo, nie rozłączymy się, dopóki złoto znaczyć coś będzie na świecie!

— Sir, może który z nas zrobić co może? — zawołał Nickles i Bones, albo też jeden z nich. — Jechaliśmy tu ciągle za Waszą Cześcią taki kawał drogi pod górę, czekając na rozkazy.

— Nie, moi drodzy ludzie, nie niema do zrobienia. Nie możemy już dalej szukać śladu. Muszę wracać jak najspieszniej sam złożyć raport. Jedźcie za mną, jeżeli mi kroku dotrzymacie.

Sierżant mrugnął na kaprała, bo jakkolwiek prawi i roztropni byli to ludzie, wkrađło im się jednak w serca podejrzenie, ten szkaradny robak, który, raz się załagłszy, świdruje w najtwardszém sercu. Bezwątpienia, dziwném to było ze strony kapitana, że im nawet nie dał obejrzyć miejsca, ale rozkaz jest rozkazem. W milczeniu téż podążyli za młodym oficerem z powrotem na gościniec, a ztamtąd, mimo upalnego dnia, w stronę Estremadury. Około południa stanęli nad przejrzystym, szerokim strumieniem, który im był znany jako Gwałmeaz, dopływ Gwadyany, gdzie, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, zastali silny oddział angielskich huzarów.

— Co tu robicie? — spytał Lorraine, gdy twarz jego i mundur zostały poznane i salutowane przez placówkę, nad brodem postawioną.

— Przyjąć tu mamy — odpowiedział oficer, wjeżdżając w rzekę (bo wszyscy ci ludzie niezmiernie się mieli na baczeniu) — kapitana i jego konwój.

— Nie mam konwoju — odparł Hilary, zniżając głos do nader smutnego brzmienia. — Wszystko stracone! jest to waszą po części winą: mieliście mnie spotkać nad brodem rzeki Zujar.

— To jest właśnie bród rzeki Zujar — surowo odpowiedział major kawaleryi.

A Hilary utracił w głębi serca ostatnią nadzieję odzyskania czegokolwiek.

— Przez całe trzy dni czekaliśmy tu na was — mówił dalej major z wzrastającą gwałtownością — straciliśmy przez was wszelkie szanse świetnej utarczki, dawaliśmy wam przecie znać, że tu na was czekamy. Dlaczego pokazujesz się pan teraz bez konwoju? Kapitanie Lorraine, co to wszystko znaczy?

— Majorze, obowiązany jestem tłómaczyć się w głównej kwaterze, ale nie przed panem.

— To pan będziesz miał dyabelnie trudny orzech do zgryzienia, jakem M'Rustie — mruknął starszy oficer, a w słowach jego więcej było cierpkości i prawdy, niż grzeczności. — Niech mnie licho porwie, jeżeli-bym chciał stać na miejscu pana przed generałem.

Biedny Hilary daremnie usiłował udawać, że go to mało obchodzi; nawet tak pogodna i wesoła natura nie mogła trzymać głowy do góry, wobec tego morza utrapień, które się przed nim rozlegało.

— Nie zrobiłem nic złego — powtarzał sam sobie, gdy po wymienieniu z majorem słów, powyżej przytoczonych, popędził dalej na rosyjm swoim koniu, a wierny sierżant i niemniej wierny kapral, któ-

rzy szczęśliwie uniknęli wypytywań huzarskich, podążali za nim, czując (co czuć Anglik lubi), że świadectwo ich wielkiej jest wagi. — Cóżem ja złego zrobił? — pytał sam siebie Hilary — doglądałem wszystkiego, napracowałem się niemało, nie schodziłem ze stanowiska... na chwilę tylko, by spełnić obowiązek względem damy. Każdy gentleman musiał-by uczynić to samo. Oficerem jest się przypadkowo, gentlemanem być trzeba koniecznie.

— Czy naprawdę to czułeś — pytało go sumienie — że ta konieczność jest konieczną? Czy przekonałeś się o niemożności wytrwania w najpierwszym gentlemana obowiązku, którym jest: nie zawieść położonego w sobie zaufania. Kiedy się przekonałeś, że cię oczarowała ta cudzoziemska kobieta, czyś o tém uwiadomił przedmiot twojej pierwszej miłości? Miesiące mijały, a ty igrałeś sobie z jej sercem, nie dbając o to, że jej cierpienie zadajesz. A teraz sam się złapałeś w połapkę! Dobrze ci tak! zdarzyło ci się to tylko, na co zasłużyłeś.

— Dobrze mi tak, zasłużyłem na to! — głośno zawołał Hilary Lorraine, wyciągając do pół prawie pałasz z pochwy, aby mu się po raz ostatni przypatrzeć, a z oka spadła w pochwę gorąca, kroplista łza...—Jako oficer, źle spełniłem swój obowiązek, jako gentleman, dużo gorzej jeszcze... Ach! Mabel, Mabel, gdybyś mnie w tej chwili widziała, sądzę, że przebaczyła-byś mi wszystko.

Uczuł, że mu się cieplej robi w sercu na myśl o własnej, kochanej jego Mabel, i z odwagą, w tej myśli zaczerpniętą, stanął przed obliczem Lorda Wellingtona.

ROZDZIAŁ I.

Nie mam cię już za oficera.

Bohater stu bitew (inaczej zwany „Starym Dziobaczem” *Old Beaky*) zaledwo co był wybrnął z pieniężnego zatargu z chciwą regencyą portugalską, a teraz, w roku pańskim 1813, więcej niż kiedykolwiek przedtém miał interesów na głowie. Musiał on pokombinować, w sposób jak najbardziej delikatny i z niezmierną co do czasu oględnością, ruchy kolumn, których liczebna siła bardzo niejasno jemu samemu była znana; a przytém i niezwykła bystrość rzek, i wątpliwości, jakie w nim budziły po kolei zrywane mosty, i niebezpieczne przedzieranie się przez góry, i rozproszenie żołnierzy, którzy, dla braku pieniędzy,

musieli „sami myśleć o sobie” (co znaczyło, że uganiać się musieli za krowami, bydłem i drobiem) i wahająca się a nieodgadniona taktyka nieprzyjaciela, i tyle innych kłopotliwych przykrości, że samo ich zrachowanie mogło-by choroby morskiej nabawić, wszystko to razem wzięto go tak, że najbieglejszy w świecie rachmistrz stracił-by głowę i musiał-by wreszcie rozcięcie tego węzła losowi jedynie powierzyć.

Była to wspianiała i tryumfująco pomyslna operacja wojenna: rozpoczęta jednym z najpiękniejszych, jakie znamy w historii, marszów, uświetniona ciągłemi zwycięstwami, a zamknięta zwycięstwem nad Francuzami w ich własnym kraju, tak, że nie już nie pozostawiało, jak iść na Paryż. „Byłoż-to szczęście, czy umiejętność prowadzenia wojny?” — pyta historyk w podziwieniu, a odpowiedź na to znaleźć-by się może dała w przysłowiu: „Szczęście sprzyja rozumowi”.

Bądź jak bądź, pewnem jest prawie, że Hilary, chociaż wcale rozumu nie dowiódł, miał jednak trochę szczęścia w tym wypadku. Główny bowiem dowódzca zanadto był zajęty, a wszyscy oficerowie zbyt wiele mieli do roboty, by można było, bez fatalnej straty czasu, zwoływać teraz sąd wojenny. Co więc, miał on własne swoje powody, dla których chciał trzymać w cichości tę sprawę, jeżeli-by się udało, jeszcze ze dwa tygodnie przynajmniej. Wtedy bowiem każdy żołnierz, będąc już w marszu, nie będzie mógł drapnąć z szeregów; kiedy teraz było wielu takich, którzy-by mieli prawo rzucić tornister, gdyby się dowiedzieli, że żołd ich rozplynał się znowu w mgle dalekich nadziei. A prócz tego, były jeszcze różne brzydkie wewnętrzne sprawy do załatwienia.

Wszystkie te rzeczy przemknęły przez umysł generała, gdy, ściągając cugle koniowi, spokojnie słuchał do zbytku prawdziwego raportu biednego kapitana. Potem, utkwivszy bystre szare oczy w Hilarym, krótko spytał:

— Co pan robiłeś na tym moście?

— Jest to pytanie — odpowiedział Lorraine, sam własnej się dziwiąc śmiałości — na które honor mój, jako gentlemana, odpowiedzieć mi nie pozwala.

— Obowiązek pana, jako oficera, któremu dano niezwykle poufną misją, nakazuje panu odpowiedzieć na nie.

— Nie mogę, Generale... *mylordzie*, jak mi teraz zapewne mówić należy; chciałbym móżdź odpowiedzieć, ale nie mogę.

— Nie podejrzewasz pan, kto tak starannie obmyślił tę kradzież i tak jęj zręcznie dokonał?

— Mam podejrzenie, ale tylko podejrzenie, a nawet mając je, czuję, jakbym się dopuszczał zdrady.

— Nie uważaj pan na to; ze złodziejami mamy do czynienia. Jakie jest podejrzenie pańskie?

— Mylordziel przykro mi powtórzyć, że na to pytanie honor mi odpowiedzieć nie pozwala.

— Kapitanie Lorraine, nie mam czasu do tracenia... (lordowi Wellintonowi kilkakrotnie już przerywali przybyli z depeszami wysłańcy) Po raz ostatni: chcesz pan, czy nie chcesz wytłómaczyć nam swoje postępowanie w tém, co się tyczy owych straconych pięćdziesięciu tysięcy funtów sterlingów?

— Generale, całe moje życie i honor mojej rodziny zawisły od tego, co teraz uczynię.

— Idź-że pan, spytaj kogo o radę, kapitanie Lorraine — łagodnie odpowiedział Generał, bo najlepsze w świecie miał serce, a przytém polubił był tego młodzieńca i wiedział trochę o jego rodzinie.

— Nie mam kogo pytać o radę, mylordzie. Cóż mi rada czyja pomoże? — I z temi słowy, błękitne, prześlicznie oprawne oczy Hilarego, tak żałośnie, a razem tak dumnie spojrzały z pięknej, pańskiej twarzy młodzieńca, że generał powstrzymał w pośpiechu litowanie się nad nim, i łagodnie spojrział na młodego człowieka.

— Nigdy w życiu nie miałem do czynienia z czémś tak niezwykłym. Straciłeś pan całomiesięczny żołd armii, który-by ję mógł na całe półroku wystarczyć, i zdajesz się pan myśleć, żeś pan wielkich rzeczy dokazał, i nie chcesz się pan tłómaczyć! Czy jest jaka nadzieja odzyskania pieniędzy?

— Mogła-by być, mylordzie, gdybyśmy nie potrzebowali iść na przód tak śpiesznie.

— Mogła-by być, gdybyśmy zmarnowali całą kampanią! Masz pan przed sobą dwie drogi; masz je o tyle, o ile mi się podoba dać ci je do wyboru. Chcesz pan przyjąć moję radę, jeżeli ci pozwolę wybierać?

— Za wielkie to dla mnie szczęście móżd wybierać, i to jeszcze wybierać między tém, coś pan dla mnie obmyślił, generale.

— Takie więc jest twoje położenie, Lorraine, jeżeli ci damy prawo wyboru: Możesz żądać zwołania sądu wojennego, albo podać się do dymisyi. Z drugiejż znów strony, wiesz dobrze, że sąd wojenny na ciebie natychmiast będzie zwołany. Jaką odpowiedz przygotowany jesteś dać na pytanie: dlaczego opuściłeś swój konwój?

świadełstwo młodych panien, jako powag, rozstrzygających kwestye geograficzne. Gdyby nie to, można-by pociągnąć do odpowiedzialności władze hiszpańskie za to, że w niewłaściwe miejsce wysłały naszą eskortę. A hiszpańska eskorta, powiadasz pan, brała tamten bród za bród Zujar.

— Tak, mylordzie, i eskorta, i hrabia, i wszyscy. Jest więc jakas nadzieja, że mogą być uniewinniony?

Zaledwo nadzieja słaby mu znak dała, że miała-by ochotę do dawnego mieszkania powrócić, już Hilary tak jęj na oścież otworzył i oczy, i serce, i wszelakie inne miejsce, w którym chętnie przebywał nadzieja, że wielki wódz (który najmniej, jak można, dowierzał nadziei) nie mógł powściągnąć przelotnego, szyderczego trochę uśmiechu. Przykro mu się jednak robiło, gdy słowo po słowie obalał nadzieje Hilarego.

— Głównie idzie rzecz o pieniądze, panie Lorraine, a tych nigdy nie potrafimy odebrać Hiszpanom, nawet jeżeli z ich winy zginęły, dla téj prostej przyczyny, że nie oni je zabrali. A nawet, przypuszczając, że się pomylili i złą drogę naszej eskorcie wskazali, to i tak miałeś pan udział w téj pomyłce. Więcej jeszcze powiem: miałeś pan obowiązek dopilnować, aby pieniędzy nie przewożono na drugą stronę, dopóki nie przybędą nasi ludzie. Czyś pan to zrobił?

— Ach! gdybym był choć to zrobił, nie był-byam dziś w takim położeniu.

— A widzisz pan! Zaniedbałeś pan swój obowiązek. Pilnuj pan swoich pieniędzy lepiej, niż pilnowałeś rządowych, panie Lorraine. Zrób-że pan tak, jak mówiłem. . . A teraz żegnam pana.

Generał, który oddawna już niecierpliwił się tak długą i tyle mu czasu zabierającą rozmową, podał Hilaremu rękę, żegnając go nie jako podwładnego, lecz, po prostu, jak kogoś cywilnego.

— Więc niema nadziei? — spytał Hilary, roniąc łzę na grzywę rwącego się niecierpliwie konia — czy nigdy stopnia swego nie odzyskam?

— Nigdy; chyba pieniądze będą odzyskane, zanim znów na kwatery wrócimy. Wysoka to cena za stopień kapitana!

— Jeżeli pieniądze będą odzyskane, mylordzie, czy zechcesz mnie wydzwignąć z upadku?

— To kwestya, którą Jego Królewska Wysokość rozstrzygnąć musi. Sądzę jednak, że w tak nadzwyczajnym wypadku, możesz pan liczyć... w każdym razie na dobre słowo z mojej strony liczyć pan możesz, panie Lorraine.

— Dziękuję, mylordzie. Pieniądze będą zapłacone... nie dla stopnia, ale dla honoru domu.

ROZDZIAŁ XII.

Żegnajcie mi, damy hiszpańskie!

Armia angielska ruszyła teraz w pochód po wielkim gościńcu zwycięstw, ubrana całkiem w nowe spodnie. Przejęcie konwojowanych pieniędzy, oraz inne przeciwnie okoliczności, nie dozwoliły tym bohaterom zebrać sobie trochę pieniędzy, chociaż nowe mieli kieszenie. Ale rząd angielski, z przenikliwą angielskiego charakteru znajomością, nalegał na to w ostatnim kontrakcie, żeby wszystkie kieszenie miały po cztery cale szerokości. Niesłychanie ucieszyło to żołnierzy (bo ludzie wielkiej odwagi zawsze mają w sobie coś dziecinnego) kładli ręce w kieszenie, próbując, ile-by się w nich pieniędzy zmieścić mogło. A chociaż pieniądze nie przybywały, miło jednak było mieć kieszenie w pogotowiu. Któż to wie? Iada dzień przyjść mogą, a jak-by to głupio wyglądało, gdyby nie było ich gdzie schować! Jednym słowem, ruszyli ci ludzie w marsz z pustymi kieszeniami i, jak się o tém z historyi przekonać można, maszerowali tém lepij, że ani grosza nie mieli.

Chociaż Hilary był tak serdecznie lubiony, i w pułku swoim, i w sztabie, czasu jednak, (którego do zwołania na niego sądu zabrakło) zabrakło także do litowania się nad sądu wyrokiem. Generał życzył sobie, aby o tém jak najmniej mówiono; a gdyby nawet ktoś był chciał rozprawiać, to pośpiech i zamęt, wymarszowi towarzyszący, były-by mu usta zamknęły. Dawni towarzysze Hilarego byli już daleko, a sztab, nakształt ogona, sunął za nimi, podczas gdy góry i doliny klaskały w ręce, radośnie wtórzac bębnowi.

Pozbywszy się wszelkiej zewnętrznej oznaki, że kiedykolwiek w wojsku służył, Hilary Lorraine rozpoczął smutny odwrót z drogi, na której tak szybkie czynił postępy; szedł piechotą, niosąc na ramieniu płócienną torbę, na kiju oliwnym przewieszoną. Nie chciał przyjąć ani tornistra, ani nic, cokolwiek było do użytku żołnierskiego. Stracił wszelkie do tego prawo, i niczem już więcej nie był, tylko młodym gentlemanem, wracającym do domu po doznanej porażce.

Wszelako w jednym przynajmniej względzie okazał się rozsądnym. Straciwszy tak ogromną sumę pieniędzy rządowych, nauczył się lepij

trochę swoich własnych pilnować; ściągnął tedy każdy grosz, jaki mu pozostał z pieniędzy, przez ojca i babkę przysłanych, ale nie przyjął zaległego żołdu, trochę i dlatego, że otrzymać go nie mógł.

Dla człowieka starego, lub lat średnich, mało to znaczy, lub przynajmniej mało znaczyć powinno, że życie swoje zmarnował. Widział on już tylu, którzy to samo uczynili (przez gnuśność, dumę, złe humory, nieśmiałość), że czuje, iż i on teraz stoi dla ludzi jednym więcej przykładem, zamiast stać im przed oczyma nieprzyjemnym od ogólnej zasady wyjątkiem. Prócz tego, bliżej rzecz zbadawszy, widzi, że wielu jest ludzi, którzy gorzej postąpili, a dlatego niebardzo im z tym źle. Zamknął drzwi swego domu przed człowiekiem w górę idącym? Człowiek ten, stanąwszy wysoko, zapomniał o niegościnnym gospodarzu. Ożenił się z jędzą? Dogląda mu kuchni. Wszystko to sobie przypomniawszy i rozważywszy, żaden uczciwy człowiek nie może zezwolić, by go zwano (bez żadnych na to dowodów) więcej niż od niego głupcem.

Ale młodzieniec nie uszedł jeszcze tyle drogi w życiu, aby wiedzieć, czym jest to życie. Jest on pewny, że jednym rzutem oka przejrzał to wszystko, co, mimo nas przechodząc, nie daje nam czasu wejrzeć w siebie; wszystko to, co w jedynym prawdziwym świetle wtedy dopiero widzimy, gdy je milém i spokojném oglądamy wspomnieniem. Młodzieniec jest, jak ów rumak, cwałem lecący, który potknie się w pe-dzie i, nagle upadłszy na kolana i uczuwszy, że uderzył o czasem nie-spożyty granit, zrywa się zdziwiony, w tak szalonym podskoku, że, chociaż nawet nie poniósł ciężkiego kalectwa, teraz je niezawodnie poniesie.

Lorraine nie był jednym z tych, którzy wołają razem z poetami wszystkich wieków: „Niech świat zatrzyma się na chwilę, dopóki ja nie powstanę”. Mimo to, strasznie był tém przygębiony, że własny jego światek tak wcześnie w ruchu zatrzymanym został. Zdaje się to być smutną prawdą, że im więcej ma człowiek w sobie zmiennęj żywości, coraz to w inne przerzucając się usposobienie, tém mniej można się po nim spodziewać rdzennęj siły i gruntowności. Ale Hilary nie był teraz w położeniu człowieka, który się filozofii oddaje. Postanowił on piechotą dostać się nad morze i w dobrym jakim porcie wsiąść na okręt; a ponieważ w Maladze podobali mu się ludzie z uprzejmości i cichości swojej, ponieważ zresztą wiedział, że portu tego nie mają na oku krążące francuzkie i amerykańskie statki, przeto sądził, że w téj właśnie stronie raz jeszcze szczęścia spróbuje.

Chociaż szybkiego chodu i lekkiego był kroku, szczególnie gdy

szedł za sercem, nie bardzo jednak szła mu prędko pokutna ta podróż, tak, że dziewiąty czy dziesiąty już tydzień upływał, po jego wydaleniu z wojska, gdy powtórnie wstąpił na „Echowy most”, który odtąd miał na zawsze zostać dla niego „mostem westchnień”. Tutaj się zatrzymał i zjadł wieczerzę, znowu bowiem dobry miał apetyt, i ztąd to przypatrując się rzece Zujar, sam sobie oświadczył, jak wielkim jest głupcem. Bo tam właśnie, gdzie Klaudya trzymała się go, cała ze strachu nad straszliwą przepaścią drżąca (przepaścią bowiem wydawała się rzeka w świetle księżyca) tam było teraz nie więcej, jak dziewięć cali, wody, spokojniutko płynącej. Wody hiszpańskie, zarówno jak i kobiety hiszpańskie, przechodziły wprawdzie jego pojęcie, ale, chociaż przed dwoma tygodniami woda mogła być większą, Hilary nie mógł opędzić się myśli, że Klaudya, zamiast mdleć na moście, mogła była każdej chwili skoczyć w wodę, nie zamoczywszy nawet kształtnych swoich kolanek. I wtedy przypomniał też sobie, że ta sama, ta piękna i romansowa dziewczica potrafiła dostatecznie hiszpańskiego pułkownika przekonać, że ten a nie inny bród jest istotnym brodem Zujar, i że rzeka ta, wpadając w dłuższy i szerszy od niej Guadalmez, traciła swoje nazwisko. Z tej-to kwestyi, w skorym do powzięcia nadziei umyśle Hilarego od dawna już urodził się był dylemat, który sformował się jak następuje: Jeżeli ten bród jest istotnie brodem Zujar, tedy Hiszpanie, rodem z tej okolicy będący, powinni byli uwiadomić o tém generała Hilla. Jeżeli zaś nie ten bród jest brodem Zujar, tedy Hiszpanie odpowiedzialni są za pieniądze, nie do tego miejsca tylko, ale aż do miejsca, gdzie leży bród prawdziwy. Ten ostatni argument był, ma się rozumieć, ostrzejszym z dwóch ramion, widły dylematu składających; ale, na nieszczęście, powstawał przeciwko niemu potwornie silny fakt, fakt dość silny, by samego Minotaura wziąć za rogi. A mianowicie: przypuściwszy, że od dzielnych Hiszpanów należą się te pieniądze, nie podobna było przypuszczać, że będą w stanie je oddać.

Ta uwaga tak Hilarego ubodła w serce, że ją natychmiast porzucił, a patrząc na rozżarzone niebo letnie, głębszym już błękitem ciemniejące, i na zębate skał zręby, których długie cienie kłaść się już na poprzek światłu zaczynały, i na skwar słonecznego upału, z wolna w białych mgłach dolin się nurzający, postanowił nie tracić miny i, przyspieszywszy kroku, zanocować w Monte Argento. Był bowiem zupełnie pewny życziwości i współczucia szlachetnego hrabiego Zamora, tego hidalga bez skazy, a od młodych panien spodziewał się dowiedzieć czegoś o niefortunnym swoim wypadku. Nie mógł bo-

wiem uwierzyć, że Klaudya była współniczką nikczemnej, wyrządzonej mu, zniewagi. Charakter jego zbyt był szczery i otwarty, by mógł takie w nim myśli wyrażać. W Hilarego przekonaniu wszystkie panny były to najlepsze, najsłodsze, najmiłsze i najszlachetniejszego serca w świecie istoty. Takiemi też były i takimi są, ale od każdego prawidła są wyjątki.

Hilaremu, gdy szedł pod górę (z której zjeżdżał tak rycersko, nie więcej jak dwa tygodnie temu), różne przychodziły myśli. Zachód słońca (które tak wspaniałomyślnie wschodzi nad nami) wywarł na fizyczną jego stronę ten sam wpływ, jaki na wszystkie inne twory wywiera. Słońce zachodziło; skończyło już dzienną pracę i zmęczyło się patrzeniem na ludzi; idźcie, nie wiem jak wysoko, ono coraz niżej zstępuje, gardząc wszelkim cieniem i wszelkich wspomnień ofiarą.

Tak więc wśród wzrastającej ciemności i naglących go do pośpiechu niespokojnych drzew (które nie mogą stulić ramion i pójść spać bez szelestu) wśród wielu cichych tych dźwięków, które spokój wieczoru piastuje, szedł Lorraine do ciężkiej tej bramy, po-za którą niedawno temu bezpiecznie stały pieniądze. Odźwierny znał go i chętnie wpuścił młodego angielskiego oficera, którego dolary, na prawo i na lewo sypane, zjednały mu niejednego między domownikami przyjaciela. Ale w sieni zamkowej spotkał go stary marszałek dworu i, z wielu poważnemi ukłonami głową i całym ciałem, ubolewał, że nie może przyjąć jasnie wielmożnego Senhora.

— Nikogo teraz niema w zamku, prócz szlachetnej mojej pani Donny Kamilli. Jego Excelencya pan hrabia pojechał daleko na wojnę.

— A młoda Donna Klaudya, gdzie? Przepraszam was, panie marszałku, jeżeli nie powinien-bym pytać o to.

Stary bowiem marszałek dworu odwrócił się na dźwięk imienia Donny Klaudy i, udając głuchego, zaczął przyrządzać lampy.

— Czy Donna Kamilla pozwoli mi zobaczyć się z sobą na chwilę lub dłużej? Ojca jej niema wprawdzie w domu, ale pan, panie marszałku, wiesz, co uchodzi, a co nie, i stosownie do tego postąpisz.

Hilary nie tyle był zdumiony własną śmiałością, gdy się rzucił na śmiertelne ostrza pod Badajoz, jak teraz, gdy cichaczem wsuwał parę skromnych gwinei angielskich w dłoń tego dumnego Hiszpana. Marszałek dworu, zdając się nie wiedzieć i nie myśleć o niczym, prócz o opornej jakiejś lampie, którą właśnie przyrządzał, poczuł jednak

pod palcami liczbę mnogą przybyszów i, z pełnem wzgardy lekceważeniem, pozwolił im wpaść do swojej kieszeni.

— Senhor, postąpię tak, jak należy. Od pięćdziesięciu już lat służę w szlachebnym tym domu, posiadam zaufanie państwa moich i zasługuję na nie. Sam pan hrabia postąpił-by nie inaczej ode mnie. Ale zdarzył się bardzo smutny wypadek i musimy być teraz bardzo ostrożni. Senhor wie, co to są kobiety?

— Panie marszałku, tego właśnie nigdy się dowiedzieć nie mogę. Pan znasz je dobrze, ale, niestety! ja ich nie znam...

— A ja znam, niestety — odparł marszałek dworu, wzdychając, i chciał już wylać doświadczenia swego potoki, ale, zobaczywszy z za drzwi kilka kobiet wyglądających, wzgardliwie dokończył. — Nie warto mówić o tém... ważniejsze mamy sprawy. Idźcie-no sobie kobiety i zabierajcie się spać. Czyście już wieszczęwały? Senhor, proszę z łaski swojej poczekać chwilę, cierpliwość wszystkiego doścignie.

Ale Hilarego cierpliwość prześcigniętą nawet została, gdy, w małym przedpokoiku wyczekiwał powrotu marszałka dworu, który nadszedł wreszcie z Donna Kamillą i, z niskim ukłonem wprowadziwszy ją do pokoju, sam stanął w kącie. Kamilla była cała ubrana w biel, co — jak to już wiedział Hilary — było oznaką żałoby w rodzinie.

Ręka, którą młoda Andaluzyjka podała młodzieńcowi, chłodna była i drżąca, całe jęj zachowanie się nieśmiałe i cechę dziwnego przynębienia noszące.

— Proszę wyjść — zawołała na starego marszałka z nagłym wybuchem oburzenia, który może jęj ulgę przyniósł.

— Cóż mi teraz zrobić wypada? — sam do siebie szepnął marszałek dworu, ręką gładząc siwą swoją brodę — mam-że pozwolić, żeby i ta także uciekła?

— Proszę wyjść — raz jeszcze powtórzyła Kamilla tak imponująco, że nie mógł nie wyjść, i gdy po wyjściu jego, spokojnie drzwi za nim zamknęła, pośpieszyła ku Hilaremu.

— Panie kapitanie, przykro mi, że pana zmuszam do patrzenia na tak gwałtowną scenę... Miałeś ich pan już aż za wiele od naszej rodziny.

— Nie wiem, co pani chcesz mówić, Senhorito! Od rodziny państwa doznałem tylko najuprzejmniejszej gościnności i serca...

— I ciężkich ciosów, niestety! Jest u nas przysłowie: „miłość sprowadza ciosy” i tak też odwzajemniłyśmy się panu. Ale ta, która była wszystkiego przyczyną, nie należy już do nas.

— Nie rozumiem... Tępy snadź jestem... ale wcale nie rozumiem, co to wszystko znaczy...

— Czyż doprawdy kapitan nie podejrzewa, kto go obalił na ziemię i zrabował?

— Doprawdy, kapitan nie wie! chociaż bardzo, bardzo pragnął-by wiedzieć.

— Może i to być. Ach! cóż za czarna zdrada. Kuzyn to mój obalił pana na ziemię, a siostra zdradziła pana...

— Al! kiedy tak — w téjże chwili odparł Lorraine, widząc, jak drży Karilla przy tych słowach i jak głęboko wstyd ją za siostrę przejmuję — kiedy tak, to zawsze jeszcze dłużnym jój jestem. Raz już ocaliła mi życie, a teraz ochroniła mnie znowu... Widzisz pani, że niewiele ucierpiałem... jedynie stratnym jest rząd angielski, który przeciw stracie pieniężną przenieść może.

— O nie! My to stratni jesteśmy... straciliśmy bowiem honor i wiarę pana we wdzięczność i uczciwość naszą...

— Proszę, nie tłumacz sobie pani tego w ten sposób. Wszyscy wiedzą, że ja to byłem winien. Co bądź mnie spotkało, zasłużyłem na to zupełnie.

— Tak, dlatego, żeś pan nam zbyt zaufał. Gorzka to prawda, ale ją wyznać trzeba. Ojciec mój i ja, zarówno nad tém ubolewamy. Nigdy już ojciec nie przyzna jój za córkę, ani ja za siostrę moję.

— Proszę panią — rzekł Hilary, biorąc ją za rękę, podczas gdy ona odwracała od niego twarz, dla ukrycia wzruszenia — proszę panią, Donno Kamillo, zapatruj się pani na tę kwestyą rozsądnie. Teraz i ja już wszystko zrozumiałem: siostra pani gorących jest i silnych uczuć patriotycznych; rozumiała to, że pieniądze te, przeszedłszy na własność gierylasów, nieskończenie więcej przyniosą pożytku, niż gdyby niemi zapłacić żołd wojsk angielskich, i dlatego urządziła się tak, aby pieniądze te dostać. Każdy dobry Hiszpan tak samo-by pomysłał.

— Urządziła się tak, że na siebie i na rodzinę ściągnęła niesławę. Pieniądze nie dostały się gierylasom, lecz są wszystkie w mieszk. jój kuzynka, Alcydesa, którego poślubiła bez dyspensy, sfałszowawszy pozwolenie ojca. Czém pan to usprawiedliwisz, kapitanie?

W istocie trudno było Hilaremu znaleźć cokolwiek na jój usprawiedliwienie; chociaż z charakteru wesoły był i dobrej zawsze myśli, chociaż wcale przyzwoitą miał dozę wspaniałomyślności, jednak trudno było po nim się spodziewać, żeby się zbyt ucieszył z tego, co go spotkało. Okradzionym być i na ziemię obalonym, było to już

dość złém samo w sobie; zniesławionym być, to jeszcze gorzej; ale być przez rywala usuniętym, w moc jego wydanym i płacić za jego weselne gody depozytowemi pieniędzmi, należącemi do biednych żołnierzy, al tego było dosyć, by goryczą zaprawić tak nawet słodkie i łagodne, jak Hilarego, usposobienie. To téż twarz jego zupełnie odmiennym oblokła się wyrazem, gdy ją odwrócił od młodej Hiszpanki, ciężko zgryziony własnemi kłopotami, a jeszcze niezdolny do lekceważenia ich sobie.

— Nie chcesz pan mówić do mnie, kapitanie? ja wcale winną nie jestem. Była-bym chętnie oddała resztę życia.

— Wybacz mi pani, proszę — odpowiedział Hilary — nie jestem jeszcze do takich rzeczy przyzwyczajony. Gdzież oni są teraz? Czy mógł-bym udać się za nimi?

— Nawet Hiszpan nie potrafił-by ich znaleźć. Bracia moi nie probowali-by nawet tego, bo Aleydes zna wszystkie zakąty gór. Ukrył on swój łup w górach północnych.

— Jeżeli tak, pozostaje mi tylko jak najspieszniej pożegnać ziemię hiszpańską.

— Jak-to? odjechać i nigdy już nie wrócić? Czyż może być, abyś pan zrobił coś podobnego?

— Trudny to orzech do zgryzienia, ale zgryźć go muszę. Dostałem dymisyą, przestałem należeć do angielskiego wojska i pozostaje mi tylko szukać drogi do domu.

— To być nie może... nie, nie może! Nasi oficerowie zgubią nieraz tyle złota, ile muł udźwignąć go może, lub przegrają je w karty, a przecież nie występują z wojska. Panie kapitanie, musiałeś się pan pomylić... nie mogli przecież dać panu dymisyi?

— Jeżeli zaszła jaka pomyłka — odpowiedział Hilary, odzyskując słodki swój uśmiech wraz z poczuciem *humour'u*, — to z ich strony, nie z mojej. Dostałem dymisyą, i armia angielska, zarówno jak i sprawa hiszpańska, muszą się obejść beze mnie.

— Święci niebiescy! Więc pan pojedziesz i nigdy już nie powrócisz?

— Tego się spodziewam przy pomocy wszystkich świętych. Jakąż inna została mi nadzieja?

Kamilla de Montalvan nie odpowiadała na to pytanie ustami, ale więcej niż odpowiedziała oczyma. Padła nagle, jakby przerażeniem zjęta, w ogromne szafirowe aksamitne krzesło; a chociaż zgrabna jej szyjka pochyliła się we wdzięczném omdleniu, jednak czarne warkocze rozrzuciły się nie gdzieindziej, jak po śnieżyście białych ramio-

nach. Poczém z łagodném westchnieniem, jak gdyby przychodziła do siebie po śnie przykrym, podniosła oczy na twarz Hilarego i pozwoliła im pozostać tak długo, że aż miał czas spytać siebie, co się z nim dzieje. I wtedy zobaczył Hilary, że potrzebuje słowo tylko powiedzieć, aby zostać posiadaczem wdzięku i piękności, bogactwa i rangi w wojsku hiszpańskiem, oraz (na czas jakiś przynajmniej) prawdziwie szczerój miłości.

Ale, niestety! kto się na gorącym sparzył, ten na zimne dmucha! Hilary dotąd miał na głowie guz od uderzenia pałki Aleydesa, a oczy Kamilli zbyt były do oczu Klaudyi podobne, aby im mógł od razu zawierzyć. Co więc, Hilary myślał o Mabel, o jój dobroci, wyprobowanej już wierności; a hiszpańskie kobiety, chociaż-by to nawet były królowe, nie były dla niego teraz pokusą. Może téż myślał: (bo ludziom żywym często bardzo się nie podobają drobnotki) „nie potrzebuję żony, którój oczy zawsze od moich głębsze będą”. Skutkiem tego postanowił wynosić się tak prędko, jak tylko grzeczność uczynić to pozwoli.

Kamilla, nie raz już nie doczekawszy się wyglądanój odpowiedzi miłosnej, zrozumiała, jak rzeczy stoją, i dumę na pomoc sobie przyzwała. *Cavaliero* nie powinien jój żegnać, ona go sama pożegna, a przymem powie mu jeszcze pewną rzecz.

— Jeżeli pan nasz porzucasz, kapitanie Lorraine, by powrócić do kraju, pozwól pan przynajmniej, abym zrobiła to, co ojciec mój, gdyby był w domu, zrobił-by niezawodnie; pozwól pan dodać sobie eskortę do Malagi. Drogi są niebezpieczne i nie możemy puszczać pana samego.

— Dziękuję pani! nie wart jestem okradzenia, mógł-bym śpiewać przy rozbójnikach.

— Zechcesz pan na to zezwolić, pewna jestem, jeżeli panu jedną rzecz powiem. To nie ta niegodziwa Klaudia wyciągnęła panu z rany żelazo.

— Nie Donna Klaudia? komuż zatem zawdzięczam życie?

— Czy żadnym sposobem nie możesz się pan domyślić? nie próbujesz pan nawet się domyślać?

— Jakżem szczęśliwy! — odparł, całując zimną i drżącą jój ręką — dama, którój życie moje zawdzięczam, łagodną jest, dobrą i prawą.

— Nie jest to dług, za który życiem płacić potrzeba, Senhor. Czy teraz jednak przykro-by ci było, gdyby to Klaudia zrobiła? Bądź więc pewny, że to nie ona! Ona nigdy nie miała we zwyczaju

dobrze komu zrobić, a jednak... jak to się dziwnie rzeczy składają! kochali ją wszyscy... Ach! chyba nie jest to dobrze być dobrą... Pedro, staliście pode drzwiami? postaraliście się o to, by wszystko słyszeć. Idźcie, powiedzcie, by przygotowano dla *cavaliero* wszystko, co tylko mamy najlepszego, i rozkażcie mieć w pogotewiu ludzi i konie, które mu do Malagi towarzyszyć będą. Spieszcie się, proszę, i zaprzestańcie wahania.

Usłyszawszy stanowcze te słowa, wyszedł Marszałek Dworu, ociągając się jednak i mrucząc i ciągle za siebie się oglądając.

— Jak mnie ten stary bawi — odezwała się do zadziwionego ostrém języcznym przemówieniem Hilarego — odkąd siostra moja czyn ów występny popełniła, mniema on, że ma obowiązek czuwać nade mną. Ach! dlaczegoż mam być strzeżoną?

— Dlatego — odparł Hilary — że niema Hiszpana, który-by nie pragnął wykraść tak ślicznej młodzianki Donny.

— Żaden Hiszpan nigdy tego nie robi. Ale śpiesz się pan, tak panu pilno do słonecznego kraju Anglii.

— Nie rozumiem pani, *senhorito*. Dlaczegoż ma mi być pilno do niesławy? Nigdy nie już nie usłyszę o pieniądzach, które straciłem.

— W szlachetnej Anglii pieniądze tylko, pieniądze i zawsze pieniądze... Ale przyjaciele twoi, kapitanie, nie powinni się smucić, bo pieniądze nie należały do nich, ani do pana.

Ten wzniosłe filozoficzny, a przytém jak najprawdziwiej hiszpański pogląd na położenie, odjął biednemu Hilaremu ostatnią słabą nadzieję, aby Montalvanowie choć trochę się poczuwali do tego, że cięży na nich jakikolwiek dług honorowy. Gdyby owe pieniądze były własnością Hilarego, hrabia Zamora (kwintesencją rycerskości i prawości będący) był-by może wpadł na myśl, że obowiązany jest zwrócić pieniądze, podstępem córki wydarte. Ale w obecnym stanie rzeczy, nie było do tego najmniejszej szansy. Honor osobisty jest górskim potokiem, który nie zawsze spływa do jeziora uczciwości publicznej. Każdy Hiszpan gotów był korzystać się przed rozporządzeniem Pana, który mieć chciał, aby pieniądze angielskie opatrnościowo dostały się w ręce hiszpańskie.

— My nie tak te rzeczy pojmujemy — smutnie prawie odpowiedział młodzieniec — muszę wracać do kraju i zwracać pieniądze. Donno Kamillo, zmuszony jestem pożegnać panią.

— Powrócisz pan, oczyściwszy się z zarzutu? Gdy pan dowie-

dziesz, że nie sobie wzięłeś pieniądze, przypomnisz sobie hiszpańskich swoich przyjaciół?

— Nigdy nie zapomnę moich hiszpańskich przyjaciół. Pani winien jestem życie i trzymam je (dopóki je trzymam) do rozporządzenia pani.

— Wspaniałomyślnie powiedziałeś to pan, kapitanie. Wspaniałomyślność zawsze mnie do płaczu pobudza. A zatem żegnaj mi pan...

ROZDZIAŁ XIII.

Pnie się na drzewo.

W całej armii angielskiej (będącej podówczas jednym lasem angielskich dębeczaków, między którymi ani jednej choiny nie było) nie znalazłeś lepszego materyału, nad pięć stóp i ćwierć liczącego majora, a jak na teraz, pułkownika Clumpsa. Oficer ten wiedział, co do niego należy, i dbał o to, by zrobić należycie. Pozbawionym będąc wyobraźni, pogardzał tym darem, który głupców bywa udziałem, i nieraz dziwił się drugim, że się niewiadomo z czego śmieją. To kapryśne, przelotne łaskotanie myśli, którego jedni udzielają, a drudzy je (z tą samą dla obu stron przyjemnością) przyjmują, ten, czy dowcip, czy humor, czy jakbądź go wreszcie nazwiemy, był w oczach pułkownika Clumpsa zdrożną tylko rzeczą. Dla niego istniała tylko prawda lub fałsz. Jeżeli coś było prawdą, pocóż się śmiać z prawdy? Jeżeli fałszem, któż widział śmiać się z fałszu?

Niejeden pocciwy człowiek rozumował tak sobie, poddając śmiech prawom rozumowania i za to właśnie porzucony został przez ów śmiech, żadnym prawom niepodległy. Pułkownik Clumps zawsze statecznie i trzeźwo zapatrywał się na wszystko, a im dłużej żył na świecie, tém mniejszą czuł ochotę śmiać się z niego. Ale, dlatego, by śmiechowi nie zostały odebrane przynależne mu prawa królewskie, sprawiedliwa zawsze natura tak wszystko urządziła, że chociaż pułkownik nie śmiał się ze świata, świat jednak śmiał się z pułkownika. Bywał on przedmiotem głupich żartów, złośliwych przyczynków i niemilosierpnych mistyfikacji, częściej niż jakikolwiek inny w armii oficer; z czego to wynikało jedynie, że rzadko teraz prawdzie nawet wierzył, a za to, ku tém większej przyjemności swoich przyjaciół, zachował potężny zapas wrodzonej sobie łatwości do uwierzenia

w każdy fałsz. Do tego więc przyszło, że gdy pułkownik Clumps (po bitwie, w której nadzwyczajną dzielność okazał) usłyszał o nieszczęściu, jakie biednego Hilarego spotkało, wcale a wcale wieści téj nie wierzył, był bowiem na to zbyt cięty i przebiegły.

— To głupstwo, zupełne głupstwo! — rzekł tylko, uważając ten wyraz za najsilniejsze określenie, do wyrażenia zupełnego niepodobieństwa służące — żeby taki zuch-chłopak dostał dymisyą bez zwoływania sądu wojennego? Jakiem czołem śmiesz mi pan mówić takie rzeczy? nie dam żartów stroić z siebie... nikt mnie nigdy w pole nie wywiódł. Młokos ten jest nieledwie krewnym moim, wiesz pan o tém? A wiesz pan, że to pierwsza w kraju rodzina.

Pułkownik wpadł w taki gniew, targając sobie siwe włosy i tupiąc kulawą nogą, że oficer, który przyniósł tę wiadomość, będąc jednym z jego podwładnych, roztropnie się wycofał i nieśmiało wybąknął, że nikt nie wie, dlaczego się to stało, i że może... może to nieprawda.

— Jeżeli co napomknę o téj głupiej plotce, która krąży o młodym Lorraine — myślał pułkownik Clumps, pisząc do Lady de Lamur — mogę zaszkodzić, a nikomu w niczem to nie pomoże, a w dodatku mogę być wysmianym, jak ofiara głupiej mistyfikacyi. Nic już więc o nim nie powiem, chyba to tylko, żem go oddawna nie widział, bo jestem daleko od sztabu, a generał przepędza ich ciągle z miejsca na miejsce. Zanim zaś poczciwy półkownik znalazł sposobność wziąć znowu pióro do ręki, został ciężko raniony w potyczce z francuzką arier-gardą i wyprawiony do domu, co się poniżej opowie.

Zdarzyło się także, że owi dwaj oficerowie, (od których pochodzące wiadomości, przez brata Mabel podane, tak małą wdzięczność w sercu jój wywołały) zbyt wiele mieli kłopotu i krętaniny, aby znaleźć czas do napisania listów. A ponieważ owoczesne gazety mało się troszczyły o drobne, armii tyjące się szczegóły, i ciągle były tak nagłone biegiem wypadków i szybkością następujących po sobie bitew, że wojenne czyny młodych oficerów wymykały się ich uwadze, przeto wynikło z tego, że ani w Coombe Lorraine, ani w Old Aplewood, nie miano przez kilka miesięcy żadnej wiadomości o młodym oficerze sztabowym. Ani téż on sam nie pojawił się w żadnym z tych domów, albowiem, jak stara mówi gadka, nieszczęście nigdy samo nie przychodzi. Okręt, na który wsiadł Hilary w Kadyxie (nie zastał bowiem żadnego w Maladze) „Kwiat kentyjski” (bo takie nosił miano, które mu się szczęśliwą wydało wróżbą), uwiadł w pączku podczas podróży do domu. Spotkał się bowiem z niegodnym francuzkim sta-

tkiem korsarskim w okolicach przylądku Finisterre i, przez niego ścigany, stał się jego pastwą. Lorraine i kilku jeszcze z nim razem wracających chorych i pokiereszowanych angielskich żołnierzy, uledez musieli przemocy napastnika; okręt został zrabowany, a korsarze, nie potrzebując jeńców, wysadzili inwalidów na puste wybrzeże Galicji, nie zostawiwszy im ani grosza na pociechę.

W takim będących położeniu, najwłaściwiej pozostawić ich własnemu losowi; niema bowiem nic niedorzeczniejszego, jak dopytywać się, a raczej „prowadzić śledztwo” względem tego, co się dzieje z ludźmi, którzy mogą potrzebować pożyczki; a zatem wróćmy pomiędzy wzgórze South-Downu.

Mokre, nieprzyjemne i burzliwe lato roku 1813 przechodziło w mokrzejszą jeszcze, nieprzyjemniejszą i najburzliwszą z jesieni. Na północnych stokach gór, z lekka ziemią rodzajną potrząśniętych, rzucił się na łąki mech i zakwasił słodką przekąskę owiec. Gromadnie skupione drzewa, które tu i owdzie dorastały wysokości łańcuchem ciągnących się szczytów i chyliły się pod ostrém technieniem dmących wichrów, krzewy, zarosła nawet, stały, a raczej gięły się pod ciężarem nieustającej wilgoci. Liście zwisały ku ziemi, ciężkimi kroplami obarczone, oderwać się nie mogąc od na-pół zgniłych ogonków; ziarenka buczyny wisiały pokureczone, jąder w sobie nie mając, a gron leszczyny dotąd nie polakierowało jeszcze słońce. Bezsilność letniego słońca (z tąd wynikająca, że oblicze jego było zbyt plamiste, może zbyt niepokalane) i złe humory chmur, i świsły wichrów, i nawet dążenie ziemi do przechylenia się w excentryczność, to, zarówno jak i sto innych powodów, uważano za przyczynę obecnego stanu rzeczy, po których czego innego się spodziewano. Na jedno godzili się wszyscy, że inaczej być wszystko powinno.

Nawet rektor West-Lorraine, człowiek wesołej myśli, niedający się łatwo pokonać, przypisujący woli Bożej niepowodzenia swoje a własnej zasłudze wszelką pomyślność, nawet wielbny Struan Hales nie mógł stawiać czoła pogodzie. Sportsmeni ówczesni nie chodzili w siedmiorakięj zbroi, z obawy ciernia, lub deszczu, albo lekkiego uderzenia, ani też przesiadywali po kilka godzin ukryci w stogu, oczekując na jedną radośną minutę, w której rzeź sprawić będą mogli. Zasadą wtedy było, że każdemu, czy to człowiekowi, czy psu i strzelbie, czy wreszcie sierści lub pierzu wszelakiemu, oddać trzeba, co się komu spawiedliwie należy, i dlatego też dzień polowania był w istocie dniem trudu, dniem na zdrowie idącej zmiany trybu życia, dniem prawdziwego ruchu. Ztąd wynika, że pan Hales, chcąc sobie dogo-

dzie i umysł swój odświeżyć, wychodził z długą swoją i dobrze nabitą strzelbą, bez względu na pogodę, sześć razy na tydzień. Nie zaczęto jeszcze polować z psami; wszystkie rzeki, naturalnie, weszbrały, a powietrze tak było pełne reumatyzmów, że nie sposób było zgąć ręki w łokciu dla napisania kazania lub pobożnej rozprawy. Dwie jakieś chore staruszki uparły się jadać bażanty, gotowane z karczochami; chcąc nie chcąc, musiał pastor wychodzić ze strzelbą dla spełnienia najbardziej naglącego obowiązku.

A kto chodził z nim razem? Rzecz taka, jak konsekwencya myśli ludzkiej, nie istnieje wcale na świecie; ale jakkolwiek świetna ta prawda ogólnie jest znana i każdy z tego względu nad bliźnimi ubolewa do syta, jednak nikt, ani w parafii nikt, ani nikt z pomiędzy nas, szersze poglądy filozoficzne mających, nie da się przekonać i własnym oczom nie uwierzy, żeby towarzyszem rektora miał być Bonny. A jednak, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, on to był w swęj własnej osobie, czego przyczynę należyście wytlómaczyć wypada.

Czy pamięta kto z czytelników, że rektor postrzelił niegdyś chłopaka w płocie ukrytego? Chłopak wdrapał się był na żerdź, bluszczem obrosłą, dla dopięcia osobistych celów, będących połączeniem szpiegowstwa z krytycyzmem. Każdy krytyk wart rozstrzelania, jeżeli śmie stawać w poprzek wielkim celom prawdziwej przedsiębiorczości. Dopiekają oni, i im też przypiekają, ale najczęściej oni góral! Tak się też stało i z chłopcem, postrzelonym w płocie. Należąc do gatunku sprytnych, upadł i zaczął tak żałośnie skowyczeć i tarzać się po ziemi, że biedny pan Hales, chociaż strzelał z odległości kilkudziesięciu łokci od ukrytego włóczęgi, cisnął strzelbą, przerażony myślą, że zabił bliźniego. Ale gdy, przybiegłszy do niego, zaczął go przewracać na wszystkie strony, szukając owęj nieszczęsnej rany, chłopak tak silnie wierząc zaczął i wrzeszczeć, że proboszcz wielkie o nim powziął nadzieje. Potarzaszwszy się tak trochę, doszli do układu: chłopak miał na skórze kilka siniaków i dużą złotą gwineę do przyłożenia na nie, zamiast plastra.

Chłopcem tym nie był nasz Bonny, ani mógł też w czémkolwiek się z nim równać. Ale umysły nieucywilizowane są nader zazdrosne, a (dając Bonnemu pierwszeństwo) postrzelony ów chłopak ze wszystkich w okolicy chłopaków najbardziej był cywilizacyi obcym. Ztąd naturalnie wywiązała się paląca zazdrość pomiędzy nim, a tym, który stał jeszcze dalej od cywilizacyi. Otóż chłopak postrzelony dostał na dokładkę do gwinei parę nowych butów i nową parę nogawic, któremi, pod nadzorem matki, dosztukować się miało dolne

jego ubranie. A chcąc się pokazać należycie i usunąć wszelkie wątpliwości co do użytku, z owęj gwinej uczynionego, rodzice porozumieli się i wyprawili go, świeżo jak z igły ubranego, do niedzielnej szkółki, Tutaj-to Madzia Hales (druga z rzędu i najsilniejsza z cór kościoła) objęła nad nim panowanie i nawróciła go na drogę prawdy w kwestyi poglądów teologicznych, zawiesiwszy je na mocno wbitych kruczkach.

Ale umysł, o wiele wyższy od tego, którym się mógł Bill Harkles pochlubić, śledził szlachetne te próby. Bonny zawsze wzdychał potrosze do znajomości „książek z obrazkami”. Dary natury wykluwały się w nim i stukały dziobkiem w kurczącą skorupki powłokę. Wytłukł on Billa Harkles w dwóch uczciwych potyczkach, znikąd, nawet od osła swego, nie mając pomocy; czuł zatem, że Bill nie ma żadnego prawa, aby wynosić się nad niego.

Bonny jednak, wyśmiany przez uczonego Billa Harkles, rozumiał to, że pięści jego nie stanowią właściwej odpowiedzi i schronił się do swęj nory; tutaj-to, przyglądając się rozlicznym swoim zbiorom i dumnie się przyznając do niższości naukowej, rzeźwił się uczuciem wyższości majątkowej. A rozmyślanie to, na zdrowych podstawach oparte, wystarczyło mu do pierwszego jarmarku w Steyning. Bonny nie wiele tu miał do roboty, ale zawsze lubiał przypatrzeć się wszystkiemu; czasami dostawał mu się niezły koszyk wiktuałów, a czasami nic wcale. Farmerowie bowiem, za coś lepszego się mający, odkładali obiad do drugiej, dopóki nie przesilił się ruch jarmarczny, poczem zasiadali do gotowanej wołowiny z marchwią, w podwórzu oberży pod Białym Koniem, i starali się spisać jak najlepiej.

Owego obiadku „gospodarskiego” (wielkiego pod względem spożytych ilości) prezesem był, na mocy praw, po przodkach odziedziczonych, Farmer Gates, zakrystyan; ale przez parę ostatnich jarmarków wakowało miejsce wice-prezydenta. Gorące zawrzało więc współzawodnictwo; całe Steyning trzęsło się ze wzruszenia w niepewności, kto zasiądzie na próżném miejscu ustoiu i próżnujący nóż i widelec w posiadanie obejmie; aż wreszcie wśród ogólnych oklasów ogłoszono, że wybranym został Bottler. Pamiętny chwiał był to dzień dla zacnego rzeźnika (a może pamiętniejszy jeszcze dla naszego Bonny), gdy, jako nowy wice-prezydent, usadowiony został w staroświeckim, poręczowém krześle, naprzeciw głównego miejsca stojącym, i dzień ten był też zwrotnym punktem w życiu niejednego z obecnych tutaj.

Wózek wice-prezydenta stał w szopie nieopodal, a na główném siedzeniu siedział Bonny, wciągając w siebie różne zapachy kuchenne

i lubując się myślą o kościach, szpiku pełnych. Polly gwałtownie pragnęła z nim razem się tam znajdować, ale wzbroniła jęj tego matka, surowém pocuciem przyzwoitości wiedziona: zdrowie ładniutkięj panny Bottler pić miano po obiedzie; miano-ż tedy szukać jęj w tym samym wózku, w którym wieprze odbywały podróż przedśmiertną? Zaledwie tylko zdjęto obrus, przydujący biesiadników, w pełnėj uczucia i nader wymownej przemowie, wniósł zdrowie nowego kolegi. Po nięj to nadeszła owa odpowiedź Bottlera, która takiego hałasu w Steyning narobiła! Z pełną wdzięku skromnością przypisywał on wysokie obecne swe stanowisko, najdroższych jego nadziei ziszczenie, nie ogólnie znanęj prawości swojęj i sprytowi do interesów, oraz wielkięj na nie uwadzie, ani nawet gatunkowi swojęj szynki. Naturalnie wszystko się do tego przyczyniło, ale „cóż było najdroższą przyczyną tych niezrównanych w życiu powodzeń?” Okrzyk „białe pończochy”, przez Bramblera kupca szczeciny wydany, surowo został sfukmionym, a mówca wypchniętym za drzwi „Główną przyczyną powodzenia, jakie go w życiu spotkało, było klasyczne wychowanie które odebrał!”

Ponieważ nie rozumiał nikt, coby to znaczyć miało, przeto zawrzała burza okłasków, aż wreszcie od szklanki do szklanki poszły szepty, że Bottler, sześć lat mając zaledwie, przepędził trzy miesiące w elementarněj szkółce. Mógł wreszcie zapomnieć każdego słowa, którego się tam nauczył, ale wszyscy mogli się przekonać, że mu naukę szczepiono. Ze dwunastu więc farmerów natychmiast postanowiło zaszczerpić dzieciom łacinę, i Bonny téż w najgłębszėj serca głębi wzdychał do dawněj edukacyi. Co było piérwszym krokiem do złoty ch podwoi przybytku wiedzy? Sam sobie (mniej wprawdzie wyraźnie) stawiał to pytanie, jadąc do domu na wiernym swoim Jacku, podczas gdy kości ze szpikiem, po owęj uczcie pozostałe, grzechotały w wielkim worze, przez grzbiet osła przewieszonym. A mając przed oczyma przykład Billa Harles, wyprowadził z niego Bonny logiczny wniosek, że najpiérwěj należało pójść i dać się postrzelić.

Następnego dnia (a był to miesiąc Sierpień roku 1812, albo coś blisko tego) pan Hales, nie chcąc tracić wprawy, zdjął ze ściany ulubioną swoję strzelbę i pomajstrował przy nięj trochę. Tylko co właśnie skończył obiad, wcale dobry do tego, przy którym towarzyszka jego życia opłakiwała „straszną” cenę mięsa. Jej zdaniem nie mogło się to skończyć inaczej, jak najniegodziwszemi rozruchami, bo i cena chleba również była wygórowaną. Na to odpowiedział rektor, mrugnawszy na Cecylią: „Nie każ przynosić mięsa na jutro, droga żono, ani nawet na

pojutrze; zobaczymy, co to będzie”. Taką umocniwszy ją obietnicą, powstał z miejsca i powstrzymał wszystkich, którzy wyjść za nim mieli ochotę. Znał on każdego królika i każdą norę króliczą, tak na gruntach plebanii, jak i na gruntach świeckich; wszystkie teraz na żer wybiedz musiały i pobawić się z nimi należy. Poszedł więc zaplować „na kuchnię”, jak to powszechnie w owych czasach czynili sportsmeni.

Wiedziony widzeniem mlecznie białej cebuli, osypującej szeroki i w miarę dogotowany comber króliczy, rektor (przecisnąwszy się przez furteczkę na wrzosowisko wiodącą, puścił bystry wzrok po stromym stoku wzgórza, gdzie doszedł trzy małe, piaszczyste, świeżo usypane kopce; na każdym z nich siedział skulony królik i wesoło ruszał sobie wąsami. Rektor, ciągle z góry patrząc, widział wypukłe czarne oczy, czerwoną obwódką otoczone, ruchy delikatnych długich uszu i powolne żucie ździebeł trawy. Nie można było podejść ku nim, bo téjże chwili skryły-by się w ziemi; ustawił się więc rektor tak, by dwa od razu wziąć na cel i pociągnął za kurek. Królik, najbliżej będący, padł martwym kamieniem; ale rektor mógł zaledwie oczom swoim uwierzyć, gdy po-za kłębami dymu ujrzał, nie drugiego królika, ale chłopca jakiegoś w łachmanach, który, tarzając się po ziemi, kopał nogami i w niebogłosy wszeszał!

— Czyż nigdy nie mogę wyjść na polowanie, nie spolowawszy chłopca? — wykrzyknął rektor, co tchu biegnąc przed siebie.—Znowu gwinea! Aha... zobaczymy! Przysięgam, że tym razem szylinga tylko zapłacę! Taka zabawka zrnjnowała-by nawet biskupa!

Ale, ku wielkiej radości swojej, przekonał się pan Hales, że nie tylko chłopak nie był ani trochę postrzelony, ale nawet weale za takiego uchodzić nie pragnął. Zręcznie przyczołgawszy się z dołu przez krzaki, cichusieńko się zaczął obok nory króliczej i, natychmiast po strzale wyskoczywszy z zasadzki, rzucił się bardzo sprytnie na ranne go królika, który, gdyby nie to, kończyć-by musiał powolnym konaniem w swojej norze.

Zwawość i spryt chłopca, oraz szczęście schowania do myśliwskiej torby obu razem królików, tak ujęły rektora za serce, że dał chłopcu sześć pensów, każąc mu iść za sobą dla niesienia zwierzyny i przyrzenia się dalszemu polowaniu. Bonny miał wrodzoną do sportu ochotę, której nie wykorzenie z niego nie mogło, i prawdziwem to było dla niego dobrodziejstwem, że sam rektor parafii tę ochotę w nim umacniać raczył. To téż coraz więcej za każdym zapalając się strzałem, wywnętrzył się do samej głębi serca ze wszystkiem, co

wiedział o królikach, o zającach, o cietrzewiach, kuropatwach, a nawet i o bażantach.

— Ależ ty więcęj wiesz ode mnie — zawołał rektor, dobrotliwie kładąc rękę na ramieniu chłopaka po dziesiątym już z rzędu, a szczególnie strzale. — Zkądęś ty się tego wszystkiego dowiedział? Będzie z ciebie na przyszłość albo najgorszy pod słońcem złodziej zwierzyny, albo najlepszy leśniczy! Zkąd-że to wiesz?

— A tak! roglądamy się razem wkoło, Jack i ja! — odparł Bonny z szerokim od ucha do ucha i prawdziwie szczerym uśmiechem, błysnięciem białych zębów i mrugnięciem oka dopowiadając objaśnienia.

— Przyjdź tam do nas jutro rano, Bonny — polecił mu rektor. I tym-to sposobem wyszedł Bonny na człowieka. Chłopak od czyszczenia noży i obuwia nigdy nie odpowiadał dokładnie obowiązkom swego stanowiska, jakkolwiek był pierwszym uczniem w Historii Świętej, w dodatku zaś teraz tak długo chorował na odrę, że, gdy wyzdrowiał, kazano mu pójść kopać selery. Była tu więc sposobność zrobienia kariery i skwapliwie pochwycił ją Bonny; a chociaż z początku rozmaicie wiodło mu się w pracy, jednak wrodzone zdolności póty go pchały po drodze postępu, dopóki wreszcie nie nauczył się świetnie wszystkiego wypolerowywać. Z ośmnastu pensów miesięcznie, w przeciągu dziesięciu miesięcy, doszedł do dwóch szylingów i trzech pensów, do tego zaś niebawem przybył mu dochód z próżnych butelek i tantiema od tłuszczy kuchennych!

I to jeszcze nie wszystko, bo za przynoszenie kucharce dobrych wiadomości od kochanka, za dostarczanie pokojówce suchych szczapiek do podpalania ognia, za okazywanie tkliwego współczucia pomywaczce, która ręce sobie odmrażała, stał się takim ulubieńcem kuchennej służby, że pierwszy w Historii Świętej uczeń wyzwał go na bój, w pralni odbyć się mający. Bitwa w samej rzeczy nastąpiła, a zwycięstwo, długi czas wątpliwe, spoczęło w końcu na chorągwi dzielnego Bonny; poczem, z wzajemnym szacunkiem i wzajemnie podbitemi oczyma, rozeszli się bohaterowie.

Potem już wszystko szło, jak po maśle. Rektor, który lubował się starciem z okna swego gabinetu, starając się, o ile możności, jak najmniej odrywać oczy od kazania na text: „Szukajcie pokoju, a pokój dany wam będzie”, skoro tylko zadowolnił się przekonaniem, który z dwóch chłopców silniejsze wymierza razy, natychmiast się udał do starej szafy z odzieniem i przejrzał wyszłe już z użycia swoje ubranie myśliwskie. Znalazł tu starą kurtkę czerwoną, przed trzy-

dziestu jeszcze laty w Oxfordzie sprawioną, ale teraz już niemożebnie ciasną i westchnął na myśl, że nie ma syna, któremu-by ją mógł zostawić w spadku. Znalazł także parę starych, z łosiowej skóry spodni, które łatwiej-by mu teraz przyszło włożyć na ręce, niż na nogi. Tak w kurtce jak i w spodniach były już mól, jedno i drugie butwić już zaczynało, uczucie ustąpić więc musiało rozsądkowi. Dostał więc Bonny tak kurtkę, jak i spodnie, a dziewczęta, szczypiąc go przez figle, wybuchając śmiechem i pocieszając go całusami, dopasowały je na niego. W całej swój wspaniałości pokazał się osiołkowi swemu, a Jack nie był pewny, czy na znak podziwu nie należy schwycić go zębami.

Tak wyklarowawszy kwestyą i wyliczywszy się z czasu, doszliśmy już wreszcie do West-Lorraine, do miesiąca Października roku 1813, to jest do pory, w której nikt z rodziny Hilarego nie wiedział jeszcze o jego nieszczęściu, chociaż ono od dawna go już spotkało.

ROZDZIAŁ XIV.

W o e b u r n.

— Co to za próżniak i guzdra! z tego Stefana Chapmana — po raz może dwudziesty powtarzał rektor w piękny październikowy poranek. — Wié, jaką mamy ciągle zmienną pogodę i nie może tu być na dziesiątą! Niel stanowczo powiadam, że to brzydko, bardzo brzydko. Każ zabrać imbryk, Karolino!

— Ależ, mój drogi — odezwała się pani Hales, która zawsze każdego broniła — zapominasz, w jakim stanie muszą być drogi, dzięki tym deszczom nieustannym. Pewna téż jestem, że, przejechawszy się po tych drogach, wodą zalanych, będzie potrzebował flizanki gorącej herbaty

— Aha! herbaty! — mruczał proboszcz, tak niecierpliwie kręcąc się ciągle po pokoju, że aż podskakiwała mu ładownica, zawieszona na pasie, aksamitną myśliwską kurtkę otaczającym — Herbaty! Stefa herbata pochodzi z butelki, nie z herbatnicy. A tu, jak na złość, pierwszy raz od tygodnia pokazał się promień słońca po dzisiejszej nocnej ulewie. Gotówem założyć się o gwineę, że przed południem znowu padać zacznie. Cesi, pobiegnij-no, zobacz, gdzie Bonny. Wyjdę sam w pole, a Bonny wyjdzie na drogę w poselstwie do kapitana.

— Strzelec wrócił z kuchni przed chwilą — odezwała się Ma-

dzia, nigdy nieopuszczająca sposobności dania docinku Bonnemu, który odważył się wykuksać jój ulubionego z Historii Świętej ucznia; lecz Cesia jój przerwała z pośpiechem: Bonny codzień lepszym się staje. Przyślę ci go, ojezulku, natychmiast... przypuszczam, że chcesz z nim pomówić u drzwi, do bocznego wejścia prowadzących.

I, posłuszna skinieniu ojca, szybko pobiegła, a za nią Madzia, żeby jój pomóc szukać Bonnego i, nie znalazłszy chłopca w domu, poszły szukać go do ogrodu, a dla tém szybszego znalezienia, każda inną pobiegła ścieżką. Po małej chwile Cecylia zaczęła ręką dawać znaki siostrze i przywoływać ją, z tajemniczą miną kładąc palec na ustach.

— Cicho! chodź tu, ale cichutko — pokażę ci coś bardzo zabawnego — i obie panienki, zaglądając przez gęsto zbity żywopłot, z ciekawością śledzić zaczęły, co następuje.

W jednej z alei warzywnego ogrodu siedział Bonny na stariej jakiejś fasce, w czerwoną swoją kurtkę i białe spodnie ubrany, a głęboko przyciemniony. Przed nim na drzewku, rozpiętym na murze, wisiało ponętne, prześliczne, całe zarumienione jabłko, którego okrągłe boki połyskiwały w promieniach słońca.

— Zakładam się z tobą o szyling, że Bonny skradnie to jabłko — szepnęła Madzia siostrze do ucha.

— Trzymam — odparła Cesia, usta ręką sobie zasłaniając, a tym czasem Bonny dawał im widowisko, myśląc głośno w ich obecności. Usta szeroko rozwinął, oczy mu się świeciły, a czoło poorały troski.

— Wszystkiego żałują człowiekowi — mruczał pół-głosem — sami jedli dziś jabłka, mnie nie dali ani jednego. Dużo jeszcze takich jabłek na drzewie... dziś zamknęli na klucz szafę kuchenną, jedna z pańien nazwała mnie małym urwisem... i kurek u beczki z piwem zamknięty...

Wyliczywszy cały szereg zażaleń, wyciągnął rękę po jabłko i ładna Cesia zadrżała już z obawy o swój szyling, bo teraz właśnie niewiele ich posiadała. Ale chłopak, zaledwie jabłko dotknąwszy, natychmiast cofnął rękę, a ruch ten był może zwrotnym w jego życiu punktem.

— Ale za to, wszystko to mam od pana — ciągnął dalej, spoglądając na swój rękaw — i wszyscy razem przerabiali mi to ubranie... pozwalają mi chodzić, gdzie mi się podoba; nikt mi na ręce nie patrzy, i dwa razy już byłem z panem na polowaniu! Nie, nie wezmę jabłka.

A zresztą tych wielkich czerwonych jabłek niewarto jeść... nie-dobre!

Rażnie porwał się Bonny na nogi, dał szturchańca palikowi, do którego przywiązaną była jabłonka i, najszybciej jak mógł, podążył w stronę furtki, chcąc widocznie korzystać z chwili, w której prze-ważała w nim zbawienna do cnoty skłonność.

— Co to za pocziwe dzieckol — krzyknęła Cesia, rzucając się w pogoń za nim. — Istny Bayard, Katon, Arystydes! Dostanie, do-stanie i jabłko, i sześć pensów w dodatku, i całe życie ślepo mu ufać będę. Bonny, wróć się, kochanie! Masz oto jabłko i masz sześć pen-sów, i powiedz: czego sobie najbardziej życzysz?

— Pójść z panem na polowanie, panienko.

— Dobrze, pójdziesz; sama z ojcem pomówię. No Madziu, je-żeli łaska, płac pani swego szylinga. A teraz biegaj do domu, Bonny; pan cię potrzebuje.

— Zdaje mi się, że za późno sprawiłaś się ze zlecenia — z przeką-sem odparła Madzia, wydając sakiewkę — podczas gdy goniłaś za chłopcem, słyszałam, jak ktoś zajeżdżał.

— To tém lepiej — zawołała Cesia, która, tak samo, jak matka, zawsze wszystko brała z dobrej strony. — Ojciec od godziny już nie-cierpliwi się i strzelbę w rękę obraca. Bonny biegnij prędko, i uspo-kój starego Skota; tak czeka, że łańcuch chyba zerwie. Jednako-wo wam obu pilno i oba razem pójdziecie.

Rektor, najgościnniejszy z ludzi, choć sam w godzinach poran-nych zupełnie się od trunku wstrzymujący, posilał kapitana, a przy-najmniej orzeźwiał go, po długiej przejażdżce, gorzką wódką. A że pilno mu było ruszyć w pole i wszelki obawiał się przeszkody, prze-to za niedobry to znak dla biednej Alicyi uważał, że Stefanowi nie wystarczył do orzeźwienia ani jeden, ani dwa, ani trzy nawet spore kieliszki wódki.

Ruszyli wreszcie panowie, przy chorowitym blasku słońca, które, odwołując rano daną obietnicę, zapłakane jakieś i zamglone, słabo z za chmur przebijało.

— Mówiłem ci to, Stef — oświadczył proboszcz, świadomy wszystkich oznak górskiej pogody — mówiłem ci, że już od dwóch godzin wyjść z domu należało. Jeżeli kiedykolwiek zmokliśmy do ko-szuli, to dziś lepiej jeszcze zmokniemy.

— Z deszczem spadną bekasy — śmiało zaręczył kapitan. — Nie tacy z nas mężczyźni, jak sądzę, abyśmy mieli się obawiać pokropie-nia. Tom, czy wzięłaś dla mnie płaszcz?

— Wziąłem, jasnie panie — odparł strzelec, a w tém psy spusza-no ze smyczy i „hejże-ha“ krzyknął Bonny.

— Gdzie? gdzie? gdzie? — pytał kapitan, biegając bez tchu w oko-ło kępy wrzosów. Nie widzę go... gadaj, chłopcze, gdzie?

— A rusz-że go z pod miedzy, chłopcze — zawołał rektor — przecież uie będziez strzelał biedactwa na legowisku?

— Niech siedzi, póki go nie zobaczę — krzyczał kapitan, odwo-dząc oba kurki — teraz... teraz jestem już gotów. Gdzież on u dyabła?

— Nie może uciekać — odparł Bonny — bo jasnie pan przyde-deptał mu wasy. Oho! poszedł!... Prędjź, jasnie panie...

I poszedł w samą rzecz, na złość jasnemu panu i dwóm strza-łom, jakie za nim posłał, a tymczasem rektor tak serdecznie śmiał się z kapitana i jego przygody, że wcale strzału dać nie mógł. Strzelec nastroił minę poważną, jak człowiek, który wie, co mu o tém trzymać należy, a Bonny na oścież roztworzył przepaściste ust swoich głębie.

— Biegaj za nim, chłopcze! Ruszaj, a żywo! — krzyknął kapi-tan — przysięgnę, że więcej, jak sto kroków, nie ubieży... Musieliście wszyscy widzieć, jakiego mu dałem pieprzu.

— O! i soli nie poskapiłeś mu także — dorzucił proboszcz — przypatrz-no mu się dobrze: jeszcze ma pełno soli na ogonie...

I, spojrzawszy w kierunku jego palca, ujrzeli wszyscy, jak tęgi za-jąc mknął przez dolinę swobodnym kłusikiem, o jakie sto kroków od myśliwych.

— Co to? — zawołał rektor — widzicie, jakiego dał susa? Przez co on mógł tam przeskoczyć? — Kot bowiem, z jednego na drugi brzeg wyschłego łożyska strumienia, dał ogromnego susa.

— Przez wodę, proszę pana — odparł Bonny — cienki strumyk wody zaczął się dziś rano sączyć na dnie parowu i ciągle od téj pory wody przybywa.

— Wielki Boże! — zawołał pan Hales, upuszczając strzelbę — jak ta woda wygląda?

— Jeszczem nigdy takiej wody nie widział, proszę pana. Taka czarna, jak to, co się do butów pańskich bierze, a taka jasna... każdy kamyk widać na dnie!

— Niech-że Bóg się zmiłuje nad tą nieszczęsną parafią, a szcze-gólniej nad starym domem Lorraineów! To Woeburn pokazał się znowu!

— Cóż znowu, rektorze, co cię takim strachem przejmuje? — spy-

tał kapitan, zwolna przychodząc do siebie po smutném rozezarowaniu, jakie go z zającem spotkało. — Cóż ma za znaczenie ta woda? stary jaki nedorzeczny przesąd, czy co?

— Przesąd albo nie przesąd — krótko odpowiedział pan Hales — muszę cię zostawić samego, kapitanie; nie mógł-bym już ani jednego dać strzału. Już przeszło trzysta pięćdziesiąt lat nie widziało nieszczęsnej téj wody. W kościele przeczytać możesz, co się wtedy zdarzyło, a prócz tego, podanie właśnie mówi, że płynąć ona musi przez całą naszą wieś, a nawet i przez mój ogród. U mnie w domu nic o tém nie wiedzą, woda zejść ich może niespodzianie... Ma się rozumieć, napotka na drodze wiele przeszkód i wiele wklęsłych miejsc, które wypełni, ale za kilka godzin dojdzie już do nas. Ostrożność wymaga, abym śpieszył do domu. Skot, do nogi mi natychmiast!

— Masz pan słuszność — rzekł kapitan — i ja zrobię to samo; gościnny stół pański niech mi dzisiejszą nieobecność wybaczy, ale wołał-bym nie przebywać Woeburnu po ciemku.

Wiedziony instynktem prawdziwego światowca, zrozumiał kapitan, że rektor, pod piérwszém wrażeniem obawy, wołał-by nie mieć dziś gościa. Co więc, chmury groźnym zastępem zbierały się na wierzchołkach gór, a kapitan nie należał do ludzi, jeżeli tacy ludzie istnieją, którzy znajdowali-by przyjemność w polowaniu podczas ulewnego deszczu.

— Żaden koń nie przebył jeszcze Woeburnu — odparł pan Hales, gdy obaj razem pochyłością góry ku domowi wracali — przynajmniej jeżeli prawdą jest, co mówią dotyczące źródła podania. Choć dziś jeszcze zając mógł Woeburn przeskoczyć, jutro już nie przesadzi go, ani nie przepłynie koń żaden.

— No proszę! tak więc szybko woda przybiera? Im prędzej zejdziemy ję z drogi, tém lepięj. Co to za klęska będzie dla pana, rektorze! Nie będziesz pan mógł przybyć na polowanie z psami, a otwarcie wypada właśnie w przyszły wtorek.

— Kapitanie! — zawołał rektor, nagle ożywiony nadzieją — nie zapatrywałem się na tę rzecz z tego stanowiska! Ale nie... nie może to być woła Pana, aby odciął pasterza od własnej jego trzody!

— A nie idź-że pan tak prędko! — wołał za nim kapitan Chapman — człowiek kark złamać może, spuszczaając się z takiej góry. Tom, chodź, niech się na tobie oprę... Chłopcze, nieś moję strzelbę, dam ci za to sześć pensów. Tom! powyjmuj naboje, żeby mnie ten

smarkacz nie postrzelił... Rektorze, wuju, usiądź-no pan na chwilę, jedna minuta, różnicy panu nie robi.

— To prawda — przyznał rektor, któremu temu także brakło. — Bonny, jak daleko sięga już czarna woda? Zdajesz się wiedzieć o niej wszystko!

— Za pozwoleniem pana, zdaje się, że ona płynie z góry, a im dłużej patrzyłem, tém więcej wody przybywało.

— Ty, mały urwipołciu! czy doszła już do twoich drzwi? do twojej dziury, nory, czy jak tam ją u licha nazywasz?

— Proszę pana, ona wcale nie w tamtą stronę płynęła. Ona sobie zrobiła dziurę w ziemi i zamtąd na wszystkie strony try skała.

— Mój biedny Bonny — wtrącił rektor — woda popłynie niedaleko twoich drzwi... a teraz już może się dostała do twoich rzeczy i zalała twego osła...

Jak strzała, z łuku puszczona, pomknął się Bonny na łeb na szyję z góry na dół, cisnąwszy strzelbę kapitana i zrzuciwszy czerwoną kurtkę dla tém prędszego biegu. Trzej pozostali myśliwi aż za boki się brali, pokładając się od śmiechu, takim krokiem sunęły białe łosiowe spodenki przez tarniny, wrzosa, zarośla, po-przez kamienie, grudę i wapno.

— Oto lecił — dziwił się strzelec.

— „Gdzie skarb twój, tam i serce twoje” — odezwał się rektor, skoro wymówić mógł słowo. — Oddał-bym jeden miesiąc dziesięcin za porządny dzień plądrowania wśród gratów, jakie nazbierał ten chłopak. Powiadają, że ma mnóstwo najosobliwszych rzeczy i, że je ustawia na półkach, jak bałwanki w świątyni. Ciekaw też jestem, co robi, jak urośnie tak, że się we własne drzwi nie wcisnie? W tym celu właśnie go pasiemy, ja i moje trzy córki.

— Musi to być złodziej do szpiku kości — rzekł kapitan — w innej parafii oddawna-by już siedział w więzieniu. Nie wiem, kto z was dwóch większy, rektorze? pan, czy Sir Roland?

— Tom! — krzyknął rektor — biegaj-no przed nami... jesteś młodszy i zwinniejszy. Spytaj się, gdzie mieszka stara Nanny Stilgoe i powiedz jej, że powódz zagraża... a pomóż też nidboraczce powynosić rzeczy, jeżeli ci pozwoli dopomódz sobie. Powiedz, że to ja cię przysłałem, a może pozwoli, chociaż z nią trudno przyjść do ładu. Oddawna przepowiadała ona, że źródło tryśnie; ale prorocy zawsze ostatni zaczynają uprządkowywać swoje interesa.

Strzelec uchylił kapelusza i odszedł, dokąd mu kazano, zawsze bo-

wiem skwapliwiej wypełniał rozkazy rektora, niż swego własnego pana, a tymczasem pan Hales zmiarkował z wyrazu twarzy kapitana, że się zbyt swobodnie rozporządził.

— Przepraszam cię, Stef — odezwał się — zapomniałem w téj chwili, że powinienem był prosić cię o pozwolenie posłania twego człowieka. Ale zrobiłem to dla twego własnego dobra, żebyśmy nie potrzebowali się tak śpieszyć.

— Rektorze, jestem panu nieskończenie wdzięczny. Bardzo to rzecz męcząca, wydawać rozkazy tym ludziom, i zawsze jestem kontent, gdy mnie kto w tém wyręczy. A teraz, sądzę, że możemy zejść na dół trochę wolniej, nie narażając się na potłuczenie kolan. Iść prędko pod górę, to rzecz bardzo niemila, ale prędko biedz z góry, sto razy gorzej, właśnie dlatego, że nam się to bardzo łatwem wydaje.

— Mój drogi kapitanie, możesz się nie śpieszyć; nie pozrywam ci nóg bieganiem, jak to kiedyś zrobiła ta moja niepoczeziwa siostrzenica. Jakże ci tam z nią teraz idzie?

— Ach! Rektorze, to bardzo delikatna kwestya... sam wiesz, co to są kobiety... Ale nie widzę racyi, dlaczego-bym miał rozpaczać, czy cię kiedy jeszcze „wujem” nazwę!

— Czy masz starą po swojej stronie? w takim razie możesz być pewny powodzenia...

— Od początku była zawsze za mną dla miłości gruntów naszych. A! niezła to rzecz, mieć ziemię...

— I żadnego współzawodnika! Biedna Lusia niedługo już będzie się opierać. Boże wielki! patrz, kapitanie! widzisz tę czarną pręgę?

— Bezwątpienia! Zdaje się postępować na przód, jak ogromny wąż, pełzający, z białą głową. Dziwna doprawdy rzecz!

— Pierwszy to raz widzimy Woeburn, i dał-by Bóg, żeby to było po raz ostatni!... To czarne, to woda, a białe, jak przypuszczam, to piana, którą woda z sobą niesie... Tak jak lawa, płynie ona starym łożyskiem, i za jakie pięć minut przetnie drogę do Coombe Lorraine. Jeżeli chcesz dostać się do domu, musisz prędko dosiąść konia. Nie uważaj na deszcz... zbiegajmy z góry co prędzej... albo może poczekajmy minutkę?

Siedzieli wtedy w cieniu wapiennej skały, a za nimi od południa nadciągała złowroga burza i wielkie krople dżdżu z pluskiem spadały już na ziemię. Po prawej i po lewej mieli ciemne górskie pasma, wrzosem obrosłe wzgórza, wyjębione urwiska, nad ślizkimi wi-

szące głazami, strome, przez trzody, wydeptane, ścieżyny, i rysujące się w dali okragławe szczytów zarysy, a wszystko razem rozplywało się w sinawym błękicie chmur deszczowych. Po-za niemi milami całemi rozciągał się w całej, jesiennj krasie swojjej, piękny, cichy, uśmiechnięty kraj lesisty. Tu i owdzie z po-za drzew przezierały sioła, ciemną zielenią drzew otoczone, ukazywały się niespodzianie żywopłotów załomy, bladēm złotem przeświecały rżyska, odwieczne ogromne drzewa tu i owdzie szumiały samotnie; a tam gdzieś w dali ostro się odcinały na widnokręgu szare wieżycy kościoła i nikło w głębi wiele niedostrzegalnych oku szczegółów, które jednak niewątpliwie dobre były i piękne, spokojne i ludzkiego życia tętnem bijące.

Wspaniały ten widok podnosił zawsze wielkie, pocziwe serce rektora, który nigdy nie omieszkiał pokazać granic swojjej parafii. I teraz nawet trudno mu się było zdobyć na opuszczenie tēj sposobności, i właśnie już zaczynał od dalekiego jakiegoś wrzosowiska, gdzieś ku zachodowi pod Chaneton-Ring leżącego, kiedy Chapman, który sły-szał to już co najmniej ze siedm razy, z pewną może szorstkością przerwał:

— Zapominasz pan jednęj rzeczy, drogi panie. Pan tu prawisz o granicach, a tymczasem pańską parafią woda przecina na dwoje.

— Masz racją, Stef, nie wyobrażałem sobie, że tak jesteś rozsądny, mój chłopcze. Widzisz, jak wszędzie woda już stoi? Zakład o gwineję, kto piérwszy do bramy plebanii dobieży. Ty-bys wygrać powinien: mówisz, że jesteś o jakie dwadzieścia lat młodszy, nie prawdaż?

— Masz pan gwineję — zawołał Chapman, widząc, że rektor puszcza się z góry pędem — dwie, jeżeli chcesz, rektorze, tylko pozwól mi rozwaźnie zejść z tēj przeklętj góry.

Pan Hales nic jeszcze nie znalazł złęgo na swoim gruncie: kilka osób przyszło pożyczyć motyki, taczek i tym podobnych rzeczy; ale ogród wyglądał tak ładnie i sucho, cały ku wschodowi pochyłony, że właściciel roześmiał się z własnych obaw i śmiał się, dopóki nie zajrzał do zamykanj studni, tuż obok szopy z narzędziami położonej, w której nigdy nie brakło wody. Ale tutaj, z pośrodku studni, wznosił się wielki ostrosłup, podobny do pióra czarnego strusia, a w całej studni kipiało coś i dudniło...

— Wykopujcie selery — krzyknął rektor — chodźcie tu wszyscy, kto żyw! Nie mam ochoty, aby woda podmyła mi selery, albo sałatę głowiastą. Dziewczęta, a chodźcie-no tu wszystkie! powiadam wam, niema chwili do tracenia. Nigdy w życiu nie miałem piękniej-

szych jarzyn i wcale sobie nie życzę, żeby je woda zabrała. Chodźno tu, ty, Dicku w grubych spodniach! na co u dyabła się gapisz? Jak będziecie tak stali, jak stoicie, to się nie przed nocą nie zrobi... Ustąpcie mi z drogi... precz, precz!... Kiedy wy się ruszyć nie możecie, to ja się ruszę!

Z mniejszym wprawdzie hałasem, ale też samo przerażenie ogarnęło każdą w West-Lorraine rodzinę. Rzeka cudownego pochodzenia i cudownej, nadprzyrodzonej siły, grozi im wszystkim powodzią... ani kawałka suchej ziemi nie zostanie... tak przepowiadały wszystkie stare kobiety... Każdy się więc spodziewał, że téjże jeszcze nocy czarna jak smoła woda pod łóżkiem bulkotać mu zacznie!

A tymczasem piękne to i wspaniałe ujście oddawna się gromadząc w źródłach górskich wody, majestatycznie płynęło wytkniętém sobie łóżyskiem, posłuszne prawom, które mu początek dały. Uragan poprzedniej nocy na oścież roztworzył komorę fal powodzi, wpędził powietrze do zamkniętych dotąd podziemnych kanałów i otworzył kryjówki, w których zbierały się wody, z tysiąca gór i dolin ściekające. Przez takie to „stalaktytów arkady, królestwa przezroczyste i jeziora w podziemiach uwięzione” wiodła Cyrene płaczącego syna

„Tam, kędy ujrzał wszystkie rzeki ziemi
Płynące cicho nurty oddzielnemi.”

A teraz, gdy chłodny ten, nieprzeparty nurt spokojnie obejmował w posiadanie dawne swoje łóżysko, wchłaniał w siebie źródło, w studni Nanny Stilgoe bijące, i odcinał rektora od jego własnego kościoła; nieszczęsny jakiś młodzieniec, przygnębiony, znękany, słaby, wynędzniały i z ciężkiem sercem, idąc jak-by na spotkanie przez podanie przepowiedzianej mu doli, niechętnie włókł kroki doliną Aduru. Wyrzucony na nagie skały hiszpańskich wybrzeży, zwyciężony, zrabowany, na poły żyw z głodu, Hilary Lorraine, podlegając zwykłej sangwinicznych temperamentów reakcyi, zapadł w ostateczne przygnębienie i ciężki na zdrowiu upadek. Tak dalece, że gdy dobił się nareszcie do Korunny i nie znalazł tam ani agenta angielskiego, ani nikogo, kto-by mu zasiłku mógł dostarczyć, дума jedynie rodowa nie dozwoliła mu napisać do hrabiego Zamora; pisać zaś do Anglii nie było sposobności. Wszelkie komunikacye przechodziły przez kanał daleko się znajdującą a zwyciężkiéj armii, tak dalece, że Hilary uważał się za szczęśliwego, (w obecnym stanie zdrowia swego i kie-

szeni) gdy kapitan statku, oléj wiozącego do Londynu, straciwszy w podróży trzech z załogi, pozwoilił mu opłacić przeprawę. Utrzymanie ziomka, chorobą wycieńczonego, warto może było więcej, niż jego usługa; ale kapitan był człowiekiem dobrego serca i domyślił się (choć nie wiedział, jak się Hilary nazywa i kim jest), że miał do czynienia z czéms, na owe czasy powszechném, „z paniczem w tarapatach”. A ten sam wichér wściekły, który otworzył wyjście Woeburnu, skrócił drogę Hilarego, zmusiwszy wiozący go statek, by szukał schronienia w porcie Shoreham.

— Jak ja się pokażę w domu? Co ja im powiem? Zniesławiony, zdegradowany, zgnębiony, z plamą na imieniu i rodzinie, nie jestem nawet godzien przestąpić progu starego domowstwa naszego. Co mi powie ojciec? A Alicya... taka dumna... co ona sobie pomyśli?

I krokiem, który, za każdym ciężkiém stąpniciém, powolniejszym się stawał, przebył Hilary most na rzece Brambea, przeszedł pod bluszczem obrosłemi wieżycami zamku, który do rywalów przodków jego należał i, omijając miasteczko Steyning, zwrócił się w dolinę West-Lorraine. Deszcz, który zaczął padać koło południa i dawno już temu przemoczył do nitki skromną odzież majtka, teraz umyślił sobie zaatakować go z boku. A Hilary tak był na duchu upadły, że znosił to wszystko, słowa nie mówiąc, ani do siebie, ani nawet do deszczu.

— Pójdę najpiérw na plebanią — pomyślał — wuj Struan jest gwałtowny wprawdzie, ale serdeczny; a chociaż ma troje własnych dzieci, kocha mnie daleko więcej, niż mój własny ojciec.

Z tém postanowieniem, zwrócił się na prawo opłotkami, ku plebanii prosto prowadzącemi. Drogę, wśród opłotków biegnącą, przecinała niespodzianie czarna jak noc woda, a wysoki, krzepki mężczyzna stał, mimo zmroku, z ciężką motyką na ramieniu. Zbliżył się do niego Hilary.

— Nie, nie, mój człowieku, grosza nie mam na zbyciu! — zawołał rektor, nie czekając, by przemówił przybyły — za wiele już mamy do czynienia z ubogimi naszej parafii, teraz zwłaszcza, przy tym nowym kłopotcie. Czasy są ciężkie... tak, tak! zawsze ciężkie, nigdy lnnemi nie bywają! Ale poczciwy człowiek zawsze znajdzie robotę. Albo idź i bij się za ojczyznę, jak mężczyzna, ale tu w téj parafii nie mogę trzymać włóczęgi!

— Biłem się już za ojczyznę, wuju Struanie, i oto, co z tego wynikło...

— Wielki Boże! Hilary — zawołał rektor i przez dobrą chwilę nie więcój nie znalazł do powiedzenia.

— Tak, ja, wuju Struanie, czy rozumiesz? Każdy człowiek musi bywać na wozie i pod wozem... Teraz na mnie wypadła długa podróż pod wozem.

— Chłopcze, chłopcze mój drogi, cóżes ty zrobił?

— Czy masz zamiar wyrzec się mnie i opuścić, wuju Struanie, jak to zresztą wszyscy bardzo ładnie zrobili? Wszystko jakoś idzie do góry nogami. Co znaczy ten czarny, szeroki strumień?

— Chodź do mego gabinetu i wszystko mi opowiedz. Nie pozwolę ci pokazać się ciotce na oczy... zanadto-by się zlekła twego widoku.

W milczeniu pociągnął za wujem Hilary. Pan Hales wprowadził go do domu drzwiami od ogrodu, ogrzał go, okrył własnym swoim szlafrokiem i patrzył, jak Hilary zwolna do siebie przychodzi.

— Mniejsza o tę smołę na twoich rękach, to uczciwy zapach — zapewniał. — Biedaku ty mój, biedaku! coś ty przebyć musiał?

— Cokolwiek mi się przytrafiło, wuju Struanie — odparł Hilary, nadstawiając do ognia wychudłe, zimne ręce — wszystko było moją winą, moją własną winą.

— Napijesz się czego na wzmocnienie i opowiesz mi wszystko. No, zamknąłem już drzwi na klucz... Jestem tak samo twoim proboszczem, jak i wujem; wszystko, co powiesz, będzie dla mnie świętą tajemnicą. A zresztą pewny jestem, że nie zrobiłeś znowu nic tak bardzo złego. Zobaczymy, co powie o tém twoja ciotka...

Poczem Hilary, zwolna wodę z rumem popijając, opowiadał całą swoją historią, nie tak jak-by to dawniej był uczynił, otwarcie i co do słowa, ale nie umyślnie nie zataiwszy.

— Czy chcesz mi powiedzieć, że już niema nic gorszego nad to, co opowiedziałeś? — zapytał rektor z westchnieniem ulgi.

— Niema nic gorszego, wuju. Cóż-by mogło być gorszego?

— I za to wypędzili cię z wojska? jakże wdzięczny jestem, że do kościoła należę! Jesteś po prostu bohaterem, męczennikiem...

— Tak, za to wypędzili mnie z wojska. Jak-że mogli nie zrobić tego?

Tak rezonując, napotkał pełne litości spojrzenie wuja, i tego już zanadto dla niego było. Zrobił więc to, co zrobił niejeden większy od niego człowiek i niejeden dzielniejszy bohater, i co zawsze robi każdy, w kim się dusza do głębi poruszy. Wybuchnął potokiem łez gorących.

ROZDZIAŁ XV.

Z g ó r y.

Sir Roland Lorraine o tyle prawie wolnym był od zabobonu i przesądu, o ile wolnym być wypada. Zupełnie być pozbawionym tego romantycznego żywiołu jest dotąd ujemną człowieka stroną i dziś jeszcze go pozbawia ogólnego współczucia bliźnich. Ma się rozumieć, że przed sześćdziesięciu z górą laty uprzedzenie to trzy razy było silniejsze.

Rozmach opinii angielskiej magnetycznie bywa odtrącany przez to głównie, za czém ubiegają się Francuzi. Jeżeli oni są Republikanami, cała Anglia jest po stronie tronu i Konstytucyi; jeżeli oni mają Parlament, Anglia nie chce go mieć wcale; jeżeli ich uciska wszechwładza cesarska, Anglia gotowa się cieszyć „dobrze im tak!” Każdy Anglik wie, że Francuzi są odważni, honorowi i uczuciowi; ale, mimo to, nie może zapomnieć o linii demarkacyjnej, odgradzającej Anglią od Francyi, a kto wie, może i od całej reszty świata.

Cokolwiek da się powiedzieć lub wyrezonować, za lub przeciw tego rodzaju rzeczom, Sir Roland jednak oddawna postanowił umiarkowanym być i neutralnym. Lubił on, aby każdy powiedział, co za najlepsze w opinii swojej uważa, lubił także nie wchodzić nikomu w drogę i dopominał się dla siebie o prawo samodzielnego myślenia, również jak i o prawo postępowania według myśli. Dlatego-to ludzie seryo, ludzie prawomyślni, oddawna dziwakiem go zwali.

Mimo to wszystko jednak, nigdy całkowicie otrząsnąć się nie mógł z zabobonnego wrażenia, które w spadku po przodkach otrzymał. Tradycya domu jego i rodu, zawsze jeszcze pewien wpływ nad nim miały, wpływ, spotęgowany długim od świata odosobnieniem, oraz zamiłowaniem domowego zacisza i ogniska. Ztąd wynika, że gdy Trotmanowi, idącemu po tygodniowy swój dziennik, przecięła drogę czarna, bystro płynąca woda, gdy tenże Trotman zdyszany przybiegł do Coombe Lorraine o tém opowiedzieć, Sir Roland uśmiechnął się wprawdzie, ale uczuł, że ogarnia go dziwna jakaś trwoga, jakby nieszczęścia przeczucie.

Alicya, słodka i szlachetna dziewczica, z dziewczęcą w kobiecie zwolna już przechodząca, stanęła u boku ojca i odprowadziła go do ulubionej mu biblioteki. Widziała ona, że ojciec lada chwila dre-

szczem trwogi zadrżać może, chociaż dotąd jeszcze panował nad swojemi nerwami, dopóki nie zaczął zwracać na nie uwagi. Udając, że tego nie widzi, usiadła przy ogniu i czekała, co ojciec powie.

— Kochanko moja — zaczął wreszcie mówić do niej — było nam razem przez tyle lat bardzo... bardzo dobrze... Pasowaliśmy jedno do drugiego...

— Bezwątpienia, ojcze. I mam zamiar, aby nadal jeszcze było tak samo, przez wiele, bardzo wiele lat...

Przy świetle ognia dojrzał ojciec smutku w jej oczach, spróbował więc swoje spojrzenie wesołością trochę rozpozgodzić:

— Alinko, jaśniejszą masz przyszłość przed sobą: dom twój własny, towarzystwo, wielki świat i wielką świetność.

— Wszystko to wyborne bezwątpienia, mój ojcze; ale nie da się porównać z tobą i z domem. Czy zrobiłam coś, co ci dokuczyło, że mi mówisz takie rzeczy?

— Czekaj, niech pomyślę. Chodź-no tu i pokaż. Mało rzeczy robi mi taką przyjemność, jak twoje dokuczanie.

— Aha, ojczulku, już ci pilno naśmiać się ze mnie, jak zwykle, ale teraz nie będziesz miał z czego. „Wiem, co mam robić i zrobię to” jak mi powiedział ten człowiek, przy kołowrocie, kiedy mi kazał dwa razy płacić za otworenie. Ojczulku najdroższy, raz daj się przekonać, że na całą resztę życia jesteś mną obarczony.

Sir Roland lubił w córce swojej te nagłe, żywe zwroty miłości i uczucia dziecięcego, w chwilach, gdy serce jej istotnie było wzruszone. Wtedy-to przebijało z niej i tryskało tysiąc pragnień serdecznych i gorących na nie wyrazów, które wszystkie powściągał, a przynajmniej miarkował, spokój prawdziwej wielkiej pani i prawdziwej Angielki. Alicya była tak do niego podobną, że zawsze wiedział, co o czém pomyśli, i starał się, jak mógł, iść w ślad za wężykowatą błyskawicą.

— Moje drogie dziecko — rzekł w końcu — musiało cię coś obejść za nadto, może historia tego głupca o tój tajemniczej wodzie. Musi w tém być dużo przesady. Jakaś to pewno bajka, i cuda same jak w bajce. Warto-by je zobaczyć! Dziś w nocy przypada pełnia i zdaje mi się, że deszcz już padać przestał. Pójdź i przynieś mi kij mój sękaty, kochanko.

— Ach! ojczulku, czy mogę pójść z tobą? Powiedz, że mogę... jeżeli mnie nie weźmiesz, całą noc spać nie będę. Księżyc z pewnością rozpędzi burzę, a ja się doskonale, cieplutko obwinę.

— Ale nie możesz sobie obwinać nóg, dziecko drogie, a na wszystkich drogach wody po kolana.

— Tam gdzie wapno, niema wody, ojczulku, nigdy jęj niema na wapnie, chyba w dołach. Przytęm włozę nowe francuzkie kalosze, których podeszwa ma co najmniej sześć cali grubości; jak je włozę, będę stała tak wysoko nad wodą, że zlecą się ptaki gniazda na mnie budować.

— Córo nierozsądku, nie mojęs ty dziecie, ale idż i włoz kalosze. Wyjdzimy bocznemi drzwiami, żeby nie obudzać ciekawości.

Gdy pan domu wraz z córką swoją mijali wieżę astrologa i wychodzili z domu wyjściem, którego on wyłącznie używał, mimowoli przyszedł im na myśl, pocziwy stary książę, i serdeczna jego o nich troskliwość. O ile wiedzić mogli, mądry Agarykles nigdy nie sły-szał o Woeburnie, lub może umysł jego tak był zajęty kometą, że nie zważał wcale na podanie, które za jego już czasów istniało.

Po gwałtownej i burzliwej ulewie, noc przyszła pogodna i cicha, jak to zwykle bywa podczas pełni księżyca w najgorszą nawet pogodę. Na długim spłaszczonym wierzchołku góry, którego łagodne zarysy ciągnęły się daleko ku południowo - wschodniej stronie, igrały wygodnie promienie zapłakanęj i z trudem przebijającęj się przez chmury światłości księżycowęj. Długie cienie, ciemnemi leżące pasami, lub w dolinach i wąwozach ciężkimi masami skupione słupy drżącęj mgły, słaniające się po nad drzewami promienie cichego światła, wpadające w otwarte dla siebie przesmyki, wszystko to, w miarę jak na dół schodzili wędrowcy, zdawało się chwiać i migotać, jak ogromna, wiatrem poruszana chorągiew.

— Co za śliczna noc! Jak przepysznie układają się chmury! — zawołała Alicya, wpadająca czasami w nagły zapal poetyczny — tak międkko szykują się w rzędy i, całym zastępem płynąc w stronę księżyca, biorą na siebie srebro jego uśmiechu... Dlaczego one to robią, ojczulku?

— Bo wiatr wieje od zachodu, kochanko. Uważaj... uderzysz się o ostry kamień. Zawsze sobie trzewiczki poprzecinasz.

— Wcale nie, ojczulku! Złapałam cię tym razem... to najlepszy dowód, jak ty nie uważasz na mnie. Zapomniałeś, że mam na nogach nowe, francuzkie kalosze.

— Widzisz więc, jak to niezdrowo przypatrywać się zanadto księżycowi! Oprzěj-no się na mnie mocno, jeżeli się oprzēc potrzebujesz. Wapno oslizgło od wilgoci, zeslizgniesz się gdzie w jaką przepaść i mnie w żalobie zostawisz.

— O! jak-bym ja lubiła jeździć na łyżwach, gdyby nie to, że nie-przyzwolta to rozrywka dla kobiety! Wiesz przecie, ojczulku, że wcale nieźle umiem się ślizgać? Jak ci się zdaje, po tych wszystkich deszczach, będziemy pewno mieli śliczną mroźną zimę?

— Któż to przewidzieć może? Mam nadzieję, że nie... Wam dzieciom, w których krew żywiej krąży, zawsze tęskno do mrozu i śniegu... macie silne płuca i skore do ruchu członki. A jak śnieg i mróz przyjdą, to już po tygodniu macie ich dosyć. Ale w tej waszej samolubnej wiosnie życia, zapominacie o wszystkim, co dolega ubogim i starym, a nawet i młodym, którzy są ubogimi, i dzieciom, które na każdym kroku mrą z głodu i nędzy. Teraz szczególnież cena artykułów żywności jest przerażająco wysoka.

— Ojczulku, ja z pewnością nie chciałam nic złego powiedzieć; nie można ciągle o wszystkim pamiętać. Ojczulku, a wiesz ty, że w ostatnich czasach nauczyłeś się być bardzo surowym dla mnie?

— Wiem, wiem, wszyscy mówicie o mnie to samo — odparł Sir Roland z pewną smutną zadumą — nie sądziłem, żebym miał tę wadę, ale, słysząc to z twych ust, w końcu wierzyć temu muszę. Struan Hales mi to powiada i matka moja także. Hilary zdawał się także mieć o mnie to przekonanie wtedy, gdyśmy od niego ostatnie mieli wiadomości. Właśni moi domownicy, Trotman, Mrs. Pipkins i nawet ta litościwa Mrs. Merryjack porozumieli się co do takiejże o mnie opinii. Musi to zatem być prawdą! Nie mogę stawiać czoła takiej chmarze świadków! A teraz i ty, Alicyo, przyłączasz się do nich... czegoż więcej potrzeba? Muszę zreformować zdanie, jakie dotąd miałem o sobie, i przyznać, że jestem człowiekiem twardego serca.

Kwestyą powyższą nieraz sam z sobą Sir Roland rozbierał od dawna, coraz więcej do rozbiórów takich przywykając, skutkiem wzrastającego zamyślenia samotności. Z natury będąc człowiekiem, niezwykle sprawiedliwym miłującym, uważał to za rzecz trudną (co zawsze tacy nadzwyczajni ludzie czynią) zupełnie być pewnym czegokolwiek. Zawsze pragnął on rozpatrzyć przedmiot ze wszystkich możliwych punktów widzenia, uciekając (jak skowronek w chmury) od zbyt poziomych względów, lecz otwarcie przyjmując (jak cietrzew na różnie) wszystko, co mu podsunęto dobrego. Nikt go nie znał do głębi, ale on sam starał się wszelkimi siłami poznać dobrze samego siebie i często nad tém rozmyślał.

Teraz pozwoliła mu córka spokojnie snuć dalszy wątek rozmyślań; potem zaś, gdy schodzić zaczęli z góry, wzajemnie nad każdym krokiem swoim czuwając.

— Ojczulku — rzekła — głównie o to cię proszę, abyś żadnej nie zwracał uwagi na swoją, ani na nieczyją w świecie opinią, z wyjątkiem może... przynajmniej... może...

— Może opinii Alicyi?

— Tak właśnie, ojcze. W tém, co się tyczy moich własnych spraw, opinia moja nie ma żadnej wartości; ale co się tyczy twoich i rodzinnych w ogóle, opinia moja w samą rzecz coś znaczy.

— Najmądrzejsza w rodzie i najdzielniejsza razem, lecisż prosto w wodę... Zatrzymaj się, kochanko! zapomniałaś, pociągamy tu przysli. Przyszliśmy zobaczyć Woeburn i oto go masz!

— Więc to tu? A ja wczoraj po tém samém miejscu chodziłam! Cóż to za dziwna czarna woda!

A gdy Alicya cofnęła się nagle i zadrżała, Sir Roland Lorraine objął ją w pół ramieniem i, nie mówiąc, spojrział na nią. Światło księżycy w pełni padało na jej twarz, przedzierając się przez szczyt między ostro poszarpanymi szczytami gór, a cień gałęzi, z liści ogłocionej, czarną plamą na pierś jej spadał.

— Co ci, Alinko? zdajesz się być przestraszona — rzekł ojciec, długą chwilę przeczekawszy — spojrzj na mnie i przyznaj się do tego, kochanie.

— Nie, ojczulku, wcale nie jestem przestraszona, może tylko trochę smutném wrażeniem przejęta.

— Dlaczego? — spytał Sir Roland — z pewnością nie przywiązujesz wagi do starych gadek i niemądrych podań. A ja powiadam, że to piękna i bystra woda. Chciał-bym tylko, żeby zawsze tu była.

— O! ojczulku, błagam cię, nie mów tego. Sama czułam, jak zadrżałaś, spojrzawszy na nią po raz pierwszy. Wiiesz, co ona dla naszej rodziny oznacza: za pierwszym razem utratę życia, za drugim utratę mienia, a za trzecim utratę honoru, a razem naturalnie i wygaśnięcie rodu.

— Ty, dudku mały, nie można utracić honoru, nie popełniwszy niehonorowych postępów. A powiedz-że, Miss Kassandro: z obecnie żyjących Lorraine'ów (nader w liczbie ograniczonych) na kogo spadnie zaszczytne to wyróżnienie?

— Ojczulku, ty dużo więcej wiesz ode mnie; ale ja zawsze myślałam, że nieraz ktoś podpadł niesławie, wcale na to nie zasłużywszy.

— Podpadł niesławie, kochanko, ale nie zniesławił się sam. Czém zresztą może być dla nas zła u ludzi sława? czémś, co przychodzi

i mija, bo od zmienności pory zależy, jest wynikiem kaprysów ludzkiej pogody, tak jak ta smętna woda jest nieznanych a potężnych wpływów rezultatem.

— A więc przyznajesz, ojcze, że jest smętną. Tego właśnie chciałam. Tak zawsze bierzesz rzeczy inaczej, niż wszyscy, że zaczęłam przypuszczać, że będziesz to uważał za pożądany wybuch pożądanej dla odwilżenia wody!

— Dobrze, Alineczko, udało ci się! Wprawa w wymowie pyśnym jest darem, ale brak jej do piękniejszych jeszcze doprowadza skutków. Ta odwilżająca woda, zdaje się mieć ochotę długi czas jeszcze odwilżać.

— Ma się rozumieć, musi płynąć, płynąć, aż przepłynie, upłynie i płynąć przestanie.

— Alineczko, wśród wielu innych darów, masz wyraźną zdolność do epigramatu. Trudno-by ci było dosadniej opisać zamiary wody. Mocno wierzę, że strumień ten będzie płynąć i płynąć, dopóki płynąć nie przestanie.

— Ojczulku, zanadto już jesteś niedobry... sam musisz to wiedzieć, nawet przy świetle księżyca. Ja ci tu powiadam najrozsądniejsze rzeczy, jakie kiedykolwiek komu na myśl przyszły, a ty z nich robisz niedorzeczności. Teraz pozwól, na mnie przyjdzie kolej. A pomyślał też ojczulek o mostach? Jak się do nas dostanie rzeźnik z mięsem, młynarz, listy a nawet i poczciwi nasi ubodzy? Woda przecięła drogę do nas. Jeżeli ojczulek nie każe zrobić łodzi, nie będę nawet mogła słyszeć kazań wuja Struana. Ale cicho, ojcze, słyszę coś... może to głos wuja?

— Ty, lekkomyślna Alicyo! tego już za wiele. Nie mogę ci pozwolić na tego rodzaju poglądy.

— Ma się rozumieć, ojcze, że nie to chciałam powiedzieć, ale proszę cię, posłuchaj trochę...

Głęboki i ciemny strumień, doszedłszy już teraz do dwunastu może stóp szerokości, płynął wartko, ale bez najmniejszego szumu, w stronę księżyca, całą pełnią teraz właśnie przyświecającego. Z prawej strony od stromych urwisk wapiennych odbijały promienie księżyca, a rażąca ich białosc uwydatniała jeszcze ciemność, która wąwozy zalega; ze strony zaś przeciwniej, kępy wrzosów, zarośla głogowe i chwastem zarosłe ugory, sprawiedliwie dzieliły pomiędzy siebie światło, biorąc je po iskieierce na każde źdźbło trawy, na każdą z gałązek i listków swoich.

— Proszę cię, ojczulku, posłuchaj — prosiła znowu Alicya, usu-

wając się od ojca, aby nie poczuł, że drży cała. — Co to za dźwięk jakiś żałosny i przenikający! Pewna jestem, że to musi być dobry jakiś *baushee* (fantastyczna ludowych baśni istota. Prz. Tł.) Wié on, że jesteśmy dobrzy sobie ludziska i protestuje przeciwko wygaśnięciu rodu. Znowu go słysząc... tak, jakby w nim był jeszcze głos jakiś drugi.

— Chińska jakaś łamigłówka dźwiękowa, Alicyo, zupełnie nie muzykalna. Naturalnie, słuch twój bystrzejszy od mego, ale ja, przedstawiając już być romansowym, powiedział-bym, że słyszę osła ryczącego.

— Ojczulku, ojczulku! jeżeli się okaże, że to osieł, a ja dopiero co powiedziałam, że słyszę coś podobnego do głosu wuja Struana! Ale przeproszę go, na klęczkach przeproszę, jeżeli myślisz, ojczu, że to osieł!

— Nie potrzebuję zadawać sobie trudu myślenia. Otóż i on, patrz, jak oczy na nas wytrzeszczył!

— O nie, ojczu, wcale nie wytrzeszczył na nas oczu. Patrzy tylko na nas bardzo spokojnie i smutnie. Co za przesłiczny osiełek! a nos ma biały, jak pierwiosnek!

Jasno świecił w promieniu księżyca na przeciwległym brzegu Woeburnu, nos Jacka osiełka. Od dawna już dawały się słyszeć jego jęki i podnosiły się coraz głośniejsze błagania; odcieły był od domu, od żłobu, i nader ukochanego Bonnego. A ten drugi krzyk w krzyku, jak go biedna Alicya nazwała, był to głos żalu biednego chłopca, odpowiadający rozpaczającemu wołaniu Jacka. Na brzegu okrutnie rozdzielającej ich wody, musieli oddawna już biegać tu i owdzie, obaj na przeciwko siebie, obaj napróżno rozczerwione nosy wyciągając przed siebie, obaj prześcigający się wzajemnie w przepychu poetycznego bólu.

— Ani słówka nie mów, ojczu — szepnęła Alicya — chłopiec nie może nas widzieć z za krzaka, a my go widzimy wybornie w świetle księżyca. Bardzo chciała-bym widzieć, co zrobi?

— Nie wiem, co-by zrobić mógł innego, jak wrzeszczeć — spokojnie odpowiedział Sir Roland — a bezwątpienia zdaje się posiadać znakomite zdolności w tym kierunku.

— Bo-hoo, hoo, hoo, hoo! — beczał Bonny na potwierdzenie tego zdania; a „eke-ho eke-ho”, z nosa patetycznie a bujnie wychodzące, służyło za zwrotkę żałościwą. Poczém, wyczerpawszy studnią łez, chłopak stał się zdolniejszym do rozumowania. Otarł oczy czerwonym rękawem i z bolesną wymówką oba ramiona wyciągnął. — O Jac-

ku, Jacku, cóżem ja ci zrobił? Miałeś zawsze cały ośrodek chleba, i połowę tego, com przynosił z ogrodu, i najlepsze starój Nanny przysmaczki, a jeżeli byłeś niekontent, to mogłeś rano powiedzieć to, Jacku. Na całym świecie niema nikogo, coby nas znał tak dobrze, jak my siebie znamy obadwa, i nikt nie dba o nas obu, tylko my dwaj dbamy o siebie, Jacku. O Jacku, nie weź i nie ucieknij ode mnie! jeżeli uciekniesz, oddam wszystko, cośmy razem zebrali, złodziejom i tym nieuczciwym, co nas nazywają włóczęgami.

— Mój biedny chłopcze — odzwał się Sir Roland Lorraine, nagle się ukazując z za krzaka w obawie drugiego smutnego „bo-hoo”, gdyż Bonny wzruszył własne swoje głębie tak, że zaraz był gotów rozpocząć na nowo — mój biedny chłopcze, zdajesz się być bardzo zmarzwiony swoim osłem.

Bonny nie raczył odpowiedzieć ani słowa. Ból ten do Jacka tylko i do niego należał, obaj znieść nie mogli myśli, by się do nich wtrącał ktoś trzeci.

— Bonny — rzekła Alicya słodkim, miłym swoim głosem, dotykając jego ramienia, w chwili gdy się odwracał, by odejść — czy chcesz wiedzieć, jakim sposobem możesz odzyskać Jacka? Poszedłbyś spory kawał drogi, aby go mieć napowrót?

— Na sam kraj świata, panienko, choć-by mi przyszło iść po samych kołcach. Myśmy już nie jedną milę chodzili razem.

— Nie potrzebujesz chodzić aż na kraj świata. Zamiast biegać tam i napowrót po brzegu, idź ciągle pod wodę: uszedłszy z półtorąj mili, dojdiesz do jój źródła, jeżeli to, co słyszałam, jest prawdą. Wtedy obejdziesz nietylko źródło, ale i górę w około, a spotkasz się ze swoim białonosym osiełkiem.

— Ho-ho! — odezwał się Jack z przeciwnego brzegu, machnąwszy porządnie ogonem. Wtedy chłopak, nie rzekłszy ani słowa podzięki (z téj racyi, że nie bardzo uwierzył Alicyi) zagwizdał na odpowiedź osła i puścił się, dla sprawdzenia téj wątpliwéj teoryi.

— Uważaj, jakie to szczęście posiadać osła — zaczął głośno rozważać Sir Roland — wiele nie znam się na osłach, czy to złotych, czy ołowianych, czy z drzewa. Ale wzgarda, do której się rodzą, jest podług mnie dowodem, że na nią nie zasługują; bo inaczej czyżby ich nią darzono? Zdanie moje zawiłe jest i niezręczne. Myśl moja, jeżeli mam jaką, nie potrafiła wyrazić się jasno. Słyszę, jak białonosy osieł ryczy na mnie w dali, a wszechpotężne echo wtoruje mu wzgardę dla mnie. Nie czuję się na siłach do téj walki. Pozwól mi się schronić pomiędzy moje książki.

— O! doprawdy, ojezulku, nie zrobisz nic podobnego. Zawsze chronisz się pomiędzy swoje książki, a wtedy mnie nawet wejść nie wolno; i cóż ci ztąd przyszło dobrego? Jeżeli łaska, ojezulku, musisz się zdecydować na odmienny tryb postępowania. Pomyśl tylko jak to już dawno, jakeśmy nie mieli wiadomości o Hilarym! Tak, jak żywa, jak tu stoję przed tobą, ojezulku, tak pewna jestem, że kłopoty, straszne jakieś kłopoty, czy klęski, przyjdą na wszystkich, którzy noszą nazwisko Lorraine'ów, lub w sercu miłość dla nich.

— W takim razie, proszę cię, stań za mną, Alicyol! A cóż to za wrażliwe dziecko! Widać światło księżycy wywarło na ciebie swój wpływ, jak zwykle na dziewczęta. Sama się tak zdenerwowałaś, Alinko, widzę to dobrze. Moje kochanie, muszę czuwać nad tobą uważnie.

— O! jak się ojezulek pomylił! Nigdy nic podobnego nie robię. Ojezulkowi się zdaje, że ja jestem czyjeś inne dziecko, i można ze mną tak rezonować z góry! Zapewne, wolno przypuszczać, że mówię niemądre rzeczy i wyobrażać sobie o mnie wszystko złe, a ja naturalnie, nie jestem zdolną rezonować, bo to nie kobieca rzecz. A nawet, ile razy spróbuję, jakoś mi się to nie udaje, choć sprawiedliwość tylko mam na celu... a kto jeszcze zbija mnie z toru?

— Twój najlepszy ojciec — odpowiedział Sir Roland, pocałunkiem rozpraszając rozdrażnienie swego dziewczęcia — kochający twój ojciec czyni to wszystko, pieszczotko moja, i przyprowadza cię do zdrowego rozsądku. A teraz odprowadzi cię do domu. Zaraziłaś się smutkiem od osiołka, pieszczotenko; chciała-byś chodzić tam i napowrót po brzegu, a ktoś żeby ci z tamtego brzegu odpowiadał jękiem.

— Tak, ojezulku, tego-bym chciał! Jaki ojezulek domyslny! Ale zdaje mi się, że biegała-bym tak nad wodą, gdyby czworonogi, o których ojciec myśli, były zawsze po drugiej stronie wody.

— Alinko! — upomniał ją Sir Roland, ale słowa nie rzekł więcej. Wiedział bowiem, że ma na myśli Stefana Chapmana, i że teraz, czując sposobną do tego chwilę, chciała z ojcem utarczkę stoczyć o niego. Ale ojciec miał ochotę na potem odłożyć utarczkę, jak zwykle każdy dobry ojciec, i powiódł drogie swoje dziecko pod górę, albo raczej poprowadzić się pozwolił spokojnie.

ROZDZIAŁ XVI.

O życie.

Przez trzy dni, po ukazaniu się wody, panowały burze i sloty, a tymczasem stary dom, na szczycie Coombe stojący, w błogięj nieświadomości spoglądał na dziedzicznego swego wroga. Ale posępne przeczucia i piękne stare baśnie budziły niepokój w lojalnych sercach członków rady wyższej, a mianowicie: starego kamerdynera Onezymusa Binnsa, Mrs Pipkins, oraz Mrs Merryjack. Podczas gdy uczucie niepokoju przeważało w sferach wyższych, w sferze za to niższych dygnitarzy, na których czele stał John Trotman, nie można się było spodziewać nic, prócz przerażenia, a nawet paniki prawdziwej. Młody ów Trotman od dawna już okazywał się tak ambitnym i do zaczepki skorym, tak nawet, jak mawiała Mrs Merryjack, „zadzierającym z najświętszymi prawami tych, do których ani mógł się umywać”, że wreszcie tym ostatnim, w samej rzeczy, jedno tylko do zrobienia pozostało: usunąć się do przeznaczonych im pokojów, wykluczając z nich wszystkich „którzy nie umieją zachować się przyzwoicie”.

Ale tych, na nieszczęście, było dużo, za dużo może, i zdawać się mogło, że, mimo degradacyi swojej, nie a nie na humorze nie stracili. Trotman bowiem (choć prędkiego charakteru i zbyt może skory do wykonywania nogami nagłych ruchów) nie był jednak złym człowiekiem, kiedy mu się nikt nie sprzeciwiał, i nigdy nie dał szturchańca temu, kto się o szturchańca nie nadstawiał. To też, gdy jego dyktatura niezachwianie utwierdzoną została w niższych kołach sfery służebnej, stał się od razu najmilszym rodzaju męskiego osobnikiem i czytał na głos wszystkie, w dzienniku miejscowym opisane, zbrodnie, deweczom, które, rozkosznym strachem przejęte, wydawały głębokie westchnienia, z nadzieją, że je dzielny ten młodzian ukoi. Teraz więc, gdy się dowiedzieli o ciemnym Woeburnie i strasznej towarzyszącej mu legendzie, której grozę potęgowały jeszcze złowrogie stariej Nanny Stilgoe wyrocznie, gdy, z jękiem i świstem wiatru, doleciały nowiny o ukazujących się strasznych widziadłach i duchach, najmężniejsze serca zdrząły tajemniczą trwogą. Lada skrzypnięcie drzwi, lada zamigotanie cienia, szelest suchego liścia, lub poruszenie się okiennicy, lada odezwanie się puszczyka, lada nawet skradającego się mroku wieczornego jedna więcej godzina a już: „Zmłujecie się,

Maryanno, co to było?" albo: „chodź, Polly, bliżej; coś się ruszał?" tu znowu: „Joasiu, zajrzyj-no za firankę od szafy z naczyniem"—i potem jednogłośnie: „Johnie, Johnie, chodźcie-no tu, Johnie, chodźcie, jakeście pocziwi!" Taki więc był stan nerwów ogółu, stwierdzony niejednym dodatkowem wołaniem, pochodzącem z kuchni, izby czeladnej, młeczarni, piekarni, z ...ach! z téj strasznej piwnicy, niemniej jak i z leżącej na uboczu pralni, a najgorętsze wołania zwracały się zawsze do Johna.

W świecie nawet słabszych, delikatniejszych i więcej z cudzoziemszczonych pojęć angielskich: w jadalni, w salonie, w gabinecie i w bibliotece, również jak i w sypialni jaśnie pani, dawał się czuć łagodny jakiś niepokój i coś jakby złych prognostyków wrażenie. Przewszystkiem zaś Lady Walerya, do najwyższego stopnia konserwatystka, czuła, że nadchodzą dni smutne i ciężkie czasy, i nieledwie pragnęła odejść w spokoju, a przynajmniej mówiła, że pragnie. Ale, przy bystrości swego umysłu i rozwiniętych o tém, co prawne, pojęciach, powinna była zrozumieć, że prawdziwy ustrój tamtego świata jest tak demokratyczny, jak-by nim był ustrój świata doczesnego, gdyby chrześcijaństwo robiło z nas chrześcijan. Z tego wynika, że Jaśnie Wielmożna Pani wołała poczekać jeszcze trochę; rzeczy mogły się zmienić na lepsze, a trudno-by im było się pogorszyć. Dużo jeszcze miała do zobaczenia, dużo do urządzenia w świecie rzeczy widzialnych i dotykalnych; to téż choć każdemu odejściem ze świata groziła, nie robiła jednak żadnych ku temu przygotowań.

Sir Roland Lorraine znowu, małą, z natury swego charakteru, przywiązywał wagę do próżnych i czecznych zabobonów. W klasycznej, w perskiej, oraz włoskiej literaturze, znajdował on niejednen przykład nagłego wód podziemnych wystąpienia, a przyczyną tego był zawsze jakiś bożek, bądź-to uganiający się za nimfą rzeczną, bądź-to tym sposobem okazujący siłę uderzenia kopyt rumaka; czasem robił to z przychylności ku ludziom, czasami z chęci należytego zwilżenia ogrodów. Z tego więc nabierał Sir Roland otuchy. Jak dotąd, nie unieruchomił swego umysłu ślepą w cokolwiek wiarą, ale skłonny był do tolerancyi, kusił się o poznanie prawdy i własnym nie dowierzał opiniom. A ponieważ nie były one szczególnie silne, siebie pewne, ani téż siebie za coś wielkiego mające, ponieważ nie gruntuwały się na żadnej opoce, lecz wznosiły się na gruncie, na krótki termin wydzierżawionym, przeto ich, czy to właściciel, czy dzierżawca, czy czasowy tylko posiadacz, był człowiekiem niezmiernie w rozmowie przyjemnym.

Wtedy, ma się rozumieć, kiedy dał się nakłonić do rozmowy. Coraz zaś mniej i rzadziej okazywał się do tego skłonnym, w miarę jak ubywały nieliczne osoby, klucz do serca jego mające, a nie przybywały nowe. Nigdy, za najświetniejszych nawet swoich czasów, nie zwykł on świetnieć, ośniewać, lub nawet jaśnieć w rozmowie. Po prostu miał tylko miły, spokojny sposób słuchania i taki dziwny talent wtrącania śmieszności w rzeczy najpoważniejsze, że genialne nawet umysły dawały się sprowadzać na manowce żartu. Ale teraz własny jego umysł coraz to więcej przywykał schodzić na manowce, a nigdy nie zajmując się kwestyami nauki, ani nawet pogody (której znajomość teraz stopniowo nauką się staje) nie mógł sobie zadawał-niająco odpowiedzieć na pytanie: jak groźną może być ta woda? i dla-tego-to, nim parę godzin upłynęło, zagrzebał ciężar téj myśli w daleko od niéj cięższym stosie ksiąg.

Ale Alicya, chociaż lubiła czytać, i nawet po swojemu, na małą skalę panieńskiego rozumu, rozważać to, co czytała, była jednak zbyt młoda i młodem życiem kipiąca, by pogrzebać się w klasycznej epoce angielskiego nawet piśmiennictwa. Znajdowała ona raczej upodobanie w nowszych pismach, takich jak Coleridge, Wordsworth, Campbell, a przede wszystkim „Wieszcz północy”, którego ballady i romanse uskrzydlały lotny umysł dziewczęcia.

Na trzeci dzień po ukazaniu się Woeburnu, siedziała w ogrodowej altanie, zatopiona w ulubionej swojej „Pani Jeziora”. Altanka ję, chociaż wilgotna i omszona i przez jesienne potargana burze, była jednak miłym miejscem pobytu, ilekroć czyste i jasne powietrze nie zakrywało widoku na góry. Najpiękniejszym wszakże widokiem i najbardziej pojętnym z badań nie było badanie kwiatów lub drzew, ani widok krajobrazu, lecz widok twarzy i postaci: twarzy Alicyi Lorraine, téj twarzy, tak słodkiej i czystej, poetycznym zachwytem promienniej, i téj dziewiczej cudnej postaci, szlachetną, lotną myślą ożywioną. Włos, miękkimi karbami z czoła odrzucony, odkrywał pogodnie spokojne czoło, stanowiące sprzeczność z drżącymi od wzruszenia usty i gorącą falą krwi, która kiedy niekiedy rumieniła delikatnie zarysowany owal świeżych policzków. A gdy słodkie to oblicze coraz więcej się rozjaśniało kolejno płynących myśli ogniem, gdy czoło pochyliło się pokłonem, od czytelnika wieszczowi należnym, w ciemno-szarych oczach błysnęły wtedy łzy, z głębi serca wyciśnięte współczuciem dla pogrzebanych miłości, dla cierpienia i cnoty ry-cerskiej, i świeciły, drżąc lekko na rzęsach, jak perły rosy porannej, w słońcu ogniami grające.

— Proszę pani, panno Alicyo, niech panienka pozwoli! Starsza pani prosi do siebie panienkę.

Tak przemówił praktyczny i, jak się zdaje, całkiem niepoetyczny Trotman, spoglądając na Alicyę, a potem na jej książkę, z zuchwałością dużo większą, niż mu ją okazać przystawało.

— Proszę powiedzieć, że przyjdę natychmiast, skoro pilne zajęcie ukończę — odparła szybko, odbierając Trotmanowi nadzieję dowiedzenia się tytułu czytanéj przez nią książki, i zarazem zabawiania dziewcząt służebnych opowiadaniem o panience.

— No, no! zawsze człeka traktuje z góry — mruczał zawiedziony, wracając do swojej izdebki, którą zawsze „gabinetem” swoim nazywał — kapitan chyba będzie musiał stanąć na głowie, żeby jej dogodzić! Człowiek ledwie śmie spojrzeć na nią. No, łatwiej zawsze jemu, niż mnie, chociaż to uroda taka. Ale stary kapitan nauczy ją chyba moresu.

Tymczasem młoda dziewczica, (nie lubiona przez Trotmana dlatego, że zawsze trzymała stronę starego Mr Binnsa), odłożyła na bok z westchnieniem poemat, a z nim razem własne swoje poetyczne marzenia, i dała dowód, że charakter jej, jakkolwiek silny, był jednak łagodny, wyrobiony i panować nad sobą umiejący; nie wypuściła bowiem z zaciśniętych już teraz usteczek żadnego wykrzykniku, zły humor oznaczającego. Poczekała chwilkę, dopóki nie zblednie żywy jagód rumieniec, nie przyćmi się blask oczu, i wtedy dopiero, włożywszy śliczny swój kapelusik ciemno-bronзовy, jaśniejszemi trochę piórkami ubierany, i nie troszcząc się o to, jak wygląda, poszła stanąć przed obliczem babki.

W chwili, o której obecnie mowa, Alicya Lorraine wyrosła już była z wrażliwej i pełnej życia dziewczeczki na wrażliwą i życia pełną kobietę. Zaczynała *wiedzieć* na pewno, że dobrém i sprawiedliwém jest to, oczém dawniej *myślała*, że dobrém jest i sprawiedliwém, a ulatujące z jej twarzy powątpiewanie zaczynało jej nadawać słodki wyr, az (który opisać trudno, choć na szczęście mniej trudno go spotkać) dobrej woli względem ludzi, wspaniałości serca, gotowości do współczucia, tkliwego miłosierdzia i żywej czułości, połączonych z tym wytwornym, pańskim wdziękiem, który postaci kobiecej cechę doskonałej kobiecości nadaje.

To téż, cokolwiek zrobić trzeba było, taka Alicya zawsze zrobić to była gotowa. Nie miała ona tych nagłych wybuchów czynnego usposobienia, które-to wybuchy miewają dzisiejsze młode panny, wynajdując sobie niewiadomą ilość jak najbardziej naglących

obowiązków. „O nie! nie mam czasu iść za kogoś za mąż — wołają całe zdyszanę — jeżeli-bym za mąż poszła, musiała-bym albo ubogich mego rewiru, albo nauk przyrodniczych zaniechać”.

Biedna Alicya nie miała ani rewiru z ubogimi, ani rzęsy wodnej do studyowania, nie miała nawet mikroskopu; a co gorzej, nie miała nawet pobożnego kapłana, który-by nadawał kierunek jej myślom, wybierał dla niej do haftu (mchem z ziarnkami sago) zdania z Pisma Świętego, i uczył ją grać w krokieta. Cokolwiek robiła, robić to musiała bez przerzucania kobiecego swego umysłu na drogi, mężką działalnością przysposobione, a nawet bez „kochanych i pocziwych” pracy swojej współtowarzyszki. I teraz więc czekającą ją walkę sama o własnych siłach stoczyć musiała.

Był to ostatni ze spokojnych dni jej życia, ostatni, w którym o drobnostkach myśleć jej było wolno, ostatni, w którym nakarmiła, jak należy, ulubione swoje zwierzęta, drób i obłaskawione zające, gołąbki, natrętne wróble (własną natarczywością rozzuchwalone) i słodko poufałe turkawki, którym się nawet nie śni, że zło istnieje na świecie. Nakarmiła je wszystkie, a chociaż nie raz ostatni je karmiła, po raz jednak ostatni karmiła je, czując się szczęśliwą i im nie zazdroszcząc szczęścia.

To właśnie było owém „pilném zajęciem”, z którego się wywiązać musiała, zanim mogła do boku babki pośpieszyć. Czcigodna owa staruszka zawsze po Alicyą tylko posyłała, ilekroć widziała potrzebę, a raczej bezwiednie uczuwała potrzebę małym ulżyć sobie wybuchem. Godność jej i powaga surowo jej wzbraniały dozwolnić sobie tego z owemi niższorzędnymi tworam, które usługiwać jej miały szczęście. Dla wszystkich tego rodzaju ludzi była ona niesłychanie pobłażliwa i wyrozumiale łaskawa, dlatego, że „takim ludziom” niepodobna było jej zrozumieć. I za to właśnie łaskawie pańskie obejście nienawidziły jej wszystkie kobiety domowe. Mężczyźni jednak, tępsze mający uczucia, byli zdania, że Jasnie Pani ma racyą. Zdaniem ich, należało wybaczyć to „Jasnie Pani”, zwyczajnie jak pani, a przytém, dobrze rzecz rozważywszy „babski rodzaj” zawsze dokuczliwy. Słuchali więc cierpliwie wszystkiego, co kobiety miały do powiedzenia i, nie spierając się z niemi, pozwalali im wygadać się do woli.

Lady Walerya Lorraine, chociaż zmęczona i osłabiona reumatyzmem i nerwowymi bólami (które niezmiennie przypisywała woli Bożej i pogodzie) siedziała jednak sztywnie wyprostowana, jak zwykle, i jak zwykle spojrzeniem jedném wymagała drobnych tych względów i grzeczności, których odbierania tak na oko godną była. Im

dalej wiek ją usuwał od teraz dorastających pokoleń, tém wyższą stawała się wyżyna owéj pogody, z którój na pokolenie to patrzeć raczyła, tak dalece, że Alicya mawiała czasem ojcu: „Nieraz pytam się sama siebie, czy mam jakiegokolwiek prawo żyć na świecie... Babunia zdaje się poczytywać mi to za impertynencyą”.

„To jedno jest rzeczą pewną, kochanko — odpowiadał Sir Roland spokojnie, uśmiechając się do ulubionéj córki — że bez impertynencyi żyć nie możesz”.

Czcigodna ta staruszka ubrana była ze zwykłym sobie smakiem i starannością, żadnym niezgrabnym szturmakom nie pozwalała pomagać sobie podczas trzech godzin, zajętych tém, co słusznie bardzo „ćwiczeniem pobożném” nazywała. Miała na sobie suknię z najpiękniejszego ciemno-brązowego aksamitu, przybraną, lecz nie przeciążoną, przepyszną koronką, a czepeczek z téjże saméj koronki, z wstążką *gorge-de-pigeon* koloru, uwydatniał piękność śnieżnie-białych jéj włosów i był jednocześnie przez śnieżną ich białosć zaćmiony. Wśród wielu innych, sobie właściwych przywidzeń, twierdziła ona, że brylanty nie przystoją bardzo wiekowej już kobiecie, nie miała téż żadnych klejnotów, z wyjątkiem pierścionka, ze wspaniałą, turkusami otoczoną perłą, przytrzymującego ślubną jéj obrączkę. Teraz, gdy wnuczka jéj weszła cichutko, trochę niezadowolona ze zwłoki, udała, że nie słyszy jéj wejścia.

— Jestem, babuniu, na rozkazy — rzekła Alicya, potrzykroć zręczny ukłon złożywszy, (co czynić było jéj zawsze nakazaném, i co téż czyniła, śmiejąc się z tego po cichu) — czy babunia będzie łaskawa się obejrzyć i powiedzieć mi, czego chce ode mnie?

— Nawet mi się nie śniło — odparła Lady Walerya, zwołna zwracając się do wnuczki i uśmiechając się z powagą, wyższości wszelkiéj właściwą — że ktoś z członków naszéj rodziny użyje tych samych wyrazów, co *clown* cyrkowy! Może jednak, jak zawsze myśleć się staram, litować się nad tobą trzeba raczej, niż cię potępiać. Częścią z własnéj twojéj winy, częścią skutkiem zbiegu szczególnych okoliczności, nie dostały ci się w udziale te korzyści, do których ma prawo córka takiego, jak nasz, domu. Nie byłaś nigdy na dworze królewskim, nie byłaś wcale w towarzystwie, nawet nigdy nie byłaś w Londynie.

— Niestety! wszystko to prawda, babuniu! Ale ileż razy mi mówiłaś, że, w tych czasach ogólnej degeneracyi, nie mogę się nawet spodziewać znaleźć prawdziwie dobrego wzoru do naśladowania! I za-

wsze odbierałaś mi, babuniu, odwagę, stawiając siebie za jedyny dla mnie przykład!

— Masz zupełną słuszność — odparła wiekowa dama, nie zwróciwszy uwagi na myśl, w słowach Alicyi ukrytą (czego zresztą pewną była Alicya, bo inaczej nie była-by się na nie odważyła) — ale nie starasz się nawet z téj jedynéj sposobności korzystać. Umięsz czytać i pisać, lepiej może niż umięć ci trzeba, lub lepiej, niż to dawniej za potrzebne uważano, ale nie umięsz wejść do pokoju, nie umięsz oddać znośnego ukłonu, i całusienki czas spędzasz wśród psów, poetów, taczek nawozu i ptaszków!

— O, babuniu! za surowa jesteś dla mnie! Znalazła-by się może u mnie pełna taczka poetów; ale już od miesiąca babunia wydała rozkazy, żeby mi nie dawano ani odrobiny nawozu.

— Ma się rozumieć, że kazałam, i czas już był po temu. Panna dobrze wychowana, panna z dobrego domu, grzebie się w robakach, stajenném śmieciu i paskudztwie! Ale nie po to po ciebie posłałam, aby z tobą mówić o takich drobnostkach. To, co ci mam do powiedzenia, jest dla twojéj własnégj korzyści, i będę cię prosiła, abys, przestawszy bawić się rękoma, zechciała mnie teraz posłuchać!

— Przepraszam babunię — łagodnie odparła Alicya — sama nie wiedziałam, że się bawię rękoma. Będę słuchać, nie robiąc już tego...

— Widzisz, moje drogie dziecię — zaczęła Lady Walerya, zmiękczona pełném uszanowaniem obejściem się i słodką uległością dziewczeczki — cokolwiek robimy, robimy to dla twego własnégj dobra. Nie jesteś jeszcze w tym wieku, abys sama mogła sądzić, z czego korzyść, a z czego znów strata dla ciebie wyniknie. Ja nawet, zupełnie inaczej, lepiej od ciebie wychowywana, nie była-bym umiała w twoich latach mieć jasnego o rzeczach pojęcia. Chętnie dawałam się powodować rozumniejszemu od siebie, chociaż niemało widziałam świata; tobie więc, która nie dotąd nie widziałaś, musi to także wystarczyć. Wiiesz doskonale, co między twoim drogim ojcem a mną oddawna uradzoném zostało względem rozporządzenia tobą?

— Rozporządzenia mną! — krzyknęła biedna Alicya, mimo postanowienia trzymania języka za zębami. — Rozporzą... dze... nia mną! Jak-bym ja była workiem gałganów, których pozbyć się trzeba!

— Dumniejsze i piękniejsze od ciebie dziewczęta — spokojnie odparła Lady Walerya (lubiła bowiem drażnić wnuczkę, po części dlatego, że rozdrażnić ją było trudno) — wyszły na worki gałganów,

puszczając wodze takiemu, jak twój, charakterowi. Bądź tak dobrą i racz mnie słuchać bez gminnego unoszenia się. Związek twój z kapitanem Chapmanem jest od dawna rzeczą umówioną, teraz wielka już pora oznaczyć dzień. Sir Remnant Chapman zaszczycił mnie odwiedzinami, przedmiot ten mającemi na celu. Jest to bezwątpienia człowiek prawdziwie dawniej daty, chociaż ród jego jest stosunkowo świeży. Potrafił mi się podobać i dałam mu przyrzeczenie, że związek wasz zawartym będzie od dziś za trzy miesiące.

— To być nie może! nie będzie! Możecie mnie pochować, ale nie wydacie mnie za męża! Kto babuni dał prawo sprzedawać mnie? kto śmieć mnie mieć do sprzedania? O samolubna, bez serca... nie, przepraszam babunię, sama nie wiem, co mówię...

— Możesz na ziemię upaść, dziecko, i drżać, jak drżysz teraz, skoro ośmieliłaś się powiedzieć coś tak okropnego. Nie... proszę cię, bądź łaskawa przyjdź do siebie. Nie mam wcale zamiaru podawać ci sole do wachania, ani dzwonić, ani robić jakakolwiek z tego scenę. Tego-bys ty właśnie chciała... jeszcze, żeby cię potem pieścić w dodatku. Mam nadzieję, że tobie nie tyle zaszkodzi, ile mnie może zaszkodzić-by mógł ten straszny w tobie brak panowania nad sobą. Nie jestem „starą babą”, jak miałaś zamiar mnie nazwać, ale sędziwą damą. I widocznie żyłam za długo, kiedy osoba, ode mnie pochodząca, ma w sobie tak mało krwi szlachetnej, że własną babkę „starą babą” nazywał

— Bardzo, bardzo jestem zmartwiona — szepnęła Alicya, z trudnością chwytając powietrze piersiami, i nie śmiąc jeszcze podnieść się z krzesła, na które była upadła — ale... o ile pamiętam... nie powiedziałam nic takiego. Ale niegrzecznie, bardzo niegrzecznie się odezwałam... przyznaję. Ach! ale ja sama nie wiem, co mówię, kiedy usłyszę takie okropności... chyba sobie język odgryźć muszę!

— Zgadzam się w tém z tobą, i mojem zdaniem, najlepsza to rzecz, jaką wszyscy młodzi zrobić możecie. Staram się jednak wytłumaczyć cię, o ile możliwości, dlatego, że wiem, jak źle byłaś wychowana. A teraz chodź tu do okna, dziecko, i wyjrzyj przez nie. Co to? łyż?... naprawdę łyż? Z czego te dzisiejsze dziewczęta zrobione? z cukru, w mokrą filiżankę włożonego? Otóż jeżeli rezultat twojej własnej gwałtowności pozwala ci widzieć cokolwiek, może mi powiesz łaskawie, co to jest ta czarna linia, tam wśród ugorów, u podnóża góry? Ja ją widzę wybornie, chociaż jestem tak starą... „starą babą!”

— Ta linia? ależ to Woeburn, babuniu! Od trzech dni go już widać.

— Wiész, co to znaczy i tak spokojnie mówisz mi o tém?

— Wiem, ma się rozumieć, że znaczy coś złego, ale doprawdy nie mogłam przeszkodzić jego ukazaniu się. A jak dotąd, nie zrobił jeszcze nic złego.

— Nie, Alicyo, czeka naturalnie do swojej pory. Zdaje mi się, że trzy miesiące ma płynąć, zanim cios śmiertelny zada rodzinie. Twoje małżeństwo jest jedyną sposobnością takiego utwierdzenia pomysłowości domu, aby żadnej się klęski nie lękać. Trzy miesiące zatem, to najdłuższy termin, do jakiego odroczyć je możemy. Ileż razy, zbyt słabi, pozwoliliśmy ci wyslizgnąć się od stanowczego oznaczenia dnia! Ale teraz już postanowiliśmy, że musisz zostać panią Chapman, co najpóźniej już 15 Stycznia.

— O! babuniu, jak można myśleć, abym kiedykolwiek dożyła chwili, w której będę się panią Chapman nazywać?

— Bardzo to dobre nazwisko, Alicyo, choć może nie bardzo brzwi romantycznie. Ale obawiam się, że biedny Sir Remnant nie wygląda na to, aby długo pożył jeszcze na świecie. Wydał mi się taki pochylony, tak źle widzi i tak ciągle pokrzepienia potrzebuje! A wtedy, naturalnie, będziesz nie *Mrs* ale *Lady* Chapman, jeżeli dbasz o takie bagatele.

— Smutna to perspektywa, babuniu; a przytém zdaje mi się, że kapitan Chapman musi być starszy od swego ojca. Zna babunia ten stary obraz „Na schyłku życia” gdzie jakaś pocziwa, kochająca się para, tak ładnie ręka w rękę z góry schodzi? Otóż była-by do tego obrazu ilustracya! Ja-by musiała mego... nie! nie chcę nazwać go mężem!... mego utykającego towarzysza prowadzić z góry, ile-byśmy razy przybyli babunię i ojca odwiedzić... Jaki-by to był zajmujący obrazek!

— Ty, niemądre dziecko! mogła-bys gorzej trafić jeszcze. Lady de Lampnor obiecała łaskawie dopilnować twojej wyprawy w Londynie. Ale nie mogę teraz mówić o tém... Możesz już iść... powiedziałam ci wszystko.

— Dziękuję babuni. Ale jeżeli babunia pozwoli, ja nie wszystko jeszcze powiedziałam, nie powiedziałam nawet połowy. Ale to niewiele czasu zajmie... Powiem to tylko: żadna siła na ziemi nie zmusi mnie nigdy do zaślubienia Stefana Chapmana... chyba, naprawdę, tak-by się zdarzyło...

— Ty, nieposłuszne i zuchwałe stworzenie! chyba-by się co zdarzyło?

— Chyba-by istnienie, albo honor domu Lorraine'ów wymagał tego. Ale na teraz nie przewiduję takiej możliwości; teraz zdaje mi się to tylko niskim i ohydny spiskiem... coraz to więcej gardzą tym bohaterem i coraz go więcej nienawidzę. Nie chcę być za lada co poświęconą, i nie mam najmniejszego zamiaru być zapłatą za stare jakieś grunta!

— Po tém wszystkiém, zostawię cię już ojcu — odparła Lady Walerya, zaczynając czuć się zmęczoną — może cię to bawić, że mówisz tak dosadnie, i może w téj chwili ulgę ci to przynosi. Ale drobnostkowym twoim zachciankom i dziecinny grymasem nie zawsze można degadzać. Wszelako jeszcze o jedno cię spytam: Jeżeli ci dowioda, że część albo i życie Lorraine'ów tego wymaga, poświęcisz-że wtedy szlachetną swoją osobę?

— Poświęcę — odparła Alicya z błyskiem odwagi w oczach, wyższą i majestatyczniejszą w téj chwili wyglądając. — Jeżeli honor domu Lorraine'ów ode mnie zależeć będzie, oddam za niego siebie i życie moje.

ROZDZIAŁ XVII.

Powrót bohatera.

Hilary tak był zmęczony i słaby, i tak poważnie chory, gdy wreszcie dobił się na plebania, że wuj i ciotka nie chcieli nawet słyszeć o tém, aby nie miał z parę dni przynajmniej poleżeć w łóżku. Wiadczym dla nich było, że w spokoju tylko i ciszy, w staranném doglądaniu i odżywianiu się troskliwém, znajdzie Hilary sposobność uniknienia długiej i śmiertelnej może choroby. Najgorszym to zaś było, że, mimo wszelkich usiłowań, nie mogli wymódz na Hilarym, by jadał chociaż czwartą część tego, co jeść był powinien. Rektor mawiał: „Skaranie z tym chłopcem!” pani Hales potrząsała głową, wołając: „Biedaczek mój drogi”, gdy z pokoju jego talerz za talerzem i przysmak za przysmakiem nietknięty wynoszono.

Teraz zaś, rankiem tego samego dnia, w którym Alicya takiem się związała przyrzeczeniem, (a był to dzień trzeci od powrotu brata, o czém ona wcale jednak nie wiedziała) wstał z łóżka rektor West-Lorraine i, szaty swoje przywdziewszy, z niemałym ożywieniem spożywał śniadanie. Świeżo stał się on posiadaczem nowej szaty ka-

pląskiej, wysoko-symboliczne znaczenie mającej, i spodziewał się ukazać ją oczom ludzkim na czele nader licznej... procesyi.

— A cóż z Hilarym? co mam z nim zrobić? — spytała pani Hales, wchodząc do sieni dla zobaczenia, jak się jej czcigodny małżonek do drogi przybiera — nie wiem, co może się zdarzyć przez ten czas, jak ciebie w domu nie będzie.

— Moja Karolino, jakże też możesz zadawać takie pytanie? Karm go, karm i karm... to jedyna dla niego kuracya. Przedewszystkiem zaś, zamknij swoją szafę z lekarstwami. Nie potrzebuje on twojej szkamoi, ani chinowej kory, ani nawet twego patentowanego dekoktu, najobrzydliwszej ze wszystkich obrzydliwości... chociaż niewdzięczny jestem, że tak go nazywam, bo jemu-to zawdzięczam połowę moich dochodów za pogrzeby. Hilaremu nie potrzeba żadnych trucizn łańskiejszej kuchni... potrzeba mu dobrego śniadania, nie więcej!

— Ależ, mój drogi, zapominasz — odparła pocziwa pani Hales, która miała pełną szafeczkę flaszeczek, pigułek, maści, proszków, i malutkie do tego szalki — zupełnie zapominasz o stanie jego języka. Wczoraj nie zjadł nawet takiego, jak mój mały palec, kawałka mięsa. Pytasz dlaczego? Dlatego, że język ma obłożony!

— A niech-że Bóg ma w opiece jego język i twój także — zawołał rektor. — Nie dbam ani odrobiny o jego język, byle tylko zębów używał, jak trzeba.

— Ach Struanie, Struanie! ci, którzy nigdy nie doświadczyli bólu ani choroby, nie są zdolni zrozumieć, co to jest rozstrój organizmu. Ja wiem należycie, jak go leczyć: najpierw środki łagodnie drastyczne, a potem przez trzy dni mój dekokt, a potem coś na wzmożenie. W rodzinie mojej matki zawsze leczyć umiano, a kiedy przyjdzie na ciebie czas, że ci zdrowia i sił braknąć zacznie, wtedy podziękujesz Opatrzności!

— Za wszystko dziękować Panu należy — odparł rektor, który nieraz miewał pobożne zwroty myśli — ale musiał-bym chyba już tracić przytomność, gdy-bym Mu dziękował za twój dekokt.

— Włóż-no nową kurtkę myśliwską, mój drogi. Tu oto wisi, i wiem, że cię pali ochota pokazania jej. Próżność mężczyzn przewyższa nawet miłość kobiet. Cóż-bo robisz? nigdy się nie nauczysz sam się ubrać! podejż do krzesła, zapnę ci kołnierz. Jesteś tak nierozsądnie wysoki, że nigdy nie mogę ci dostać do szyi... Jakże chcesz, żebym ci to zrobiła? czy też pojedziesz tak, jak stoisz? Powiadasz,

że to ciemno-zielony, jak szkło w butelkach? ja widzę, że to zielony, nie wspólnego z butelką nie mający.

— Karolino, jesteś czasem nieznośna! nie jesteś nią z natury, ale usiłujesz nią zostać... To sukno jest prawie czarne... czarno-zielone, jak je kupiec w Londynie nazywał, naumyślnie dla duchownych robione w fabryce... chociaż widzi Bóg, że setki proboszczów jeździ na polowanie po staremu: w pocziwym ponsowym kubraku. Jeżeli jedno słowo jeszcze powiesz, każę sobie zrobić czerwoną kurtkę... Mówię, że to czarno-zielony, nie jestem przecież obłudnikiem.

— No, nie irytuj-że się, Struanie, bo zepsujesz sobie pierwszy dzień polowania. Swoją drogą, pewna jestem, że to sukno jest najcieńsze z zielonych; ale do twarzy ci w niem, bardzo do twarzy... chociaż doprawdy nie wiem, jak ty się dopniesz. Może to robione do zapinania haczykiem, albo może powinien-bys brzuch ściągnąć skórzanym pasem.

— Robione jest na mnie, moja pani, i leży jak ulane. Trudno, żeby już lepiej leżało, a jak się kilka razy przetrzęsę na koniu, za luźne nawet będzie. Gdzie-to moje córki? One znają się na dobrym kroju! Karolu, Madziu, Cesiu, chodźcie-no ojcui na pomoc! Ojcui waszemu matka dopieka, jak borsukowi w jamie... Przyjdźcie tu wszystkie, nie zatrzymujcie się wcale, bo przekabaci was matka. A teraz mówcie szczerą prawdę: co powiadacie na tę kurtkę, moje drogie? Niech każda swoje zdanie wypowieć.

— Doskonale ci w niej, ojeze!

— Ojeze, zdaje mi się, żem cię nigdy tak pięknie wyglądającego nie widziała!

— Mój ojeze drogi, jeżeli tam będą jakie panie, mama będzie miała powody do zazdrości. Ach! ale zdaje mi się, że szew na plecach się ujmuje!

— Ty, mądra Cesiu moja, i ja się tego obawiam... Czuję pewną ulgę w... hm! hm! chcę powiedzieć nieprzyjemną jakąś luźność w piersiach. A mówiłem temu nieponiowi, że co najmniej czterdzieści ośm cali! Złodziej ten londyński skraść mi musiał sukno! Ale będziemy mogli rozpuścić trochę w pasie, jak tylko pocziwy nasz Cobble będzie miał czas wziąć się do tego. Ale na dzisiaj... aha! dobra mi myśl przyszła... Idź, kochanie, i przynies mi niteczkę tego kordonku, z którego sakiewkę robisz. Ty zręczna jesteś dziewczynka i potrafisz zszyć to tak, żeby się przez dziś przynajmniej trzymało... Matka ci pokaże, jak to zrobić! Madzia, powiedz-no Bonny, niech pobiegnie

i powie Robertowi, żeby za jaki kwadrans dopiero przyprowadził mi klacz. A teraz, moje panie, jestem na łasce waszój!

— Ojcie drogi — spytała Cecylia, zeszywając rozpór na krzepkich plecach ojcowskich — a jeżeli biedny nasz Hilary zechce wstać i wyjść, co my robić mamy?

— Jak możesz nawet zadawać podobne pytanie? Nawet na dzień otwarcia polowania nie myślał-bym o wyjechaniu z domu, gdybym przypuszczał, że będziecie tak głupie, aby pozwolić wyjść temu biedakowi. Nie chciał-bym, aby go widział ktokolwiek z moich parafian, a tém więcej kto z jego domowych, za nic nie chcę... nawet gdyby mi dawano ogon tego lisa z Coombe, który ma być równie stary, jak te góry, i żaden pies brać go nie śmieć. Jedna z was musi być na czatach, a jeżeli go niepokój napadnie, to klucz w zamku obróćcie. Nie nad to niema prostszego!

W ciemno-zielonej kurtce, której szwy trwalszemi teraz być obiecywały (o ile się rektor zbyt szczerze nie dopnie) ucałował rektor najukochańszą żonę i córki, a ogólne życzenia szczęśliwych łowów, poklaski i całusy, na palcach przesłane, wyprawiły go w drogę z wesołym uśmiechem, na czerstwej twarzy rozlanym.

— Pamiętajmyż, że zostaliśmy na straży — odezwała się Madzia — ma się rozumieć, ty, mamó, jesteś jego lekarzem, ale my mamy być jego dozorcami. Mam w Bogu nadzieję, że trochę później zje cokolwiek... aż przykro mi patrzeć na niego. A jaki miałyśmy kłopot, strzegąc, aby się słudzy nie dowiedzieli, kto on jest, mamó!

— Moja duszko, twój ojciec chciał, żeby tak było. Co do mnie, wcale nie widzę racyi robienia z tego takiej tajemnicy. Ale naturalnie ojciec lepiej się na tém zna od nas.

— Pewno, mamó — wyraziła przypuszczenie Cecylia — było-by to dla rodziny strasznym ciosem ujrzyć Hilarego w takim stanie i to akurat po ukazaniu się tej okropnej wody. Zaraz zacząną zestawiać jedno z drugim i uwierzą, że to początek najstraszniejszych klęsk.

— Moje drogie dziecko — odpowiedziała jój pani Hales, która lubiła czasem słówko w porę powiedzieć — nam, którzy chrześcijanami jesteśmy, nie wolno wierzyć w takie marne przesady. Ufajmy Panu, a wszystko będzie dobrze. On w dłoni swojej dzierży ziemię i wszystko, co na nią jest, i nawet wody, pod ziemią płynące! A teraz pobiegnij i zobacz, czy biedny twój kuzyn zjadł to kawałtko gruszcзки z serdelami. I powiedz mu, że natychmiast przygotuję ziółka, ale że pigułki, nie wcześniej jak o wpół do dwunastej, zażyć powinien.

— O! mamó droga, mama go z domu wypędzi! Jakże mi żal nieboraka!

Hilary niewątpliwie zasługiwał na tę litość, nie tylko z powodu cielesnych swoich dolegliwości i okrutnego losu, który zdał go na łaskę szafki z lekarstwami, ale szczególnie z powodu smutnego i rozgoryczowanego usposobienia serca i umysłu swego. Ciągłe rozmyślanie nad nieszczęsnym swoim wypadkiem i przypisując sobie więcej winy, niż jęć było w szaleństwie i niepowodzeniu jego, utracił on orzeźwiający, żadnymi marzeniami niezakłócony sen, o który upominały się wycieńczone jego siły. Żadnego nie mógł znaleźć ukojenia w pocieszających słowach wujowstwa i kuzynek; wiedział, że mówiono mu to wszystko, aby go pocieszyć, a takie przekonanie dolega, a przynajmniej drażni człowieka, dopóki nie dojdzie tej dojrzalszej epoki życia, w której bierze rzeczy tak, jak są, i mile przyjmuje każde dobre słowo.

Mimo to, nie zaszedł jeszcze tak daleko, aby łykać pigułki kochanej ciotuni. Pozwalał on swojej poduszce zażywać pigulek dla niego przeznaczonych, a pocziwe jego kuzynki pozwalały mu je połykać tak, jak kuglarz połyka miecze. „Nie mogę przełknąć ich, póki na mnie patrzycie — mawiał — jak drugi raz przyjdziecie, zobaczycie, że ich już niema!”

Jedna z dziewcząt, (nie dowiedziano się nigdy która, bo wszystkie wypierały się tego) nieroztropnie wygadała się przed chorym kuzynkiem, że pan domu jest nieobecny. Hilary nie zwrócił na to zbytniej uwagi w chwili, gdy to posłyszał; ale potem trochę zaczął rozmawiać, (jak przystało na obłożonego żołnierza), że miał tu sposobność do wymknięcia się oblegającym. I tak też im powiedział, zjadłszy bulion i surowe jajko, z Xeresem ubite.

— Jaki ty cięty teraz jesteś! — rzekła Cecylia, która z całego serca kochała kuzynka — ale jeszcze, panie kapitanie, nie dorównałeś pan kobieciej naiwności. Musiały cię tego nauczyć hiszpańskie panie, jeżeli połowa tego, com o nich słyszała, jest prawdą. Nie potrzebujesz robić tak strapionej miny, bo ja nie a nie o nich nie wiem. Wiem tylko to, że ci po-za ten dom wyjść nie wolno bez... jakże się to nazywa?... bez hasła, bez paszportu, bez pozwolenia na piśmie... jedném słowem, bez czegoś od ojca. Możesz więc położyć się do łóżka... albo, jak nie, to mama przyjdzie tu do ciebie z proszkiem.

— Niech się dzieje woła Bozka — rzekł Hilary — ale wiesz ty,

Cesiu, że jesteś coraz to ładniejsza?... nie potrzebujesz zabierać moich spodni.

— Bardzo mi to przykro, kuzynku, ale wiem, dlaczego to robię, i twoje żołnierskie komplementa bynajmniej mnie w pole nie wyprowadzą. Chcesz się ztąd wynieść, o czém my wybornie wiemy, choć ledwo jesteś zdolna dwie nogi na ziemi postawić.

— O! Cesiu, a ileż nóg powinienem móżdż postawić?

— Sam wiesz najlepiej... przypuszczam, że co najmniej cztery. Ale ty nie masz siły prowadzić z nami sporu, a my mamy rozkaz chronić cię od wszelkiego zmęczenia. No, teraz zabieram te... rzeczy... jak one się nazywają, nie mam o tém pojęcia, ale robię, co mi kazano. Potém wypijesz tę szklankę czerwonego wina, które ma być wysmienite, a potém zamkniesz z łaski swojej oboje oczu i będziesz je trzymał zamknięte, dopóki ojciec nie wróci z polowania.

Wesoła dziewczyna znikła z wyzywającym ukłonem, zabierając domowe ubranie ojca (na użytek Hilarego oddane) i zamykając za sobą drzwi jego pokoju, stanowczém obróceniem w zamku ciężkiego klucza.

— Możesz pójść spać, mamó — zawołała, wbiegając do saloniku. — Mądry będzie Hilary, jeżeli ucieknie! zabrałam mu spodnie i nie ma co włożyć na siebie.

— O, Cesiu! mądra z ciebie dziewczyna! Dopiero-to ojciec śmiać się będzie! — I zaena kobiecina rozpoczęła zwykłą drzemkę.

W miarę jak upływały popołudniowe godziny, Hilary coraz to więcej się niecierpliwił długiem swoim zamknięciem. Nietylko brak mu było świeżego powietrza (co było całkiem naturalnem, po spędzeniu tak długiego czasu pod sklepieniem niebios jedynie) ale jeszcze martwiła go niewypowiedzianie myśl, że tak jest blisko starego domu na wzgórzni, a jednak niepewny jest, jak go tam przyjmą. Nie raz pociągnął za dzwonek, ale stara niańka, której jednej wolno było wchodzić do niego, nie chciała słuchać o niczém: popieściła go tylko, lub połajała, i spokojnie znowu na klucz zamknęła. W końcu wreszcie wyszedł z łóżka, chwiejnym krokiem zbliżył się do okna i z tamtąd ujrzał, pomiędzy sobą i łąkami mogiłami cmentarza, płynący ów bystry czarny strumień, który tak go zadziwił w nocy jego przybycia.

Od tamtej chwili wyperswadował on sam sobie, lub drugim wyperswadować sobie pozwolił, że ta woda była tylko widzeniem słabego i rozgorączkowanego mózgu. Teraz jednak widział ją jasno, spo-

kojnie, w chwil parę już wiedział, co to za woda, i jakie ma złowróżbne znaczenie.

— Jak mogę pozwalać, aby mnie tu trzymano? — zawołał z oburzeniem — ojciec mój i siostra muszą mieć mnie za umarłego, a ja tymczasem, jak głupiec, w chowanego się bawię. Może pomysła, że lepiej-by było, żebym umarł; ale, w każdym razie, będą przynajmniej wiedzieli prawdę.

Z temi słowy włożył na siebie marynarskie ubranie, które mądra Cesia przeoczyła, i które zostawiono w jego pokoju z obawy, by nie dać sługom powodu do plotek; ubrał się jak mógł najlepiej, starając się czysto i schludnie wyglądać. Ale, mimo wszelkich swoich starań, smutnie bardzo i nędznie wyglądał, a spojrzawszy w lustro, sam się przeraził mizerną i wyniszczoną twarzą i zbiedzoną swoją powierzchowności. Poczém, znając zwyczaje domu, i nie chcąc robić hałasu, poczekał dopóki dwie starsze córki nie poszły na wieś pogawędzić trochę z kobietami, dopóki Cesia nie stanęła nad kopaczami kartofli, a pani Hales nie usnęła nad książką, w chwili właśnie, gdy kucharka obiad do ognia przystawiała; wtedy dopiero, nie próbując wcale otworzyć drzwi, cichutko wyszedł przez okno, przy pomocy pala, podtrzymującego rozłożystą gruszę.

Tak był teraz osłabiony, że, po małym tém wysileniu, zrobiło mu się słabo, dostał zawrotu głowy, musiał usiąść i odpocząć trochę pod krzakiem; ale, po niejakić chwili, uczuł, że mu coraz lepiej. Wyrwawszy więc palik, po dtrzymujący dalia, aby mieć się czém podpierać, skierował się ku furcie; ale tam, odcięty od właściwej drogi, pięć się musiał pod górę takimi drożynami, na jakich wybór pozwalała miejscowość i woda Woeburnu.

Alicya Lorraine pozwoiliła sobie nie unieść się może zupełnie, ale zawsze trochę się zniecierpliwieć napomnieniami babki. Czuła, że z pomiędzy wszystkich istot żyjących jest ona może jedną z najrozsądniejszych, a ilekroć zaczynała wątpić o tém, zawsze wiedziała, że coś jój jest niedobrego. Ulubioną jój kuracyą na ten stan umysłu była swobodna i niczém nieskrępowana przejażdżka konna, w świat, daleko, po górach i dolinach. Nie cierpiała ona mieć za sobą grooma, który, pilnując jój, sledził, a może nawet krytykował ruchy jój kibici. Ale ponieważ nie było to właściwą rzeczą, aby Miss Lorraine samotnie uganiała po okolicy, jak córka pierwszego lepszego *yeomana*, przeto musiała zawsze wyjeżdżać z domu z zaufanym groomem, ale najczęściej potrafiła pozbyć się go w drodze.

Teraz zaś, nadaremnie przypodechlebając się ojcu, aby z nią prze-

trząsał się kłusika, Alicya wyjechała około czwartej na godzinę przejażdżki, po świeżem powietrzu górskim, które miało ją wzmocnić, orzeźwić i myśli jej rozchmurzyć. Cokolwiek robiła, lub zrobić nie potrafiła (ile razy z babką wytrzymać nie mogła) zawsze przytém wyglądała jak uosobienie wdzięku młodzieńczej żywości i pogody. Nigdy jednak nie wyglądała lepiej, jak gdy, ślicznie wyprostowana, siedziała na ulubionej swojej klaczy, muskając w przelocie wzgórz darninę, lub w gąszczy zarośli schylając kształtną główkę. Dziś właśnie pozwoliła groomowi, aby gonił za nią (jak owa czarna troska, z tyłu za jeźdźcem pędząca) dopóki nie odetchnie pełną piersią świeżem gór powietrzem i nie zapragnie spokojnie na wszystko popatrzeć. Wtedy dopiero najuprzejmiej w świecie, wyprawiła go do starłej bardzo kobiety w *Lower Chancton* z zapytaniem, czy nie przstraszył jej Woeburn; a gdy znikł jej z oczu za skąpo rosnącym zagajnikiem, Alicya skierowała kroki swe ku temu, co uczynić postanowiła w myśli.

Według dawniejszych opowiadań, żadne stworzenie, szlachetną krew mające (takie jak człowiek, koń, krowa, pies, a nawet gołąb') nie dotknie ustami wody wyklętego strumienia; podczas gdy twory nieczyste: tchórze, łasice, lisy, borsuki, kruki i tym podobne, przyciągane przez tę wodę, jak przez magnes, biesiadowały na owém miejscu pospołu. Alicya postanowiła tedy, aby ulubioną „Elfoydę” doprowadzić do najsroższego pragnienia i wtedy dopiero bujnie ją raczyć wodą Woeburn'u. A tak mocno zamiar ten spełnić postanowiła, że nie zważała na dzwonek, do ubierania się wzywający, którego dźwięk rozchodził się po gór samotni, ani nawet na rozpieszczoną klaczy porę obiadową, lecz znaną sobie krótszą drogą, samotnym wawozem prowadzącą, pośpieszyła ku nowym wód łożysku.

Strumień znacznie był wezbrał od pozawczoraj, i teraz bystrym prądem, szeroko rozlanego koryta, płynął ku rzece Adur. Każdy, kto-by go przypadkowo ujrzał po raz pierwszy, nie o nim nie wiedząc i żadnych do niego z góry powziętych uprzedzeń nie mając, musiałby pomimowoli zauważyć, jak dalece ta woda różni się od zwyczajnych wód bieżących. Nietylko bowiem odznaczał się ten strumień dziwnie przejrzystą czarnością i chwianiem się pod wodą wysokich traw (których każdą kiść i łodygę, i źdźbło, i puste nawet kłoski wyraźnie widać było, jak drżały, chwiały się, kołysały, kładły i znowu się podnosiły, jak pod wspólnie zalewającą je powodzią zbijały się w gromadkę, lub znowu jedna się od drugiej odłączały) nietylko tém, oraz zupełną na obu brzegach roślin nadwodnych nieobecnością, od-

znaczał się, powtarzam, dziwny ten strmień, ale jeszcze bystrością swoją i szybkim niezmiernie biegiem. Nie muskał brzegów, nie goił się falami, nie marszczył powierzchni, nie bełkotał, nie szemrał nawet, jak to czynią wszystkie przyzwocie zachowujące się rzeki; ale płynął prędko jedną wielką, równusieńką falą, gładką, jak najgładsza kryształu tafla, cichą jak mrok, z nienacka napływającą...

A teraz oczywistą stała się dla Alicyi prawdziwość starej gadki, że jeden człowiek może konia przyprowadzić do wody, ale dwudziestu nawet ludzi, nie potrafi zmusić go do picia, jeżeli sam do tego chęci nie ma. Nie była to jednak rzecz łatwa przyprowadzić Elfrydę do wody. Skakała w bok z zaiskrzonymi oczyma, z nastawionemi uszy i szeroko roztwartemi nozdrzami, i tylko najzupełniejsza ufność w Alicyi skłonić ją mogła, by się choć trochę do wody zbliżyła. Ale żeby się miała napić, albo nawet nos w tym czarnym płynie umoczyć... nie! niech ją koń-dyabeł porwie natychmiast, jeżeli jęć się nawet zamarzyło o zrobieniu rzeczy tak czarnej i zdrożnej.

— Napijesz się, musisz, ty uparta, jędo mała! — wołała Alicya, która często upartą bywała. — Ja się téj wody napiję i ty się napić musisz, nie pozwolę ci na żadne zabobony. — Lekko zeskoczyła na ziemię, uniosła ogon amazonki i klacz biorąc tuż przy pysku za uzdę, ciągnęła ją na przód z całej siły. — Chodź-no tu, chodź, napijesz się... Jeżeli się nie napijesz, naleję ci wody w nos, rada nie rada połkniesz jęć trochę. Wiiesz, że ci na żadne głupstwa nie pozwolę... czy słyszysz?

Pyszna klacz, o wielkich oczach na poły gniewnych, na poły proszących, w tył cofała prosty swój nossek i rozděła nozdrza i połyskujące od piany chropy. Niel nawet jeden włos jęć sierści nie dotknie powierzchni przekłętęj wody!

— To dobrzel nie chcesz pić, to tak woły dostaniesz! — krzyknęła Alicya, podnosząc zgiętą dłoń, z której przelewała się zwolenników niemająca woda; gdy w tém nagle cień jakiś padł na ciemną szklistość wodnej powierzchni, cień, od jęć własnego i Elfrydy cienia wyraźnie się różniący i dalej na falę padający.

— Kto jesteś? — krzyknęła Alicya, obracając się prędko ku niemu — i co tu masz do roboty na gruntach mego ojca? — Była jak najmocniej przerażona nagłym ukazaniem się cudzoziemca-marynarza w tém miejscu, tak samotném, gdzie znikąd pomocy mieć-by nie można; ale, nie namyślając się długo, nadrobiła miną dla pokrycia strachu.

— Kto jestem? — rzekł Hilary, starając się roześmiać swobo-

dnie — kto jestem? Jak sądzę, musiałaś mnie pani widzieć z parę razy przynajmniej w ciągu długiego swego życia, Miss Lorrainel!

— O! Hilary, Hilary, Hilary!

Jednym skokiem znalazła się w jego objęciach, polegając na zwykłej jego sile i nie zastanowiwszy się nad odmianą, jaka w niej zajść mogła. Ale on zachwiał się, w tył parę kroków zatoczył i był-by upadł, gdyby nie pień spróchniały wierzby; co też ona widząc, znowu zawołała:

— O! Hilary, Hilary, Hilary!

— To moje imię w samą rzecz — odparł, ucałowawszy ją z pewną nieśmiałością — ale imię niezgodne z usposobieniem, bo, jak na teraz, wcale nie jestem wesoły...

— Co? nie możesz chodzić, ani mówić, ani nawet wyglądać na bohatera? Jesteś najdzielniejszym pod słońcem chłopakiem! O! żebyś ty wiedział, jacy my z ciebie dumni! Najukochańszy mój, co tobie? Co ci to? wyglądasz, jak gdybyś mnie nie poznawał? Ratunku! ratunku! ratunku! Hilary umiera... Na miłość Boską ratunku!

Biedny Hilary, błędnym zatoczywszy wzrokiem i daremnie usiłując powściągnąć nerwowe ust wykrzywienie, padł nagle w znak, rzucając się, wijąc, drgając i pieniąc, i tonąc w bezdennych głębinach epilepsyi. Niebo, góry i drzewa zlały się razem w błędnych, stojących słupem oczach jego, a potem, jak kołowrotek, wirować zaczęły tu i owdzie, świecącemi posiane centkami. Potem wszystko zapadło w otchłań ciemności, w głąb' bezdenną jakąś przepaści, w zupełną, straszną, wszystkiego bezwiedność.

Siła młodości walczyła przeciwko temu zdradzieckiemu człowieczeństwu wykradzeniu tak długo i tak zawzięcie, że Alicya, jedyny walki tej świadek, zaczęła przychodzić do siebie po przestraszu i krzyku wtedy, gdy brat jój zapadł w zupełną nieczułość. Grunt pochyłał się w tém miejscu, tak strasznym spadkiem, że gdyby jój tam nie było, nieszczęsny młodzieniec musiał-by się stoczyć w Woeburn i tam życie zakończyć. Ale zwinną będąc i skorą do czynu dziewczyną, od tego go przynajmniej ocaliła. Miała także dość przytomności, aby ocalić jego język, wkładając mu pomiędzy zęby rękawiczkę, co jedna zaledwie na sto młoda panna, pierwszy raz w życiu coś podobnego widząca, zrobić-by była zdolną. I teraz więc, choć twarz jój we łzach była skąpana, a ręce tak drżące, jakby ją samą konwulsyjne wstrząsało drganie, napełniła jednak niski swój cylinder wodą z rzeki, delikatnie skropiła mu czoło i uwolniła szyję od wszystkiego, co cisnąc

mogło. Potém dopiero przyglądać się zaczęła wychudłym rysom bladéj twarzy i nasłuchiwać bicia serca.

Było ono tak słabe, że zaledwie dosłyszéć, lub poczuć je mogła.

— Ach! jak ja go do domu sprowadzę! — zawołała — o! bracie mój, mój bracie jedyny!

W przestachu i strapieniu, wyskoczyła na złom wapienia, aby się rozejrzeć, czy kto na pomoc nie przybywa, i nagle daleko, na skłonie widnokręgu prawie, dostrzegła swego grooma z Chancton galopem wracającego. W nadziei, że jéj pomoże którekolwiek z licznych ech, gnieźdzących się w skalnych rozpadlinach, zaczęła krzyczeć z całej siły i, wydobywszy z kieszeni amazonki białą chusteczkę od nosa, włożyła ją na koniec szpicrnty i powiewać nią zaczęła. Niebawem téż doczekała się téj radości, że ujrzała łeb konia, w swoją już stronę zwrócony. Jeździec nie usłyszał jéj głosu, ale dojrzał coś białego, powiewającego pomiędzy nim a ciemną pręgą, w którą utkwione miał oczy.

Groom ten był to silny i pocziwy mężczyzna, ojciec siedmiorga dzieci, starał się więc nie okazać przestachu i pocieszać młodą swoją panią. Poczém ułożył Hilarego na Elfrydzie, łagodnie i lekko nosząc, i przytwierdziwszy go do siodła cuglami własnego wierzchowca i co wreszcie miał pod ręką, uwiązał swego konia do drzewa, a prowadząc klacz, wolno ruszył przed siebie, podczas gdy Alicya, obok idąc, ostrożnie podtrzymywała głowę nieprzytomnego jeszcze brata. I tak-to powrócił ów bohater, po tylu czynach wojennych, pod dach domu swych przodków.

ROZDZIAŁ XVIII.

Grób astrologa.

— Co ja zrobię? co mnie wybawi? — pytała sama siebie Alicya pewnego poranku, przy końcu posępnego Listopada — z trzech pozostawionych mi miesięcy jeden już upłynął, a łańcuch mojej niedoli zacieśnia się wkoło mnie. Nie, nie zbliżajcie się do mnie, ptaszki moje, niezaślugo będziecie musiały obchodzić się beze mnie, lepiej więc nauczcie się tego wcześniej. Ach biedna ja! możecie sobie słać własne gniazdeczka i same sobie wybierać towarzyszy... jakże ja wam zazdrościć! No, ale kiedy trzeba was nakarmić, to trzeba! Dlaczegoż mam być tak samolubną?

I, ze łzami w oczach, poszedłszy do swój altanki, wyniosła z tamtąd swój ze mchu koszyczek, dobrze znany wszystkim szczygłom, drozdom i kosom, w miejscach tych przebywającym. Na dnie koszyczka leżały, w błogięj niewiadomości czekającego je losu, zapasy różnych delikatesów owęj pory roku: pokarm, pienia leśne podsycający, podnieta melodyj napowietrznych. Były więc tam żuki, skoczki, gąsienice, poczwarki, ślimaki i opancerzone chrząszczyki, i potomstwo ściśniętych w pasie os, razem ze słodkawemi robaczkami, które w owocach żyją, i ze szczególnie smacznym drzew owocowych ślimaczkiem, wszystko świeżuteńkie, jak łosoś na pański stół podany, wszystko pojętnie mchem i mlekiem pachnące; nie dziw więc, że, na sam widok tego koszyczka, ślina zaczęła iść ptaszkom do dziobów.

— Miałycie już dosyć na dzisiaj — rzekła Alicya — na nic się nie przyda przechylać główki na jedną stronę i udawać, że dopiero jeść zaczynacie. Znam ja już do téj pory wybornie wasze sztuczki. Nie, nawet ty, Matuzalemie stary, nie dostaniesz już nic... a przynajmniej niewiele.

Szczygieł ten bowiem (dawny jój ulubieniec, którego-to umięjętność porozumiewania się z innemi tak te ptaki z Alicyą spoufaliła — uwziął się był siadać na jój kołnierzyku i lekko dziobać ją w ucho, ilekroć czuł, że go Alicya zaniedbuje. „Niema przyjaciela nad starych przyjaciół” było snadź jego dewizą, a łeppek już siwiał, i dziobek stępiony był karmieniem licznych pokoleń rodzinnych, i wielkie czarne oczy przygasały już powoli.

— Matuzalem, chodź-no jeszcze się pożywić — rzekła Alicya, powoli mu ustępując — niezadługo już stracisz do tego sposobność.

Skoro tylko ptaki, świegocąc i podlatując, i natarczywie a napróżno dopominając się więcej, uwierzyły w smutny ten fakt, że nie już więcej niema dla nich, i rozleciały się każdy do swoich interesów (ale każdy gotów zaraz powrócić), Alicya, z uśmiechem westchnąwszy, jeżeli takie zastosowanie istnieć może, odeszła od swoich faworytów i ruszyła na długą przechadzkę, podczas której mogła-by się nachodzić, nagadać i namyślić do woli. Ptaki, czując się winne łakomstwa i zamiłowania w przysmaczkach, rade były, że siedzieć mogą na drzewach i trawie; te zaś z nich, które były przy głosie, świetnie wdzięczność swoją wyraziły. Ale z pod osłony zieleni ruszyć się za nic nie chciały, nie cierpiały bowiem, żeby im wiatr dmuchał pod ogonki, wiedziały zaś doskonale, co to jest wiatr w górach.

— Pójdę sobie prosto do Chancton-Ring — rzekła sobie śmiało Alicya. — Jakże ja Bogu dziękuję za to, że chodzić mogę! a biedny

Hilary!... ach! jak to z mojej strony samolubnie, że położenie moje porównywan z jego położeniem!

Żwawo wspięła się Alicya na wierzchołek rozpadliny i, dostawszy się na otwarty już kraj górski, szła długim grzbietem wzgórz, które, piętząc się jedne nad drugimi, prowadzą do górującego nad niemi Chancton-Ringu, na wiele mil wokoło, jak drogowskaz, widocznego. Przeszedłszy okopy celtyckiego obozu, dziś małą bardzo stanowiącą przeszkodę, które szerokiemi kołami opasują las odwiecznych drzew, Alicya weszła w czcigodny tłum pni, potarganych przez burze i fantastycznie powykręcanych. Nie są one zbyt wielkich rozmiarów i nie sięgają wkoło siebie wrażenia owej milczącej grozy, która wieje z omszonych szanów i majestatycznych kolumnad bukowych drzew boru New-forest: ale jednak niezliczone, wściekle ich walki z wichrami, w całej sile o pół nocy szalejącemi, oraz pogarda, jaką w osamotnieniu swoim czują dla wszelkiej litości lub pomocy, zmuszają do szacunku i współczucia każdego, kto pod ich cieniem usiadzie.

U stóp jednego z największych drzew spoczęła, strapiona i dręczona niepewnością Alicya, na niskim kurchanie, który przechowywał (jeżeli wierzyć tradycji) kości znamienitego jej przodka, astrologa Agaryklesa. Drzewo, które się nad grobem jego zwieszało, drzewkiem jeszcze będąc, służyło mu może za podporę do teleskopu, a gałęzie, których szmer kołysał go dzisiaj na sen cichy, były zapewne gałązkami zbyt wiotkimi, aby mógł na nich samijski swój płaszcz zawiesić. Lecz ta dziewczyna, która w dziewiątym, lub dziesiątym już może pokoleniu była jego potomkiem, zawsze udarowana była należytym (choć tak rzadkiem) uszanowaniem dla tych, którzy przed nią ze świata zejść musieli. Nie mogła pojąć, żeby koniecznie głupcami być mieli dlatego, że już po ich śmierci tyle nowych wydarzyło się rzeczy; nie była nawet o tym przekonana, że musieli to być łotry, kiedy takie łotrowskie spłodzili pokolenie.

Ztąd więc głęboką cześć miała dla szczątków, pod stopami jej spoczywających, (szczątków, które nie w szpetnej trumnie próchniały, lecz, w całunu osłony spowite, oddane były ziemi, jak dziecię, na łono matki złożone) i zamyśliła się młoda kobieta o śmierci, jak zamyśli się o niej każdy śmiertelnik, gdy mu ją, jak trzeba, przed oczy postawią. Wiecznotrwały smutek przeciągających wiatrów odzywał się w drzewach, w szmerze smutnych, pożółkłych już liści, w chrzęście łamiących się omszonych gałęzi. A po-nad ich maluczkim szmerem i maluczkim nad samemi sobą ubolewaniem, słyszeć się dawało ogromne, rozgłosne szkockich jodeł i świerków wzdychanie, zwolna z oddali

nadociągające, do szeptu fal morskich podobne. Nawet, chwiejące się z wiatrem, pożółkłe już trawy (rosnące tam, gdzie im drzewa rość pozwoliły) i niespokojne głógów szeptanie, i tarniowych gęstwiny szmery, wszystko to smętny jakiś dźwięk miało, wszystko głosem, spojrzeniem zdawało się pożegnania zasylać.

W pośród jesienną tę przyrodę, uczuła się Alicya dziwnie na duchu upadłą. I pierwą już wiedziała, że jest nią potrosze i po to tu przyszła, by się podnieść i dźwignąć widokiem tę przestrzeń bez granic i tych wyżyn, górskim wiatrem owianych. Ale z trzęsawisk podnosiły się mgły i oparów chmury i szarym szerzyły się obłokiem, a na wierzchołkach gór leżało dziś ciężkie jakieś strapienie. To też Alicya, sercem zbratana ze wszystkiemi, co ją otaczało (choć tak starała się być mężną) zaczęła ugiąć się pod brzemieniem samotności, smutku, niespokojnej ciekawości i ogarniających ją obaw. Od czasu do czasu rzucała okiem pomiędzy niekształtne pnie drzewnych filary, aby się upewnić, że nikt się pomiędzy niemi nie kryje, a za każdym razem, nie zobaczywszy nikogo, tak była szczęśliwa, że już więcej patrzeć nie potrzebuje... że zaraz znowu biegła w tę stronę spojrzeniem.

— Wcześniej jeszcze — sama do siebie mówiła — trzeci już jeszcze niema. Głupiej i staje się lękliwą, z tego ciągłego siedzenia przy chorym. Ach! jakże-bym chciała, żeby tu był Hilary! Jedna godzina tego wietrzyku i tych rozkosznych widoków... O Boże mój, co to było takiego!

Chrzest łamiący się gałęzi, bez żadnego śladu stworzenia, które ją złamało... szelest liści, stopą czyjąś deptanych, ale z pośród tych liści, grubym nagromadzonych pokładem, nie widać deptającej stopy... Potem szum, jakby coś powietrzem leciało, jakiś dźwięk, jakby metal o metal uderzył, i tam... daleko... w dolinie echo.

— To astrolog! — pomyślała Alicya. — Ach! czemużem śmiała się z niego? Poczuli, że usiadłam mu na poczewie starej głowy... teraz wieje na mnie swoim płaszczem i z trzaskiem pudełko swoje zamyka... Zawsze miał mnie na oku, jako swoją ofiarę i teraz woła na mnie.

Na potwierdzenie tego mniemania, wysoka postać szara, z podniesioną ręką, w długim wdzięcznie zwieszającym się płaszczu, wysunęła się nagle z pomiędzy drzew. Dziewczyna, której władze mózgu we zbyt wiele były naprężone, starała się poskoczyć ze zwykłą swoją zwinnością, ale zabrakło jej siły. Upadła napowrót na pień nagro-

bny i jakkolwiek nie zemdląa, ale przez chwilę zdawała się bardzo skłonną do tego.

Gdy się znów uczuła zupełnie panią siebie i wolną od wszelkiej zagrobowych widziadeł obawy, uczuła, że głowę jęj obejmuje silne czyjeś ramię, a ktoś pochyła się nad nią troskliwie. Zasłoniła więc obu rękoma twarz, nie mając wcale zamiaru być niegrzeczną, ale nieprzywykła wcale do tego, by ktoś, brata lub ojca wyjąwszy, śmiał dotknąć jęj kilici.

— Najpokorniej proszę panią o przebaczenie, ale bałem się, żeby się pani w głowę nie uderzyła.

— Dziękuję panu bardzo. Niemądrze się znalazłam... Ale teraz czuję się już zupełnie dobrze.

— Pozwoli pani pomódz sobie wstać? Doprawdy i ja się przestraszyłem, niemniej od pani.

— Gdybym mogła w to wierzyć — odparła Alicya — odzyskałabym niebawem szacunek dla siebie samęj, bo pan nie wyglądasz na kogoś, kto się bardzo łatwo przestrasza.

Rumieniła się już przedtém, a teraz mocniej się jeszcze zmieszała przypuszczeniem, czy obcy ten nie pomyśli, że ona się zachwyca mężką jego postacią, o której, ma się rozumieć, ona na chwilę nawet nie pomyślała.

— Nie powinien-bym być skłonnym do strachu — odparł z największą w świecie prostotą — ale przed półtora rokiem uległem w Ameryce porażeniu od słońca i od tęg pory jestem do niczego. Czy mogę powiedzieć pani, kim jestem?

— O! tak... bardzo-bym to rada wiedzieć. — Alicya samęj sobie dziwiła się, mówiąc to, ale skłoniła ją do tego niezwyklej prostoty obęjścia, połączonej z wytworną grzecznością nieznanajomego.

— Jestem niejaki Joyce Aylmer, nie zbyt znany, choć był czas, żem się spodziewał znanym zostać. Major w służbie Jęj Królewskiej Mości — tu uniósł kapelusza i uklon złożył — obecnie na urlopie z powodu choroby, od tęg pory, kiedy stoczyliśmy bitwę z Amerykanami pod Fort-Détroit.

— O! Majorze Aylmes, często słyszałam o panu, i że pan nabiwiłeś się straszego zapalenia mózgu, usiłując ocalić życie jakiegoś biednego dziecka. Wuj mój, pan Hales, zna pana zdaje mi się, i ojca pańskiego zna od dawna.

— Tak jest w istocie. A ja jestem prawie pewny, że muszę mówić z Miss Lorraine, córką Sir Rolanda Lorraine, którego mój ojciec tak często poznać sobie życzył?

— Tak. A może pan zna mego brata, który służył w armii na Półwyspie, a teraz ciężko chory leży w domu?

— Przykro mi tak źle słyszeć o nim wiadomości. Znam go, ma się rozumieć, ze słyszenia, jako bohatera z pod Badajoz, ale zdaje mi się, że posłano mnie na tamtą stronę Atlantyku, zanim brat pani przybył do półku, a w każdym razie, nigdzie się z nim, o ile mi wiadomo, nie spotkałem... chociaż mam teraz nadzieję, że to niebawem nastąpi. Czy mogę pani towarzyszyć przez te samotne góry? Przestraszywszy tak panią, dopominam się o prawo niedopuszczenia, aby to zrobił ktoś inny.

Alicya była-by wymówiła się od przyjęcia eskorty każdego innego obcego sobie mężczyzny, ale słyszała tyle pięknych rzeczy o tym majorze Aylmer i taką czuła litość dla świetnej kariery, własnym jego mężstwem zwichniętej (po części do losu, jaki spotkał biednego jej brata, podobnej) że obdarzyła go jednym ze słodkich, jasnych swoich uśmiechów, takim, jakim nikt nie obdarzył go nigdy jeszcze. Zatem położył na ziemi dużą swoją tekę rysunkową i pudełko z ołówkami i, stanawszy na urwisku góry, wznoszącej się nad doliną Sussex, krzyknął na grooma, odwołując wydany mu poprzednio przez Alicyą rozkaz czekania na folwarku w dolinie.

— Kazano mi dużo jeździć konno — odezwał się, wracając, do Alicyi — i cały dzień być na świeżem powietrzu... bardzo to miła kuracya. Otóż, żeby mieć co robić, wziąłem się do zaniebanego oddawna rysowania... Nie mówił-bym pani tyle o sobie, ale choć pani wytłómaczyć, jak się to stało, żeś pani chodu mego nie słyszała.

— Jak prędko się ściemnia na wierzchołku tych gór, wbrew pewnikom nauki — zawołała Alicya — zawsze mi się zdaje, że one to prędkiej czują, bo widzą, jak słońce zachodzi.

— To bardzo piękna myśl, bardzo piękna — z całym przekonaniem przywodził Joyce Aylmer. I przez całą drogę do Coombe-Lorraine umysł jego znajdował się w stanie, niepodchlebnie o rozumie właściciela świadczącym.

ROZDZIAŁ XIX.

Dworskość obejścia się.

Sir Remnant Chapman był na swój staroświecki, oschły sposób, człowiekiem silnych postanowień. Znał on dolegliwy brak gotówki

w Coombe-Lorraine, a po ojcu (znanym lichmiarzu) odziedziczył był talent korzystania z okazji. Ale, jak większa część ludzi tego rodzaju z trudem zbierających gwinęje, umiał on hojnie szafować niemi, ilekroć szło o korzyść rodziny. A chociaż lista przychodów Chapmanów stopniowo coraz się dłuższą stawała, to jednak genealogia ich była stosunkowo krótką, w porównaniu z sąsiadami normandzkiego pochodzenia; nie zaś prędjéj i skuteczniéj miejscowego tego deficytu wyleczyć nie mogło nad związek z domém Lorraine'ów, którego-to związku ojciec i syn dziesięć razy mocniéj teraz pragnęli, z powodu choroby Hilarego. Ułożyli oni sobie, że Hilary w ciągu kilku miesięcy umrzeć musi, a wtedy, naturalnie, Alicya zostanie dziedziczką Coombe-Lorraine; przedtém jednak małżeństwo doprowadzić trzeba do skutku, bo potém przeszkodzi mu żałoba. Hilary ustąpi z drogi, a gdy i Sir Roland w swoim czasie zejdzie ze świata, a majątki się połączą, niewielkich dozna się trudności, (szczególniéj hojnie pieniędzmi sprawę popierając) w przywróceniu zawieszonego hrabiowskiego tytułu Lorraine'ów, którego świetność uświetni się koligacją z Chapmanami.

By natychmiast powodzenie sobie zapewnić, w piękny listopadowy poranek wyruszyli obaj żółtym swoim pojazdem. Wiedzieli oni, że Sir Roland (zbyt dumny, by o tém mówić) martwi się i truje smutném położeniem syna, oraz podupadłą i skarłałą świetnością domu. Nawet, pomijając już chorobę biednego Hilarego i rozpaczliwy jego upadek na duchu, to i tak głowa domu Lorraine'ów, (ze staroświeckiem swoim, rycerskiém pojęciem o honorze i dumą rodową) musiała-by to czuć, że plama leżéc będzie na imieniu dopóty, póki pieniądze nie będą zwrócone. A teraz ostatni, mogący podtrzymać nieprzerwaną po mieczu prostą linią (z czego niepomiernie dumni byli Lorraine'owie) pójdzie prawdopodobnie tam, gdzie nic a nic nie znaczy pochodzenie w linii prostéj, z wyjątkiem pochodzenia od grzesznego Adama, dla braku marnych pięćdziesięciu tysięcy funtów sterlingów.

Porżnięte, poobcinane i poprzecinane klinami sąsiadujących właścicieli, rozległe dawniéj grunta Lorraine'ów, znakomicie się teraz uszczupliły ku tém większój sąsiadów korzyści. Ale w owych nawet dniach nieszczęsnych, kiedy z powodu długotrwałéj wojny wszystko w cenie spadło, pozostałe grunta przedstawiały zupełne dla powyższéj sumy bezpieczeństwo, wartowały bowiem co najmnij dwa razy tyle. To jednak żadnej nie przynosiło korzyści, albowiem na mocy aktu (spisanego za życia świętój pamięci Sir Rogera, a za wpływem Lady

Waleryi) dopóki Alicya żyła i pełnoletności nie doszła, hypoteki dóbr niczem obciążyć nie było wolno. Punkt ten ostatni bez nadziei nie był wyświecony odwołaniem się do najwyższej owoczesnej powagi prawnej, Rzeczywistego Radcy Stanu, Sir Glanville'a Malakide. Sir Glanwil zaś nie był człowiekiem, który-by pozwolił na dowiedzenie sobie własnych swoich czynów głupoty. W instrukcyach, jakie otrzymał, proszono go o jak najściślejsze obwarowanie aktem uczynionych rozporządzeń, miło mu więc było pokazać teraz, jak ściśle obwarowane przez niego były. „Jestem więc zdania — pisał, pokwitowawszy z odebrania pięćdziesięciu gwinei tytułem honorarium za poradę, — że na mocy aktów z dnia 5-go i 6-go Sierpnia 1799-go roku, dobra, w aktach powyższych wyszczególnione, nie mogą być prawomocnie żadną hypoteką obciążone, dopóki Alicya Lorraine do lat nie dojdzie, lub nie umrze”. Było tam, ma się rozumieć, dużo więcej, ale to było jądrem rzeczy.

Dowiedziawszy się od rektora, jak stoją interesa, kapitan obmyślił krok bardzo mądry, mający uniemożliwić Alicyi wszelką wycofania się sposobność; tym bowiem sposobem mógł żadnym tego związku uczynić Sir Rolanda, który do téj chwili, jakkolwiek dobrze świadomy materyalnych połączenia dwóch domów korzyści, skłaniał się jednak do próśb córki i obiecywał nie naglić jęj. Plan kapitana, jak wszystkie świetne pomysły, niezmiernie był prosty: honor domu miał być okupiony poświęceniem się Alicyi. Między innemi bowiem punktami, postanowiono w przedwstępnych intercyzy punktach, że Alicya otrzyma tytułem własności pięćdziesiąt tysięcy funtów sterlingów na swój wyłączny użytek.

Świetnym więc owym pomysłem kapitana było to, że w dzień ślubu, suma ta zostanie wypłaconą gotowemi pieniędzmi Sir Rolandowi i Hilaremu, jako opiekunom Alicyi, oni zaś, aktem, téż samą datę noszącym, obciążą powyższą sumą hypotekę dóbr Lorraine, *valet quandum*, jak mówią prawnicy. Prawnicy, intercyzę spisujący, otrzymają polecenie usunięcia nasuwających się przeszkód, a tym sposobem plamie imienia zapobieży dla wszystkich wygodny układ familijny.

Sir Remnand z dziedzicznym w rodzie swoim instynktem, od razu trafił w słabą projektów tego strunę... „Wychodzi na to — rzekł — skoro tylko uwiadomiono go o tém, że otrzymujesz na własność dobra Lorraine, uszczuplone stratą pięćdziesięciu tysięcy funtów sterlingów, które przejdą w ręce rządu. Rząd okrada nas, jak może. Z rozsądnego punktu widzenia, młody Lorraine jest jedynym rozsądnym w rodzinie człowiekiem: ukradł pięćdziesiąt tysięcy funtów sterlin-

gów, które rząd wyciągnął od nas podatkami. Ale żeby zwrócić te pieniądze, na to idyotą być trzeba! A to nogami tupać ze złości co jak wiesz, zawsze mi szkodzi”!

Mimo to (wyrzuciwszy z siebie złość tupaniem) nawrócił się, jak wszyscy prawie uparci starcy, do planów i zamiarów młodych. Stef był głupcem, wszyscy byli głupcami, nikt nie miał ani odrobiny rozumu, prócz niego samego i tego młokosa, który, ukradłszy tyle pieniędzy, chorował teraz ze strachu, by go za to nie pociągnięto do odpowiedzialności. Sir Remnand nie dał się bowiem nakłonić do uwierzenia znanej mu historii, ale ją sobie po swojemu tłómaczył i, przy swojej niewierze w uczciwość ludzką, doszedł do wniosku, że biedny Hilary zakopał gdzieś w górach pieniądze i że je z tamtąd wydobydzie, jak tylko uciszy się hałas, zniknięciem ich sprawiony. Jeżeli tak jest, to w rezultacie nie rodzina nie straci, tylko było-by daleko lepiej nie robić tyle hałasu tą historią kradzieży.

Rozważając wszystko to w myśli i żałując dobrych starych czasów, kiedy pierwszy lepszy (byle-by na stanowisku jakimś będący) mógł być ukraść pięćdziesiąt tysięcy funtów sterlingów bez żadnego hałasu, sędziwy ów baron, do dawniej szkoły należący, przysposobił się do słuchania, z należytym spokojem, wszelkich planów, które jeszcze powstać mogły, i osądził, że plan, przez syna jego podany, udać się może, tak w tém, co się pieniędzy, jak i interesowanych w nim osób, tyczyło. Utworzywszy sobie jednak pewien mglisty zarys charakteru Sir Rolanda, obaj Chapmanowie czekali, kto pierwszy rozmowę rozpocznie.

Przyjemną było-by rzeczą dla każdego, nienarażonego na niebezpieczeństwo, patrzeć, jak ciężki, żółty pojazd kapitana z trudem wtaczał się pod górę kamienistą drogą, stanowiącą najlepszy dostęp do Coombe-Lorraine, teraz, gdy rozlana woda Woeburnu przecięła drogę od Steyning każdemu, kto nie mógł przejść po wąskiej kładce. Teraz właśnie wszystkie drogi były zalane, a mokra kreda jest rzeczą nader śliską, zwłaszcza, gdy od tarcia żelaza porobiły się na niej niebieskie kręsy, w skutek zeslizgnięcia się ciężkiego wozu, który z brzękiem i łoskotem staczał się z góry. Sir Remnand bardzo mało pokładał zaufania w zbyt kownej umiejętności powożenia, jaką syn jego posiadał, i na każdym zakręcie stuknął bolącą głową, z obawy o przezacne ciało swoje i duszę. Wszelako zło nie ginie, i dlatego to ryzykowny ten baron wyniesiony został ze swego pojazdu z wielkimi oklaski, i malutkim atakiem podagry, tak małym, że nie raczył się zniżyć do narzekania na niego.

Sir Roland Lorraine nie był rad z zobaczenia ich i nie udawał też zadowolonego. Teraz właśnie pragnął on pozostawać w samotności, o wielu bowiem rzeczach miał rozmyślać, a domyślił się, że przybывая nagle go o to, co jeszcze w jego umyśle postanowieniem nie dojrzało. Znając słabość charakteru swęj córki, oraz niezłomny matki swęj upór, w spokojnych głębiach serca swego spodziewał się jak najlepszych rzeczy, a mianowicie, że zrównoważą się wzajemnie na szali psychologicznej, jakby się wyraził każdy dobry tego-czesny pisarz angielski, albo, jak dosadnie starzy mawiali, „że załatwią to między sobą”.

— Znowu nad książkami, Lorraine! O! rozumiem ja to, rozumiem... Mało co sam się do tego nie wziąłem, gdy na kolana trzeba było materacyki przyłożyć. A Stef mój także niepospolicie uczony! Zdaje mi się, że Homera tłómaczyć umie!

— To zależy od usposobienia, w jakim jestem — skromnie odpowiedział kapitan — czasami wcale spory kawał zrozumiem.

— No, tego, o ile wiadomo, nikt w całym hrabstwie powiedzieć o sobie nie może, z wyjątkiem, ma się rozumieć, kilku młodych pastorów, tu obecnego Sir Rolanda i kilku bałafarzy, którzy po domach młodzież uczą. Ale na bok wszystko... jakże się miewasz, Lorraine? jak się miewasz na te ciężkie czasy?

Sir Roland Lorraine, po raz już trzeci, uściśnął rękę Sir Remnanta Chapmana, bynajmniej nie w skutek nadmiernego ze swęj stroe ny wylewu gościnności, ale poprostu dlatego, że tamten tego sobilczył. Świeżo właśnie przyjęło się było silnie mniemanie, że każdy uczciwy Anglik obowiązany był ścisnąć się ze spółziomkami za rękę — że ponieważ brudni i zimną krew mający Francuzi, mordercze z pewnej odległości ukłony sobie oddawali, przeto czerstwi i uczciwi Anglicy muszą sobie wzajemnie palce miażdżyć w uścisku. Pojęcie to po dziś dzień nie wygasło.

— A jakże zdrowie Lady Waleryi? — pytał Sir Remnant, na samo niewiasty téj wspomnienie, mocno uderzając w posadzkę laską o złotęj galce — czy sądzisz, że pozwoli się dziś oglądać najpokorniejszemu słudze swemu? To mi dopiero, sąsiedzie, matrona prawdziwał

— Ubawiłem się za ostatnią twoją tu bytnością — zuśmiechem odpowiedział Sir Roland — widząc, jak doskonale rozumiecie się państwo z moją matką. Pewny jestem, że jeżeli czuje się na siłach widzenia się dziś z kimkolwiek, to przyjmie cię niezawodnie. A tymczasem, napijesz się kieliszek czego?

— Tylko w inny sposób to proponuj. Ma się rozumieć, że się

chęnie napiję. Lubię patrzeć, jak wnoszą kieliszki i szklanki, jak się otwierają szafy, a młode kobiety zaczynają się kręcić wszystkie razem za szczypczykami od cukru, za wodą gorącą i zimną.

— Postaramy się urządzić to wszystko, jak należy — spokojnie odpowiedział mu gospodarz — zanim sąsiad tutaj powrócisz. Trotman przyszedł powiedzieć, że matka moja będzie miała zaszczyt przyjęcia cię u siebie.

— Stef, ty tu zostaniesz — krzyknął Sir Remnant, żywo podnosząc się z miejsca i wprawiając ku temu w ruch brwi, oczy i kolana. — Stef, ty jeszcze jesteś niedorostek, a dworskie panie przenoszą towarzystwo mężczyzn. Nie, nie, sam sobie podnieść mogę laskę. Siedz-no spokojnie, Stef, i zabawiaj rozmową Sir Rolanda, póki ja nie wrócę.

Sir Remnant, chociaż trochę niedźwiedziowatęj natury, chlubił się jednak dworską wytwornością obejścia się, skoro wymagały tego okoliczności „Tam do licha — mawiał — bodaj mi wątroba stwardniała, jeżeli nie potrafię dorównać największym salonowcom!” I niósł swoją laskę tak zwyczajko, jakby chciał obwieścić, że całował u rąk, lub nawet może u pięknych nóżek paluszki.

Wszedłszy do salonu Lady Waleryi najdelikatniejszym, jak mógł, ruchem, stary „potępieniec” (jak sam siebie nazywał czasem z dumą, a czasem z tajemną trwogą, stosownie do tego, czy dobrej był lub złej myśli) złożył powolny i niski ukłon, potem ucałował końce swych palców i od ust pocałunek ten przesłał, a w końcu, widząc uśmiech na obliczu sędziwój pani, odważył się drżącą ręką na sercu położyć.

— O! Sir Remnant, za wielki z pana *szarmant!* — odezwała się matrona, która nim jak najszczerzej pogardzała, nienawidząc przytém posiadacza rozległych łąnów ziemi, dawniej do Lorraine’ów należącej. — Teraz już nie widzimy takich manier, odtąd rozpierzło się dawne towarzystwo dworskie; dziś dozwolone są rzeczy, o których samo napomknienie uważała-bym za rzecz nieprzystojną.

— Słuszność masz pani zupełną, mylady, słuszność jak najzupełniejszą. Tam do licha... ahem! ahem! przepraszam, bardzo przepraszam.

— Niéma za co, Sir Remnant. Zawsze w najlepszym towarzystwie pozwolono gentlemanom na takie małe wybryki, a nawet brało mi ich bardzo, kiedy tu przybyła.

— Mylady, uwielbienie moje dla pani wzrasta z każdym twojem

słowem. Z tego, co słyszę, o obecnym *niby* dworze (bo pani i ja tak go nazwać mamy prawo) od mego syna, który był przez tyle lat za pan brat z Jego Królewską Wysokością Następcą Tronu i z innemi Królewskimi Wysokościami, krótko mówiąc... nie mogę wszystkiego pani powiedzieć... źle się dzieje, bardzo źle! — I tu Sir Remnant zrobił taki grymas, jakby jego życie było jednem tchnieniem niepokalaną czystości.

— Obawiam się, że to wszystko aż nadto jest prawdziwem — odparła sędziwa dama, prosto patrząc mu w oczy. — Zawsze tak bywa, że w miarę, jak nabieramy rozumu, widzimy wszystko ku gorszemu idące. Ale chdź-no pan bliżej, usiądź w tém oto krześle i powiedz mi, jeżeli łaska, jak tam rzeczy stoją między tém dwojgiem nieboraków: twoim kapitanem i moją biedną wnuczką?

— Ha! nie potrzebuję tego mówić damie, takiego jak pani wychowania i doświadczenia, ale dzisiejsze panny zupełnie są inne od tego, czém panny dawniej bywały. Ale, ale dzięki Panu niech będą, jakos to idzie między nimi, o tyle dobrze, o ile się tego spodziewać było można. Ale Sir Roland nie chce nam pomóc, a panienka buja sobie, jak motyl, i zdaje się sama dotąd nie wiedzieć, co ma zrobić. Wiész pani, sam Pan Bóg w niebie nie wiedział-by, co o nich trzymać. Chcą czegoś, i potem znowu nie chcą, i same, czego chcą, nie wiedzą...

— O! Sir, nie darmo pan bywałeś u dworu, nabrałeś pan smutnego o kobietach mniemania. Ale one na gorszą jeszcze opinią zasługują! Gdybyś pan słyszał to, co ja, nawet tak oddalona, o nich słyszę... ale nie powiem nic więcej... lepiej jest i więcej po chrześcijańsku nie wcale o nich mówić. Wróćmy więc do przedmiotu, jeżeli pan pozwoli, Sir; mam ja własny swój sposób patrzenia na rzeczy i doprawdy mieć go muszę, bo dziś mało kto się na czém rozumie. Ale... słyszę hałas jakiś... jak pan myślisz: mysz-że to jest, czy szczur?

Nie był to wcale szczur ani mysz, jak zresztą wybornie wiedziała to Lady Walerya. Był to poprostu biedny Sir Remnand, łaską o posadzkę stukający, czego naturalnie dopuszczać się nie miał prawa w chwili, gdy mówił z kobietą.

— Zdaje się, że to bardzo mała myszka — odparł — a może to kołatek. Często odzywają się one w takich starych komnatach, zwłaszcza gdy ktoś w nich ma umrzeć.

Stary gentleman nie darmo bywał u dworu (jak mu to przed

chwilą sędziwa dama powiedziała) wiedział, jak lekkliwe i zabobonne były dziełne dawnych dobrych czasów kobiety.

— Ale czy pan pewny jesteś, Sir, że pan wcale ani razu nie stuknąłeś? — niespokojnie pytała Lady Walerya.

— Ani ćwierć razu, jak zbawienia pragnę — odpowiedział stary potępieniec — ja na byle co nie uważam, ale podobne zdarzenie musi przecie coś znaczyć.

— W ostatnich czasach, dużo było znaków różnych — rzekła leciwa niewiasta, natężając bystry jeszcze słuch, a obłoczna koronka przepysznej jej czépka drżała, jak delikatna pajęcza tkanka — dużo różnych znaków zdawało się zapowiadać, że w swojej porze nadejdą złe czasy.

— Przyjdą one, zanim się na ich przyjęcie przygotujemy; stara kościarka nie czeka zaprosin. A powiadają, że kołatek przed nią bieży i do jej chodu się stosuje.

— O Boże! jakież pan okropne rzeczy mówisz, Sir Remnant! Proszę, miej pan wzgląd na mnie; nie zmrużyłam oka, odtąd się dowiedziałam o tej okropnej wodzie i o biednym wnuku meim. Biedny Hilary! Dokonał wielkich rzeczy i nie swoje pieniądze zmarnował, bo, prawdę rzekłszy, swoich nie miał nawet; a skoro sobie tylu rzeczy odmawiać musiał, jest-że sprawiedliwem, żeby miał być wstydem okryty i zagryźć się na śmierć, dlatego, że nie mógł przeszkodzić utracie troszki pieniędzy, które wcale do niego nie należały? Przecież zdobył miasto dziesięć razy tyle warte; pytam więc, czy to z ich strony sprawiedliwie?

— Bezwątpienia niesprawiedliwie, łaskawa pani, bodaj ich ospa zeszcęcała! pierwszy raz w życiu słyszę o takim brudnym sknerstwie.

— A zechciej pan przytém pamiętać, że od najmniejszego dzieciństwa, odkąd potrafił przebierać nóżkami, zawsze marnował i tracił każdy grosz, który mu do kieszeni włożono. W sam dzień piątej rocznicy jego urodzin, dałam mu gwineję... i co, myślisz pan, pokazał zaraz tego samego dnia popołudniu? Starą, brudną fajkę... i więcej nic... żadnej reszty. A przytém zawsze był niezmiernie dumny, chociaż zawsze gadułał. Otóż, gdyby to wszystko było opowiedziane zwierzchności wojskowej i to jeszcze przez kogoś wpływowego, jestem pewna, że złagodnieli-by tam dla Hilarego; przekoali by się, że taki jego już charakter; przynajmniej tak-by za moich czasów postąpiono.

— Naturalnie, pani moja, naturalnie. Ale z każdym rokiem rze-

czy idą tak ciągle ku gorszemu — i tu Sir Remnant skorzystał z po-
błażania dawniej damy dworu, dla zbyt dobitnych wyrażen — że...
że... bodajem zdechł, ale nieledwie zdawać się może, że oni wszyst-
kich ludzi traktować chcą jednakowo!

— Tego nigdy zrobić nie mogą, panie kochany; nie mogą nawet
być do tego stopnia głupimi, aby tego próbować. A chociaż to są
zli ludzie, muszą jednak wiedzieć, że wnuk mój żadnej nie zrzucił
im szkody. Przecież pieniądze, jakie z jego przyczyny zginęły, nie
były własnością tych panów wojskowych; przeznaczone były na za-
płacenie prostych żołnierzy; pochodziły z kieszeni wszystkich a po-
szły do niczyjój. A ja powiadam, że to się doskonale stało! Któż-to
jest taki ten generał? zapominam, jak się zowie... jakiś Irlandczyk, je-
żeli mnie pamięć nie myli... któż on jest, i z jakiego-to idzie on rodu, aby
miał prawo kazać Lorraine'owi pilnować jakichś-tam pieniędzy? Ła-
dna rzecz! z potomka i dziedzica wszystkich Lorraine'ów robić
kasyera!

— Niech mnie Bóg broni od takiej dumnej kobiety! — pomy-
ślał biedny Sir Remnant Chapman — jeżeli Alicya jest do niej podo-
bną, niech Bóg się ulituje nad naszym nieszczęsnym Stefem! w ką-
teczku nawet nie będzie śmiał łyknąć wódki.

— A teraz nieborak bardzo, bardzo jest chory — dalej ciągnęła
rzecz swoją leciwa pani, ochłonawszy z oburzenia, które nawet zmar-
szczkami ściągnęło gładkie i spokojne jej czoło — dał słowo honoru,
że pieniądze te zwróci, a mój syn także mniema, że godność rodziuy
tego wymaga; chociaż *mnie* wydaje się to rzeczą bardzo śmieszną, na
co pan, ma się rozumieć, godzisz się ze mną. Doktorzy znowu mó-
wią, że Hilary ma jakąś wewnętrzną troskę i że umrzeć musi niebo-
rak, jeżeli się od niej nie uwolni. A wtedy cóż-by się stało z nazwi-
skiem Lorraine'ów, które tu już istnieje od osmiuset lat blisko?

— Wygaśnie, ma się rozumieć, łaskawa pani — odpowiedział
Sir Remnant tak spokojnie, jak-by skutkiem téj katastrofy ziemia nie
miała się w obrocie swoim zatrzymać — później jednak, za specyal-
ném pozwoleniem królewskiem, mogło by odżyć w linii żeńskiej.

— Mały z tego był-by pożytek. Co? nawet wnuk pański mógł-
by się nazywać Lorraine? czy to pan miałeś na myśli?

— Nie, nie, nie, ależ ma się rozumieć, że nie! nie dalszém od mo-
ich myśli być nie może. — I stary baron, mówiąc to, daremnie usiłował
wytrzymać podejrzliwe spojrzenie bystrych jeszcze i przenikliwych
oczu staruszeki.

— Co do kądzieli, mniej jesteśmy wymagający — dobrotliwie

oznajmie raczyła — ale po mieczu musimy godnych mieć przedstawicieli i nigdy... przenigdy miejsca naszego Chapman jakiś nie zajmie.

— Do kroćset... pani, czyż Chapmanowie są błotem? Ale chcąc pani dowieść, jak dalece nas krzywdzisz, powiem pani, z jaką tu propozycją przyszedłem.

I przybrawszy minę bardzo znaczącą, oparł obie ręce na kiju, jak-by coś wybornego zapowiadając, poczem wystąpił ze swoim projektem, który na pierwszy rzut oka wydawał się bardzo pięknym i szlachetnym; jakby całą tę ogromną sumę oddawano bez żadnego jój zabezpieczenia w tym jedynie celu, by ocalić życie, dla obu rodzin zarówno drogie. Sędziwa dama słuchała w roztropnym milczeniu, ale z wewnętrznym uczuciem ulgi, a nawet ze słabo przebijającą się wdzięcznością. Za starą już była, aby od razu mózgi strawić jakiegokolwiek szlachetne wzruszenie. Błogosławieni ci, którzy dochodząc kresu ludzkiego żywota, mogą mieć jeszcze w sercu niewygasłą wiarę w ludzi.

ROZDZIAŁ XX.

Egzemplarz z Kentu.

Ze wszystkich znanych przysłówiów, niema może prawdziwego, co się ludzkich spraw tyczy, (dlatego zapewne, że jest arcy-nieprawdewiém w królestwie chmur) jak owa starością szanowna gadka: „jak pada, to jak z cebra leje”, Chapmanowie przybyli z tém, by ulewą gotówki spłókać wszelkie Hilarego zawady, i oto tegoż samego dnia ukazała się jeszcze chmurka mniejsza, ale o wiele lepsza, by także rzeźwiącą rosę z siebie wypuścić.

Właśnie w chwili, gdy Sir Rolandowi udało się pozbyć (kosztem może biednej Alicyi) nudnego niedołęgi Stefana, wszedł niezmordowany Trotman z oznajmieniem:

— Proszę Jaśnie Pana, nie mogę dać mu rady. Powiada, że chce się widzieć z Jaśnie Panem.

— Ha! jeżeli powiada, że *chce*, to naturalnie widzieć się ze mną musi. Ale któż jest ten człowiek tak niezłomnych postanowień?

— Proszę Jaśnie Pana, pierwszy raz widzę go na oczy, i pokazałem mu złą drogę, żeby zyskać trochę czasu.

— To pójdź-że teraz, John, i pokaż dobrą drogę! Zawsze jestem gotów z każdym się widzieć.

Sir Roland wybornie wiedział, że to wcale nie było prawdą. Powiedział to, nie myśląc, co mówi, a teraz on, co tak szczerze czystą prawdę miłował, zaczynał mieć sobie za złe, że to powiedział. Wiedział on, że teraz nie lubił widywać ani obcych, ani nawet zwykłych znajomych, i zawsze niemiło mu było słyszeć, że ktoś widzieć się z nim żąda. Zanim jednak zdążył żałować tego, że żakuje za przewinienie, drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna średniego wzrostu, krzepkiej postawy, a czerstwój, uczciwój, śmiałej twarzy, czysto w pośrodku między dwoma bokobrodami wygolonej. Sir Roland nigdy nie przywykł bardzo zważać na powierzchowność ludzką, zadziwił się przeto, schwytawszy siebie samego na prędkim wniosku: jeżeli kto, to ten uczciwym jest człowiekiem i w dodatku poczciwym bardzo.

Hodowca zbliżał się ku niemu bez żadnej oznaki pokory, zmieszania, uczucia różnicy stanów, ani tego, co ze wszystkiego najwięcej poniżające, bardzo widocznej, a płytkiej pewności siebie. Wiedział on, że nie należy do téj, co Sir Roland sfery, i ani mu przez myśl nie przeszło przeczyć temu; poprostu tylko, jako człowiek, przyszedł pomówić z człowiekiem w imię wszechludzkiego braterstwa dla miłości tych, którzy od niego zależeli. Jednocześnie bał się on trochę w czemkolwiek za daleko zajechać. Złożył ukłon (broń Boże, nie zgrabny, ale taki iście angielski, poczem, ogólnie przyjętym rodowitych Anglików zwyczajem, czekał, aż się do niego gospodarz domu odezwie.

— Przykro mi bardzo — rzekł Sir Roland — żeś pan miał trudność w znalezieniu mnie. Zazwyczaj idzie to łatwo, ale czasem wszystko się popłaczę. Zechcesz pan podejść tu bliżej, usiąść i powiedzieć mi, dlaczego chciałeś pan widzieć się ze mną?

Marcin Lovejoy złożył powtórny ukłon, trochę już mniej kulfonowaty; przyszedł tu, pragnąc, by go szorstko przyjęto, lecz, o dziwo! nie go prócz uprzejmości nie spotkało! Przejęty ważnością swego poselstwa i pełen najszczerzych na wszystko poglądów, postanowił on jednak powiedzieć coś ostrego, a nie miał do tego sposobności. Prostym będąc człowiekiem, miał to za rzecz całkiem pewną, że Sir Roland wie doskonale z kim mówi.

— Przybyłem zobaczyć się z panem, Sir Rolandzie Lorraine — zaczął głosem cokolwiek drżącym, nie przyjąwszy ofiarowanego krze-

sła — nie dlatego, by być panu natrętnym, ale jedynie w sprawie mojej córki...

— Doprawdy! — odpowiedział Sir Roland, zaczynając się domyślać — więc to pan jesteś ojcem tej panienki...

— Jestem ojcem Mabel Lovejoy. I przykro-by mi było być jej ojcem, gdyby... gdyby... chcę powiedzieć, sir, gdyby była czyją inną córką, ale ponieważ nią nie jest, przeto jest mojem własnem i najdroższem dziecięciem, i nikt na świecie lepszego dziecka nie ma. A jeżeli ktokolwiek powiada, Sir Rolandzie, że rzuciła się na szyję pańskiemu synowi dla jego nazwiska i tytułu, ten, który to powie, będzie kłamcą.

— Wiem o tém, kochany panie; nigdy nie przypuszczałem, żeby córka pańska zrobiła coś podobnego. Owszem, słyszałem, że syn mój jedynie tu jest winnym.

— Czemu-żeś pan nigdy słowem jednem nie powiedział, że tak jest? Czemuż pan czekasz, żebyśmy, jak psy, przyszli wtedy dopiero, kiedy się panu gwizdnąć podoba? Dlatego, że niżej od pana położeni jesteśmy, maż być wolno synowi pańskiemu wyrządzić wielką krzywdę córce mojej, a pan tu sobie siedzisz na swojej górze, jak-byś nigdy o nas nie słyszał? Więc to taki jest honor być wysoko urodzonym? W takim razie, dziękuję Najwyższemu, że nie jesteśmy wysoko urodzeni.

I, brzozowym kijem pogardliwie stuknąwszy w bogaty dywan tu-recki, odwrócił się gospodarz szerokimi plecami do Sir Rolanda Lorraine, nie przez niegrzeczność (jak ów mniewał) ale dla ukrycia wilgoci, która, zjawiwszy się, zaćmiła iskrę słusznego oburzenia, w oku jego płonąca. Poważny baron nigdy może przedtém nie czuł się tak maluczkim i tak we własnych oczach winnym. Nie był on tak ślepym i tak ograniczonego umysłu, aby przez ostatnie dwa lata zapomnieć, że każda kwestya ma dwie strony. Często on czuł, że kentyjskie folwarczne domowstwo ma słuszny żal do zamczyska, na górze South-Downu stojącego; ale, z kontemplacyjnym swoim spokojem i niechęcią do wszystkiego, co spokój ten zamącić-by mogło, zostawiał rzeczy własnemu ich biegowi, wmawiając w siebie w ostatku, że, dając Struanowi Hales owę znaną nam obietnicę, uczynił już wszystko, czego można było od niego wymagać. Teraz jednak myśli takich bezpodstawność wykazał uczciwy gniew ojcowski, a Sir Roland nie był to człowiek, który-by mógł zapierać drugim ich praw, gdy prawa te ujrzał i uznał.

— Masz pan słuszność, panie Lovejoy — rzekł w końcu — nie.

dobrze, wcale niedobrze z państwem postąpiłem. Nie będę się usprawiedliwiał, powiem tylko poprostu, że żałuję mego postępowania teraz, gdyś pan mi je tak wyraźnie przedstawił. Cokolwiek uczynić mogę, to uczynię, by córce pana krzywdę jej wynagrodzić

— Wynagrodzić, to znaczy: dać pieniędzy, tam gdzie taka jest między stanami różnica. Czy śmiał-bys pan ofiarować mi pieniądze?

— Stanowczo nie; to ostatnia rzecz, która-by mi na myśl przyszła. Nie mówię już nawet o tém, że teraz właśnie trudno o gotówkę, ale w takim razie dar pieniężny jest zniewagą.

— Tak-bym myślał, tak-bym myślał! Jakiemiż pieniędzmi mógł-bys pan zapłacić nam za naszą Mabel? Ach! gdybyś ją pan był choć raz widział piérwój, nigdy-bys pan nie mógł był gniewać się na syna. Chociaż ja się gniewałem... gniewałem się, dopókim się nie dowiedział, że tak mocno chory. Ale Bóg z panem, Sir! młodzi zawsze się kochają i nie sposób im na to nie pozwolić. Człowiek z pasyą na nich wpada, dopóki sobie nie przypomni, jak to z nim bywało. Ale teraz, proszę ja pana, słyszałem ja różne rzeczy... Czy to prawda, że młody pan Hilary leży w łóżku, bardzo mocno chory, dlatego, że pieniędzy nie ma?

— Stawiasz pan kwestyą krótko a węzłowato; ale na to wychodzi... Stracił dużą sumę publicznego grosza, którego teraz oddać nam niepodobna.

— To trzeba było przyjść do mnie. Ja z tego kłopotu w mig wyleczę — rzekł gospodarz, siłąc się wyciągnąć coś głęboko w zanzardzonym schowanym — o! otóż jest, wcale porządna sumka grosiwa, a nie-ma czego wstydzić się go, nawet podług waszych wielkopańskich wyobrażeń, bo myśmy na ten grosz nie pracowali. Ani jeden ztąd szeląg nie widział nigdy targu, wszystko to dostało się nam bez żadnego trudu. Tyle pieniędzy na żaden sposób młody pan zgubić nie mógł.

To mówiąc, płasko-zakończonemi palcami, których paznogie nie całkiem były od ogryzania wolnemi, rozwiązywał Marcin Lovejoy worek, podobny do tych, w jakich przechowują się próbki pszenicy i na mocnym sznurku na szyi zawieszony. Sir Roland Lorraine, nie mówiąc, spojrzał tylko i łagodnie się uśmiechnął z wyrazem spokojnego zadziwienia.

— Nie mam cierpliwości... nie, nie mam cierpliwości rachować, odkąd palec sobie złamałem... siedmnaście, ośmnaście, dziewiętnaście, nie... to dobrze być musi, a ja się pomyliłem w rachunku... nasza Mabel przeliczyła grosz każdy, nie dalej, jak wczoraj rano... powinno tu

być dwadzieścia tysięcy funtów sterlingów podług rachunku. O! brankie jednej paczki... a! jest tu, wyslizgnęła mi się z pomiędzy palców... Co to za śliskie szpargałki te papiery bankowe! Czy zechcesz pan teraz schować to wszystko, Sir Rolandzie?

— Po cóż mam to robić, panie Lovejoy? Mniejsza o to, ile tam jest; ale myślę, co to ma znaczyć?

— Otóż, Sir, znaczy to, że córka moja Mabel ma posażek, zostawiony jój przez ojca chrzestnego, sławnego bankiera Lightgold, z miasteczka Tonbridge. Pewno musiałeś pan słyszeć o nim, Sir Rolandzie, jako też i o tém, że umarł z jakie pół roku temu. Nie? no, nie nie szkodzi, zapomniałem, że to tak daleko... takem nawykł do domu, że zawsze mówię, jakbym był w domu. Otóż zrobili mnie opiekunem jój majątku... ze strony prawników jest to nielada dowód zaufania w moję uczciwość... nie prawdaż? Przynajmniej ja to tak sobie tłómaczę.

— To dowód poczciwości pańskiej, że pan to sobie w ten sposób tłómaczysz. Prawnicy nigdy nikomu nie ufają, o ile ufać nie są zmuszeni.

— Tak to ja słyszałem. Tak... tak... słyszałem to samo i nawet tego potrosze doświadczyłem. Ale, czy będziesz pan tyle łaskaw, aby teraz pieniądze przerachować?

— Musiał-bym chyba być gorszym od prawników, gdybym zrobił coś podobnego. Pańska Mabel musi być najlepszą, najlepszego, najbardziej kochającego serca...

— Ma się rozumieć, ma się rozumieć! — wołał gospodarz, jakby to już nie potrzebowało dowodzenia — ale interes jest interesem, Sir Rolandzie Lorraine. Widzisz pan, jestem opiekunem mojej córki i muszę być pewnym, że pieniądzom nie złego się nie stanie, a spory to kawał grosza, spory... więcej, niżem mógł przez całe życie pracować.

— Czy zechcesz pan dokładnie powtórzyć mi jój słowa? Rad-bym słyszeć je dosłownie... Proszę, usiądź pan... Czy pan się boisz, że ucieknę z temi pieniędzmi.

— Podobniusięni pan jesteś do syna... niech mnie licho porwie, jeżeliś pan nie podobny do niego. Wybacz pan, Sir Rolandzie, że tak sobie pozwalam, ale właśnie syn pański ten sam miał sposób mówienia... coś niby żarciaki, niby nie, czém sobie zjednał serce mojej biednej dziewczyny. Nikt u nas tak mówić nie umie, z wyjątkiem, ma się rozumieć, naszej Mabel. Mabel potrafi tak się odciąć, słowo za słowo, każdemu, kto ją na słówka wyzwie. Ale nie miała już do

tego humoru, od... Bóg wie, jak się nazywało to miasto, które zdobył młody pan Hilary. Mniejsza o to, czy ono tu, czy ówdzie; to tylko dowód, jak się do tego nasi biorą.

— Tak, panie Lovejoy, oczywiście. Ale co powiedziała córka pańska?

— Ona zawsze coś mówi, Sir... jak niejedno to drugie; wyjąwszy chyba teraz i wtedy, gdy nie ma do tego humoru. Ale co o tych pieniądzech, to powiedziała... pan to chcesz wiedzieć, Sir Rolandzie? Dobrze, więc widzisz pan, powiedziała tak. Pojmujesz pan, że nagadali mi dosyć o ulokowaniu pieniędzy w bezpiecznym miejscu... pewno mieli na myśli własne swoje kieszenie. Ale starego wróbla nie złapie na plewy. „Pieniądze na stół” powiedziałem, zupełnie tak, jak John Shorne mówi na targu. Oni nie chcieli, nie chcieli. Nie dali ani grosza, dopókim na nich nie nasadził innego prawnika, mego własnego syna, Sir, z pozwoleniem pańskim, mego syna, który jest adwokatem w naszym miasteczku okręgowym, i on ich w mig przekonał, że ustąpili i nagadał mi takich rzeczy, że prawo wkłada na mnie surową odpowiedzialność za te pieniądze. Jak tylko więc je dostałem, zaraz rzekłem: „Mabel, jak je mam ulokować dla ciebie, żebyś miała od nich właściwy procent, dopóki nie dojdiesz do pełnoletności?” Ale ta młodzianka głuptasińska wybuchnęła płaczem i odrzekła: „Co mi z nich kiedy przyjdzie? weź je, ojcze, weź, co do grosza, i zobacz, czy one się *jemu* na co zdadzą?” I nie dała mi chwili pokoju, póki nie ruszyłem w drogę. Otóż to tak było, Sir Rolandzie... Ale ja myślę, że ponieważ pieniądze wcale nie należą do mnie, zmuszony jestem prosić pana o napisanie rewersu, albo własnoręczne pokwitowanie mnie z odbioru, jedném słowem o coś, co pan uważasz za właściwe, na to głównie, żeby tych prawników zaspokoić.

— Będziesz pan miał mój rewers — odpowiedział Sir Roland Lorraine, a w oczach coś mu jak łzy zaświeciło. — A tymczasem włoż pan pieniądze napowrót do worka i zwiąż go bezpiecznie i mocno.

Gospodarz wydał jedno leciutkie westchnienie, i pozwolił opaść w dół kątom ust swoich, spełniając to, co mu powiedziano. Niejednę stoczył on utarczke z Mabel i z niejednej fajki gniewnie dym wydmuchywał, zanim dał się z takim zleceniem wyprawić. Pieniądz jest zawsze pieniądzem; a człowiek, który na niego pracuje w takim niepokoju, którego zarobek zamiast od zwiennęj pogody i chęci wyzysku w przekupniach, (jak się to z hodowcami owoców stało) człowiek taki potrzebuje wiedzieć, dlaczego tyle pieniędzy ma od razu z garści.

wypuścić. Wszelako Marcin Lovejoy był jedném „z najwnioślejszych dzieł Bożych”, uczciwym człowiekiem (choć, jeżeli wartość mierzyć mamy rzadkością, uczciwa kobieta jest jeszcze wznioślejszém dziełem) i wiedział, że te pieniądze są własnością jego córki, która, za rok czasu, zostawszy pełnoletnią już panną, będzie miała prawo rozporządzać niemi według swój woli.

— Napisalem już rewers — rzekł Sir Roland Lorraine, przerywając smętne rozpamiętywania Marcina Lovejoy, we względzie worka z pieniędzmi — przeczytaj go pan, i powiedz, czy nie za chłodno.

Jest to rzecz całkiem niewytłómaczona, (a jednak musi ona mieć swoją przyczynę) dlaczego ludzie, którzy nie pozwalają sobie dźwiękiem głosu, ani uściskiem ręki zdradzić wzruszenia, nie mogą wziąć pióra do ręki, bez wydania się z tém wzruszeniem i dopuszczenia, by żywe źródło serdeczne zerwało z oka pieczęć powściągliwości. Inaczej bowiem wytłómaczyć nie można tego bileciku, ręką Sir Rolanda skreślonego. Gospodarz nałożył okulary, i potem zdjął je znowu i przetarł, a potem, ponieważ cień, od góry padający, zasłaniał mu litery, uznał, że trudno mu wyczytać cokolwiek. Prawdą zaś było, że wyczytał wszystko co do słowa, ale ani w głowie mu było dać się pokonać wzruszeniu. Bilecik ten, tak do odczytania trudny, brzmiał, jak następuje:

„Mabell

Wyrzuciłem ci wielką niesprawiedliwość. Mam jednak nadzieję, że pożyję dość długo, by cię przekonać, co teraz myślę o tobie. Doskonala twoja ufność i miłość warte więcej, niż ktokolwiek mógł u ciebie położyć zasługi, a w szczególności mój syn, który popadł w to ciężkie strapienie, dlatego tylko, że ciebie odstąpił. Pieniądzy twoich, ma się rozumieć, przyjąć nie mogę; ale dobrą chęć twoją cenię wyżej, niż wypowiedzieć to jestem zdolen. Jeżeli zechcesz przybyć odwiedzić Hilarego, mniemam, że pomożesz mu więcej, niż stu doktorów. Czasami wydaje się prawie zdrów; czasem znowu zupełnie sił mu braknie. Wiem, że gorąco pragnie ujrzeć cię, Mabell, a skrzywdziwszy cię tak dalece, pokornie cię proszę, przybądź i pozwól nam ocenić cię sprawiedliwie.

Roland Lorraine”.

ROZDZIAŁ XXI.

Układ familijny.

Nie przyszło to na myśl Sir Rolandowi (gdy wstrząsnawszy prawie Marcina Lovejoy, odprowadził go na gościniec i do dyliżansu wsadził) aby ktokolwiek mógł przypuszczać, że bogaty zapis, dla Mabel uczyniony, miał zmienić własne jego o niej zdanie. Czy wiano jój miało wynosić dwadzieścia tysięcy funtów, czy tylko pensów dwadzieścia, małą to dla niego stanowiło różnicę; jedną różnicę, w przekonaniach jego zaszłą, sprawiła potęgą jój wiary i miłości.

Gospodarz był człowiekiem, który najczęściej drugich sądził z widzenia. Nieraz już odkrył, że ten i ów jest łotrem, dzięki owój „kentyjskiej przenikliwości wzroku”, z której tak słyną Sidney'owie i kilka jeszcze starych rodzin, a teraz, zastosowawszy ten środek do Sir Rolanda, nie miał już dłużej żadnych co do niego wątpliwości. A jednak z chłopskim, prostym rozumem swoim, nie gniewał się wcale, że przyszło mu znowu zapiać odzież na tych samych pieniądzach, złożonych w tymże samym worku, który, zamiast próbek pszenicy, zawierał próbkę takiój miłości, takiego zaufania i wiary. Do pieniędzy nie przychodzi się tak łatwo, jak to właścicielom wielkich dóbr zdawać się może; a gdy o dziewczynie wiadomo, że ma posażek, jest to najlepszą w kołczanie jój powabów strzałą. Tak więc Jegomość pan Lovejoy ujął za kij swój podróżny, i trudną-by miał robotę nawet sławny Black Robin, ówczesny rozbójnik, podróżnych napadający, gdyby chciał wydrzeć panu Marcinowi depozytową tę sumę.

Mierząc drogę żwawym krokiem i przebywszy Woeburn po pniu, nakształt kładki rzuconym (w miejscu gdzie dawniej była kładka) wsiadł do dyliżansu i pojechał do domu.

Tymczasem Chapmanowie zbierali siły na ostateczne zdobycie Alicyi. Ojciec, zarówno jak i syn, jednogłownie osądzili, że poruszeniem, stanowczo zwycięstwo zapewniającém, będzie zajęcie panującej nad krajem fortecy-Waleryi. Wiedzieli oni, że, dla miłości leżących pod nią gruntów, warownia ta była gotową zdać się na łaskę zwycięzcy, a ponieważ działa jój zwrócone były na zamek, przeto mieszkańcy jego na łasce zwycięzców pozostają.

Były jednak dwa punkta, których zdobywcy ci nie umieli oszaczować należycie i na korzyść swoje obrócić. Jednym z nich był cha-

rakter Sir Rolanda, drugim — angielska odwaga i normandzkie męstwo Alicyi.

— Wszyscy teraz na naszej łasce — myśleli — raz tylko młotkiem stukniemy, a młot złoty dość jest ciężki, aby wszystkiemu poradził.

Nie formułowali sobie tego tak wyraźnie (bo ludzie tego rodzaju nie chcą sobie nic za wyraźnie formułować) jednak, gdyby byli w głąb własnych myśli zajrzeli, takimi by je znaleźli.

— Stef, pozwól mi z nim piérwój pomówić — rzekł Sir Remnant, spotykając się z synem o umówionój godzinie, koło kompasu, na wschodniej stronie domu stojącego, który-to kompas przez jedno pół rocze sprawował istotną synekurę, a przez drugie bardzo łatwy urząd. — Stef, narobisz jakiegós biedy; znowu zaglądałeś do butelki.

— To dobrze! a cóż mam robić? Ta dziewczyna każdemu w głowie pomiesza... Ona nie... nie... nie...

— Niecierpi cię! to być nie może, Stefanie. Żadna mi nigdy tego nie powiedziała, choć z tyłu już układałem się za ciebie. One zanadto przepadają za tobą, Stefanie, zupełnie tak, jak dawniej za twoim ojcem. Niecierpieć cię! teraz, kiedy się już ustatkowałeś i tak się porządnie prowadzisz! Nie, Stefanie, niéma na świecie dziewczyny, która-by niecierpiała ciebie, coś tyle dla kobiet poświęcił.

— Tą właśnie myślą usiłuję się pocieszać i wiem, że tak być powinno, choć-by tylko przez prostą zazdrość z jój strony. Ale zdaje się, jak-by to jój nic nie obchodziło, gdy ja o innych dziewczętach mówię, i tak jakoś na mnie spogląda, że prawie mówić nie śmiem... Zupełnie tak, jak-by to nie stanowiło żadnej różnicy, jakie panny kochały się we mnie!

— Miał-żeś tyle rozumu, aby jój opowiedzieć o pannach królewskiego rodu?

— Ma się rozumieć! Wspomniałem o dwóch czy trzech, i to na pewnej zasadzie, ale ona nigdy się nie spytała, jakie to były i zdaje się, że jój to nic nie obchodziło. Zdaje mi się, że trzeba będzie dać za wygraną... Piérwój o żadną dziewczynę nie dbałem na seryo, to téż ciężka to rzecz dla mnie, com ich z tuzin jaki przerzucił, nie móżdż teraz zjednać sobie téj jednéj, w której zadurzyłem się na do-dobrze.

— Stef, osieł jesteś! — oświadczył mu na to Sir Remnant — zawsze stajesz się osłem, ile razy zanadto sobie pozwolisz... powinien-bys z tém poczekać do obiadu... Jużem wszystko ułożył ze staruszką, i wszystko dobrze pójdzie, byle-bys tylko umiał trzymać język za zę-

bami i czekać. Mam ich wszystkich w rękę, i jedno tylko może nas opóźnić: jeżeli będziesz robił jakie sceny z powodu téj dziewczyny. Nadejdzie pora na nią... A chociaż cię nie polubi...

— Po-po polubi... ale ja chciałem powiedzieć, że po-po-pogardza.

— Koszałki, opakił bzdurstwa! brednie! Młoda panna pogardza mężczyzną! Jeżeli się na nic więcej nie zdobędziesz, lepiej chyba zrobię, jak się sam z nią ożenię! A teraz idź sobie, zejdz z góry, przejdź się, odwiedź starego rektora, jedném słowem, podziękuj się, gdzie chcesz przez te parę godzin, a ja tymczasem pogadam z Sir Rolandem. Tylko piérwój daj mi słowo honoru, że dopóki nie wrócisz na obiad, kropki trunku w usta nie weźmiesz.

— Ojciec zawsze z tém wyjeżdża, a ja piłem bardzo mało, tak jak nic, a i téj kropelki nawet nie był-bym wypił, gdyby mnie tak Alicya nie zbiła z tonu.

— No, mogłeś potrzebować wypić troszeczkę... nic ci już więcej nie powiem. I my ją zbijemy z tonu, poczekawszy troszeczkę, tę upartą, dumną jejmościankę! Ale, Stefie, dasz mi słowo honoru... ani kropki niczego, prócz wody! Zawsze słowa honoru dotrzymujesz!

— Tak, ojcze dotrzymuję, i dam je teraz. Ale muszę się trzymać z daleka od Alicyi i Struana. Ona tak mi zawsze dopieczę, że muszę wypić kropelkę, a nie wierzę, żeby ktokolwiek mógł, odwiedzając rektora, nie wypić z parę kieliszków. No, ale wiem, co zrobić; nawet na to, nie potrzebuję przechodzić przez tę przekłętą czarną wodę. Zawołałam sobie tego chłopaka, co siedzi w norze pod górą, i z nim zagram w cetno i lichu o gwineję. Powiadają, że on co wieczór tacza się na pieniądzech.

— Idź, idź, Stefie, i weź od niego lekcję taczania się na pieniądzech, bo od ciebie pieniądze wytaczają się tylko... marnujesz i grosz i siebie, i Bóg wie, gdzie się razem zatoczycie. Nie mówił-bym o tém tak wiele, Stef, ale wiem, że to twoja ostatnia szansa. Tak! ostatnią dla ciebie szansą jest dostać żonę, dość rozsądną, aby umiała i mogła pokierować tobą. To nawet warto całej téj sumy, jaką za nią zapłacimy, nawet jeżeli się ta suma nigdy nie powróci, chociaż dyabelnie będę pilnował, żeby powróciła. Wiész przecie, chłopcze, że jesteś moim synem.

— No, przypuszczam, że nieczyim innym być nie mogę; ja się chyba w ojca wdałem.

— A kiedy mnie już nie stanie, Stefie, jeżeli się na śmierć nie za-

pijesz za mego życia jeszcze, to powiesz, żeś miał dobrego, pocziwego ojca, który, dla ocalenia ciebie, zaprzedał-by duszę dyabłu.

— Doprawdy, ojcze, napadałeś na mnie przed chwilą, że sentymentalności szukałem w kieliszku... Ale, sądzę, że i ja to samo powiedzieć ci mogę.

— Przejdź-no się z góry, Stef, przejdź się z góry na dół. Zdaje się, że, jak na teraz, do tego tylko zdatny jesteś. A jak wrócisz na obiad, pamiętaj, żebyś miał chustkę na szyi porządnie zawiązaną.

Sir Remnant Chapman wszedł do domu z ciężkiem westchnieniem, wyschłą jego pierś podnoszącém. Nie miał on w sobie tój szlachetności uczucia, którą mieć koniecznie potrzeba, aby ocenić wartość szlachetnej dziewczicy, albo nawet pocziwój dziewczyny, w porównaniu z samolubstwem mężczyzny. Ale mimo to, po swojemu, uważał on węży małżeństwa za skuteczny hamulec na nieporządne życie syna; wiedział przytém, że dom jego potrzebuje pani, i gorąco pragnął ujrzyć w nim wreszcie z prawych związków urodzonego wnuka. „Jeżeli wyjdzie z gniazda Lorraine’ów — wołał w myśli — w dzień jego urodzin, zapiszę mu sto tysięcy funtów sterlingów”.

To mając w głowie, wracał wypróbować środki swoje na Sir Rolandzie. Wiedział, że z tym całkiem inaczej postępować trzeba, niż z Lady Waleryą, że musi postawić rzecz swoją jedynie, jak kwestyą pieniężną, ani żądając, ani ofiarując wdzięczności, tak poprostu, jakby istniało zabezpieczenie hipoteczne dla sumy, za Alicyą zapłaconej. I tak zręcznie manewrować umiał, że Sir Roland, jakkolwiek dumny, drażliwy i wysoce honorowy, nie jednak nie widział niewłaściwego w układzie, mocą którego Alicya stanie się ciężarem, dobra Lorraine’ów obciążającym, w celu oczyszczenia honoru tegoż Lorraine’ów domu, a może nawet zachowania przy życiu męskiego tegoż domu potomka.

Przez długi czas nie chciał się zgodzić Sir Roland na oddanie ulubionój córki, Alicyi, takiemu człowiekowi, jakim zdawał się być kapitan Chapman. Chociaż bowiem, skutkiem usunięcia się od świata i nietowarzyskości swojej, nie był on uwiadomiony o wolném życiu i niecnym młodzieńca tego postępkach, nie mógł jednak nie spostrzedz, że brak w nim wszelkiej trwałej podstawy i gruntu, wszelkiej siły do czynienia dobrze, a nawet istotnej do złego władzy. Ale z początku usiłował mniemać, a potem już wierzyć zaczął, że córka jego uleczy te wady i na leczeniu ich chlubę i radość swoją zasadzać będzie. Wiedział on, jakiego dzielnego ducha jest to dziewczę, i uważał to za rzecz prawdopodobną, że szczęśliwszą będzie w pożyciu

z mężem słabym a kochającym, niż człowiekiem wyższym umysłowo, który-by może uchybił w należnych jęj względach. Przytęm nie mógł nie widzięć tego, że Stef był jęj teraz całkiem oddany. Ciągłe docinki, lub pogardliwe milczenie niebardzo obchodziły Stęfa; wiedział, że w końcu postawić musi na swojém, że wtedy na niego może kolęj przyjdzie, i w pół godziny po najgorszej porażce znowu stawał na nogi... dżwignięty ramieniem koniaku.

Alicya Lorraine, z tym darem oczekiwania swęgo losu, który to dar najlepsze z kobiet posiadają, pozwałała rzeczom iść coraz dalej, jak-by widziała, że żadnej już nięma nadziei. Nie odzywała się już ona do serca ojca, ani tęż gorących prósb nie zanosila do babki; zezwalała na to, by czas biegł swoim trybem i żeby jęj każdy mówił, co mu się podobało. Gotowa była dać życie za życie brata i cześć rodu, ale niezłomnie postanowiła nie zostać nigdy żoną Stefana Chapmana.

Im częściej bowiem widywała tego człowieka, tęm mocnięj i tęm zupełnięj pogardzała nim; ani ojcu jednak, ani samęj sobie, nie była zdolną wytłómaczyć, dlaczego taki wstręć ma do niego. Nie wiedziała ona, że był to wrodzony ów wstręć, z jakim dobre usuwa się od zła, wzniosłość od nizkości męztwo od tchórzowstwa, a czystość od skalania. Za młoda była, aby jęj to wszystko na myśl przyszło, za wiele miała dziewięćj czystości, aby wyobraźnią objąć to mogła. Miała może jednak jakąś myśl nieujętą, jakieś niewyraźne przeczucie, że dla czystęj, jak ona, dziewicy, śmierć była stokroć właściwszym małżonkiem od takiego, jak Stefan, człowieka.

Tymczasem Hilary, nad którym czułwaa z niezmordowaną i miłości pełną troskliwością, zaczynał zwolna przychodzić do siebie, po ciężkięj chorobie, która mu trawiącą gorączką groziła. Doktorzy, którzy piérwęj potrzęsali nad nim głowami, teraz zaczęli się uśmiechać, mówiąc, że „istotnie rzadko spotkać można wyraźniejsze przedwstępne wskazówki suchot płucnych, powikłane z cierpieniem serca i wątroby, a tęm groźniejsze, że im towarzyszyły symptomata kongestyi mózgowej. Ale właściwie zastosowane środki lecznicze stały się narzędziem przeciwdziałającém rozstrojowi organizmu, teraz zaś zasady dobrze zrozumianej higieny stanowczo się domagały jak najzupełniejszego wypoczynku”. Poprostu mówiąc, Hilary miał się lepięj i potrzebował spokojuości; dlatego tęż nie powiedziano mu nawet o układzie, tyczącym się siostry. Alicya przychodziła do niego, siadała przy jęgo łóźku, sofie, lub przy fotelu, gdy się już czuł silnięjszym, i bawiła go wesołą rozmową, jakby serce jęj wolne było od wszel-

kiego smutku i troski. Jeżeli wzmiankował o jakim kłopotcie, zaraz to w żart obracała, a gdy mówić zaczął, że mu się coś niewyraźnie o Woeburnie majaczyło, rozśmieszała go, udając Nanny Stilgoe, co doskonale robić umiała. — „Jakaś ty wesoła, Lineczko, nigdy w życiu takiej dziewczyny nie widziałem!” — wołał z wdzięcznością, powstając z lekkomyślności, na swobodę wypuszczonej — „tak dobrze starowinę z kijem naśladujesz... przejdźno się jeszcze z kijem po pokoju, siostrzyczko!” Umysł jego trochę teraz zdziecinniał, zmęczony zamknięciem w domu, które jest zdolne osłabić i znękać najlotniejszy umysł, jaki kiedykolwiek zstąpił z niebios i tęskni za widokiem miejsc rodzinnych. Krótko mówiąc, ile tylko Alicya Lorraine miała jeszcze w sobie wesołej żartobliwości (która nie uleciała z obawy przed nadchodzącą walką) ile miała téj żywości młodzieńczej, która się przeciw nieszczęściu i cierpieniu w młodych sercach buntuje, tyle skarbów tych dobywała z siebie, byle tylko biedny jój brat uśmiechnął się na jedną chwilę, i choćby przez tę chwilę stał się do dawnego Hilarego podobnym.

ROZDZIAŁ XXII.

Lepsza od doktorów.

Szczęście zaczęło się zwracać ku Hilaremu; w kilka dni potem dostał mu się bardzo ważny dodatek do posiadanego przez niego zapasu przyjemności życiowych, i skuteczna do wyzdrowienia zachęta. Gdy bowiem gospodarz powrócił do domu i przyszedł do siebie po ostrém hrabstwie Sussex powietrzu (które mu zaszkodziło na całe dwa dni i trzy noce „dlatego, że w niem wcale nie czuć owoców”) uroczysta rada zwołaną i otwartą została w paradnych apartamentach folwarku Old Applewood. Było tam obecnych nie mniej jak pięć osób, wszystkie gotowe objawić i utrzymywać zasadniczo przeciwne zdania. Pan Marcin Lovejoy, pani Macinowa Lovejoy, Radca Grzegorz Lovejoy (specyjalném wezwaniem sprowadzony) panna Phyllis Catherow i porucznik Karol Lovejoy z marynarki królewskiej. Biednej Mabel nie pozwolono być obecną, z obawy, aby płaczem nie mąciła pogody silnych umysłów i nie osłaniała litością poczucia honoru. Gospodarz sądził, że Jegomość John Shorne, jako londyński przedstawiciel firmy, miał prawo być do rady dopuszczonym; ale nikt inny

tęj rzeczy w tém-że samém nie widział światła, tak więc światła rada „kentyjskiego mruka” została straconą.

Kwestya, nad którą obradować miało zebranie, była następująca: czy, bez obrazy majestatu starodawnego domu Lovejoy, oraz z zachowaniem dziewiczej godności i praw w Covent-Garden obowiązujących, Mabel Lovejoy przyjąć może zaprosiny do Coombe-Lorraine? Dużo mówiono za i przeciw, nikt nie przekonał nikogo, ani też sam przekonany nie został; aż wreszcie pan domu się odezwał: „Możecie mówić, co się wam podoba; ale pamiętajcie, że ja po swojej myśli postąpię”.

Pani Lovejoy i Grzegorz byli przeciwni przyjęciu czegokolwiek-bądź; list, napisany pod wrażeniem chwili, nie był właściwem stosunków związaniem, ani też powinna jechać Mabel dlatego, że na razie potrzebować jej mogą. Ale ojciec powiedział i marynarz także, i powiedziała toż samo słodka kuzyneczka Phyllis, że jeżeli Mabel jest potrzebną, tedy jechać powinna, nie zważając na drobne formalności... szczególnie, gdy sama jechać żąda.

A żądała jechać i pojechała też, zdaniem życzliwych poparta; a ponieważ ojciec zajęty był gruszkami i chmielem (który w mokre to lato nieszczególnie obrodził i późno dojrzewał) przeto piękny młody marynarz, teraz na brzeg wyrzucony, podczas gdy okręt jego naprawiano w Chatham, konwojując siostrę, pożegłował w stronę starego, przez góry South-Downs prowadzącego, gościńca. Grzegorz (który jechać odmówił, dla powodów sobie tylko znanych, ale rozsądnych i słuszych) życzył im szczęśliwej podróży i powrócił do swego mieszkania w Middle-Temple.

Nie czas teraz rozpoczynać opisu podróży, w którą tych dwoje się wybrało; marynarz, pełen tej dzielnej ochoty, z jaką morze ład falami swemi zalewa; dziewica zaś rada zamyślać się, spokojną być, i sercem zarówno, jak i spojrzeniem, głęboką, jednak zmuszona wystąpić z siebie i uśmiechnąć się i sobie pozwolić wystąpić w uśmiechu. Takimi bywają wszystkie tkliwego serca dziewczęta, kiedy wiedzą, że powinny-by być poważne, i szczerze takimi być pragną, a jednak nie mogą nałożyć więzów na strzały młodości, niewinności i zdrowia.

Dość powiedzieć, że zdrowo przybyli do starego domu nad rozpadliną, z marynarzem trawionym, ma się rozumieć, żądzą sterowania ojcowskim koniem. Wrodzone podobieństwo pomiędzy koniem a okrętem zauważone zostało i musiało być zauważone, na długo przedtém, zanim Homer, lub nawet Hiob, zaczęli się nad tym przed-

miotém zastanawiać; do téj pory jednak podobieństwo to istnieje i zasługuje na to, by je rozbięrał najwymowniejszy mąż tego stulecia, obecnie w milczeniu pogrążony.

Pan Hales upomniął się o prawo przedstawienia ulubionéj swojéj Mabel Sir Rolandowi. Przyjaźń bowiem panowała już teraz pomiędzy Coombe-Lorraine i plebanją; małe nieporozumienie przeszłoroczne oddawna już zostało załagodzone, i proboszcz równie był gotów dołożyć szacowne swoje zdanie do wszelkiéj rozprawy, jak w owéj chwili, gdyśmy go po raz piérwszy poznali. Można-by nawet powiedzieć, że był jeszcze gotowszym; albowiem im dłużej pocziwy człowiek żyje z żoną i trzema córkami, dla których wola jego jest prawem, oraz z parafią, duchowość jego uznającą, tém mniej się waha w ograniczeniu rozmiarów własnych swoich zdolności. Mimo to, starał się jednak rektor nie wchodzić w drogę Lady Waleryi.

— Bóg z tobą! wyglądasz lepiéj, niż kiedykolwiek! — zawołał rektor do rumieniącój się Mabel, gdy u głównych drzwi domu kształtną jéj kibić w silne przyjmował ramiona — daj-że mi buziaka, moja serdeczna dziewczyno... zawsze się o niego upomnę. Co? drżące usteczka? O! to się na nic nie przyda! tak nie można! Jeżeli łaska, proszę o troszkę więcéj duńskiéj odwagi... wiész, że zawsze jestem stronikiem duńskim! A to, ma się rozumiéć, jest królewicz duński, czyli Duńczyk z królewskiéj marynarki, co na jedno wychodzi. Karolu, młodzieńcze, nie potrzebujemy przedstawiać się sobie. Rybołową jesteś... to dosyć, może nawet za nadto, jeżeli siostra twoja prawdę mówi... Ty umiész łapać pstrągi, a ja nie!

— O! nie, Sir, nie śmiał-bym... To tylko Mabel zawsze cuda o mnie opowiada.

— No, no! może się kiedy zmierzymy: kościół z marynarką, a Mabel przyniesie nam śniadanie. Udało mi się, udało! Uśmiechnęła się przecież, a to coś warto. Przypomniała sobie gęś, i farsz, i to, jak się dała złapać na urzędnika z Sussex. Ale nie wierzę, żeby ona farsz sama robiła.

— Robiłam, sama robiłam! Jak pan możesz mówić takie rzeczy? Nawet lepszy farsz zrobić potrafię... choć-by jutro! Tamten wcale nie był udany.

— Ale ty za to udana jesteś teraz, aż miło! — odparł rektor, który naumyślnie podrażnił ją trochę — wejdź-no z tym rumieńcem i tym blaskiem w oczach, a wszystkich podbijesz.

— Nie chcę podbijać nikogo — odparła, nie odstępując od kobie-

cego przywileju postanowienia swego na wierzchu — przyjechałam po to tylko, by biednego Hilarego zobaczyć.

Na co rektor z dworską grzecznością i stanowczém dla płci pięknej uszanowaniem, poprowadził sliczną i dobrą dziewczynę, i przedstawił ją Sir Rolandowi. Chciała ona trochę włosy przygładzić, zanim się komu pokaże, ale, w gorącój wodzie kąpany, rektor rozumnie postąpił, nie pozwalając jęj na to. Nie mogła już wyglądać lepiej, jak wyglądała; taka nieśmiała, łagodna i zawstydzona, z mocném postanowieniem, aby nie okazać się nieśmiałą, a jednak w wielkiój obawie, że niepotrafi okazać się odważną.

Sir Roland Lorraine łagodnie podszedł ku nięj, wziął ją za rękę i pocałował. Czuł on w głębi serca, że za surowo postąpił ze sliczną tą dziewczyną, posądzając ją o ambitne cele, a teraz jedno spojrzenie w szczerze, otwarcie patrzące jęj oczy, na zawsze go od tęg myśli uwolniło. Przyjechała ona „zobaczyć Hilarego”; po nic więcęg; o Hilarym tylko myślała. Sir Roland bardzo jęj się podobał: powiedziały mu to prawdomówne jęj oczy; ale ktoś, w pokoju na górze przebywający, podobał jęj się daleko więcęg.

— Chciała-byś pójść na górę, kochanie — odezwał się Sir Roland, ze zwykłym w krytycznych chwilach zmieszaniem — chciała-byś rzucić podrózne ubranie i tam dalej, zanim pójdziesz do biednego Hilarego?

— Naturalnie musi się trochę ogarnąć — zawołał rektor — albo ty wiesz, czego pannom potrzeba? Rolandzie, gdzież jest Mrs Pipkins?

— Powiedziałem jęj, żeby była na zawołanie, ale smaży jakieś sliwki, czy coś innego, co ma niesłychane znaczenie dla całego kraju. Nie wiedzieliśmy z pewnością, kiedy to pocziwe dziecko przyjedzie; gdyby nie to, potrafili-byśmy przyjąć ją lepiej.

— Och! taka jestem kontenta! Nie mogli-byście państwo, nie, nie mogli-byście przyjąć mnie lepiej. A teraz, kiedy pan mnie nazwał pocziwem swoim dzieckiem, będę pana zawsze kochała. Nie przypuszczałam, że pan mnie tak nazwiesz... nie po to tu jechałam... Jechałam tylko do Hilarego.

— O! rozumiemy to doskonale, że my nic u ciebie nie znaczymy — uśmiechając się, odpowiedział Sir Roland — zaraz pójdziesz do niego. Dużo się nabiedował i chorował bardzo ciężko; ale mamy nadzieję, że teraz jest już lepiej i że widok twojęg twarzycki wyleczy go skutecznięj, niż stu doktorów. Ale mimo to, nie możesz siedzieć u niego za długo, i musisz pamiętać o tęg, że potrzebuje spo-

koju. Ale nie potrzebuję ci mówić... widzę, że masz wrodzony dar pielęgnowania chorych...

— Każdy, kto ma zdolności kuchenne, ma też i zdolności do pielęgnowania chorych — zawołał pan Hales — albowiem *omne majus continet in se minus*. Aha! Rolandzie za nic masz moję uczeność!... Oho! gdybyś ty wiedział, jaki ja cały jestem przesiąknięty łaciną i logiką!

Tak sobie gwarzyli podżyli ci gentlemanowie, właśnie dlatego, że byli gentlemanami. Widzieli oni, że biedna Mabel wzdycha do tego, by uwaga ich od niej odwróconą została i, nie pokazując po sobie, że to widzą, nieznacznie uwagę tę odwrócili. Poczém Alicya, uwiadomiona o przybyciu Miss Lovejoy, zbiegła na dół i powitała ją uprzejmie, a serca obu panien zbliżyła niebawem do siebie wspólna o Hilarego troska. Alicya uznała Mabel za najładniejszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek widziała; Mabel zaś uznała Alicyę za najpiękniejszą panią, nie na portrecie istnieć mogącą.

To, co zaszło pomiędzy Hilarym i Mabel, łatwiej wyobrazić sobie należycie, niż w niedostateczne ująć słowa.

ROZDZIAŁ XXIII.

C i e m n o ś ć w z r a s t a.

Ciemność najcięższą z zim bieżącego stulecia (o tyle przynajmniej o ile z upłynionych jego trzech-czwartych sądzić możemy) zbierała się już nad szczytami South-downu, oraz nad wszystkimi górami i dolinami Anglii. Przedtém, jak i od téj pory, zdarzać się mogły, chwilowo i wypadkowo, zimna daleko ostrzejsze; ale specyjalną cechą tamtéj właśnie zimy była stała zniżka temperatury. Mogły się także zdarzać zimy ostrzejsze, o których podanie przechowuje się dotąd i grozą nas przejmującą, że prawdziwości jego nie można stwierdzić ani naoczném doświadczeniem, ani termometru próbą; w zarysach jednak wiarygodnych wspomnień nie było mrozu, równego temu, który zaczął się z dniem Bożego Narodzenia roku 1812.

Trwał on siedm tygodni, ustał na czas jakiś, potem znowu chwycił i trzymał, tak, że w okolicach górzystych śnieg owiewał nietylko łono Maja, ale nawet kraj różowych szat Czerwca. Zima ta odznaczała się jeszcze nietylko nieustającym mrozem, ale jeszcze ciągną

śnieżycą, do tego stopnia, że człowiek, najpiękniej prawa przestrzegający, nie by zdolen powiedzieć, kiedy na cudze wkroczył terytorium. Płoty i rowy zupełnie jednakowo wyglądały, miejsca wklęsłe zamieniły się w wyniosłości; setki ludzi powpadały w zasy, a niewielu ocalić się zdołało od śmierci, budując sobie nad głową dach ze zmarniętego śniegu i kuląc kolana do piersi w czystym, bielutkim domu, za przykładem, jaki podaje głośna a prawdziwa o Elżbiecie Woodcock historia.

Przedtém jednak, zanim nowy ten tryb życia nastął naprawdę, nikt, w górach South-Downu mieszkający, nie, co się tyczyło pogody, wywróżyć nie umiał: owczarze nawet, od lat jakich dwudziestu za owcami chodzący, nigdy nie podobnego nie widzieli, nie ze znaków na niebie, ani téż z zachowania się owiec wywnioskować nie umieli. Pochmurna jakaś szarawa mgła czołgała się po ziemi, wtedy nawet, kiedy niebo było pogodne. Co rano, każde żdźbło trawy, i każda stercząca gałązka, i każdy zębaty liścia brzeżek (wcale niemający zamiaru nie przepiłowywać) każda zwisająca pochewka czegoś, co na próżno dojrzyć usiłowało, każda roztwarta torebka łodygi, która się nasienia swego pozbyła, wszystko to, okryte było delikatną puszystą pleśnią. Czasami wyglądało to jak bawełnista trawa, na moczarach i trzęsawiskach rosnąca, czasami jak ta „amerykańska zaraza,” tak często teraz jabłonie napastująca; czasami zaś najpodobniejsze bywało do gazy, lub unoszącej się w powietrzu pajęczyny. Pastuchowie nigdy tego przedtém nie widywali; nie znały téż tego i owce, wełniste pogody wróżbiarki. Ze zdziwieniem podnosiły one teraz łagodne czarne oczy ku niebu... temu niebu, po którym spacerować pod postacią wełnistej chmurki spodziewać się może każdy baran, skoro tylko odda ludziom nogi na potrawę z nówek baranich.

Nie ma potrzeby dodawać, że wczesne te przestrogi (które zawsze wielki mróz poprzedzają) zupełnie były od ludzi nieprzyjęte. Owce, bydło, wieprze, wszystko mróz przewidziało; ptaki uciekły od niego na skrzydłach; ryby rzeczne zaszyły się w muł, a morskie poszły w głąb. Ślimak, szczur, pełna użyteczności ropucha, schroniły się w domowstwach swoich, a każdy nawet robaczek, każda gąsienica młodziutka, wcisnęły się głębiej, niż sobie zamierzały. Rodzaj tylko ludzki krzątał się na powierzchni ziemi, niczego się wcale nie dorumiewając.

W takiej-to chwili, gdy powietrze było mgliste, a mróz, przed uderzeniem na ziemię, czaił się w ciężkich szarych chmurach; w samą wigilią Bożego Narodzenia, weszła Alicya Lorraine do biblioteki ojca.

W przyémionym smutkiem domu nie było żadnych oznak, wesołe zapowiadających święta, ani téż młodych rąk, z radością przystrajaniem domu zajętych. Mabel już odjechała, zabawiwszy dłużej, niż było jéj zamiarem, a Alicya (która, pod bardzo wysoką opieką, gościła czas jakiś w Londynie, od zbyt niedawnego czasu z powrotem była w domu, by zupełnie czuć się tego pewną, że naprawdę *w domu* jest znowu. W drodze z powrotem cieszyła się ona eskortą dzielnego wojownika, którym był we własnej swéj osobie pólkownik Clumps, siostrzeniec londyńskiej jéj opiekunki. Pólkownik niefortunnie został pokiereszowany w jakiejś utarczce, nacierając ze zbytnim zapałem na francuzką aryergardę. Nietylko bowiem utracił on prawą rękę, ale jeszcze kawałek zdrowej swojej nogi, i co rano, zamiast odmówić pacierz, siedział on przez godzinę na krawędzi łóżka i wysilał całą swoją teologiczną umiejętność na wymyślanie owéj niezręcznej kuli, która nawet nie umiała wybrać najsłabszego miejsca, by w nie uderzyć. Ta pólkownika choleryczność sprzeciwiała się bardzo powrotowi do zdrowia pozostałych osoby jego części; to téż lekarze przypuszczali, że wiejskie powietrze złagodzi może jego usposobienie, a jednocześnie pokrzepi ciało, wielce pokrzepienia potrzebujące. Ułożono zatem, że pólkownik pojedzie na miesiąc do Coombe-Lorraine, odbywając naturalnie podróż pocztą i mając do posługi piękną Alicyą, bo takie jest zwykłe obowiązków eskorty pojęcie.

W chwili owéj podróży, obie córki pólkownika były jeszcze na jakiejś pensyi; miały jednak przybyć do Londynu i spędzić Boże Narodzenie u ciotki, a potém pojechać do Coombe-Lorraine aby, może... w charakterze druchen wystąpić. Tyczasem ojciec ich stawał się zwolna w Coombe-Lorraine wszystkiém kierującą potęgą. Ma się rozumieć, wszedł on w ścisłe przymierze z przyjaciółką swojej ciotki, Lady Waleryą, i surowo wrażał w umysł każdego konieczność grożącego małżeństwa. „Czy jest na świecie jakkolwiek przeciwko temu zarzut?” — dowodził on Mrs Pipkins, jedynéj stronniczce, jaką teraz miała Alicya, z wyjątkiem starego Mrs Binns, kredencera — „jeżeli nawet kapitan Chapman trochę jest za leniwy i trochę za często do kieliszka zaglądać lubi, to i to jeszcze za nim przemawia. Będzie go wodziła za nos, kochana pani... A co do wyższości męża, wszystko to głupstwo! Gdyby miał nad nią wyższość, musiał-by patrzeć na nią z góry, a tego naturalnie żadna kobieta zniesć nie może. A pani-łys to lubiła, Mrs Pipkins? To, to, to, nie gadaj-no mi pani tego; już jestem za stary, abym wierzył kobiecemu gadaniu. Chiał-bym tylko, żeby tak na którą w moich pocziwych córeczek rzucił kto

pięćdziesiąt tysięcy funtów sterlingów, a prócz tego, dochodem dwudziestu tysięcy funtów sterlingów!

— Ale może córeczki pańskie nie takie są wybredne i nie takie romansowe, jak nasza kochana Miss Alicya?

— Spodziewam się, że nie... ja-bym im dał romans! Na chleb i na wodę wziąłbym takie młode gąski, co jeszcze nie wiedzą, po której stronie chleb masłem smarowany. Ale ja nie temu wszystkiemu nie wierzę... wszystko to udawanie i panieńskie komedye, a w głębi serca, choć dziś do ślubu gotowa.

Każdy prawie mówił to samo, i za całą swoją pogardę złotego gniazdeczka biedna dziewczyna tyle tylko zyskała, że ją poczytywano za skrytą, przesadną i niewdzięczną. O tém wszystkiém wybornie ona wiedziała. Zła o nas opinia jest rzeczą, którą natychmiast żywo odczuwamy, chociaż dobra opinia, to już dobrze, gdy trumnę sobą okryje. Alicya (która z innych względów lubiła stanowczość i prawość jego charakteru) sądziła, że półkownik Clums nie ma prawa mieć zdanie o interesach, jój tylko dotyczących, a przynajmniej, nie ma prawa zdania tego wyrażać. Ale półkownik zawsze miewał zdanie własne i zawsze czuł się do wyrażenia go obowiązany.

— Przebywam w tym domu — odparł, gdy Alicya z lekka dała mu to do zrozumienia — i sprawy tego domu do mnie należą. Jeżeli mi nie ma być wolno myśleć o tém, co się tuż o bok mnie dzieje, to lepiej przetnijcie mnie już na dwoje, a nie róbcie ze mnie głupca. — I to mówiąc, machał resztą ręki i stukał w ziemię kulą zdrowszej nogi, z takim hałasem i z tak gniewném spójrzeniem, że Alicya musiała mu słuszość przyznać. Może też miał ją istotnie? a w każdym razie postawił przynajmniej na swoim, jak to na osiwiałego w bojach półkownika przystało.

Z każdym też stawiał na swoim. Nie mogąc już dłużej wojować, nauczył się wyglądać tak krwiożerczo, a pocięta i okaleczona jego postać tak skutecznie popierała napasć téj krwiożerczej miny, że nikt, niemający ogromnych zapasów odwagi, nie mógł się nie czuć do szczytu pokonanym i w pył przez niego rozbitym. Nawet Sir Roland Lorraine (tak spokojny i tak nieskończenie wyższy umysłem) z tych może właśnie powodów, zawsze mu ustępował i pozwalał weteranowi-kalece prawem zdobywcy domem swoim rządzić. Ale Alicya buntowała się przeciw temu.

— Ojczulku—rzekła w owę wigilią Bożego Narodzenia, gdy dom cały wyziębiony był nadchodzącym mrozem, gdy niespadły jeszcze śnieg już chmurą nad nim zwisał, a każda owca, każda krowa, i wro-

na, i trzęsący się od zimna ptaszek każdy, i sam nawet mysi-królik, wszystko, schronienia szukało — Ojczulku, niewiele słów mam ci do powiedzenia, ale te, co mam, czy powiedzieć mogę?

Sir Roland Lorraine, uderzony niezwykłym jej głosem i obejściem, powstał z krzesła rozmyślań swoich, zawiesił na chwilę rozmyślanie o rzeczach, których nigdy nie przemyśli rodzaj ludzki, i wyszedł na spotkanie tego, co w myślach mężczyzny pierwsze miejsce zajmować powinno: na spotkanie dziecka swego, kobiety, dziecięciem jego będącej.

— Lusi, kochanie — przemówił łagodnie, patrząc z miłością w smutne, przelekle jej oczy, których wyraz, tak różny od zwykłej ich słodyczy, przejął go trwogą pewną — Lusi, co ci jest, że tak wyglądasz?

— Ojczulku, wcale nie miałam zamiaru wyglądać inaczej, niż zwykle. Przepraszam, ojczulka, jeżeli wyglądam inaczej. Wiem, że wszystkie tym podobne rzeczy mało bardzo znaczą wobec twoich na rzeczy poglądów... ale mimo to, ojczulku, mimo to... mógł-bys pozwolić mi coś ci powiedzieć...

— Czy-żem ci kiedy odmówił, Alicyo, prawa powiedzenia czegoś?

— Nie... naturalnie, że tego ojciec nigdy nie zrobił. Ale to, co teraz chcę powiedzieć, jest ważniejsze, niż to, co zwykle mówię. Naturalnie, ojczulka nie to obchodzić nie może, ale dla mnie ogromnie wiele znaczy.

— Moje dziecko, zaczynasz się stawać sarkastyczną. Wszystko, co ciebie obchodzi, mnie daleko więcej obchodzi... to się samo z siebie rozumie. Wiiesz, czém byłeś dla mnie zawsze...

— Wiem, ojcie! I dlatego-to tak mi jest trudno uwierzyć, że ojciec może być teraz tak dla mnie surowym... nie wiem, co zrobić mogłam, żeby ojciec tak się dla mnie zmienił. Takie, jak ja, dziewczęta, lubią mówić czasem rzeczy bardzo niewłaściwe, które rodzice niby lekko biorą, ale nie przebaczą im tak łatwo, jak-by się to z pozoru zdawało. Czy ja cię czémś podobnym obraziłam, ojczulku?

— Jak możesz być tak niemądrą, Alinko? Mówisz do mnie tak, jak-bym ja sam był podobnym tobie dziewczątkiem! Nie! nie zrobiłaś nigdy nic, coby obrazić mnie mogło.

— Dlaczegoż więc ojciec robi rzecz, która mnie zabija? do tego w końcu przyjdzie... ojciec wie, że przyjść musi. Nie jestem ja ani bardzo dobrą, ani w niczém od innych wyższą, i nie mam zamiaru powiedzieć nic, coby się mogło ojeu wydawać zbyt ostrém... zbyt sta-

nowczém. Sądę jednak, ojcze, że to jedno powiedzieć ci mogę: nie zobaczysz mnie nigdy zoną Stefana Chapmana!

— Moja Lusi, to twoja własna robota. Nie chciałem bynajmniej przymuszać cię do tego, dopóki rzecz nie wydawała mi się nieuniknioną. Ale w lecie tak go sama zachęcałaś, że teraz już uczciwość nie pozwala nam zerwać.

— Ojcze, *ja* go zachęcałam!

— Tak. Tak mi powiada twoja babka! Wtedy właśnie bardzo miałem wiele zajęcia, ciebie nigdy przy mnie nie było, a ile razy potrzebowałem cię zawołać, zawsze usłyszałem: „Miss Alicya jest z kapitanem”.

— Jakaż to nieprawda! O! ojezulku, zaczynasz być zazdrośnym! Powiedz, że jesteś zazdrośnym, a wszystko ci wybaczę.

— Moja droga, nie mam czego być zazdrośnym. Myślałem, że przychyłasz się do planu, dla ciebie ułożonego.

— Planu, który mnie w grobie położy, ojcze! Ale, czy mi powiesz jedną rzecz, ojcze?

— Moje drogie dziecko, powiem ci nawet sto rzeczy, tylko zapytuj mnie spokojnie.

— Nie robię przecież żadnego hałasu, ojcze, tylko kołnierzyk trochę uciska mi gardło. Otóż, jedno chcę wiedzieć, ojcze. Jeżeli mi się cokolwiek „przytrafi”, jak to mówią, jeżeli usunę się wszystkim z drogi, czy będzie można mieć te pieniądze, które mieć tak niezłomnie postanowiliście wszyscy? Czy honor rodziny będzie oczyszczony? czy biedny Hilary odzyska dobre imię i stanowisko, i czy Lorraine’owie trwać będą wiecznie? Dlaczego nie odpowiadasz mi, ojcze? Pytanie moje jest bardzo proste... Mam przecie prawo spytać o to, czy (dla jakiegokolwiek niedocieczonej przyczyny, z którą nie mam wspólnego) ja-to jestem owym kamieniem obrazy, ową nieszczęsną honoru i istnienia rodu naszego zawadą?

— Alicyo, nigdy cię nie słyszałem mówiącą takie rzeczy i nigdy cię nie widziałem tak wyglądającą. Cóż znowu? policzki palące masz jak ogniem! Chodź-no tu, niech się ich dotknę.

— Dziękuję ci, ojcze, nic im nie będzie. Ale czy będziesz łaskaw odpowiedzieć na moje pytanie? Jestem-że ja nieszczęsna... jestem-że ja dla czci i istnienia domu naszego ciosem śmiertelnym?

Sir Roland Lorraine nie był wcale zadowolony z tego zwięzłego sposobu postawienia kwestyi; w téj już życia swego dobie o wiele on pszenosił zaokrąglenie i łagodzenie spraw, zbyt z natury swój dramatycznych. Kochał on śliczną swoją córkę więcej, niż cokolwiek inne-

go na obliczu ziemi; wiedział, jak szlachetnym był jój charakter, i nie-raz myślał, że ma ona wznioślejszy na świat pogląd, niż na to ludzka zasługuje natura. Ale z tém wszystkiém nie chciał jój teraz ustąpić.

— Alicyo — rzekł — nie widzę racyi, dlaczego tak się masz niepokoić. Wiele jest rzeczy, o których zawsze myśleć trzeba... więcej, niż się ma czasu do myślenia...

— Niezawodnie, ojcze; wiem to wszystko wybornie, i nie lubię widzieć cię niezadowolonym. Sądzę jednak, że mógł-byś spróbować mi powiedzieć, czy mam słuszość, czy nie?

— Moje kochanie, ty zawsze masz słuszość, tylko rzeczy przedstawiają ci się w świetle daleko silniejszym, niż mnie, dlatego naturalnie, że jesteś młodsza i że ci się śpieszy do wielu rzeczy, nad któremi warto zabawić się dłużej. Prawdą jest to, że życie twoje stoi (w skutek rozporządzeń twojej babki i subtelności prawnych) pomiędzy biednym Hilarym a sumą, którą można-by było podnieść dla uratowania go.

— Więc to prawda, ojcze? to prawda? Wierzę święcie każdemu słowu twemu, ale nigdy nie wierzę ani jednemu słowu babki.

— Ty, nieobyczajne dziecko!... Tak, prawdą to jest, ale ostatecznie wychodzi to na nic prawie. Na prawie nie znam się wcale, za co niebu wdzięczny jestem, ale z odpowiedzi na pytanie, jakie Sir Glanville'owi Malackide stawiała babka twoja, zmiarkowałem, że pieniędzy dostać by tylko można, albo drogą takiego właśnie familijnego układu, albo wtedy dopiero, gdy ty, jako panna, dojdiesz dwudziestu jeden lat wieku... co było-by prawie o całe dwa lata za późno.

— A gdybym ja umarła, ojcze?

— Lusiul! dlaczego tak jesteś niezdolną? Gdybyś ty umarła, cały ród nasz mógł-by się skończyć... ja przynajmniej nie dbam o niego.

— Mówisz tak, ojcze, na to, żebyś cię kochała więcej jeszcze, niż cię kocham teraz, co jest daremném z twojej strony usiłowaniem. Niel nie potrzebujesz myśleć, że jestem zazdrosną... ani mi to w głowie! Ale odkąd zjawiała się tu Mabel Lovejoy, nie jestem już tém, czém dawniej, ani dla ciebie, ojcze, ani dla Hilarego. W stosunku z Hilarym musiałam naturalnie spodziewać się tego i łatwiej mi to znieść przychodzi... Ale, ojcze, doprawdy... zrozumieć nie mogę, dlaczego ty zmieniałeś się dla mnie?

— Co za niemądra zazdrość, Alicyo! Czy mam ci powtarzać, dlaczego tak lubię Mabel? Ale co do porównywania jęj z tobą...

— Dlaczegoż więc, ojczu, lubisz i poważasz ją tak *bardzo*?

— Zazdrośnico mała, wcale nie powiedziałem „bardzo”... Ale lubię ją istotnie, dlatego, że jest tak łagodną, tak chętnie uległą, tak zapominającą o sobie, tak do poświęcenia gotową...

— A ja jestem szorstką, nieposłuszną, sobą zajętą i o sobie tylko myślącą. Ona poszła-by za mąż, bez wątpienia, według rozkazu. Chociaż coś mi się jakby śniło, że słyszałam o jakimś fabrykancie słod-u, który miał za sobą ojca... Widocznie, Mabel ma za dewizę *Veni, vidi, vici*. Nawet babcia jest podbita przez nią, czy może przez jęj posag... i mówi, że Mabel kłania się daleko ładniej, niż ja... I owszem, niech jęj to idzie na zdrowie... Wcale nie jestem pewna, żeby piérw-szém zadaniem życia kobiety i ostatecznym jego celem miał być... ukłon! Z tego widzę już, jakie jest moje stanowisko. Nigdy w życiu już nie przeszkodzę ci, ojczu...

Z temi słowy, Alicya Lorraine, powstawszy, łagodny pocałunek na czole ojca złożyła i odwróciła się, nie chcąc mu sprawiać przykrości przeciąglém westchnieniem ulatującej nadziei. Miała jeszcze przed sobą trzy tygodnie do zrobienia postanowienia. a raczój do czekania ze zrobioném już postanowieniem. A trzy tygodnie, długi to przeciąg czasu dla młodości, żadnej uniknąć cierpienia.

— Zupełnie niepodobną jesteś do samęj siebie — w najlepszej wierze odezwał się Sir Roland — zdziwiłaś mnie dzisiaj niezmiernie. Pewny jestem, że nie myślałaś na seryo i czwartęj części tego wszystkiego, co powiedziałaś dzisiaj.

— Masz racyą, ojczu. Nie myślałam na seryo i dziesiątęj nawet części. Postaram się być podobniejszą do Mabel Lovejoy, która istotnie tak jest dobrą i miłą... Jak można nawet przypuszczać, abym mogła być o nią zazdrośną? Poczciwa, z najlepszym serbem dziewczyna, właśnie na żonę dla Hilarego... Myślę jednak, że trochę do mnie niepodobna...

— To wątpliwości nie ulega, Alicyo... Mabel jest tak niepodobna do ciebie, jak ty nie jesteś podobną do swojej kuzynki Cecylii... Zaczynam się skłaniać do starego mniemania (które mi się w tych dniach w książce jakiejs nawinęło), że pomiędzy płcią słabszą więcęj daleko, niż pomiędzy silniejszą, napotkać można rozmaitości. Patrz więc na to...

— Wybacz, ojczu... nie mam odwagi patrzeć się na cokolwiek... Ty, ojczu, umiesz widzieć rzeczy w pięćdziesięciu od-

miennych światłach, ja w jednym cieniu tylko... Bywaj zdrow, najukochańszy ojezulku... Może nigdy już nie będę mówiła z tobą tak, jak teraz mówiłam... mam jednak nadzieję, że zechcesz pamiętać... że mówiłam w jak najlepszej intencji...

ROZDZIAŁ XXIV.

Nader piękne kazanie świąteczne.

Podług najwiarogodniejszych opowiadań, długotrwały ten i silny mróz zaczął się wyjaśnieniem nieba w sam dzień Bożego Narodzenia. Tak było przynajmniej na południu Anglii, chociaż w okolicach północnych zdarzyć się to musiało o parę dni wcześniej. Wielki bowiem mróz zawsze nadchodzi powoli, ciągnąc od północy: jeżeli zimno zaczyna się w Londynie wcześniej, niż w Edynburgu, rzadko potrwa dłużej, niż tydzień; a jeżeli towarzyszy mu wiatr gwałtowny, wtedy i tyle najczęściej nie potrwa. Wydaje się to dziwnem, ale jest jednak zupełnie prawdziwem, że wiele osób, dość nawet wykształconych, przypisuje tym-to silnym mrozom porażkę wielkiej armii francuskiej podczas odwrotu z pod Moskwy, a co zatém idzie, i upadek Napoleona. Znają oni datę straszliwej klęski nad Berezyną, która-to klęska na rok się przedtém zdarzyła, ale zdają się zapominać, że zima każda należy do rozpoczynającego się nie zaś do kończącego się roku. Pominąwszy to wszystko, dość jest powiedzieć, że dzień Bożego Narodzenia 1813 roku niezwykle był jasny i piękny. Nizko wiszące chmury i szara, zimna mgła, przez ostatnie trzy tygodnie trwająca, ustąpiły wreszcie zwyciężkiemu natarciu słońca, złotemi strzały zbrojnego. Zdobywca ten bez skazy mierzył głównie w łańcuch gór South-downu; droga jego usiana była błyszczącemi klejnoty, które chmury ze szkatulek swych wydobyły; rzeźwe powietrze falistym witało go ruchem, a ono téż, zdobywce słońce, rado widziało otwierający się przed sobą zawód. Ale tuż za niem, zarówno jak i przed niem, czaiła się na nie śnieżycy, by je pochwycić przed nocą, zanim się do spoczynku skłoni, i rano widok mu na świat zasłonić. Teraz jednak, do czasu, nader pięknie wyglądało słońce owo, a każdy, kto go od tak dawna nie widział, brał je za to, czém się ono samo być mieniło.

Rektor Struan Hales słynał ze swego kazania na dzień Bożego Narodzenia. Od dwudziestu pięciu lat było to jego najcelniejsze

w ciągu roku kazanie. Nie uderzał on w struny zapału (o czém zresztą nikomu się wówczas nie śniło), zaczynał już jednak z tą myślą, że powinien był kazać lepiej, niż zazwyczaj. I nigdy czynić tak nie omieszkął, częścią skutkiem natchnienia, w innych kaznodziejach poczerpniętego, ale głównie skutkiem wyliczenia i zsumowania wszystkich grzechów swojej parafii, które potem wspaniałomyslnie przebaczał.

Parafia słuchała apatycznie mądrój wymowy wielkich ludzi (powiadających, co do powiedzenia mieli „po angielsku”, która to umiejętność od dwóch blisko stuleci zaginęła) ale uważnie nastawiała uszu, by o własnych sprawkach posłyszec. Rektor wypowiadał pierwszą część kazania machinalnie, jak-by ją z pamięci recytował; ale gdy zstępował na grunt własnej parafii i wytykał własnych parafian wykroczenia, głos jego zmieniał się tak, że najstarszy i najmocniej głuchy z grzeszników mógł go usłyszeć wybornie. Był to raz do roku przypadający traktament, dowiedziec się, za co gromi rektor, a głównie kogo gromi... Poczem, miłosiernym będąc z natury i miłującym wtedy nawet, gdy karmił, rektor pozwalał im zawsze rozejśc się z błogosławieństwem, które brzmiało tak słodko, jak-by było dziekczynną za świąteczny obiad każdego z parafian modlitwą. Każdy wychodził więc z kościoła, zadowolony i szczęśliwy; wszyscy mieli o czém mówic przez tydzień przynajmniej i wszyscy czuli, że zasłużyli na łaskę Pańską, poszedłszy do kościoła w dzień powszedni. Rektor jednak zawsze czekał w zakrystyi, dopóki dwaj jego kolatorowie nie przyszli tam ścisnąć go za rękę i pochwalić jego kazanie; poczem, by w tyle za drugimi nie zostac, Farmer Gates, oraz Mr Bottler, obaj mężowie dzielnej postawy i skończenie wytwornego obejścia, wchodzili pod arkady zakrystyi i składali powinszowania rektorowi.

Alicya Lorraine nie była dnia tego w kościele. Każdy zauważył jęj nieobecność, każdemu brakło jęj widoku na zwykłym jęj miejscu w marmurowej niszy, pomiędzy dwiema z ciemnego marmuru tablicami, głoszącami pamiątkę czynów jęj przodków. Tutaj-to zwykle siadała, wydając się tém świeższą, obok tych pięknie starożytnych zabytków; ale dziś nie przyszła do kościoła, bo w duszy jęj rozstrój był i zamęt.

Kościół West-Lorraine dostąpił był dzisiaj zaszczytu obecności kilku osób, mających prawo do równie wspaniałych pomników, jak te, które się w jego wnętrzu znajdowały. Między innymi był tam naprzykład i Sir Remnant Chapman (dla którego nawet napis grobo-

wy, zwykle tak w miłosierdziu swém elastyczny, jeszcze elastyczności nabrać-by musiał). Stefan, syn jego, który, wyrzuciwszy z siebie nieprawość swoją, nie na jej miejscu do pokazania nie miał; pułkownik Clumps, który powstał-by i do walki stanął, gdyby tylko zmartwychpowstanie przywróciło mu utracone nogi; był jakiś szlachcic, wysoko położony (daleki i niepewny krewny prawdziwych Lorrainów), który przybył dowiedzieć się, co tu słychać, miał bowiem wielkie nadzieje, z powodu wylewu Woeburnu, ale miał również mocne postanowienie (co bądź się zdarzy) pozostać przy własném nazwisku, które-to nazwisko brzmiało „Bloggs”; był w końcu, od wszystkich wart więcéj, Joyce Aylmer, jedyny syn wice-hrabiego Aylmera, z dobrej, staréj, prawdziwie angielskiej pochodzący rodziny, ale niebardzo bogaty.

— Wesołych Świąt państwu wszystkim! — wołał pan Hales do stojących w przedsionku kościoła — wesołych Świąt, panowie! Ale, dalebóg, dziwne mamy Świąta! jakie ostre robi się powietrze!

Wszyscy ścisnęli się za rękę z proboszczem, dziękując mu poczytym, staroświeckim zwyczajem „za uczoną i budującą jego przemowę”, poczem spytali, co myślał o pogodzie; ale zbyt był ostrożny, by im to powiedzieć. On nawet pomylił się już był w téj kwestyi i za nadto miał wiele rozumu, aby chcieć kompromitować się znowu. Wtedy Cesia, która, ma się rozumieć, towarzyszyła ojcu, odkloniła się każdemu z panów, jak należało; poczem dla majora Aylmera doprowadzono wierzchowca, a dla reszty zajechały powozy.

— Czy jedziesz z nami, rektorze? Obiad będzie wcześny — zapytał Sir Remnant, zaostrzonym przez głód głosem — nie masz już teraz innego nabożeństwa, co? Bóg widzi, że, jak na jeden dzień, dosyć już miałeś.

— Dosyć przynajmniej, by was zadowolnić — z uśmiechem odparł rektor — ale miał-bym ja w domu za swoje, gdybym w dzień Bożego Narodzenia obiadował za domem. Proste jedzenie, Sir, posilne, zdrowe, żadne tam zagraniczne trucizny. No, do widzenia, panowie! będę miał nadzieję ujrzenia was znowu jutro, jeżeli nie za wiele będzie śniegu.

Rektor wybornie wiedział, że dość będzie bardzo niewielkiego śniegu, aby jutro rano, w niedzielę, zatrzymać ich wszystkich w domu.

— Śniegu! ach! śniegu! ani śladu, że śnieg będzie! — ostro odciął Sir Remnant, który miał wrodzony wstręt do śniegu i w poniedziałek koniecznie chciał być w domu. — Ale, panienko, proszę

o jednej rzeczy pamiętać: ślub jest we wtorek, proszę żeby fioki były gotowe. Rumieniące się druchny... ach! co za rozkosz! Zażądam przynajmniej po tuzinie całusów, proszę pamiętać... A chciała-bys, żeby to twoja kolój była, co?

I stary nic dobrego, z głośném cmoknięciem, od ust przesłał ręką pocałunek Cesi Hales, która zarumieniła się i wstrzęsła, a potem, bojąc się stracić swój medalion, usiłowała się uśmiechnąć; doszły ją bowiem pogłoski, że Sir Remnant Chapman obstałował w Londynie medaliony, po dziesięć gwinei każdy, dla każdej z sześciu druchen. To też, połknąwszy prędko odpowiedź, wiszącą już na końcu języka, ładnie dygnęła odjeżdżającym.

— Mój ojcie, czy też ojciec uważał — spytała, wzięwszy ojca pod rękę, z mocném postanowieniem gawędzenia z nim przez całą drogę — jak okropnie zbladł major Aylmer, gdy posłyszał o druchnach? Myślałam, że zemdleje, jak podobno mdlał często dawniej, gdy tylko co powrócił z Ameryki. Pewna jestem, że nie omyliłam się, ojcie; pewna jestem, że się nie omyliła w tém, co ci parę dni temu mówiłam.

— Głupstwo, bzdurstwo, romanse, bałamuctwo! Wy, dziewczęta wteście dopiero kontente, gdy są rywale, zazdrość, miłość i rozpaczanie.

— Możesz, ojcie, śmiać się, ile ci się podoba, ale ja zdania nie zmienię. Powiadam ojcu, że serce majora Aylmera zraniła Alicya daleko ciężej, niż go w Ameryce raniono w głowę.

— Ano, kiedy tak, będzie musiał żyć z chorém sercem i chorą głową, a może nawet bez serca i bez głowy. Alicyi nie dostanie, bo nie ma pieniędzy... nawet gdyby to uchodziło zmienić pana młodego już w samych drzwiach kościoła.

— Powiem ojcu, jaki mam na to dowód, niestety. Ojciec wie, jak ten niezdolny kapitan Chapman spogląda z pod oka, gdy kogoś nie lubi, a myśli, że pokazać to może. O!... tak oto... tylko ja tego zrobić nie potrafię, dopóki nie zbrzydnę okropnie... On często na mnie tak patrzy... i obciąża przytém swoją wspaniałą kamizelkę...

— Ach, Lusi, jakie wy dziewczęta złośliwe jesteście! to być nie może, aby on cię nie cierpiał.

— Wdzięczna mu za to jestem, że nie cierpi mnie, ojcie; gdyby nie to, może byś mu sprzedał był mnie... Jeżeli kto, to Alicya sprzedana i kupioną została, a Sir Roland nie może kochać ję tak, jak ona myślała, że ją kocha, bo gdyby ją kochał, nie miał-by w tém żadnego udziału. Musi ję to być okropnie przykro... Ach! iść za człowie-

ka, który jest co wieczór nietrzeźwy, a co rano cały się trzęsie... Ach! ojcie, to okropne!...

— Moja droga, przesadzasz okropnie... Zawsze nie lubiłaś tego biednego Stefa, i może to dlatego on tak na ciebie patrzy. Musimy mieć nadzieję, że wszystko się na dobre obróci... musimy... Cóż znowu! gdyby każdemu mężczyźnie wymawiano przed ślubem wszystkie jego sprawy, nie napisał-bym nigdy aktu ślubnego!

— Ach, ojcie! gdyby to tak można zmienić pana młodego... wie ojciec? Tamten taki zupełnie inny, taki dobry, szlachetny, taki wielki, a tyle w nim prostoty! Jeżeli jest na świecie człowiek, godzien zostać mężem naszej drogiej Alicyi, tym człowiekiem jest major Aylmer!

— Pana młodego można dostać, ale pieniędzy nie można — krótko jakoś odpowiedział rektor, a z tonu jego mowy zmiarkowała córka, że musi porzucić ten przedmiot, w istocie bowiem (o czém dobrze wiedziała) ojciec jęj zaczynał się trochę wstydić udziału, jaki miał w tęj sprawie.

ROZDZIAŁ XXV.

N a p r a w d ę z g ó r y.

Zła droga i zła dola niezawsze w parze chodzą. W istocie bowiem, dzielny duch brytańskiego plemienia i dobra myśl, z dzielności ducha wypływająca, zdają się najbardziej na jaw występować przy najgorszych pogody warunkach. Jest to coś, z czém trzeba walczyć, coś, o czém się mówi, coś, z powodu czego serdeczniej wita się wracającego do domu ojca rodziny, starając się, by ognisko domowe ciepłyszczem mu i jaśniejszém uczynić, a także coś, co uszlachetnia, budząc w nas miłosierdzia uczucie, i rozszerza zamiłowanie domowych wygód do ognistej dla wszystkich ludzi życzliwości... jedném słowem, ostra pora roku, we właściwej porze przychodząca, nie samą jest ostrością jedynie.

Ale kiedy z pół tuzina mężczyzn, którzy ani krztę jeden o drugiego nie dbają, którzy nienawidzą książek (tak samo jak abecadła swego nienawidzili), którzy gardzą wszelką niepožadomową rozrywką, ale grają w karty, objadają się i piją, a do powyższych rozrywek małą znajdują sposobność, kiedy takich, mówię, mężczyzn śnieg pod jednym dachem zasypie i wyjrzyć im przez okno pozwoli, wte-

dy... starając się wyrazić to grzecznie, niejedno pewno padnie złorzeczenie.

I takie-to właśnie złorzeczenia powtarzały się dłużej, niż przez tydzień, w Coombe-Lorraine. W dzień Bożego Narodzenia, o samej trzeciej, zjedli przewybórny obiad, jak to sami oświadczyli i, mimo krótkości dnia, nie było im ciemno, póki wina nie podano! Wtedy dopiero zadziwili się, widząc, że już ciemno, o tyle przynajmniej, o ile cokolwiek zauważyć mogli, bo naturalnie, zachodzące słońce ani jednym promykiem nie zaglądało w zimie do starego domu. Uważali to sobie nawet za wróżbę sprzyjającej polowaniu pogody i rozmawiać o tém zaczęli; tymczasem było to w istocie coś, co w naszej strefie rzadko się zdarza, ale w okolicach podbiegunowych dość częstém jest zjawiskiem: pochłonięcie blasków słonecznych przez gęste, szare sklepienie zbierającej się śnieżycy, które to sklepienie blaski słońca odbija i niepewnym, bladym światłem rozsiewa je po ziemi.

Śnieg zaczął padać około siódmej z wieczora, gdy już w wpływ słońca działać przestał, i padał przez trzy dni i trzy noce, nie biorąc i nie dając chwili wytchnienia, a padał bez żadnego wiatru, bez niegodziwego zamachu na zadymkę. Na niebie to tylko można było wyczytać, że zamierza sypać śniegiem, a wiatrowi każe czekać dopóty, aż pora na niego przyjdzie; po przez płaty śniegu nie sposób było okiem na świat rzucić, płaty te bowiem, jakkolwiek zbyt wielkie, sypały się tak gęsto, jak ziarnka piasku, przesypujące się w klepsydrze. Nie podskakiwały w powietrzu, nakształt émy luk komara, jak to czynią pospolite płatki śniegu, ale spadały jeden na kark drugiemu, w nadziei, że miliony takich, jak one, spadać jeszcze będą. A jeżeli ktokolwiek podniósł oczy w górę, chcąc się przyjrzyć tym niezliczonym, jak żwir oczy zasypującym, pociskom, które roją się w powietrzu podczas zadymki, mógł je zamknąć czémprędzej, zanim mu je płatki śniegu zasypały.

Wszyscy goście, z wyjątkiem pułkownika, mieli odjeżdżać w poniedziałek rano, lecz jeden z nich tylko ważył się na przebycie bezdrożnej, śniegiem ubielonej, pustyni, rozciągającej się między Coombe-Lorraine a miejscowością, przez gości zamieszkiwaną. Bo chociaż dotąd jeszcze nie rozpoczęła się zamięć, jednak śnieg, obficie przez czterdzieści przeszło godzin spadający, rzucił zdradziecką zasłonę na drogi i rowy, na trzęsawiska i skaliste wyrwy, tak, że po przez śnieg, ciągle jeszcze równie obficie padający, nie mógł nikt dojrzeć na odległość stu jardów ani drogowskazu, ani domu, ani drzewa, ani góry, ani w ogóle żadnego wytycznego w krajobrazie punktu.

Każdy zatém majora Aylmera za szaleńca prawie poczytywał, gdy ten kazał sobie podać konia, by, w tak okropną pogodę, na daleką do domu puścić się przejażdżkę.

— Nie wiem, czym powinien puszczać pana — rzekł gospodarz domu, gdy przyprowadzono gościowi konia, już śniegiem ubielonego. — Alicyo, gdzie podziałas najbardziej przekonywające słówko? Może potrafiśz uprosić majora Aylmera by poczekał, co jutro z sobą przyniesie.

— Jutro sprawę jeszcze pogorszy — odparł Joyce Aylmer, rzucając na Alicyą spójrzenie, które ona zrozumiała wybornie. — Mógł-by mnie tu śnieg trzymać tydzień cały, Sir Rolandzie, a ojciec niepokoił-by się tymczasem o mnie. A przytém, cóż to jest za burza, w porównaniu z temi, które widywałem w Ameryce?

— O! wtedy byłeś pan daleko silniejszy, inaczej nie był-byś tutaj.

— Nie wiem... Jeżeli dalej tak znakomicie zdrows będę, niezadługo do wojska powrócę... Ale trzymam pana tak długo na zimnie, a Miss Lorraine na przeciagu... Żegnaj państwa raz jeszcze... Może państwo dacie jakie polecenie na plebanią?

Za minutkę gęsty śnieg zakrył już i jeźdźca, i konia, zmuszonych okrażać strumień; dotąd bowiem przez Woeburn rzucona była tylko kładka dla pieszych, a konni i pojazdy, dążący w stronę północy, musieli piérwój zmierzać na południe, a potém dopiéro zawrócić: tak właśnie, jak to Alicya, prędka do namysłu, doradziła Bonnemu, by mu pomódz do odzyskania Jacka.

Z westchnieniem powróciła Alicya do swego pokoiku, by, spokojnie usiadłszy, podumać chwilkę. Wiedziała ona, że po raz ostatni widziała człowieka, którego mogła była pokochać i który ją także (jak to, wiadomo z kąd, wiedziała) bardzo, za bardzo już może pokochał. Wiedząc, że to im obojgu nietylko na dobre nie wyjdzie, ale owszem, obojgu strapienia przyczyni, postanowił major Aylmer wyjechać, zanim z tego bieda jaka nie wyniknie. Nie miał on pojęcia, jak dalece Alicya gardzi biednym Stefanem Chapmanem, inaczej bowiem byłby może zapomniał o obowiązkach swoich względem domu, w którym go podejmowano gościnnie. Bądź jak bądź, postąpił rozsądnie i pojechał, a ona myśleć już o nim nie będzie.

Trudno było wytrwać w tém postanowieniu, gdy w parę godzin potém usłyszała, że major, który niby to zabrał z sobą swego grooma, odesłał go jednak z powrotem. Groom przyniósł słówko od swego pana, który prosił o gościnę dla służącego na dni parę, pod pozó-

rem, że koń mu ustał w drodze; ale Alicya czuła, że chłopak dlatego tylko został odesłany, że major Aylmer nie chciał go narażać na niebezpieczeństwo, któremu sam postanowił stawić czoło. Wiedziała bowiem, (ze studyów na mapie czynionych) że z Coombe-Lorraine do Stoke-Aylmer jest więcej niż mil dwadzieścia i to ciągle pod wiatr, który teraz właśnie jęczać i świstać zaczynał, jak tylko wiatr, zamieć śnieżną roznoszący, jęczać potrafi.

Reszta gości pozostała jeszcze plagą domu. Trudno było powiedzieć, kto z nich był gorszy: czy Sir Remnant, który zstąpił w niższe sfery domu, dla poznamienia się z dziewczkami kuchennymi — czy pólkownik Clumps, który, usiadłszy na kredensowym stole, powtórnie staczał dawne boje z zastępem niezabójczej artylerii — czy Squire Bloggs, który ogryzał paznogie i niezmiennie cały dzień wołał o piwo — czy też Stef, który, zupełnie pogardziwszy piwem, odepchnięty przez Onezymusa Biunsa, dostał się nareszcie do „gabinetu” Trotmana i tam, kazawszy sobie przynieść kilka butelek, przyjemnie się niemi zabawił. Posłał po swego grooma i po swój róg myśliwski (w który zadać temu mu brakło) i w ogóle tak dokazywał z załuszczoną talią kart i kilku zamazanymi kubkami, że podczas, gdy kobiety, ściśle wstrzemięźliwości przestrzegające, z góry na grzeczności jego patrzyły, mężczyźni mówili, że gorsze jeszcze widywali rzeczy.

Przez tydzień cały musiał Sir Roland Lorraine znosić nieznośne to utrapienie, stokroć jeszcze nieznośniejsze dla człowieka, tak szczególnie, jak on, charakteru. Zawsze bywał on trudny do zapraszania gości, ale, gdy już raz próg jego domu przestąpili, budziła się w nim gościnność, urodzeniu jego i stanowisku właściwa. Wszystko w domu było na usługi gościa, poczynawszy od samego gospodarza, o tyle przynajmniej, o ile zastarzałe nawyki zmieniły się dały. Teraz jednak był jak ten ślimak, który dla towarzystwa wpuścił raka do swojej skorupy i przestał być panem we własnym domu. Nie było w Anglii człowieka, który-by goręcej i usilniej nad gościnnego Sir Rolanda pragnął, by drogi znowu, jak należy, wyglądać zaczęły.

Jak skoro możliwem się stało otworzyć drzwi domu własnego, natychmiast wysypali się wszyscy okoliczni mieszkańcy z miotłami wszelkiego gatunku i kształtu, z szuflami, a nawet i z siekierami. Przez całe trzy dni nie można było nic robić, tylko przyglądać się śniegowi, ale w pierwszej chwili, gdy tylko niebo śniegiem sypać przestało, każdy człowiek, pod jego sklepieniem żyjący, zaczął odzyskiwać odwagę. Najprzód radośnie wybiegli chłopcy, po pas zapadając w za-

sypane śniegiem wklęsłości; nadbiegły dziewczęta i, zakłopotane krojem swego ubrania, postanowiły na czas pewien zostać chłopcami.

Po tych dopiero wyszła matka ich, jedynie po to, by młodzież owę wyłajać; potem zaś i ojciec nie mógł nie stanąć na progu z fajką w ustach, nie spojrzeć badawczo na niebo i nie ostrzedz wszystkich, aby trochę jeszcze poczekali. Tym-to sposobem bardzo wielu ludziom udało się wydostać z domów, przyczém zauważono, nie na wtedy tylko, ale na wiele lat naprzód, jak wielkiem było miłosierdzie Pana. Uznawszy za stosowne zesłać taką burzę, wybrał na nią nie noc śródową, ani czwartkową, ani piątkową, ale właśnie noc sobotnią, wtedy, kiedy (jak to we wszechwiedzy swojej wiedział) każdy zarobek swój odbierze i chleba ma w domu do syta.

Co się tyczy dróg, te były zupełnie niedostępne, tak dla kół, jak i dla koni, dopóki nie zerwał się gwałtowny wiatr wschodni i nie zawył gniewnie. Dmąc całą siłą po stokach gór i zginając do ziemi śniegiem obciążone drzew konary, porozrywał on śnieg na faliste bruzdy i wszystko olśniewającą obrzucił bielą. Przez trzy dni śnieg urągał wiatrowi, przez trzy dni teraz wiatr swobodnie przed sobą miał pole. Strapieni śmiertelnicy nie mogli uczynić nic więcej, jak szukać ochrony we własnej bezsilności i, drżąc, zapachy jadła wachając, żywić nadzieję, że Pan gniewu swego pożałuje. Widoczne to już było, i gdziekolwiek zgromadzili się ludzie, nie taili tego przed sobą, że Mrs Buttler musi pójść w górę, a Farmer Gates zjechać na dół. Jakkolwiek bowiem owce dobre miały schronienie i głównie po niskich stały miejscach, skoro jednak rozpoczęła się zadymka, natychmiast stało się to wiadomém, że ta właśnie ostrożność będzie dla nich zabójczą, bo owce mają głupi zwyczaj skupiać się w stronie na wiatr wystawionój, tam właśnie, gdzie zawieja najwyższą utworzy zaspę. Ale świnię za to mądre są, jak matka ich — błoto, owo błoto, które zawsze wszystko w końcu obryzga. Tak więc Farmer Gates stracił trzysta owiec, podczas gdy Bottler nie stracił ani jednej świni, ocalając swoje szynki i cenę ich podnosząc.

Gdy śnieg, na skrzydłach wiatru niesiony, zaczął zawiewać okna w Coombe-Lorraine (bo na taki czas żadne opatrzenie okien nie pomoże), gdy każda stara belka trzeszczała ze wstrętu, że kurczyć się musi od zimna, gdy ognie, na kominkach płonące, rzucały dym na pokój, zamiast go w górę kominami wyprowadzić, gdy kominy potulnemi jęki wtórowały wyciu nawałnicy, gdy, po za ścianami i w ścianach, odzywały się mrozące szmery i mroźne pukania; wtedy młoda domu tego pani ze wszystkich tych rzeczy otuchy niejakięj nabierała. Na

taką pogodę nikt pewno o braniu ślubu nie pomyśli, nikt przyjechać, ani wyjechać nie może, trzeba-by tygodnia czasu, aby odkopać kościół, a drugiego, aby się do niego dokopać.

Wiej-że, wiej, wietrze wschodni, i raczej zagrzeb nas w śniegu, niż-bys nas miał zaślubić!

Ale wiatr wschodni (przez całe trzy dni dmący tumanem śniegu, z ziemi i z powietrza porwanym) opadł nagle z głuchym szumem, podobnym do owego, jaki w załamach muszel słyszeć się daje, i głucho po nim nastąpiło milczenie... głębokie, żadnym odgłosem nieprzerwane, zapanowało wszechwładnie po nawałnicy, która śnieg w falujące ułożyła zasy. Zostały one tam, gdzie je wiatr porzucił, dopóki pod nimi nie zeszło lato; bo w strasznym tym roku nie było wcale wiosny, i lato, zanim nadeszło, żadnem technieniem znać nie dało o sobie. Teraz jednak chwycił długi, trwały mróz, który ściał lodem Tamizę i Sewernę, oraz Twest i Trent, i wszystkie inne w Anglii rzeki, tak, że od źródła po samo ich ujście, można było po nich stąpać, nie czując, że się ma wodę pod sobą.

Biada nieszczęsnej Alicyi! nawet leśne drożyny, żadnemi wówczas opłotkami nie grodzone, otwarły się, jakby na czarodziejskie seszamu zaklęcie. Tam, gdzie drogi górami były od wiatru zasłonięte, tam śnieg leżał głęboką zaspą, ale drogi równe i odkryte umiotł szalony ów wichur, jak miotłą. Czarne ich szlaki widne biegły na przestrzeni kilku mil, twarde od mrozu, jak dębowe deski, z wyjątkiem tych tylko miejsc, gdzie lekkie zniżenie gruntu, lub nagły zakręt drogi, lub wreszcie mur folwarcznego budynku, nie dopuściły białej fali pójść w rozsypkę. Tak więc, skoro tylko przekopano drogę, z nad rozpadliny na zachód wiodącą, Chapmanowie mogli jeździć, gdzie i jak chcieli, staroświecką, ciężką swoją landarą.

Alicya przyjęła nowy ten obrót rzeczy ze spokojem rozpacz. Dzieciństwem to było z jej strony wdychać do kilku dni zwłoki, która-to zwłoka, niewiele jej pomocna, zniszczyć jednak mogła wszystkie korzyści z ofiary jej wypływające. Tak czy owak, odejść musiała, stojąc tak straszliwie w poprzek szczęścia wszystkiemu, co jej było drogą i zdając się (tak przynajmniej sobie mówiła) nie mieć teraz nikogo, komu by ona była drogą. Nie mając nikogo, kto-by ją wsparł radą, lub czynną pomocą, nikogo nawet, kto-by niedoli jej współczuł, musiała gotować się do przyjęcia najstrasznego losu, jaki dumnej kobiecie paść może w udziale: do zawarcia dozgonnych ślubów z wstrętnym jej człowiekiem.

ROZDZIAŁ XXVI.

Stracona ostatnia szansa.

Teraz już tylko jeden dzień pozostawał; nadszedł poniedziałek, na-
zajutrz Alicya miała zostać panią Stefanową Chapman.

— Masz się za bardzo nieszczęśliwego — mówił pułkownik
Clumps do Hilarego, który wygodnie siedział w swoim fotelu — ale
ja mam ciebie za najszczęśliwszego pod słońcem urwisa. Czy jest
w angielskiej armii ktoś drugi, kto-by stracił pięćdziesiąt tysięcy gwi-
nei, uniknął sądu wojennego, dostał nieubliżającą mu dymisyą, po-
godził się ze swoją bogdanką (naumizgawszy się do innych, ile sam
chciał) a po tém wszystkiém znowu znalazł sposobność dostania się
pod rozkazy Welligtona i pomaszerowania do Paryża? *Ja ci powia-
dam, że wojska do Paryża wmaszerują! Powiedz mi, proszę, co je
powstrzymać jest w mocy?*

— Ależ, pułkowniku, zapominasz, że, jak dotąd, ledwo mogę
przejść przez pokój, a nawet gdybym był zdolny to uczynić, to du-
żo mam jeszcze do zrobienia, zanim do wojska powrócę. Nasi mogą
pójść na zimowe leże, a wtedy obietnica generała upada; a nawet bez
tego, może mu się nie udać u księcia Yorku, który, jak wiesz, nie lu-
bi naszego starego.

— Bzdurstwa i gadanina, mój drogi! Płacisz pieniądze? wszyst-
ko co do ciebie należy... niema obawy, aby przyjąć ich nie chciano.
Ma się rozumieć, wszystko to zrobi się po cichu, a w najświeższej
„gazecie” wyczytamy paragraf mniej więcej taki: „Kapitan Lor-
raine, z Głównego Sztabu, oddawna na urlopie z powodu zdrowia
będący, wraca obecnie do pułku i znowu służbę swoją w Sztabie
obejmuje”.

— Ach! pułkowniku, tego za wiele! — zawołał Hilary, czerwie-
niąc się z radości — nigdy-by mnie do Sztabu nie przeznaczyli, nie
mogli by mieć téj śmiałości.

— Nie gadaj! A mieli śmiałość mnie nigdy do Sztabu nie wziąć?
im na wszystko śmiałości starczy... Tylko staraj się powrócić do
zdrowia... w tém grunt. Czy będziesz jutro na ślubie?

— Powiem ci, pułkowniku, tajemnicę... Mam zamiar być na
ślubie, choć mi surowo to wzbronione. A co mnie obchodzi po-
goda? urządziłem sobie wszystko tak sprytnie, że ujrzyście mnie w ko-

ściele wtedy, gdy się najmniej będziecie spodziewali. Alinka znalazła się względem mnie bardzo brzydko, zarówno jak i wszyscy w domu. Dlaczego mi mają nigdy nic nie powiedzieć? Zdaje się, że jej pilno za mąż? Bez wątpienia kocha się szalenie, chociaż, o ile sobie przypominam Stefana Chapman, dziwię się trochę jej wyborowi; ale... ma się rozumieć...

— Ma się rozumieć, ma się rozumieć, że nigdy nic mówić nie należy przeciwko gustom panińskim. W Hiszpanii była jedna panna... naturalnie w Hiszpanii jest mnóstwo panien...

Pułkownik porzucił ten przedmiot rozmowy w najniezręczniejszy w świecie sposób. Z polecenia lekarza nie wolno było mówić nic, co by mogło rozdrażnić Hilarego, a jednak ed chwili, kiedy wszedł do pokoju, pułkownik nie nie robił, tylko ciągle go drażnił; był to bowiem ostatni z ludzi, którym wolno przestąpić próg pokoju chorego. „Bierz licha! znowu coś palnąłem” mawiał, gdy się z czém wyrwał niepotrzebnie, ucinał nagle, zaciskał usta i uderzał w podłogę drewnianym swoim aparatem. Dlatego też nie pozwalano mu odwiedzać za często Hilarego, z obawy, by ten ostatni nie dowiedział się przed czasem jakiego rodzaju są układy, mające na celu jego korzyść. Dotąd był on pewny, że ojciec, pożyczwszy potrzebną sumę, obciąży ją hypotekę majątku, i zawsze nadziei pełen, przysięgał, że niebawem dobra ojcowskie oczyści, postarawszy się o korzystną posadę w Indjach, natychmiast po zdobyciu Paryża. Mabel, ma się rozumieć, jechać z nim miała do Indyi, być tam wielką panią i przygotować mu indyjskie przysmaczki. Z projektem tym nie rozstawał się nigdy i właśnie rozmawiał o nim z półkownikiem Clumps, który był trochę ze służbą w Indjach obeznany, kiedy dało się słyszeć lekkie do drzwi pukanie i słodki jakiś głosik zapytał:

— Czy można wejść?

Gdy weszła Alicya, pokiereszowany wojak powstał i złożył jej bardzo zręcznie obmyślany ukłon własnego swego wynalazku. Potrzeba jest, jak wiadomo, matką tego nader użytecznego przedmiotu; a pułkownik, co nie miał nogi, na której-by mógł stanąć, i jedną tylko rękę dla podtrzymania równowagi, znajdował się w ostatecznej potrzebie. W ostatnich czasach zaczął on nieledwie żałować, że zapisał się w służbę Lady Waleryi, bo piękność i spokojna rezygnacya Alicyi utorowały sobie drogę do serca starego poczcwiwa; a im więcej poznawał kapitana, tém więcej z góry patrzył na tego żołnierza z pod pierzyny.

— Bywaj-że zdrów, chłopcze... Czub do góry! — zalecał, wy-

stukując hasło odwrotu grubą, bambusową swoją laską, bo Hilaremu nie wolno było na raz dwóch osób przyjmować — wejść jeszcze nasze chłopcy do Paryża z pułkownikiem Clumps na czele oddziału. Nie daj się uwodzić pozorom, Alicyo, pułkownik przyda się jeszcze na coś. Trzeba tylko pałasz mu naostrzyć, moja pani, a wtedy precz rzuci tę przeklętą laskę...

I, zamachnąwszy się zuchowato, poslizgnął się pułkownik, nienawykły jeszcze trzymać się mocno na swojej drewnianej nodze, i byłby upadł jak długi, gdyby nie ramię młodej panny, zarówno jak i pomoc pogardzonej przed chwilą laski. Alicya, mimo zmartwienia swego, nie mogła powstrzymać się od śmiechu, gdy pułkownik, jako tako odzyskawszy równowagę, ostrożnie pokulał kurym tarzem.

— Jaka z ciebie wesoła dziewczyna! — zawołał Hilary, trochę markotny, że mu radę wojenną przerwano — zdaje mi się, że ty się zawsze śmiejesz wtedy, kiedy niema się z czego śmiać.

— To dowodzi, że albo mi niewiele do śmiechu potrzeba, albo że za wiele mam wesołości... Może też u mnie jedno z drugim się łączy. Ale przykro mi, jeżeli ci przeszkodziłam...

— Nie tak mi łatwo przeszkodzić. Jestem zdrow, jak nigdy, chociaż można się rozchorować, jak kogo tak zamkną w pudełku...

— Mój braciszku, wypuścimy cię, jak tylko pogoda się zmieni. Teraz nie odważa się wychodzić nikt, kto jutro ślubu nie bierze...

— O tém sam mogę sądzić, spojrzawszy w okno, albo nawet włożwszy rękę w dzbanek z wodą. Ale jakże się odbędzie to wspaniałe wesele? widziałem z tuzin ludzi, śnieg rozgarniających łopatami... Musi ci być pilno, kochanie?

— Może i nie! Mówmy o czém inném. Słuchaj, żarty na stronę... czy ty istotnie myślisz, że dobre twoje imię i pomysłość zawisły od zapłacenia tych pieniędzy, które zginęły?

— Jak możesz zadawać mi tak niemądre pytanie? Nie mógłbym ludziom spojrzeć w oczy... ale tu nietylko o mnie idzie, wcale nie o mnie jednego... lecz o to, co o całej rodzinie powiedzą, Alicyo! Ale nie rozumiem, co zaciągnięcie pożyczki *ciebie* obchodzić może?

— Nie, nie, naturalnie, że nie — odparła, odwracając się i wyglądając przez okno, a myśląc przytém, że Hilary miał rację. Ani strata, ani zysk pieniężny już jój niebawem wcale obchodzić nie miały.

— Bądź zdrow, kochanie — rzekła w końcu, przebacząc mu chorobliwą drażliwość i, odgarnawszy mu lekko wijące się włosy, ucałowała białe jego czoło. — Bądź zdrow, kochanie, nie powinnam się

dzieć u ciebie... zawsze cię tylko rozdrażnię... Nie miej mī tego za złe, proszę cię... ale może nie będziesz mnie widział długo... o! bardzo długo... tyle mam rzeczy do zrobienia, nim się przygotowuję... do ślubu.

Hilary z braterską rezygnacją pozwolił się ucałować, poczem wesoło za nią zawołał:

— Pamiętaj, Alicyo, musisz ładnie wyglądać! pamiętaj, że robisz świetną partya... A nie dziw się, jak mnie tam zobaczysz... Dlaczegoż nie odpowiadasz?

Nie chciała się już obejrzyć, nie mogąc w jednej chwili ukryć i zmienić wyrazu twarzy.

— Wcale nie jestem pewny — roztropnie zauważył Hilary — czy człowiek, który się ożeni z Alicyą, nie złapie sobie przysłowiowego Tatarzyna. Bardzo ona jest łagodna, ale Bogu Wszechmogącemu wiadomo, jak przytém jest stanowcza. O! moja Mabel zupełnie ma inny charakter, etc. etc. — z któremi to myślami go zostawmy.

Alicya Lorraine, nie mając gdzie rady zasięgnąć, i w głębi odważnego serca nieugięcie postanowiwszy zrobić to, co za słuszne uważała, przez wiele długich, posępnych dni i bezsennych nocy, usiłowała upewnić się, co mianowicie słusznie zrobić jēj należało. Widoczném było, że honor rodu musi być jēj kosztem ocalony. Bez jēj udziału tak się rzeczy złożyły, że biedna jēj osóbką każdemu stała na drodze. A biedna ta osóbką była właśnie pełna życia i wrodzonej wesołości, i umysł miała trochę może nad popolitość wyższy; nie było na świecie osóбки, której-by trudniój było schodzić ze świata, przestać być osobą, a stać się czémś nieokreślonym, nieujętém, utracić widok, poczucie, dotknięcie światła, życia, miłości, nie czuć nawet wpływu pogody na siebie, ledz gdzieś w głębi dołu, zapomnianą, na bok usuniętą, ludziom postrachem będącą, na zawsze utracić władzę, a nawet i pragnienie powiedzenia „tak” albo „nie”...

To tylko jedno ją czekało, jeżeli postąpi uczciwie. Co zaś do poślubienia człowieka, którym pogardza... nie! sobą musiała-by pierw pogardzić, nim-by jēj to na myśl przyszło... Wiedziała, że nie jest żadną wielkością, a niewielkie jēj znaczenie zmniejszyło się znacznie brakiem kogoś, kto-by ją kochał; ale czystość jēj była prawnie przynależną własnością... nikt jēj na sprzedaż nie wystawi...

— Raz jeszcze pójdę do ojca — pomyślała — nie zabroni mi widzieć się z sobą... Nie będę mu groziła... było-by to postępkiem niskim... Ale jeżeli zechce na mnie spojrzeć, z twarzy mi wyczyta, co chcę zrobić... Dawniój, jak tylko miałam jaką przykrość, w tój

chwili domyślił się tego... a teraz nie dba o zmartwienie, które życie mi powoli odbiera... Może to moja wina? może ja byłam za dumną, aby mu to wyrażnie powiedzieć? Mówiłam hardo, nie prosiłam. Będę teraz prosiła; na kolanach prosić będę; wołać będę, jak nigdy jeszcze nie wołałam: ojcze! ojcze! och! ojcze...

Może, gdyby była do tego znalazła sposobność, była-by teraz jeszcze zwyciężyła, bo ostatnia jój uwaga była prawdziwą: zanadto była hardą, zanadto stanowczo wolę swoją woli ojca przeciwstawiała. Nigdy jeszcze nie próbowała siły łez i prósb, i wymowy pieszczonego dziecka. A ojciec jój, bezwątpienia, uczuł tę zmianę w jój postępowaniu z sobą, i tém chętniej przeto uwierzył powtarzanym zapewnieniom matki, że pożądanemu układowi nie stało na przeszkodzie nic, prócz wstydlivosti samowolnej dziewczyny, której kapryśnych łask nie zdołano jeszcze pozyskać.

Ale prześladowana od losu dziewczyna, straciła sposobność odezwania się do ojca po raz ostatni, skutkiem prostej i nader prozaicznej okoliczności. Nie znalazła ojca w jego bibliotece i, szukając go śpiesznie, posłyszała arcy-melancholijne mruczenie, ledwie, że nie gorsze od wycia wschodniego wiatru. Wewnętrzne jasnowidzenie powiedziało jój, co to jest, i że tam być obecną ma prawo. Zapukała więc do drzwi posępnego, zimnego pokoju; powiedziano jój, że wejść może i weszła. Ujrzała tam siedzących kilka osób, które wszystkie nader nieszczęśliwą miały minę, bo świeżo naniecony ogień nie rozpedził jeszcze srogiego zimna. Jedna z tych osób czytała jakiś ważny dokument, pięć udawało, że słucha, a jedna słuchała nadzwyczaj uważnie. Czytającym był pisarz, trzej niby słuchający byli to: adwokat, dokumentu onego autor, i dwaj sąsiedzi; czwartym i piątym byli: Sir Roland Lorraine i kapitan Stefan Chapman. Jedynym istotnie słuchającym był Sir Remnant, który nadstawiał uszu za każdym zdaniem. Na stole leżał jeden jeszcze dokument: akt zastawu wszystkich dóbr Lorraine'owskich, akt nieważny bez jój podpisu, którego dać z powodu małoletności nie mogła.

Alicya Lorraine wiedziała, co to wszystko znaczy. Był to akt zaprzędania jój w niewolę, albo raczej wyrok jój śmierci. Skłoniła się wszystkim i opuściła pokój, a wyrazy: „powyżej wymieniony, powyżej wymieniony” „z czego wynika, z czego wynika” plątały jój się po oszołomionej rozpaczą głowie.

A teraz nastąpiło coś, co ją stanowczo utwierdziło w jój postanowieniu. Stef, w przeddzień swych ślubowin, naprawdę uczuł się zobowiązanym zrobić coś dla zjednania sobie narzeczonej. Kochał on

prawdźiwie (o tyle, o ile do uczciwój miłości był zdolny) tę dumną i ze wszech miar kochania godną dziewicę, która jutro należeć miała do niego. A ojciec rzekł właśnie do niego, gdy jechali tu z domu dla odbycia prawnej téj ceremonii:

— Słuchaj-no, Stef, na miłość Bożką, postaraj się być mężczyzną, Zle się bierzesz do téj dziewczyny, trzymając się tak od niej zdaleka. Czyż ty nie wiesz, że one sobie na to krygują i sznurują usteczka, żeby człowiek ubiegał się o ich łaski? Widziałem ja dużo takich i ty tak-że. Wszystkie dziewczęta są do siebie podobne, powinien-byś już to wiedzieć... Dlaczego nie umiesz z nią być tak, jak trzeba?

Nieszczęsny Stef przyjął tę radę i przyjął także (co gorsza) spory łyk wódki. Tak więc, gdy mruczenie pisarza ostatecznie wyprowadziło go z cierpliwości, wymknął się téż za Alicyą i poszedł za nią kurytarzem.

Zanadto nim pogardzała, aby miała przed nim uciekać, jak spodziewał się, że uczyni. Usłyszała nierówny jego krok, nierówniejszy jeszcze oddech, zatrzymała się i spokojnie czekała na niego.

ROZDZIAŁ XXVII.

Śniertelne łoże.

Stojąc w ciemnym kąciку starego kamiennego kurytarza, pod wygnanym tam, a czczerniałym portretem, któregoś ze swoich przodków, Alicya wyglądała tak szlachetnie i tak spokojnie, że Stefanowi (choć miał już trochę w czubku na rachunek codziennój swojój poreyi) trudniej przychodziło iść za ojca radą, niżeli się tego spodziewał. Za dwadzieścia cztery godzin śliczna ta istota będzie zdana na jego łaskę, wtedy ją ułaskawi, skłoni do miłości, a może nawet postara się dochować jój wiary. Bo istotnie kochał on biedne to dziewczę miłością, która jego samego dziwiła, i nie mógł oprzeć się myśli, że jeżeli o tém wie, to — na Jowisza! — wdzięczną-by mu być powinna!

— Alicyo, droga Alicyo, słodka Alicyo! — mówił, podczas gdy za każdym krokiem ku niej ona się krokiem w tył cofała — przesłiczna Alicyo, cóżem ja zrobił, że nawet jednego, jedynego uśmiechu podarować mi nie chcesz? Wiesz przecie, że bardzo byłem względny, o jeden nawet całus nie prosiłem. Zważywszy zaś wszystko, co zaszkło między nami...

— Zważywszy oddalenie, jakie jest między nami, okazałeś pan dużo rozsądku.

— Nie rozumiesz mnie wcale... Zupełnie co innego chciałem powiedzieć: pomiędzy nami żadnego oddalenia być nie powinno. Zkąd? dlaczego? Za kilka godzin będziemy sobie mężem i żoną, krwią ze krwi i kością z kości... Nie jestem pewny, czy ja to tak powiedziałem, jak trzeba... w każdym razie coś w tym rodzaju.

— Ta nieufność w siebie jest jedyną dobrą stroną pana... gdy się pan z nią rozstajesz, wtedy nie bywa tak, jak trzeba... Bądź pan łaskaw, trzymaj się w należytej odległości i posłuchaj, co ci mam do powiedzenia. Przekonana jestem, że zamiary pana są dobre, panie Chapman, o tyle przynajmniej, o ile potrafisz pan dobre od zła rozróżnić. Przekonana jestem, że nawet względem mnie dobre masz pan zamiary, i kochasz mnie pan po swojemu. Ale gdybyś pan świat obszedł wkoło, nie znajdziesz pan nikogo, mniej ode mnie dla siebie stosownego. Myślałam dawniej, że jestem pokorną, bo taką naturalnie być powinnam; ale kiedy badam samą siebie, widzę, że najdumniejsza z dumnych. Wielkie tylko cierpienie doprowadzić mnie do tego mogło... Teraz po raz ostatni przemawiam do pana, tak, jak nigdy przemawiać nie miałam zamiaru. Ale wierzę, że pan mnie kochasz, jak umiesz, a nie chcę, żebyś pan o mnie myślał, że bez serca...

Tu Alicya nie mogła powstrzymać łzy i westchnienia na myśl o pamięci, jaką po sobie zostawi...

— Cóż mam zrobić? coż zrobić mogę — zawołał Stefan, nie gorszy w gruncie człowiek od wielu innych, ale czujący to dobrze, że nie jest godzien dotknąć nawet jej chustki do nosa.

— Nie pan nie zrobisz i mam nadzieję, że nie zrobić nie możesz — odparła Alicya, panowanie nad sobą odzyskując — bardzo jestem rada, że co bądź się stanie, innych, nie siebie, pan obwinisz. Proszę, zechciej pan pamiętać, że to mówiłam... i bywaj pan zdrow... żegnam pana.

— Żegnam, do godziny obiadu, moja najdroższa... no, kiedy nie, żegnam *panią*, Miss Lorraine.

— W każdym razie kontenta jestem — myślała, śpiesząc do swego pokoju — że z nim rozmówiłam się raz ostatni, najgrzeczniej jak mogłam...

Trzecia już była, gdy weszła do swego pokoju i dzień miał się ku schyłkowi, chociaż od śniegu, doliny i wózra okrywającego, padało białe jakieś, zimne, ostre światło. Alicya wyjrzała przez okno

i zamyśliła się na chwilę; to, co ujrzała, wcale nie było zachęcające. Wschodnia strona stromiej prostopadłej prawie rozpadliny (wzdłuż, której pięła się główna, do domu prowadząca, droga) dźwigała wał śniegu na jakie czterdzieści stóp głęboki, zalegający całą prawie szerokość rozpadliny, a naniesiony tam przez zawieję, która śnieg ze szczytu góry zmiotła. Ale pod zachodnią rozpadliny ścianą czerniała niewielka drożyna, z której wichura zwała śnieg, niosąc go pod ścianę naprzeciwko; tedy to, przez jej własny ogródek, szła prosto w dół droga do Woeburnu.

Oddawna już gotową była Alicya uwierzyć, że młode jej i całą pełnią sił tętniące życie wczesny kres mieć musi. Odkąd ukazał się Woeburn, już ona wąską tą ścieżyną patrzyła w dół, zaglądała, spozierała (stosownie do miary posiadanej na tę chwilę odwagi) i wiedziała wybornie, co on ma dla niej znaczyć. Teraz, patrząc w niego z powziętym już postanowieniem i ustaloną odwagą, nie mogła nie wiedzieć, że za wiele rzeczy wdzięczną być powinna. Życie jej było bardzo pogodne i szczęśliwe i dosyć przytęm długie, nauczyło ją kochać wszystkie miłe człowiekowi stworzenia i umieć pozyskać ich przywiązanie. Nabrała przekonania, że natura dziesięć razy więcej ma dobroci, niż okrucieństwa, i że przez dobroć-to jej wszystko, co najlepsze i najmiłsze śmiercią kończy, śmiercią bez cierpienia, która temu, co z ziemi powstało, spokojny a uczciwy koniec daje, śmiercią szlachetną, która ład we wszystkiem zaprowadza, niewiele czasu (i to wyjątkowo) do opłakiwania zmarłych zostawiając.

Wszystko to leżało przed nią jasną i wyraźnie, teraz, gdy surowa rzeczywistość rozproszyła złocistą mgłę nadziei. Nieraz zbijały ją z tropu, słabości dowodzące, zachcianki: pragnienie uchylenia się od obowiązku i nierozsądne tęsknoty za tém, co dziecinną tylko było drobnostką. O ślubnej sukni, na przykład, nie małą miała ochotę myśleć. Ma się rozumieć, nigdy nie miała zamiaru ubrać się w nią, wiedziała jednak, że w Londynie potrafią napisać ogromny rachunek i sądziła, że powinna raz jeszcze przymierzyć suknię, kiedy się już nierozważnie z zapłaceniem rachunku pośpieszono. W istocie, niewiele ona dbała (tyle tylko, ile każda kobieta, rada nie rada, o takie rzeczy dbać musi) czy jej w tej sukni do twarzy; ale wiedziała, że zapłacić za nią trzeba, i chciała się przekonać, czy francuzka modniarka ma jakiegokolwiek pojęcie o jej figurze.

Dla rozstrzygnięcia tej kwestyi zamknęła drzwi, poczem bardzo starannie zmieniała ubranie. Będąc najschludniejszą ze schludnych, i tak systematyczną, jak stara panna, nie zostawiła ani szpilki, ani wło-

ska na gotowalni, ani nawet szczotki, leżącej krzywo. Poczém, dopełniwszy ślubnego stroju, bez cienia zarozumiałości przyznać sobie musiała, że jest po prostu przesliczną, najpiękniejszą, jaka kiedy była, panną młodą. Stała przed lustrem i ze smutkiem patrzyła na swą urodę. Ujrzała wtedy szerokie, pogodne czoło (jak zwykle spokojne i czyste) słodkie oczy, gorąco pragnące znaleźć kogoś, komu-by zawierzyć mogły, świeże usteczka, teraz nawet otwierające się smętnie żartobliwym uśmieszkiem, symetryczny owal przybladłej trochę twarzy, wdzięcznie uwydatniony na tle splełanych kędziorów i pukli nieposłusznego włosa. Dla mężczyzny, który-by jej miłość pozyskał, jakąż mogła być pieszczotą, jakim skarbem, jaką perłą nieocenioną! albo, jak to sama sobie powiedziała po prostu, jaką pocziwą, ukochaną żoną! Na nie, ach! na nie się nie przydało myśleć teraz o tém... ale, praktyczna z natury, nie widziała, dlaczego-by, włożywszy ten śliczny atłas biały, nie miała w nim nikomu się pokazać.

A zatem zadzwoniła na swoją pokojówkę, która, oczy wytrzeszczywszy, krzyknęła: „Ach, dalibóg, panienko, jak panienka cudownie wygląda!” i naturalnie, chciała tu wpiąć szpilkę, a tam poprawić kokardy, a tu znowu fałdy przygładzić. „Szkoda czasu”, — rzekła Alicya i kazała pokojówce przysłać do siebie Mrs Piphius. Pocziwa ochmistrzyni przyszła i ucałowała śliczną swoją pieszczoszkę, jak ją zawsze nazywała, (obstając przy prawie, niegdyś w dziecięcym pokoju nabytém) poczém sprobowała starych, zwietrzałych żartów, niby to przy takiej okazji niezbędnych.

— Pippy — rzekła Alicya, chcąc, by stara pieszczotliwa nazwa złagodziła ból, związłą odprawą zadany — nie powinnaś żartować w ten sposób; nie mogę znieść tego. Powiedz, proszę cię, ojcze, nie teraz jeszcze, ale, gdy wszyscy do stołu siadą, powiedz mu to: że go całuję i proszę, niech mi przebaczy, że nie przychodzę na obiad, ale mam wiele pilnego zajęcia. I pamiętaj sobie jedno, Pippy: nim was opuszczę, dużo mam jeszcze do zrobienia, i jeżeli drzwi swego pokoju zamknięte będą do wieczora, niechaj mi nikt a nikt nie przeszkadza. Wiem, że zaufać ci mogę, że mi tego dopilnujesz... A teraz powiedz mi „z Bogiem” Pippy droga... wszak wiesz, że mogę cię już nie zobaczyć... Chodź, niech cię pocałuję, jak cię całowałam dawniej, kiedy byłam grzeczném dziewczątkiem i przymilałam ci się o śliwki suszone.

Skoro tylko pocziwa, stara jej przyjaciółka odeszła, Alicya znowu drzwi zamknęła, zdjęła ślubne ubranie i włożyła małej wartości, skromną białą sukienkę; poczém uklękła przy swojém łóżku i odmówiła

zwykle wieczorne pacierze... Chociaż nie przybierała pozorów arcyzarliwej pobożności, jednak w głębi serca żywiła miłość ku Stwórcy i wiarę w Nim pokładała. Wierzyła, że On-to daje nam życie doczesne, by Mu je zwrócić w nieskażonej ducha czystości, nie tehörliwą przed cierpieniem ucieczką, ale wtedy, gdy miłość i honor ofiary życia wymagają. We wspólnej nam wszystkim nieświadomości, moliło się biedne dziewczę gorąco.

Badąc teraz spokojniejszej trochę myśli, wyjęła ze stolika długi warkocz włosów, najwyżej ceniony z jęj skarbów. Warkocz to był jęj zmarłej matki... (ach! gdyby teraz matkę miała, gdyby u nięj rady zasięgnąć mogła!)... ucałowała go, położyła na sercu i wymknęła się po raz ostatni, ukradkiem, smutnie popatrzeć na Hilarego. Leżał, plecami od nięj obrócony, twardo śpiący; pocałowała go leciutko i śpiesznie wybiegła.

Wtedy, gdy się w całym domu uciszyło, (słysząc tylko było szeceł zatłuszczonych talerzy i półmisek, które wkładano w głęboki koszyk, jedno na drugich stawiając) Alicya Lorraine, upiawszy długie swe włosy w grecki węzeł, włożyła ulubiony ogrodowy kapelusz i związała go mocno pod brodą. Raz jeszcze obejrzała się po ulubionym swoim pokoju, wszystkiemu główką na pożegnanie kiwnęła i poszła szukać śmierci, krokiem pewniejszym, niż krok oblubienicy, naprzeciw oblubieńca wychodzącej.

W czystej bieli ubrana, szła drogą, która także w ślubnej bieli jaśniała... Każde drzewo orzucone było kryształową koronką i klejnotami z kryształu; pospolita tarń i podle zielska dumnie niosły się w górę berłom podobne; drzew płaczących gałęzie świeciły jak strusie pióra, w brylanty zmienione. Na ziemi fala za falą pokładły się śniegowe zasy, nakształt burzliwych fal morskich, wichurą pędzonych, piętrzących się jedna nad drugą i wśród wściekłego szalu przez mroź ujętych w okowy.

Chociaż ani podmuchu wiatru czuć nie było w powietrzu, Alicya poznała z wyiskrzonej białości, że bardzo zimno być musi. Zobaczyła ładną swoją altankę, podobną do poduszki, prześcieradłami nakrytą, i na czerniejącej ścieżynie posypała trochę okruszków dla starego swego gila, chcąc, by je znalazł na śniadanie. Zobaczyła też ulubioną swoją piękną, pnącą się różę, delikatnie różową, przyciśniętą teraz utrapieniem i nieugiętością zmarzłej przyrody. Gdy znowu wiosna powróci, kto przyjdzie ocierać ją z gąsienic, lub strzedz jęj od najścia kantaryd?

Na tę myśl, w obawie, że leż dłużej powstrzymać nie zdoła, unio-

sła Alicya sukienkę i biedz zaczęła. Nie miała ona wszystko prze-magającego pojęcia o Fatum, o konieczności, lub *Até*, o żadnej z tych potęg, któremi pchane, piękne dziewice greckie oddawały siebie innym na ofiarę... Nie! ona poprostu chciała wypełnić obowiązek, oca-lić honor domu od skazy, a czystość swoją od pokalania.

Woeburn płynął, jak zawsze, wcale nietknięty mrozem, wycią-gnięty jak długi, podobny wielkiej czarnej pijawce, która, głowę wy-ciągając, szuka do czego-by się przypięła. Płynąc pomiędzy dwoma wałami śniegu, czarny był, jak starożytny Kocyt, a tam, gdzie mroźne leżało na nim powietrze, tam unosiły się nad nim białe długie kłęby pary. Gwiazdy świecić już zaczynały, a nów' miesięczny, wygląda-jąc z za Chancton-Ringu, świadczył o spokojności głębin nieba...

Wtedy Alicya przystąpiła, po chrześcijańsku, jak należy, duszę Bogu poleciła, i bez strachu, bez łzy, bez westchnienia, ciało swe na śmiertelne łożo wodnej topieli rzuciła.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Bottler zwalcza żywioły.

Zdaje się to być prawie pewną, że nigdy (z wyjątkiem może księ-cia Bismarka) nikt nie może być pewny, że wszystko tak pójdzie, jak sobie z góry ułożył. Najlepsi, najszlachetniejsi mogą tylko projekto-wać nieśmiało, działać stanowczo i pokornie czekać rozrządzenia spra-wiedliwej, dobroczynnej i opatrnej Woli Najwyższej.

Pan Bottler, na przykład, od trzech już przynajmniej tygodni pro-jektował zabić niedbałą trzódkę tłustych wieprzy, ale z dnia na dzień zmuszony był odkładać tę operacyą. Mróz był tak silny, że przeza-czny ten Azrael kwiczącego rodzaju nie miał wiary w skuteczność swoich obrzędowań, nie w tém jednak, co się odnosiło do jego umie-jętności wyprawienia ich na świat lepszy. W każdą pogodę mógł on zakłuć wieprza; nie mogły one uchylić się od przyjęcia rożna, gdy je zręcznie do tego namawiano; mogły jednak (i często to nawet czyni-ły) przekraczać wszelkie prawa gościnności, stanowczo odmawiając przyjęcia jego roli. A cel stworzenia wieprza jest trojaki (odłoży-wszy na bok łeb, nogi i inne drobne jego przynależności): wieprzo-wina świeża, wieprzowina marynowana i słonina, z których-to trzech najważniejszą jest słonina.

Cóż teraz miało robić West-Lorraine, a nawet i miasteczko Stey-

ning? Wozy, baraniną naładowane, przybywały na targ, w skutek tak wielkiej ilości owiec, które w śniegu śmierć przedwczesną poniosły, od czego nawet (jak trafnie rezonował ogół) mięso zbieleć musiało niezmiernie; pożywiło się też dobrze wielu bardzo robotników, którzy zapomnieli byli prawie smaku mięsa; pożywienie to poszło im na dobre i dodało ciepła. Ale „porządniejsze domy nie chciały przystać na coś podobnego; lubiły one, aby ich baranina miała *interview* z rzeźnikiem, w sposób z konstytucją zgodny; a nie mogąc dojść prawdy w tej mierze, wcale a wcale nie chciały widywać się z baranami, czekając na jagnięta, które z zawiei śnieżnej kiedyć ukazać się miały. W takim stanie rzeczy, cóż zrobić należało? Niejeden mówił: „żyjmy chlebem i tym podobnemi rzeczami, śledziem, zapasami sklepów korzennych, tém wreszcie, co nam Bóg zesłał”. Z pięćdziesiąt kobiet brnęło przez śniegi, aby się dowiedzieć, jakie jest zdanie rektora, który jednak nic więcej nie umiał poradzić, jak: „wygotowujcie kości na smak”.

To spowodowało takie szalone rzucenie się na bank biednego Bonny, (który istotnie założył był bank z kości w lecie odłożonych) że Jack cały dzień prawie był w pracy, obeznał się ze wszystkimi figlami śniegu i doskonale nauczył się go przebywać. Biedne ręce Bonny tak były posieczone od zimna, że ścierał nimi wszystek glans z butów rektora, który mu powiedział, że tego tylko braknie, aby je tłustością wymazał, co ostrym grotem serce biednego chłopca przebiło.

Wyżej jednak położonym osobom nie przychodziło na myśl spuszczać się na kości, przez Bonny przechowywane; mieli gotówkę i za dobre mięso zapłacą, ile warto, ale nie więcej. Otóż człowieka gruntownie uczciwego niepokoi myśl brania za coś więcej, niż brać powinien. Przyjemnie to jest wyzyskiwać, a nawet okpiwać publiczność, ale przyjemność ta przesiąka sumienie, zostawiając tam chorobliwe tuberkuły, albo bakterye, a już co najmniej jakieś mikroskopijne cierpienia zarodki. Bottler cierpieniem tém był nawiedzony, i mimo ogromnego popytu, nie mógł przenieść na siebie, aby cenę wieprzowiny podnieść wyżej, jak trzy razy tyle, ile zwykle brał za mięso.

— Tak jakoś mało waży na mróz! proszę tylko wziąć ją do ręki — czuł się w obowiązku mawiać każdemu, w jego własnym interesie — może państwo nie wierzycie, ale jedno z drugiem, ten wieprz kosztował mnie po dziewięć pensów funt, a sprzedaje funt po trzy pensy.

— O! panie Bottler, jak panu nie wstyd!

— Jak tu żyw stoję, tak mówię szczerą prawdę! Moglibyście temu nie wierzyć, żeby to kto inny wam mówił, nie ja; poczekaj-no, panienko, aż pójdziesz za mąż i sama znać się na tém będziesz. Oj! ciężkie, ciężkie czasy! Głód dokucza każdemu, chyba go ten nie czuje, kto się już do niego urodził i przywykł, i okruciami chleba wyżyje

Z tém wszystkim, Imé pan Bottler wcale nie wyglądał na takiego, kto podtrzymuje życie okruciami chleba. Pończochy jego, bielsze, niż otaczające go zasy pyłowe, ukazywały wcale przyzwoity zapas mięśni łydkowych, a szafirowy kamlotowy fartuch oddawał tę samą usługę tej części człowieczego ciała, która jest tak dla rodu świńskiego zgubną. Słodki zaś uśmiech, z którym zawsze przemawiał, powstawał oraz ukrywał się wśród policzków, bynajmniej nie zapadłych, igrając w fałdach wcale nie ładajakiego podbródka. Jednym słowem, pan Bottler w sam raz na zabicie był tłusty!

— Polly — rzekł do ulubionej córeczki, skoro tylko skończył poniedziałkowy obiad — przez cały czas tej szkaradnej pogody, byłaś bardzo grzeczna i tatuś chce cię dziś wieczorem zabawić. Nie! nie wedle wyzwolin wieprzy — mówił dalej w odpowiedzi na zwykłe jej kiwnięcie głową, używając zwykłego sobie omówienia — dużo wieprzy trzeba-by wyzwolić, aby zadowolnić całą okolicę i zakasować tego złodzieja Brambera. Ale zobaczysz, Polly, zobaczysz coś, co cię zadziwi...

Bottler włożył ciemny skórzany fartuch i spokojnie wziął się do roboty. Niebawem też ujrzała Polly nader piękne widowisko, ojciec jej bowiem postanowił zrobić coś, co sławę jego szeroko rozgłosi i zabije tego złodzieja Brambera. Na przekór mrozom, zabije on wieprze, i naprzekór mrozom zamarynuje z nich mięso. Miał on pięć wybornych wieprzy na szynki i cztery karmne na słoninę, o tyle gotowe na sobie, o ile stać wieprza na to; wszystkie codzień zdawały się wymawiać mu niepotrzebnie przedłużone istnienie swoje: nie mogły bowiem na taki mróz nabierać tłuszczu, i jako próżnujące, potrzeba je było poćwiertować.

Bottler rano uczynił był to, co nie przyszło-by na myśl nikomu, kto-by, jak on, wyższego nie miał umysłu. Zaraz po-za zabudowaniami swojemi, nieopodal od domku Nanny Silgoe, miał on dziedzińczyk, oddalony od wszelkiej łatwo zapalnej strzechy i do wędzarni jego przylegający. Dziedzińczyk ten był kwadratowy, ogrodzony płotem z wapienia i, jak wszystko inne, cały śniegiem zasuty, ale Bottler niebawem zaradził temu. Poszedł on do parafialnej szkoły, która

po świątecznych wakacyach miała zostać otwartą dnia 10 Stycznia; ale nauczyciel się zaprzysięgał, że na taką porę, nie będzie zapalał w chłopcach ognia wiedzy dopóty, dopóki zarząd parafii nie zapali na własném jego ognisku. Parafia zaś odparła, że sam to sobie uczynić może, że nie dostanie ani bryłeczki węgla, i że, chcąc, by u niego wprzód zapalono, chce zaczynać nie od początku. On téż na odpowiedź zaryglował drzwi szkoły i usiadł sobie z fajką i kociołkiem wody.

Przezorny Bottler spodziewał się tego stanu obłączenia; wiedział bowiem, że każdy z tych chłopców (którzy czmychali-by jak djabły, gdyby drzwi były otwarte) dowiedziawszy się, że drzwi szkoły zamknięte, przepędzi cały dzień na dobijaniu się do nich. Tutaj téż ich zastał z Bonnym na czele, jako chłopcem coraz bardziej rozwijającym się umysłowo, oraz z Dickiem, prymusem w *Historyi Świętej*, nie-mniej jak z chłopcem, przez rektora w płocie postrzelonym, i z wielu innymi, mniej słynnymi chłopakami; wszyscy razem wściekali się ze złości, że im odebrano prawo dostania dziś w skórę.

— Słuchajcie-no, chłopaki — odezwał się Bottler, który wiedział, jak postępować z chłopakami — możecie cały dzień kopać nogami, dopóki trzewików nie poniszczycie. Tymczasem u mnie jest robota dla pięćdziesięciu przynajmniej i po penny dla każdego, który się do-brze zwijać będzie.

Krótko mówiąc, wszyscy ci chłopcy pobiegli za Bottlerem, który ich wprowadził w swój dziedzińczyk, gdzie każdego z nich opatrzył jakimś narzędziem pracy. Jedni dostali miotły, drudzy szufle, inni rydle, inni znowu łopaty, ze dwóch pracowało staremi patelniami, a Bonny dostał zniszczoną jakąś brytannę. Ci z chłopców, którzy mieli spodnie, dostawali po dwa penny na głowę, reszta zaś, chodząca jeszcze w zszytych przez środek spódnicach, mogła zarobić po pen-nym, pracując, jak należy.

Żaden z nich nie guzdrał się z robotą; pracowali tak, jak chłopcy tylko pracować umieją, z całych sił i z całej duszy. Ogółem wzięwszy małych i dużych, wydał pan Bottler cztery szylingi i cztery pensy za oczyszczenie ze śniegu dwóchset yardów sześciennych tak dokładnie, że, jeżeli jeden chłopak chciał drugiego uderzyć śnieżką, musiał iść za płot szukać śniegu. Pan Bottler spokojnie się uśmiechał, płacąc chłopcom; wiedział on, jaką arenę głodu otwiera przed smaczną swoją wieprzowiną, za pośrednictwem téj aruii małoletnich robotników. Potém, pokazując chłopcom żywe jeszcze wieprze, poklepał ich

po ramionach i cmoknął ustami z przejęciem, które przed wieczorem jeszcze odbiło się echem przy czterdziestu przynajmniej ogniskach.

— A co! nie rarytas-że to? — zapytał.

— Oj! oj! rarytas choć-by do półknięcia! — odparł Bonny, który już zaczynał używać wielkiej sławy, jako dowcipniś, i robił, co mógł, by na nią zasłużyć.

Wszyscy inni chłopcy odeszli z ustami, z których upodobanie do wieprzowiny małemi sopelkami się wylewało. Wtedy udał się Botler do szopy, gdzie trzymał wozy, i powrócił, niosąc największą, jaką miał, płachtę. Tę rozpiął i nader zręcznie w środku swego dziedzińczyka umocował, zestawiając z dziesięć stóp wolnego miejsca pomiędzy brzegami jęj a płotem. Co zrobiwszy, zaprosił Bonny na obiad, i lubował się jego rozmową, później zaś zobowiązał się względem Polly wyżej wspomnianém przyrzeczeniem. W ciągu dnia, później, słyszano tam niejedno kwiczenie, podczas gdy Bonny pracowicie stóg wrzosu atakował.

Ze skutków sądzimy zwykle o rzeczach, dość więc będzie czyny te do kroniki naszej zaciągnąć. West-Lorraine, Wiston, samo nawet Steyning jednogłośnie oświadczyły nazajutrz, że nad brzegami Woeburnu spełniła się rzecz, która sam Woeburn zwyciężyła skutecznie. Jak Herkules, który pokonał Achelousa, jak wielki ów Pelida, który Simois i Skamander zatrzymał, tak i Botler (bohater, większy od tych nawet, których imię mógł-by wspomnieć Nestor dla zawstydzienia podrzędnych wieprzo-bojów) tak i Botler obudził w sobie mężstwo i poszedł w zapasy z potworem tym, Pytonowi podobnym Woeburnem, i pokonał go zwycięzko.

Nie dość jest mówić o podobnych czynach, tak jak my to czynimy, mimochodem; Botlera czyny przeszły już w erę pieśni, która zawsze poprzedza wiek historii. Z pieśni wyłaniają się one wszystkie, ciągnąc za sobą długi ogon świadectw, dowodzących ich prawdziwości, a jeżeli podejmie je ktoś, umiejący się z niemi obejść, wtedy opowiadanie jego stanie się opowieścią dziejową, a on sam wielkim dziejopisem!

Jak wszyscy wielcy bohaterowie, tak i Botler pozwolił Bonnemu pracować daleko więcej, niżeli sam pracował. Spokojnie przyglądał się tylko, paląc fajkę; a ponieważ wybornie wiedział, jak zachowują się wieprze (stosownie do wagi swojej i tuszy) w kwestyi stygnięcia, trzymał więc ojcowski zegarek w ręku i we właściwym czasie dopuszczał je do wyzwolin. Tymczasem Bonny pracował na umor, a z nim wieprze stanęły gotowe do pośmiertnej toalety, już pokój do ubie-

rania czekał na nie gotowy. Wieprz może dojść do właściwego sobie stanowiska, wieprzowiny, w nader krótkim czasie. Ale wartość jego poświęcenia swęj osobistości na ołtarzu dobra ludzkości, niezmiernie wiele zależy od tego, jak się z nim ludzie obejdą.

W chwili, w której to piszę, handel tém, co świńskie, tak kwitnie, że każdy (jakkolwiek małe pole działalności mający) powinien się starać raczej o powstrzymanie go, niż o nadanie mu dalszego jeszcze rozwoju. I z tego-to powodu, wielkie czyny Bottlera, jakkolwiek najzupełniej na opisanie zasługujące, nie dostaną go ani krzty!

ROZDZIAŁ XXIX.

O! H a r o! H a r o! H a r o!

Nowy złoży się jeszcze dowód, że człowiek, który w tém doczesném życiu w ciężkim trudzie i znoju ścieżynę krokom swoim toruje i gładzi, stoi jednak na miejscu. Troje młodych ludzi, dobrze otulonych i wszystkiemu czoło stawić gotowych, wyruszyło z Apple-wood zaraz nazajutrz po Trzech Królach. Jednogłownie mniemali oni, że staną w Coombe-Lorraine w sobotę wieczorem, wszyscy bowiem oczekiwani tam byli na niedzielne nabożeństwo. Bez żadnego z nich obejść się tam nie chciano, stosownie do ostatnich z Coombe-Lorraine wiadomości, wszyscy téż czuli ogrom ciężającej na nich odpowiedzialności, gdy gospodarz zamykał za nimi wielką białą bramę.

— Nie bądźcie-no waryatami — wołał za nimi — nie staniecie tam tak prędko, jak wam się zdaje.

Wyśmieli jego przestrogę, ale nim nawet dojechali do Tonbridge, zerwała się za nimi zamięć, która śniegiem osypała im plecy i ubieliła faworyty jedyne go z podróży, który się mógł niemi pochwalić. Posiadaczem ich był Radzca Prawny, Grzegorz, a tamtych dwoje śmiało się z niego, dowodząc, że to peruka musiała mu się zsunąć, i otrzymując mu twarz chustkami.

Radzca Prawny Grzegorz nie zwracał na to uwagi. Był on teraz dziwnie stateczny i poważny, a gdyby kto za pomocą nader ścisłego badania wyszedł ów dzień, kiedy Radzca zabawiał się rzucaniem strzał, to przypomnienie owęj chwili było-by dla ustatkowanego umysłu Radzcy bolesném przypomnieniem święta Wszystkich Worgatów. Dbał on o swój urzędowy tytuł i uprawiał sztukę przemawiania językiem urzędowym, a będąc zdolnym i pilnym prawnikiem, przyje-

mněj twarzy i niemniej przyjemnego humoru, był już w stanie trzymać sobie dependenta, który nosił za nim worek z papierami i czyścił jego buty.

Ale każdy klient, który-by go ujrzał teraz, powożącego parą ognistych koni i siedzącego tak uroczyście, jakby w krześle siedział sędziego, był-by go spotkał u bramy pytaniem: *quo warranto?* albo nawet: *quousque tandem?* Wiedział on o tém dobrze; sumienie mówiło mu, że tam, na głównej ulicy Tonbridge, znajduje się kancelarya *attorneyów*, i że, mimo śniegu, wspólnik jego, lub dependent, niezawodnie znajdują się przede drzwiami. Nie był-by był synem gospodarza, gdyby próbował ominąć ich; to też przejechał tuż pode drzwiami biura, a starszy wspólnik ukłonił się grzecznie Mabel i oświadczył, że młody Grzegorz ma przyszłość przed sobą.

Mabel siedziała, ma się rozumieć, we środku, mając z każdej strony jednego z braci dla bronienia jęj od pierwszego pędu zimnego wiatru i osłaniania od śniegu. Z początku śmiała się ona z niepogody, ale potem niepogoda z nięj śmiać się mogła. Według tego, jak sami sobie ułożyli, mieli podróżni zatrzymać się na noc w pięknej staręj oberży w Hoosham i z tamtąd już jechać do Coombe-Lorraine, aby w porę zdążyć na obiad w sobotę. Mabel bowiem miała być, naturalnie, družką, a trzy córki rektora i dwie półkownika dopełniały niezbępnęj liczby sześciu. Wkrótce jednak stało się widoczném, że gospodarz lepiej znał się na drogach i na pogodzie, niż Radzca Prawny i marynarz. W chwili, kiedy śpieszący ci podróżni przejeżdżali przez Penknost, droga była już na jakie ośm cali pokryta miękkim, świeżo spadłym śniegiem. Roztropnie wyruszyli oni dwukołowym pojazdem, mocnym i niewywrotnym, niczém inném, jak onym starym żółtym *gigiem* (biędą), którą tak pomiałała niegdys Mrs Lovejoy. Jak ta bięda wygląda, wcale ich to nie obchodziło; na taką, jak, ta porę, wszystko było zanadto jeszcze dobre, a para pięknych i silnych koni wyciągnie ich z gorszję jeszcze biędy, gdyby nawet przyszło im na myśl, że to bięda jechać taką biędą. Ale oni o tém nawet nie pomyśleli. Z wyjątkiem radzcy, trochę oglądnęnego przez „prawo i jego rozgałęzienia”, wszyscy oni przejęli od ojca, że raczję *esse* niż *videri*. Mimo to wszystko, jednak w piątek na noc śnieg ich zatrzymał w East Grinstead, zamiast coby mieli dojechać do Hornsham.

Im więcję bowiem oddalali się od domu, tém bardzięj jakoś drogi znaleźć nie mogli. Płoty i rowy zaczynały jednakowo wyglądać; drogowskazy oddawna już śnieg zasypał tak, że, zamiast wskazującego palca, tylko tu i owdzie sterczały olbrzymie jakieś niby pięści

i słupy śniegu; w ianych znów miejscach zatrzymywały podróżnego napisy: „Nie można przejechać”, których litery ułożone były z bluszczu; albo „Ostrożnie” zwieszające się bluszczowemi także wieńcami z olchy, stojącej nad trzęsawiskiem, gdzie, przebiwszy zewnętrzną śniegu skorupę, nieszczęsny przechodzień mógł tylko rękoma zamachnąć w powietrzu, poczem szedł na dno i przepadał bez wieści.

A teraz, gdy na drugą znowu zbierało się burzę (czarną za nimi, a przed nimi białą) konie o nic więcej nie prosiły, jak o to, żeby im wynalezienie drogi zostawić. Potrząsały grzywą na czołe, wyrzucały łbami, dzwoniły uprzężą, parślały, grzebały śnieg nogą, chcąc dać do zrozumienia, że one miały-by najwięcej rozumu, gdyby im pozwolono złożyć jego dowody. Pozwolił im więc radzca mieć rozum, bo ściemniać się już zaczynało, na co dyszlowy zwrócił się do naręcznego i pogadały z sobą trochę, poczem puściły się tęgim kłusem, bo oba szły już raz tą samą drogą i, przeszedłszy ją, zjadły dobrą wieczkę. Teraz, w przewidywaniu takiej-że saméj rozkoszy, która przy tak ostrym mrozie żywszą jeszcze być mogła, wyciągnęły się dobrze kłusa, wyrzucając śnieg nogami, i zanim nadeszła pora zapalania świec, wysadziły troje niższych od siebie, dwunożnych stworzeń, przed bramą oberży „Pod zielonym człowiekiem” w East Grinstead.

Nazajutrz gorzej jeszcze było, bo chociaż śnieg nie padał, jednak podróżni wjechali w nieznaną okolicę, gdzie nie drogi im nie wskazywało, a że mróz ciągle się wzmaczał, postanowili więc trzymać się drogi do Brighton, jeżeli ją znaleźć potrafią. Ale dyliżanse, do Brighton chodzące, kursować przestały, a droga tak była zasypaną, że może nawet przejechali ją w poprzek, sami nie wiedząc kiedy. A ponieważ konie pomęczyły się mocno, a i oni oczy mieli zmęczone ciągłym na śnieg patrzeniem, postanowili przeto wybudować sobie domek ze śniegu, jak Eskimosi, gdy marynarz dostrzegł w oddali coś białego i wysokiego, co, jak się pokazało, było wieżą kościoła w Hoo-sham. Późnym już wieczorem z trudnością dobili się do miasta, dobrze przemarzli, i tam zmuszeni byli przepędzić niedzielę, nie tylko dla miłości koni, ale także ze względu na własne swoje zbiedzone osoby.

Chcąc raz już skończyć nudną tę i uciążliwą podróż, wyruszyli z Hornsham w poniedziałek rano, skoro tylko ukazało się zamarzniete słońce; i chociaż droga niesłychanie była trudna, stanęli jednak koło południa w West-Grinstead, gdzie znaleźli dobry posiłek dla ludzi i zwierząt. Po godzinnym spoczynku, popasłszy konie grochem, aby

im ciepło było w brzuchach, i wypiwszy po kieliszku wiski, aby sobie tę samą oddać usługę, odwiedziwszy kowala dla opatrzenia podków i zreperowania resorów, puścili się w dalszą drogę w jak najlepszych humorach, przysięgając, że postawią na swoim. Ale, wbrew wszelkim ich usiłowaniom, słońce zaszło, nim dojechali do Steyning, gdzie, ma się rozumieć, pod szansem gór, głębsze spotykali zasy, tak, że w chwili, gdy wjeżdżali w długą, szeroką ulicę wsi West-Lorraine, każda, mieszkająca tam, dusza, przez wzgląd na niepogodę, schowana już była pod kołdrę. Zmęczony dyszlowy ciągle łeb schylał do kolan, chcąc pozbyć się wiszących mu u pyska sopli, silny naręczny kroczył statecznie, a trzej śmieli podróżnicy, Grzegorz, Mabel i Karol Lovejoy, siedząc obok siebie w żółtej karyolce, w milczeniu przebywali milczącą samotnicę śnieżną, przez nikogo niewidziani, póki nie przybyli do miejsca, gdzie przez drzwi, na uliczkę wychodzące, padał jaskrawy blask ognia i rysował na śniegu cień wysokiego mężczyzny, o drzwi opartego. Za drzwiami widać było stos, płonącego żarzewia i mężczyznę w białych pończochach, niezmiernie zajętego.

— O! Grzegorzu! zatrzymaj się na chwilę! — zawołała Mabel — jak tu ciepłutko być musi! o! jakbym ja chciała być wieprzem!

Podjechali bliżej do ognia i zwrócili ku niemu zmarznięte twarze, zmarzniętą odzież i skostniałe ręce. Dyszlowy nawet wykręcił się, ile mógł, pocieszając się w biedzie widokiem ognia; bo ciepło, od niego bijące, rozchodziło się w mroźnym powietrzu wieczornym.

— Jaki to przedziwny człowiek! — znowu wołała Mabel — u nas niema takiego! Wygląda na wielkiego pocziwca... Wejdźmy do środka i ogrzejmy się trochę.

— I poodmrażajmy nosy natychmiast, jak znowu wyjdziemy na zimno. Nie, dziękuję ci — odparł Grzegorz — pojedziemy dalej. Ruszaj-no, Spangler! słyszysz?

Uderzył dyszlowego przemarzniętymi lejcami, a wysoki mężczyzna, oparty o drzwi (jakby nie miał co lepszego do roboty) odwrócił się, spojrzął na nich i, zajętemu powiedziawszy dobranoc, wyszedł brnąć przez śnieg, widocznie rad, że może iść śladem kół. Na zakręcie uliczki stracili go z oczu, jakkolwiek wolno kopali się w śniegu, a w chwilę potem wydarzyło im się coś nadzwyczajnego.

— Słuchajcie! — krzyknęła Mabel, gdy zbliżyli się do brzegu, gdzie niegdyś droga prosto szła dalej, ale teraz nagle zwracała się na prawo, bo przecinał ją szeroki czarny strumień. — Pewna jestem, że słyszałam coś... coś...

— Od mrozu w uszach ci dzwoni — odparł Karol — na morzu

zawsze tak bywa. Albo może odzywa się gdzie przekłeta sowa? Co mówisz, Grzegorzu?

— Obdarzę was mojem zdaniem — odparł radzca — skoro będę miał dostateczne dane.

— I honorarium schowasz do kieszeni. O! znowu słyszeć... Słyszeliście teraz?

Stała pomiędzy obu braćmi i, chcąc się utrzymywać na nogach, mimo ciągłych podrzutów wózka, oparła się na ramieniu każdego z nich jedną ręką. Nasłuchywali i oni, i zważywszy o bystrości jej słuchu, pociągnęli ją by napowrót usiadła.

— Jakie z niej dziecko! — zawyrokował Radzca Prawny — zawsze traci rozum, gdy jest już o jakie parę mil od swojego Hilaro.

— O! dużo ty wiesz o tém! ty, coś tyle złego narobił? Robieś, co mogeś, aby nas rozdzielić...

Chociaż młodszy jeszcze dotąd wspólnik firmy w biurze atltorneyów, Grzegorz od dość już dawna stawał przed sądem, aby pojąć, że kobiet nie należy przyzywać przed sąd rozumu. Zdanie ich zasługuje na najzupełniejszy szacunek dlatego, że im z natchnienia przychodzi, a zdania swego nigdy uczciwa kobieta nie zmienia.

Bądź jak bądź, tym razem Mabel miała słuszość. Zanim zdążyli wyrzec słowo, lub obejrzyć się, nietylko usłyszeli, ale nawet i zobaczyli chłopca, który, po drugiej stronie wody, jadąc wierzchem na osle, krzychał wściekle. Jechał on ku nim z biegiem wody tak prędko, jak tylko jechać mógł na osielku, który wierzgał, ślizgał się i zapadał w śnieżne zasy. A chłopak krzychał na całe gardło:

— Łabędź! łabędź! opasany biały łabędź! Prześliczna pani przemieniła się w opasanego łabędzia! O! o!

— Czyś oszalał, mały głupcze? Oddal-no się od wody — ostro krzyknął Grzegorz Lovejoy, bo gdy się Bonny zatrzymał, konie, jakkolwiek zmęczone, stanęły dęba przestraszone, ujrzawszy biały nos Jacka i ogromne jego uszy, ruszające się na cieniu — odjedź od wody, bo my wszyscy się w niej skapiemy! — Naręczny bowiem, dowiedziawszy się o przyczynie przestachu dyszlowego, cofał się prosto w Woeburn i Mabel nie mogła powstrzymać się od krzyknienia, ale marynarz zręcznie wyskoczył z karyolki i schwytał konia za łeb.

— Płynie! płynie! — darł się Bonny co siły — co ja zrobię?

— Widzę ją! widzę! — zawołała Mabel, przechylając się przez poręcz karyolki i pilnie się wpatrując w czarną wodę strumienia —

co to być może? Coś całkiem białego... tak nieruchawo płynie po wodzie. Musi to być ciało topielca!...

Karol, marynarz, nie rzekłszy słowa, wskoczył na małą nad brzegiem wyniosłość, i widząc, że to coś białego ciągle się zbliża, przysłuchiwał mu się przez chwilę usilnie, poczem, zerwawszy z siebie odzież, rzucił się w wodę, jakby dla przyjemności popływać chciał troszeczkę. Nie miał on pojęcia, jak gwałtownym był pęd wody, ale gdyby to nawet wiedział, był-by mimo wszystko, tak samo na łeb na szyję w wodę wskoczył. Ujrzał on bowiem na toni postać kobiecą, nieczułą, nieprzytomną, na łasce wody będącą... i tego dość dla niego było.

Od dziecka wyborynym on był pływakiem i swobodnie obracał się w wodzie, lekceważył sobie zatem tę gładką, cicho płynącą ton wodną. Ale zaledwie kilka uczynił poruszeń, uczuł, że pomylił się w sądzie o przeciwniku. Zamiast płynąć strumieniem pod wodę (co, patrzącemu z brzegu wydawało się rzeczą nader łatwą) nie mógł nawet oprzeć się wodzie, która pchała go wstecz spokojną, lecz nieprzewycięzoną prądu swego siłą. Pomimo jednak bystrości wody, było mu bardzo przyjemnie, bo woda była o jakie dwadzieścia stopni cieplejsza od mroźnego powietrza.

— Przetnij lejce — zdołał krzyknąć na brata i siostrę, pochyłonych nad wodą.

— Co on chce robić? — spytał Grzegorz.

— Weź mój scyzoryczek — rzekła Mabel — ostry jak brzytwa, ale mi się ręce trzęsą.

— Widzę, widzę — potwierdził radzca i, odciawszy długie lejce, związał je z sobą. Tymczasem Karol spuścił nogi i stał prostopadle w bystrej wodzie, spokojnie krocząc po niej. Ma się rozumieć, woda ciągle niesła go w dół, ale powoli w porównaniu z płynącym po niej ciałem; przekonał się też, że, o jakie parę stóp pod powierzchnią, prąd jęj daleko był wolniejszy. Zanim jednak miał czas pomyśleć o tém, albo odzyskać równowagę, biały przedmiot, na który czekał, sunąc na czarnej toni, zbliżył się ku niemu. Natychmiast wyciągnął ramiona, nogi w tył rzucił i chciał sięgnąć po owo ciało, ale szybko niesione przez falę, oddaliło się od niego tak, że zawołał: „Żegnaj!” Wtedy (może skutkiem przyciągania się ciał) zdawało się, że stanęło na chwilę, a ręką, którą wyciągnął Karol, coś pochwyciła. Poszedł pod falę z głową i połknął spory łyk wody, ale nie puścił tego, co pochwycił, jak na rodowitego Anglika przystało. Wtedy na brzegu usłyszał głośne jakieś krzyki, i trzymał tém mocniej. „Brawo, dzielny

zuchul” doszło jego uszu... już zaczynał czuć zmęczenie, ale zachęta wiele może. „Chwytaj! chwytaj! trzymaj! trzymaj!” słyszał wołające na niego głosy, widział, jak mu rzucają związane lejce, nie miał jednak szczęścia pochwycić ich do ręki. Nurt czarnego sturumienia unosił go z sobą, daremnie usiłował dostać się na brzeg... mógł-by to zrobić wtedy tylko, gdyby wypuścił z ręki to, co pochwycił, ale utonie raczej, niż to zrobił.

Któż więc ocalił i jego i nieoceniony skarb, przez niego od utonięcia ocalony? Biedny, pogardzony, a roztropny przecie chłopaczek, którego jedyném nazwiskiem było... Bonny. Podczas gdy Grzegorz Lovejoy daremnie lejeami chłostał Woeburn, gdy Mabel, dla przedłużenia ich, szal swój do nich przywiązywała, gdy wysoki ów mężczyzna, który szedł śladem karyolki spokojnie wszedł w wodę, a Bottler (od zajęcia krzykiem oderwany) opuścił swoje wieprze i stanął wszystkim na oczach; nikt a nikt nie był-by pomógł ani odrobiny, gdyby nie biedny ów Bonny. A nie była to weale ze strony chłopca jakaś odwaga niezwykła, ale poprostu z bystrości umysłu zrodzony pomysł.

Pomysł jego musiał przebrnąć wodę, jak to niejednen dobry pomysł uczynić jest zmuszony, i gdyby nie to, że Bottler poznał głos chłopca, nikt-by na niego uwagi nie zwrócił.

— Trzeba płynąć do mostu — wołał — do mostu! nie siłować się tak przeciw wodzie!

— Płyn pan z wodą — krzyknął Bottler dzielnemu Karolowi — nie potrzeba dobijać się do brzegu! Trochę dalej jest kładka, wyciągniemy was oboje, jak tam przypłyniecie.

Karol nie stracił przytomności i od razu zrozumiał użyteczność tej rady. Po długiej z nim walce, doszedł do przekonania, że nie podoła wartkiemu nurtowi Woeburnu, a mężczyzna, który wskoczył do wody, by mu pomódz, jakkolwiek odważny i silny, mógł tylko dotrzymać kroku fali, która, równym a szybkim płynąc pędem, unosiła płynących na swój powierzchnię. Ci więc, którzy na brzegu pozostali, zaczęli teraz pędzić co tchu, by dopaść owego drzewa, rzuconego przez Woeburn zamiast kładki, zanim strumień ofiary swe tu przyniesie. I gdyby nie przytomność umysłu marynarza, gdyby nie wielka znajomość sztuk pływackich, bystry nurt był-by pierwszy dopadł kładki, odbierając płynącym ostatnią ocalenia nadzieję.

Ale nateraz biegnący w sam czas przybyli, ani nawet na sekundę zawcześniej. Trzej mężczyźni uklękli na pniu drzewa, podczas gdy Mabel, klęcząc w śniegu, modliła się. Niemiłosierny strumień płynął

głęboko pod nimi, ale zwiesili mocne lejce w kształcie dwóch ogromnych pętlic, bezpiecznie zaczepionych o widłową gałąź, i pokazywali Karolowi, gdzie są, uderzając lejcami o wodę.

Ciągle podtrzymując martwy swój ciężar i całemi siłami ciągnąc go z sobą, młody marynarz potrafił uchwycić się za rzemień, ale, z siłą opadłszy, nie mógł już ponieść się o własnej mocy: wszystko zaczęło mu się kręcić w kółko: śniegiem okryte brzegi, niespokojne twarze, biała postać, którą w rękę trzymał, czarny, bystro płynący nurt strumienia... wszystko to, jak widzenie senne, przesuwało mu się przez mózg zmęczony i mogło być odsunąć się na wieki wieków. Przytomność umysłu go odbiegła, i on sam był-by musiał pójść za nią i w inny się świat przesunąć, gdyby dzielny pływak, całą pełnił siłą rozporządzający, nie był mu się rzucił na pomoc. Wysoki ów mężczyzna, na którego nikt nie zważał w pośpiechu i zamieszaniu, rzucił się w czarną głąb', z głową, jak należy, podniesioną, a z pośpiechem i siłą orła morskiego. Uchwycił on szeroki rzemień lejc tak silnym ujęciem, że aż podtrzymująca gałąź zadrżała, piersią stanął przeciwko wodzie i, zerwawszy chustkę z szyi, przywiązał naprzód białą postać topielicy, a potem biednego Karola do petli i dopomógł oboje w górę wywindować, poczem zebrawszy wszystkie siły, skierował się ku brzegowi i dobił do niego szczęśliwie.

— Hura! — krzyknął Bottler, a z nim razem wszyscy obecni, nie wyłączając Mabel, przywórtzyli okrzykowi.

— Prędko! prędko! Nie czas na słowa — zawołał wysoki mężczyzna, otrząsając się z wody na śniegu — dajcie mi na ręce tę panią, a wy nieście tego zucha najprędzej, jak możecie, w dziedzińczyk Botlera. Botler, pokażesz nam najkrótszą drogę!

— Pokażę, proszę pana — odparł Bottler — ale pan nie możesz jej nieść, panie majorze, woda obmarzła na panu.

— Rób tak, jakem ci powiedział. Biegnij przede mną i pokaż najkrótszą drogę.

— Przepadły pończochy! — zawołał imci pan Bottler — jutro nie warto nawet będzie spojrzeć na nie. A przez całą tę śnieżycę, zawsze potrafiłem mieć czyste... Nie mam drugiej pary czystych!

Mimo to jednak, biegł na przelaj w stronę swego dziedzińczyka, podczas gdy Aylmer, niosąc na rękę niewieścią postać, której głowa zwieszała mu się przez ramię, biegł za nim tak śpiesznie, że zacny ów wieprzobójca zaledwie go mógł wyprzedzać.

— Nie troszczcie się o mnie — wołał pocziwy Karol, do sił wra-

cając — zdrów jestem, jak zawsze. Mabel, idź-no, pomóż, choć lękam się, czy już nie za późno na pomoc.

— Ktokolwiek to jest, martwy już jest jak głaz — oświadczył radzca prawny, otrząsając sobie wodę z rękawów — zwieszała mi się z rąk, jak próżny wór... mogłeś sobie oszczędzić nurka, Karolu. Ale musiała to być śliczna młoda osoba!

— Żywa, czy umarła, zrobiłem to, co było moim obowiązkiem. Ale czy nie wiesz, kto to jest, Mabel?

— Jakże mogłam zobaczyć jej twarz? — odparła Mabel — nie dali mi się jej dotknąć, a ja tutaj nie znam żywej duszy.

— Tę znasz pani... Znasz Alicyę Lorraine? To córka biednego Sir Rolanda!

ROZDZIAŁ XXX.

O d p a r t y a r g u m e n t .

Podczas gdy się takie rzeczy działy w dolinie, w jadalnej sali starego domu, na górze, wcale przyjemnie argumentowano. Z powodu ostrego mrozu, Mr Binns i John Trotman przynieśli dwa duże o trzech skrzydłach parawany, obciążnięte staroświeckim, z Grecyi przywiezioném płótnem, na którym wymalowany był wszelki ptak latający, i wszelka pływająca ryba, i wszelkie zwierzę, na powierzchni ziemi chodzące, a oprócz nich, wielkie mnóstwo takich, które nigdy nie podobnego nie robiły. Pomiędzy niemi więc, a buchającym z kominu ogniem, zasiadło sześciu zacnych panów, zapijających wino w szlachetny sposób, przez owoczesną modę nakazany.

Pod skrydłami jednego z ogromnych parawanów zasiedli: Sir Roland Lorraine, półkownik Clumps i rektor Hales. Drugim zaś oszańcowali się: Sir Remnant Chapman, syn jego Stefan i Mr John Duchsbill, gruntownie rzetelny prawnik, mający jutro pilnować spisywania interczy.

Stan-to pogody był wszystkiego tego przyczyną. Lepiej było-by dla pana młodego zajechać rano, czwaniącą się czwórka koni, zając sobą kościół, i prawo, i prosty ludek, i rozrzucić drobną monetą z parę funtów sterlingów. Ale po tak długim wyprobowaniu kaprysów pogody, uparcie przy zimnie i białości trwającej, prosty rozsądek ostrzegał każdego, że jeżeli ma się zrobić cokolwiek, to ci, którzy robić to mają, powinni trzymać się blisko siebie.

Ale, niestety! wtedy nawet, kiedy pogoda zmusza każdego wołać „niestety!” gorszą jest rzeczą, niż walki wichru ze śniegiem, gdy sześciu męskich członków rodu ludziego, spogląda na siebie, ogień mając przed sobą, a przekłety zimny przeciąg, w plecy dmachający, a pod bokiem niefakszowane wino! — trudno im wtedy w zupełnej pozostać zgodzie... Na nieszczęście, poruszano właśnie najdrażliwszy (można by powiedzieć: „nie unikniony”) przedmiot rozmowy. Rozsądnie rzeczy biorąc, niemożna się było spodziewać, aby sześciu mężczyzn siedziało przy winie, nie wpadłszy na rozmowę o kobietach.

Jest to przedmiot, który zawsze traktować należy z najgłębszą powściągliwością słowa, i z konfidencyjnalnem napomknieniem o czémś, co granic napomknienia przekroczyć nie powinno. Każdy mężczyzna, z kieliszkiem w ręce, mniema, że wie o kobietach dużo, dużo więcej, niż wiedział o nich kiedykolwiek inny jaki syn niewieści. Zdania od razu ścięrać się zaczynają. Każdy mężczyzna mówi według własnego doświadczenia, które to doświadczenie, w materji tak nieskończonej, przypomina nożyce raka, który-by się niemi chciał czepiać wieloryba, największego ze ssących.

— Powiadam ci, rektorze — powtarzał Sir Remnant gniewnie, o stół uderzając kieliszkiem — że to, co pan wiesz, jest mniej, niż niczym.

— Tém większy ztąd, naturalnie, zaszczyt dla pana! naturalnie! książd musi pilnować ołtarza i sukni swojej i trzymać się zdaleka od spodniczek.

— Ale, kochany panie, moje rodzone trzy córki...

— Mógł-bys pan mieć z pół kopy córek, a niewiele więcej dowiedzieć się o kobietach!

— Ależ żona moja przynajmniej, kochany panie, żona moja? sam pan powiedz, nie mam-że doświadczenia?

— Mógł-bys pan mieć kopę żon i zawsze jeszcze być jak w rogu. Duchsbill, słyszysz? odezwij-no się, Duchsbill! podziel się z nami swoim doświadczeniem!

— Sir Remnant, gotów jestem myśleć, że, razem wzięwszy, pański pogląd na kwestyą jest jedynym właściwym. Chociaż przedmiot to jest tak obszerny, że prawdopodobnie Jego Wielebność...

— Nic a nic o nim nie wié! Dalibóg nic, mniej niż nic... A ja ci powiadam, że one nie mają własnej woli, tak samo, jak i zdania swego nie mają. Człowiek, choć trochę oleju mający w głowie, może z niemi zrobić wszystko, co tylko sam zechce. Półkowniku, pan to wiesz... prawda półkowniku, po tylu bitwach...

— Nie z kobietami staczałem bitwy — krótko odciął półkownik Clumps.

— Słuchajcie! słuchajcie! — zawołał rektor, klepiąc się po tłustych udach z radości, że ma nowego sprzymierzeńca.

— Wybornie! — odparł Sir Remnant, gniew swój z proboszcza na wojskowego zwracając — chcesz pan, przypuszczam, powiedzieć, że ja tylko z kobietami bitwy staczałem?

— Nie powiedziałem nic podobnego, nie a nie o pańskich... bitwach nie słyszałem. Zrobiłeś pan przytyk do moich, powiedziałem więc, com myślał.

Półkownik Clumps uraził się słowami Sir Remnanta. Przez długi czas myślał on o wdowie jednego z kolegów, a odkąd dosztukowano go drewnianym członkiem, zawsze czuł się dotkniętym, ilekroć w jego obecności napadano na kobiety.

— Sir Chapmanie — rzekł Sir Roland Lorraine, w celu złagodzenia grożącej burzy — sądzę, że możemy zostawić te drobne kwestye (nad którymi od kilku już wieków debatowano) przyszłym wiekom, które będą miały czas zastanowić się na niemi. Panie Duchsbill, na pana kolój z kieliszkiem. Struanie, widzę, że wcale nie pijesz. Syn mój, który był w Portugalii, powiada, że te oliwki są właśnie takie, jak być powinny.

Inni panowie zrozumieli, o co chodzi gospodarzowi domu, i porzucili drażliwy przedmiot rozmowy, ale Sir Remnant tak był uparcie tyraniczny, że nie dał się odciągnąć od zastanowienia: zażył tedy spory niuch tabaki, z trzaskiem zamknął tabakierkę i na nowo rozpoczął.

— Przypatrz-no się, Lorraine, téj swojej dziewczynie! Ładna, co się zowie, dziewczyna, i dobrze wychowana przez babkę. I rozum téż niezego... dalibóg, rozum jest! Nieraz roześmieszyla mnie dowcipnem słówkiem, a mogę ci zaręczyć, że do tego nielada żartu trzeba. Ale niema w niej woli, niema sądu, niema tego, co nazwał-bym stanowczością.

— Przykro mi to słyszeć — sucho odparł Sir Roland — myślałem, że moja córka tych właśnie zalet ma podostatkiem.

— Naturalnie, myślałeś tak. Tak myślą wszyscy mężczyźni, dopóki się nie przekonają, że są w błędzie. Jeżeli jest kwestya, w której kobieta powinna mieć własne zdanie, to wtedy, kiedy o zamężcie jój idzie. Słyszeliście panowie, Miss Lorraine z dziesięć razy oświadczała, że nie chce naszego Stefa, a przecież jutro rano bierze go sobie i wcale się tém nie smuci.

— Ależ, ojciec... zaczął kapitan Chapman... Lecz w téjże chwili ktoś uchylił parawanę, z po-za którego ukazał się Trotman, przejęty ważnością wiadomości, jakie przynosił.

— Czego tu chcesz? — krzyknął pułkownik Clumps, któremu tak niespodzianie przerwano spokój wygodnego usadowienia się — tam do licha! gdybym ja tu miał swoją łaskę!

— Proszę pana, za pozwoleniem — jękał się Trotman, zwracając się do swego pana jedynie — bardzo złe przynoszę wiadomości. Miss Alicya utopiła się, jasne panie, w Woeburnie, i ciało jęj leży u Bottlera... nieżywe.

— Wielki Boże! — krzyknął rektor, a mężczyźni stosownie do swego temperamentu, jedni zerwali się na nogi, drudzy jak martwi w krzesła upadli. Jeden tylko Sir Roland siedział nieporuszony jak kamień.

— Jakiem prawem, pra... a... we... e... m... — Sir Roland nigdy nie dokończył tego zdania i nie rozpoczął drugiego. Twarz mu posiniała, dolna szczeka opadła bezwładnie, przechylił się na poręcz fotelu i tak pozostał... Jakby ręką Bożą dotknięty, rażony został paraliżem.

ROZDZIAŁ XXXI.

Na brzegu Lety.

Skoro tylko pana domu zaniesiono do łóżka, a grooma, co koń wyskoczy, posłano po najbliższego doktora, natychmiast podszedł pan Hales do kapitana Stefa, płaczącego w kącie, pocieszająco klepał go po ramieniu i wziął go za rękę.

— No! no! pocziwy mój chłopczel! — mówił — nie trzeba się tak poddawać wzruszeniu; w tém opowiadaniu może być dużo przesady; ja zawsze, we wszystkiem, przez pół tylko wierzę, i zawsze się pokaże, że wierzę jeszcze dwa razy więcej, niż trzeba.

— O! ale ja ją tak... tak... tak kochałem! Nie! ja tego nie przeniosę! O! proboszczu, ja chyba umrę! Jak przyjedzie doktor, niech najpiérwéj mnie obaczy... Sir Rolandowi nie już nie pomoże; Sir Roland jest stary i zawsze żył uczciwie, ale ja... ja złym byłem... złym...

— Złym, czy dobrym, bądź-że teraz przynajmniej mężczyzną, a nie płaczącém dzieckiem — rzekł rektor. — Weź kapelusze i chodź

ze mną, jeżeli cokolwiek ambieyi masz w sobie. Idę natychmiast zobaczyć moję biedną siostrzenicę.

— O! ja-bym nie mógł patrzeć na... to! Nie! nie mógł-bym! Jak możesz żądać ode mnie czegoś podobnego? i to jeszcze na taki mróz?

— Bardzo dobrze — odparł pan Hales, podnosząc kołnierz swego płaszcza — ja nie mam syna, Stefanie Chapman, i poświęcony jestem stanowi duchownemu, a zatem kanonicznie mam sobie wzbronione używanie wyrazów nie... klerykalnych; ale gdybym miał takiego jak ty, syna, bodajem zdechł, jeżeli bym go nie wypchnął z mego domu na gnojowisko!

Tym sposobem ulżywszy sercu, rektor wyszedł do głównej sieni domu, wybrał tam sobie mocny kij sękaty i pociągnął za sprężynę od dzwonka głównych drzwi wchodowych, żeby kto je za nim zamknął. Ale nim wystraszona służba nadbiegła, przyszło mu jeszcze coś na myśl:

— O! Mistress Merryjack, to pani?

— Tak, proszę pana, to ja; mężczyźni wszyscy z domu poszli, a dziewczęta takie powystraszane, że żadna przyjść tu nie chciała.

— Tém lepiej, moja jéjmość; pewny jestem, że tém lepiej. Pani jesteś rozsądną i rozumną kobietą? prawda?

— Nie, proszę pana! o nie! nigdy mi tego nie mówią, choć może nie jeden tak powiedział.

— I miał racyą, moja pani, ile razy powiedział coś podobnego, a nikt tego częściej nie mówił ode mnie. Słuchaj-no pani, Mistress Merryjack...

— Słucham, proszę pana, słucham, co tylko pan każe?

— Tylko to: ja idę w téj chwili, i to najprędzej, jak mogę, do Bottlera. Będę szedł na przełaj i przeprawię się przez wodę. Pani tego zrobić nie możesz; po nocy dla kobiety, to niebezpiecznie. Ale zrób pani tak: każ zaprządz jak najprędzej do małego zamkniętego powozu... Konie już ubrane na jutrzejszą ranną drogę do kościoła. Siadaj pani do powozu, weź na siebie ciepłą salopę, a z sobą kołdry, szale, wszystko, co ci na myśl przyjdzie, i powiedz stangretowi niech, co konie wyskoczą, pędzi z tobą do Bottlera. Będziemy tam potrzebowali kobiety, nie do tego, to do owego...

— Dobrze, proszę pana; zaraz, proszę pana... A tak, kobieta zawsze potrzebna... Oj, biedna, biedna nasza panienska!

Rektor ruszył drożyną na prawo, prowadzącą prosto do drzewa, które za kładkę na Woeburnie służyło. Była to droga niewygodna

i do przebycia trudna, i taki tylko wyćwiczony myśliwiec mógł się nią puszczać na taką porę. Ale pan Hales znał każdą piędź powierzchni góry, wiedział, gdzie można bezpiecznie zaufać zaspie, a gdzie ona śmiercią grozi przechodniowi. A chociaż księżyc oddawna już był zaszedł, jednak niebo było wypogodzone, roziskrzone gwiazdami, których blask odbijał się w śniegu, jak w zwierciadlanej tafli.

U furtki, prowadzącej w dziedziczyk Bottlera, został pan Hales silnie odepchnięty, dopóki nie przyjrzano mu się dobrze. Grzegorz i Bonny stali na straży, przed rozpostartém wielkiém płótném, każdy z nich w rękę miał miotłę i każdej chwili gotów był rzucić nią w twarz każdemu. W powietrzu unosiła się ogromna łuna, w której światło błyszczały oczy obudwóch—niewiadomo, czy gniewem okrutnym, czy też rozrzewnieniem.

— Jestem rodzonym jój wujem... muszę iść do niej... zas'ępuję tu jój ojca...

Bonny, ma się rozumiéć, poznał swego pana i otworzył furtkę dla wpuszczenia go. I wtedy-to pan Hales zobaczył coś, czego nigdy jeszcze w życiu nie widział. Wszelki ślad klucia wieprzy, jako też oprawiania ich, został zupełnie uprzątnięty. Żarzące głównie tliły jeszcze po-pod szaremi ścianami, którym gorąca swego udzieliły. Szare głązy ciosane, wapnem z sobą pospajane, rozpalone były do ciemnej czerwoności; z ziemi, roztającej od gorąca, buchały kłęby pary, a płócienna, w górze rozpostarta zasłona, nie dozwalała ciepłu uciekać z zacisznego podwórka.

Wpośrodku podwórka, na materacu, leżała biedna Alicya, owinięta w ciepłe kołdry i najpiękniejszą kapę pani Bottler. Gdy major Aylmer złożył swój ciężar w bawialni Mrs Bottler, zacna ta i pocziwa kobieta zdjęła przy pomocy Mabel przemokłe i obmarzające już ubranie Alicyi. Jedyłą nadzieją, że ulatujące teńnienie życia zatrzymać się, lub powrócić może, stanowiło natychmiastowe zastosowanie ciepła, albo raczej gorąca, a zatém (za radą majora i z jego pomocą) roztropnie zużytkowano olbrzymie pana Bottlera przygotowania. Nie potrzeba nawet zapewniać, że rzeźnik (który pocwałował do Steyning po doktora) gdyby jemu kuracyą powierzono, byłby się do niej zabrał nader energicznie; wieszając biedną dziewczynę głową na dół, dla wylania z niej połkniętej wody. Ale teraz, pod nadzorem majora Aylmera, zrobiono wszystko tak i tak dobrze, jakby to sam doktor był zrobił. Ułożono ciało z głową wysoko podniesioną, trochę na prawy bok je obróciwszy, aby nie utrudniało słabego bicia serca..

jeżeli się to bicie da słyszeć. Drobne nóżki bielutkie i tak słicznie na podbiciu wysokie, oparto na kamienną flaszy, napełnionej wrzącą wodą, a maleńkie bezwładne rączki rozcierane były szorstkimi dłońmi pani Bottler. Mabel także, szybkim i miękkim dotknięciem, lekko rozcierała zastygłą pierś i lodowate członki dziewczęcia, przyczem od czasu do czasu próbowała wywołać lekkie wznoszenie się i opadanie piersi oddechem.

Major postąpił i w milczeniu uściśnął dłoń przyjaciela swego, rektora.

— Czy jest jaka nadzieja? zapytał pan Hales.

— Coraz mniejsza... dwie godziny już mija, jak robimy, co można, by ją do przytomności przywrócić... każda chwila upływająca zmniejsza nasze szanse. Sam kiedyś tonąłem i leżałem z godzinę bez przytomności, ledwo mnie odratowano. Ta oto panienka jest nam niezmierną pomocą...

— Robię tylko to, co pan mówisz — odparła Mabel, podnosząc oczy i nie ustając w wytrwałym usiłowaniu.

— To sprzeciwianie się woli Najwyższego! — zawołała Mrs Bottler, bardzo już zmęczona i której także należał się udział w pochwałach. — Biedactwo! zostawmy ją lepiej w spokoju, dopóki nie przybędzie doktor lub *coroner*.

— Nie zostawimy jęj, dopóki doktor nie uzna jęj za umarłą — spokojnie odpowiedział major Aylmer — niezmiernie jestem rad z przybycia pańskiego, panie Hales; jesteś pan nie lada posiłkiem. Ja sam pragnąłem ją rozcierać, ale... pan uczynić to możesz... jesteś własnym jęj wujem... Może pan nigdy nie widziałeś podobnego wypadku? chcesz pan postępować podług moich wskazówek?

— Z całego serca — odparł rektor, zrzucając z siebie płaszcz i ciskając go na ziemię na los szczęścia. — O! moje ty kochanie drogiel zdaje mi się, że ty poznasz rękę wuja! Odejdź-no pani teraz na bok, pani Bottler, odejdź jejmość i ugotuj jakiej gorącej zupy... Mabel, ty i ja, ty i ja, dziewczeczko, jak się razem weźmiemy, to pewny jestem, że z kupy kamieni potrafimy wskrzesić stado owiec... Mów-że pan, co mam robić?

I co mu powiedziano, to robił tak chętnie a energicznie, że niebawem Mabel, podnosząc oczy, zawołała z radością, dech jęj prawie odbierającą:

— O! czuję leciutkie uderzenie serca... zaczyna... zaczyna bić serce... prawie tego pewna jestem... Tak! pewna jestem... Teraz

krytyczna chwila... Jeżeli znowu bić ustanie, wtedy będzie po wszystkim...

— Nie ustanie! — zawołał rektor, trąc dalej z podwiniętymi rękawami od koszuli i z czerstwą swoją twarzą, zarumienioną blaskiem ognia — da Bóg, nie ustanie... najdzielniejsza i najszlachetniejsza na świecie dziewczyna nie porzuci tak prędko tego świata. Poznajesz mnie, kochanie moje? Powinnaś poznać wuja... kochającego cię wujka Struana?

Liliowo-biała, piękna jak najszlachetniejszy utwór rzeźby, leżała przed nimi Alicya. Czystą, dziewczęcą jej piękność (teraz nawet w cieniu śmierci) uczczono przynależnym uszanowaniem. Światło główni (których żar mógł jedynie ocalić słabo tlejący płomyk jej życia) pozwalało widzieć wytwornych kształtów jej rysunek i nieobecność życiodawczego tchnienia, które kształt piękny w żywą zamienia postać. Twarz Mabel, ożywiona natężeniem energii i stanowczością zamiaru, jaśniała i promieniała, wybitny stanowiąc kontrast z apatyą i martwą bladością tej, nad którą tak się niespokojnie pochylała. A teraz pod jej spójrzeniem właśnie, matowa, nieprzejrzysta, światło w siebie chłonąca białość policzków i czoła, zwolna ustępowała i śmiertelna twarzy martwota mienić się poczyniała odbłaskiem światła i przeblaskiem zwolna wracającego życia. Sztywność kształtów, nieruchomość rysów, stężalość zgieć, zmartwiałość wzroku, zaczynały ustępować zrazu powoli, potem coraz to więcej, łagodnemu powrotowi życia, poczuciu zmartwychpowstania.

Niepodobna jest to opisać. Ci tylko, którzy czegoś podobnego doświadczyli, opowiedzieć są zdolni, co czuli. Wię się to jedynie, że się nie żyło, a teraz żyje się znowu, a na mocy praw natury (które się już prawie przekroczyło) czuje się w sobie wręcz przeciwną ostateczność: nadmiar pulsujących sił żywotnych.

Miękko, jak kwiat, listki swoje rozchylający, i z taką jak on nawalnic życia nieświadomością, podniosła się jedwabna rześa, piękne powieki ocieniająca, i natychmiast znowu opadła. Potem przeciągłe, głębokie westchnienie (samo pochodzenia swego niepewne, ale wyrwać się na swobodę potrzebujące) wyszło z bogatych, czystych głębin dziewczęcej piersi i ulgę tkliwemu sercu przyniosło.

— Duszeczek! — zawołała Mabel — czy mnie poznajesz? Otwórz znowu oczy i powiedz, czy mnie poznajesz?

Alicya znowu otworzyła oczy, ale nic jeszcze powiedzieć nie była zdolna, i zdawało się, że nikogo nie poznaje. Wtedy-to zastukał do-

ktor do furtki, dostał się na podwórko, zbadał puls, albo raczej poszukał go i, nie znalazłszy, nakazał użycie środków podniecających.

— Połóżcie ją do łóżka w bardzo ciepłym pokoju. Jest tu powóz z Coombe-Lorraine z kołdrami, ale żadną miarą nie można jęj wieźć do domu. Mrs Bottler zechce ustąpić najporządniejszego swego pokoju... Mrs Merryjack niech siedzi noc całą, niech próbuje upiec żywcem swoją panią, ale pamiętać, żeby nie brakło świeżego powietrza. Widzę, że mamy tu niezrównaną dozorczynią: tę śliczną panienkę... bardzo panią przepraszam... Wrócę za parę godzin, muszę odwiedzić niebezpieczniej chorego pacyenta.

Miał on na myśli Sir Rolanda, ale nie chciał wymienić jego nazwiska. Spotkał w drodze grooma z Coombe-Lorraine i od niego się dowiedział, że siła żywotna, uchodząc z dwudziestoletniego ciała, opuściła jednocześnie sześćdziesięcioletnie.

ROZDZIAŁ XXXII.

Lalka Polly.

W takim, jak obecny, stanie rzeczy, wśród tylu zewsząd trudności, najtrudniejszą ze wszystkiego jest rzeczą wyobrazić sobie dobroć większą od dobroci Imię pana Bottlera. Miał on na początek niedobór (którego-by nawet pięcio-funtowy papierek nie pokrył) w kosztach owęj wieprzowiny, którą tak naukowo uprawiał, a którą musiał wyrzucić na mróz, wzięwszy na jęj miejsce biedną Alicyą, odtając potrzebującą. Tęm nie martwił się wcale, nic a nic, mniej niż nic; tak mówił i tak czuć usiłował. Ale mówcie państwo, co chcecie, zawsze to coś znaczy. Wprawdzie człowiek mniej się czuje obciążonym rodziną, gdy ta rodzina zaczyna sama już sobie wystarczać; ale człowiek ten dla siebie lepszego, potrzebuje utrzymania, zużywwszy sił tyle na zaopatrzenie poprzednich rodziny potrzeb, a połowa jego starości wymaga pożywienia lepszego niż obłubienica młodych dni jego. Im więcej pieniędzy przybywa, tęm więcej się ich rozcodzi.

I nie na tęm koniec: duma, każdemu specjaliście właściwa wzmaga się, w miarę, jak się człowiek starzeje i coraz lepiej znać się zaczyna na interesie, a dzieje się to wtedy szczególnie, gdy wystąpi zastęp młodszych kolegów, (jak, nie przymierzając, ów rzeźnik w Bamber), którzy wymyślają jakieś nowości i chwalą się robotą, o której wiemy, że po partacku zrobiona. Jeżeli był w Anglii człowiek, pyszniący się

sposobem, w jaki wieprze urządził, człowiekiem tym był Imé pan Bottler, a mimo to zawód, połączony ze stratą, nie mógł spędzić z jego twarzy zwykłego uśmiechu, ani wyręć jednej chociaż-by zmarszczki na śnieżnie białej pończosze, gdy nazajutrz rano, tylko co z wózka swego wysiadłszy, składał Alicyi uszanowanie swoje i ukłony.

Alicya, bardzo jeszcze blado i wątro wyglądająca, leżała na kanapie w bawialnym pokoiku rzeźnika, podczas gdy Mabel, która ję przez całą noc nie odstąpiła, siedziała na krześle, u ję wezgiłowia stojącym. Alicya, ze łzami w oczach, rozmawiała z nią o nadzwyczajnej wszystkich otaczających ją dobroci. Umysł ję, jeszcze zmęczony, zupełnie sobie nie zdawał sprawy z tego, co się ję zdarzyło; miała tylko niejasne o tém pojęcie, że zrobiła jakiś krok desperacki, który sprawił więcej kłopotu, niż ona na niego zasługiwała. Duma ję i odwaga uleciały gdzieś daleko... duch ję tak był już blisko tych sfer wyższych, w których bez ciała przebywać może, że nader mu było przyjemnie napowrót w ciało wstępować i rzetelnie wstydził się sam za siebie.

— Co powie drogi mój ojciec? A co wszyscy pomysła? Chyba ja się nad niczem nie zastanowiłam, a teraz także nad niczem zastanowić się nie mogę.

— Kochanie drogie, nie staraj się nawet zastanawiać — łagodnie odpowiedziała Mabel — za dużo się już zastanawiałaś, a co ci z tego przysza za korzyść?

— Żadna — odparła — mniej niż żadna. Pomyśl o liliach, które o niczem nie myślą... Ach! znowu mi się w głowie kręci... w koło...

Okrągłość to ję główki ocaliła ję życie, mimo tak długiego w wodzie pobytu. Głowa podługowata musiała-by opasć w tył i wyzionąć ducha; ale doskonale kulista ję główka, z mocno związanym pod brodą ogromnym kapeluszem, unosiła się na powierzchni bystrogo strumienia, bujnością włosa opierając się przenikaniu wody. I takim-to sposobem Woeburn nioś ją przeszło milę, bezskutecznie usiłując ją utopić.

— O! czemu ojciec nie przychodzi! — zawołała, skoro tylko potrafiła zebrać myśli — zawsze do mnie przychodził, natychmiast i to z jak największym pośpiechem, nawet wtedy, gdy tylko pokrzywki dostałam. Ale ojciec, jak sobie raz co powie, wtedy nie ugięty jest... nieugięty... ach! nieugięty... Może mi nigdy nie przebaczy? Ach! rozdrony ojciec będzie mną pogardzał! Ach! gdzie... gdzie ktokolwiek z moich?...

— Zaczynasz znowu bredzić — odparła jęj na to Mabel, jakkolwiek przykro jęj było tak się do choręj odzywać — ojciec nie może przyjść do ciebie tak zaraz na zawołanie. Dużo ma do roboty z prawnikami i trzeba mieć dla niego wyrozumienie... Ale, patrz, ty, coś taka mądra, coś po normandzkich pradziadach odziedziczyła bystrość ich i pojętność, weź-no to w rękę, Alicyo, i powiedz mi, do czego to służyć może?

I z honorowego na kominku miejsca zdjęła Mabel Lovejoy jakieś narzędzie, które ruchliwy jęj umysł w nocy jeszcze zdziwieniem uderzyło. Wiedziała, co to są świdry, znała się na zębatych kołach, umiała wnikać w skomplikowane załomy kluczy, przepadała za kłódkami, zamykającemi się na litery; ale teraz miała przed sobą coś, co było połączeniem wszystkich tych przedmiotów i czego użytku wcale dojąć nie była zdolną.

— Myślałam, że znam już wszystkie, jakie są na świecie metale — rzekła, gdy Alicya wyciągnęła bezsilną jeszcze rączkę po owę drobnostkę — w domu zawsze sama czyszczę widelce i noże, oraz trzy srebrne imbryki matki. Ale nigdy jeszcze nie widziałam metalu takiego, jak ten, koloru... Czy możesz mi powiedzieć, co to za metal?

— Powinna-bym umieć cokolwiek, ale nie a nie nie umiem — z trudnością odparła Alicya — ale ojciec uchodzi za bardzo, bardzo uczonego... Spodziewam go się co chwila.

— Bez wątpienia powie nam to, jak przyjdzie... A tymczasem ja jestem niecierpliwa... To wygląda jak klucz od jakiegoś osobliwego zamku, który niczem otworzyć się nie da. Czy mogę spytać, co to takiego? Powiedz-że choć to przynajmniej...

— Z największą przyjemnością dowiem się, co to jest — z ziewnięciem odparła Alicya — dlatego, że tobie to przyjemność sprawi. Istotnie ciekawie to jakoś wygląda.

Zapytana, Mrs Bottler, jako przykładna żona, odesłała panny po wiadomość do uczeńszego od nięj małżonka, który wchodził właśnie, wracając z porannej przejażdżki, odbytej naturalnie w towarzystwie Polly, i otrzepywał z siebie zmarzły śnieg.

— Lalka Polly, my tak to nazywamy — odparł — dziewczynka tak sobie to upodobała, że Bonny zmuszony był jęj to dać. Zkąd ten chłopak to dostał, Bogu jednemu wiadomo; Pan Bóg dał mu już ten dar, że on wszędzie wszystko znajdzie., tak to już w rękę ma i w oczach. Przekonany jestem, że chłopak ten znalazł-by odrazu Lorda-Majora w Londynie, gdyby tylko raz wylazł ze swojej nory w górze.

— Ale czy nie możemy go zobaczyć, panie Bottler? — spytała Mabel — kiedy tyle rzeczy znajduje, pewno sam nie zginął?

— Nie, panienko, nie — odparł mąż, słoniną się trudniący — on gdziekolwiek się obróci, wszędzie drogę sobie znajdzie. Może panienka słyszy, jak sobie tam gdzieś gwizdże w uliczce. Wié on, kiedy ja się biorę do wieprzy, oho! lepijéj to wié, niż mój własny nóż! Nerki, śledzionę, kiszki, podroby... on wszystko przyprawić umié, jakakolwiek była-by pora... Nieraz wołał-bym zjeść u niego obiad, niż w domu.

— O! puść-że mnie pan i pokaż mi go na ulicy — zawołała Mabel — bardzo lubię sprytnych chłopców.

Wybiegła więc, nie czekając na pozwolenie, i w téj chwili wbiegła napowrót.

— O! jaki ładny chłopaczek! — zawołała do Alicyi — taki grzeczny i takie, takie ma oczy! Ale z przykrością myślę, że jak dorosnie, będzie może za śmiały!

— Ale zgadła panienka! zgadła! — roześmiał się na całe gardło Bottler. — On i teraz już chyba nie zanadto nieśmiały.

— A gdzie, jak pan myślisz, znaleźć on mógł to osobliwe narzędzie? Zapewne w Shoreham, gdzie sieciami musiano je wyciągnąć z morza? Powiadają, że przed wielu laty, kiedy to jeszcze Shorcham prowadziło ogromny z cudzoziemcami handel, musiał to ktoś upuścić w morze. A Bonny jest prawie pewny, że musi to być klucz od jakiegoś osobliwego staroświeckiego zamku.

— To niech panienka będzie pewna, że to musi być klucz, a nie co innego — odparł Bottler z pięknie łagodnym swoim uśmiechem. — Ten chłopak tak ciągle ma do czynienia z różném rupieciami, łomem i gratami, że potrosze zna się na wszystkich.

— Staroświecki klucz z morza pod Shoreham wydobyty? — pozwólcie, niech sobie coś przypomnę... — prosiła Alicya Lorraine, wspierając na poduszkach głowę, w której ciągle jeszcze huczał i szumiał Woeburn. — Zdaje mi się, że sobie coś przypominam, ale niczego... niczego nie jestem pewna... Ach! kiedyż... kiedy przyjdzie ojciec?

— Ojciec kazał pani powiedzieć, Miss Alicyo — odezwał się Bottler, występując ze śmiałym kłamstwem — żeby pani, jeżeli łaska, do domu wracała. Tyle ma do załatwienia z temi tam Chapmanami, że się z domu ruszyć nie może. Właśnie zajeżdża powóz po panią.

— Dobrze — odparła Alicya — zrobię, co mi kazano. Teraz

już przez całe życie robić będę wszystko, co mi każą. Ale pożyczcie mi państwo laleczki Polly?

— Mój Boże, panienko, nie poważyl-bym się zrobić tego za nic w świecie, Polly przewróciła-by dom do góry nogami. Nigdy w życiu nie widziała pani takiego dziwnego dziecka... trzeba się z tém umieć obchodzić... trzeba wiedzieć, jak się brać do niéj... Niech-no bym ja krzyknął na nią: „Polli!” ani się ruszy; ale niech powiem: „Polly, kochanie!” już ją panienka ma!

Alicya zbyt była wycieńczona i bezsilna, aby uważać na przebieg téj ważnéj kwestyi, ale Mabel, chociaż calusieńką noc nie spała, miała jednak najzupełniejszą przytomność umysłu.

— Słuchaj pan, panie Bottler, zrób pan to tylko, pójdź i powiedz: „Polly, kochanie, czy pożyczysz swojej laleczki téj ładnéj panience, która ci ją odesła w torebce suchych konfitur ze śliwek?”

Pan Bottler przyrzekł to uczynić, a zanim Alicya zebrała się do drogi, kwadratowa Polly, weszła, szeroko rozkraczając nóżki, i nie nie mówiąc, wetknęła swoją lalkę w ręce Alicyi, poczem wybiegła i nie mogła powstrzymać się od szlochania, aż dopiero ojciec naumyślnie zaprzągnął konia i wsadził ją na wózek, biorąc ją sobie między kolana.

— Dokąd jedziecie? — zawołała Mrs Bottler.

— Pojedziemy na koniec świata — odpowiedział Bottler — szyję dam za to, że nigdzie na drodze nie spotkamy zamkniętego kołowrotu... wszystkie głęboko pod śniegiem... Polly, oprzeź się o kolana tatki.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Od wrót Hadesu.

W starém domowstwie i pomiędzy pocziwymi domownikami wszystko teraz było przejęte ciepłem zdań i gorącością wyrażen, z jaką zdania te wypowiedziano. Niejedną stronicę zapisać-by można tém, co każdy z mężczyzn przemyślał, a na dziesiątkach stronic nie można-by zmieścić i połowy tego, co każda z kobiet mówiła. Dość powiedzieć, że gdy przez zasy i śnieżne zawały przywieziono do domu biedną Alicyą, ktokolwiek w całym domu mógł się z miejsca na miejsce przenosić, każdy przede drzwiami domu się znalazł. Każdy ją kochał i każdy podziwieniem był dla niéj przejęty, ale, jak na

tę chwilę, zaniepokojone miał co do niej sumienie, każdy też bał się trochę o siebie, na podobieństwo domowników Admeta, przyglądających się powrotowi bladój Alcesty.

Alicya, dotąd jeszcze osłabiona i do niczego niezdolna, zlekła się ich twarzy, cofnęła się w głąb powozu i, omdlona, na poduszki upadła.

— Gapiel! — zawołała Mabel, wyskakując z lalką Polly, w głębi mufki ukrytą — dzicy ludzie! czy ktokolwiek jesteście?... chodźcie i róbcie, co do was należy!

Ale oni zbijali się w gromadkę i nikt z nich nie chciał pomódz biednej Alicyi przestąpić próg domu ojca rodzonego, aż wreszcie kłęb śniegu podniósł się w powietrzu i czarnego rumaka w pędzie osadził ktoś na miejscu.

— Wy, durnie! — zawołał rektor — wy tchórzowate głupcy! czy wy nigdy nie chodzicie do kościoła, że nie wiecie, co macie robić? Wy, psy warujące! czy wy się boicie rodzonej córki waszego pana? Mam tu z sobą harap myśliwski i, jak Boga kocham, dostaniecie nim wszyscy. Z parafii was wyświecę, powyrzucam was wszystkich za kark, wy, kucharskie syny!

— Gdzie mój ojciec — słabo szepnęła Alicya — spodziewałam się, że wyjdzie na moje spotkanie!

Na dźwięk jej głosu zaczęli nabierać przekonania, że nie jest ona duchem z Woeburnu, a silne poplecznictwo rektora w jednym mgnieniu oka osłoniło potężną i siedmioraką tarczą kościoła zbyt śmiały postępek dziewczęcia.

— O! wuju Struanie — szepnęła, zwisając na jego ramieniu, gdy ją do domu wprowadzał — może ja popełniłam wielki jaki występki? może ojciec wstydzić się mnie będzie?

— Sądzę, że siebie raczej wstydzić się będzie — odparł, unikając na teraz tego przedmiotu, o którym jednak zamierzał pomówić z nią kiedyś wyczerpująco — ale, moje dziecko... ojciec nie jest zupełnie zdrow i dlatego nie odwiedził cię, dlatego niema go teraz tutaj. I, prawdę mówiąc, ojciec nie wie... to jest, chciałem powiedzieć... że nie jest pewny, co się z tobą dzieje... Trotman! otwieraj mi te drzwi... natychmiast!

Proboszcz wniósł raczej, niż wprowadził siostrzenicę do małego saloniku i, posadziwszy ją przy jasno płonącym ogniu, zostawił pod opieką Mabel Lovejoy, a sam pośpieszył dowiedzieć się, co słychać u Sir Rolanda, i naradzić się z doktorem, co do wpuszczenia biednej

Alicyi. Ale w kurytarzu spotkał pułkownika Clumpsa, ciężkim krokiem maszerującego, z niezwykle nawet, jak na niego, energią.

— Jak życia, jak zbawienia duszy pragnę, muszę się wyrwać z tego domu, Jegomość Dobrodzieju! — strach, co się tu dzieje, strach! Sto razy wołał-bym dostać się znowu pod Wellingtona! Przyjechałem tu po to, żeby mieć spokój, a tymczasem wszystkie włosy stają mi na głowie...

— Tak, sir, tak, wojownikiem jestem, ale nie samobójcą, nie paralitykiem, nie rzucam się w przepaść, nie miewam uderzeń na mózg... nie! ja rozumiem bitwę, zabijanie, śmierć nagłą... ale nie uderzenie na mózg... a toż mnie samemu już do mózgu uderza.

— Zdaje się — łagodnie odpowiedział — pułkowniku, jeżeli kto, to ty będziesz zdolny powiedzieć nam, co słysząc...

— Słysząc to — zawołał pułkownik, stukając drewnianą nogą — że wczoraj w nocy obaj Chapmanowie wyrócili się z powozem, że polecili prosto w przepaść i leżą tam martwi, jak głazy... Przysłali po doktora... to już dowód najlepszy... doktor nasz popędzić tam musiał, co tchu... A przecież człowiek, przy zdrowych zmysłach będący, nie posyła po doktora, dopóki nie umrze.

— Jest w tém cokolwiek prawdy — odparł pan Hales — ale w każdym razie, teraz przynajmniej, jeszcze temu nie uwierzę. Nie wątpię, że się wyrócili... zaraz mówiłem, że tak będzie, skorom tylko usłyszał, że pojechali... tém bardziej, że pijanego mieli stangreta. Wierzę także, że poturbowani są mocno, ale śnieg jest miękki, łagodzi upadek... Co bądź im się przytrafiło, ściągnęli to na siebie swoim przestraczem i tchórzowskiem samolubstwem.

— Ach! uciekali, jak szczury z tonącego okrętu, jak tylko zobaczyli, w jakim stanie jest biedny Sir Roland. Już Alicya nie mało im strachu napędziła, ale tamto dobiło ich ostatecznie. Smutne to dzieje, ale ledwo mogłem się powstrzymać od śmiechu.

— Smutny to zawód dla twoich dziewczątek, pułkowniku! zamiast wesela, żałobę i śmierć może w domu zastać.

— I dla twoich trzech słicznych córeczek, rektorze. Ale nie myślmymy teraz o tém. Słyszałem, że wzięłeś do siebie obu młodych Lovejoy?

— Grzegorza i Karola. Tak, wziąłem nieboraków. Namordowali się owęj nieszczęsnej nocy, a naturalnie u Bottlera nie było dla nich miejsca. O! ten Karol, tegi chłopak, co się zowie! wart być pod Nelsonem! Wszystko tak na nim obmarzło, że sztywny był cały, jak

kij, a wiesz, co mi powiedział? Powiedział: „pójdę spać w śniegu, nie chcę zamoczyć Bottlerowej podłogi”.

— Zuch chłopak! dzielny chłopak! Nic na świecie nie jest zdolne dorównać Anglikowi w dzielności, jeżeli trafisz na zucha, co się zowie. Ach! żeby mi te przekłete łotry byli zostawili nogę, był-bym sobie nie nie robił z utraty ręki, proboszczu! Ale co w tém wszystkiém najgorsze, to to: przypuśćmy na przykład, że mnie ktoś grubiańsko znieważy, jakżeż ja mogę postąpić tak, jak prawdziwy Anglik postąpić obowiązany... czyż będę mógł kopnąć go... już wiesz, co chcę powiedzieć?

— O! półkowniku, dopóki możesz tak się zwijać ruchliwie, dopóty nie masz potrzeby rozpaczając o ocaleniu honoru narodowego. Alé oto jesteśmy pode drzwiami Sir Rolanda. Nie wiem, czy wolno wejść? nie wiem, jakie są instrukcyje doktora?

— Zupełnie jest nieprzytomny. Mógł-bys mu wystrzelić z armaty nad samém uchem, ani-by drgnął z miejsca... Doktor myśli, że przebędzie w takim stanie trzy dni, poczem powróci do przytomności i żyć będzie, lub umrze, jak Bóg da.

— Wszyscy w tém samym jesteśmy położeniu — odparł proboszcz — ale cożmam córce jego powiedzieć?

— Zostaw ją mnie... ja do niej pójdę z poselstwem... Tyle razy zwiedli mnie w wojsku, że teraz ja każdego zwieść potrafię.

— Zdaje mi się, że masz racyą: ciebie łatwiej daleko, niż mnie, usłucha. Co więcj, ja muszę ztąd ruszać, jak tylko zobaczę biednego Sir Rolanda. Muszę doczekać i dowiedzieć się, co się dzieje z temi Chapmanami. Nie wierzę w to, żeby się pozabijali; za twardę na to mają życie. Jaka to łaska Bożka, że ty tu jesteś, pułkowniku, w takim nieszczęściu! Jakże się ma ta przebrzydła stara baba, która jest przyczyną całego tego nieszczęścia?

— Lady Walerya Lorraine — z pewną urazą opowiedział pułkownik — ma się tak dobrze, jak mieć się może. Wychodziła ze swego pokoju, odwiedzała syna swego, Sir Rolanda, oraz wnuka, Hilarego. Mojem zdaniem, ta dzielna dziewczyna dzielność swoją i energią odziedziczyła po babce. Cokolwiek się zdarzy, pewny jestem jednej rzeczy: powinna ona być matką bohaterów, nie żoną Stefana Chapmana.

— Ach! niestety! — zawołał rektor — odważnym będzie musiał być człowiekiem, kto się z nią ożeni po tém, co teraz zrobiła.

— Głupstwo! bzdurstwo — odburknął pułkownik — uczciwy

człowiek będzie ją tém więcej szanował i dbać nie będzie o opinią całego hrabstwa.

Rektor, w głębi mięsistego swego serca, toż samo głębokie żywił przekonanie; ale nie wypadało mu teraz jeszcze przyznać się do tego głośno. To téż, rzuciwszy okiem na wybladłe i martwe rysy Sir Rolanda, odjechał z westchnieniem, dowiedzieć się, co słychać z Chapmanami.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Coś nakształt spadku.

Znakomitość lekarska, wezwana z Londynu, oświadczyła, że u Sir Rolanda nie był to prosty paraliż, ale raczej apopleksya nerwowa. Dawszy potrzebne wskazówki, pochwaliwszy kuracyą miejscowych lekarzy, sławny ich kolega wyraził nadzieję powrotu chorego do zdrowia i, schowawszy do kieszeni pięćdziesiąt gwinei, szybko odjechał. Jeżeli choremu cięży cokolwiek na myśli, trzeba to natychmiast usunąć, skoro tylko umysł odzyska świadomość obarczającego go ciężaru. W tym celu można-by nawet pozwolić na małeńki wysiłek, jak na przykład na zrobienie testamentu, lub coś w tym rodzaju, albo na pożegnanie z dziećmi; bo skoro tylko przytomność umysłu powróci, dobrze jest dostarczyć umysłowi nieco strawy. Ale potem już, kochani panowie, spoczynek... nalegajcie na spoczynek jak najzupełniejszy i na dobre, posilne odżywianie chorego. Niéma tu przekrwienia... nie... to fałszywe pojęcie... anachronizm, gruba omyłka w tym oto wypadku... U chorego jest właśnie anemia, beczynność naczyń krwionośnych. Nie! nie plethora arteryalna!... wręcz przeciwnie... Doskonale postawiliście panowie dyagnozę! Jak się to skończy, dziś jeszcze powiedzieć nie mogę, tak samo zresztą, jak wy, panowie koledzy”.

Oprócz nich, jeszcze był ktoś, ktoś z sercem rozdartém od bólu, ciągłym niepokojem drżącym, kto nie mógł powiedzieć, jak się to wszystko skończy, jeżeli nawet skończy się jakkolwiek. Nie można było nie pozwolić Alicyi Lorraine przebywania przy łożu ojcowiskiem, a nie była jeszcze dość silną, aby znieść widok nieszczęścia, jakie miała przed oczyma.

— To moje dzieło! moje dzieło! — wołała — o jakież ja występek musiałam popełnić, kiedy aż tak ciężko ukaraną za to jestem!

— Za pozwoleniem panienki, niech panienka idzie sobie z takimi scenami; — oświadczyła stara dozorczyńni, chorego pilnująca — panienka obiecała zachować się spokojnie i tak panienka słowa dotrzymuje? Nigdy nie można być pewnym, co chory słyszy, a czego nie słyszy, jak tak leży z nastawionemi uszema.

— Pójdę sobie, pójdę — mówiła Alicya — wszędzie zawsze więcej zrobię złego, niż dobrego.

Jedyna pociecha, jaką teraz mieć mogła, spływała na nią z tkliwego, gorącego serduszka Mabel. Wszyscy inni okazywali, że jęć się boją troszeczkę, albo bardzo, a cóż może być straszliwszego dla tkliwego serca, jak wzbudzanie przestachu w sercach ludzi? Wiedziała ona, że popełniła czyn desperacki, czuła też, że każdy słuszne ma prawo cofać się z obawą przed wzrokiem wielkich, głębokich jęć oczu. Starła się, jak mogła, nadrabiać miną, wbrew wszystkimu, co sobie wkoło niej o niej-że samęj szeptano, ale, prawdę powiedziawszy, ojciec i brat pochłaniali wszystkie uczucia jęć serca.

Mabel patrzała na to wszystko uważnie i robiła, co mogła, by Alicyi dopomódz; ale jakkolwiek słodką była i dobrą dziewczynką, i niezmiernie na swój sposób szlachetną, należała ona jednak do zupełnie odmiennęj, niż Alicya sfery kobiecych usposobień. Ona nigdy by nie była w rzekę skoczyła! po prostu była-by się nie dała zawieść do kościoła, przemocy-by nawet nie uległa. Była-by wołała: „Otoż jestem tu, ale nie pójdę za tego, którego kochać nie będę... Nie kocham tego człowieka i nie chcę mieć go za męża... A teraz róbcie ze mną, co chcecie”. Rozsądny to sposób traktowania rzeczy, wyjąwszy wtedy, gdy pieniędzy koniecznie potrzeba.

Na trzeci dzień po zachorowaniu, Sir Roland podniósł powieki i słabo jedną ręką poruszył. Alicya siedziała przy nim, jak zresztą zwykle teraz siadywała.

— Ojczel — zawołała — zrób jakikolwiek znak, aby mi powiedzieć, że mnie widzisz. Porusz ręką, ojczulku najdroższy, albo rzuc tylko na mnie okiem. Albo jeżeli prawa do tego nie mam...

— Proszę panienki, niech panienka będzie łaskawa wyjść z pokoju. Doktor najwyraźnięj mi polecił, abym nikomu nie pozwoliła zbliżać się do pana, jak pan po raz piérwszy przytomność odzyskiwać zacznie.

Z głębokiém westchnieniem, usłuchała Alicya rozkazu szorstkięj staręj niewiasty, a gdy nadszedł doktor, wynadgrodził ją za to pochwałą jęć posłuszeństwa. Litość brała patrzyć, jak pokorną stała się teraz tak dumna niegdyś dziewczynana. Wypadek Chapmanów,

ojca, „rażenie paralizem”, nieszczęście biednego Hilarego, poniżenie rodziny na długie lata, wszystko to „grzesznym jój postępkiem” przypisywała Lady Walerya, która nie posiadała się z gniewu, widząc wszystkie plany swoje zburzone.

— Cóżes ty dobrego zrobiła? Co zrobiłaś dobrego tak szkaradnym zhańbieniem rodziny? Zniesławiłaś się tylko na zawsze... Kto na ciebie teraz spojrzy?

— Ach! obawiam się, że wszyscy patrzeć na mnie będą! — z rumieńcem wstydu odparła Alicya.

— Wiész dobrze, co chcę powiedzieć. Zdaje mi się, że nawet gdybyś utonąła, jeszcze-bys łapała za słówka mędrszych od siebie...

— Tonący i słomki nawet się chwyta — odparła, wzdrygając się na to wspomnienie.

— I nawet utopić się nie umiałaś! nawet na to zanadto byłaś niezręczną!

— Ale pani nawet zechcesz bez wątpienia przyznać — odcieła Alicya z uśmiechem, prawie zupełnie lepsze czasy przypominającym — że robiłam, co tylko mogłam, w tym celu.

— Ach! ty płoche dziecko! wyjdź w mego pokoju i idź, do reszty dobij ojca...

Gdy doktor, przybywszy, zobaczył, że pacjent daje słabe jeszcze wprawdzie oznaki powrotu do życia, natychmiast pośpieszył szukać Alicyi, którą bardzo był polubił, zdał jój sprawę ze stanu zdrowia ojca, pocieszał ją, dopóki się nie wypłakała należycie, poczem jój rzekł:

— Teraz trzeba żebyś pani poszła do ojca. Najlepiej-by było, gdybyś pani mogła wymyślić coś, co-by go zabawiło, lub umysł jego zajęło... jakieś interesujące wspomnienie, jakaś obietnica niezbyt żywój niespodzianki...

— Ależ ojciec będzie miał chyba niespodziankę, zobaczywszy mnie przed sobą?

— Nie zdaje mi się! W wielu podobnych wypadkach za zasadę przyjąć należy zupełne zapomnienie okoliczności, które podnieciły usposobienie do ataku. Sir Roland nie będzie miał najmniejszego o tém pojęcia, że... cokolwiek przytrafiło się pani...

I tak się téż stało. Gdy Alicya zbliżyła się do ojca, spojrzał na nią zupełnie tak samo, jak zwykle, z tą chyba różnicą, że wzrok jego osłabiony był, a spojrzenie niepewne, choć wyraziste pragnieniem przyniesienia córce pociechy. Doktor jój zalecił, żeby starała się wyglądać wesoło i swobodnie, robiła téż, co mogła. Sir Roland stra-

cił zupełnie mowę, ale słuch miał równie dobry, jak przedtém; kaza-no mu zjeść trochę zupy żółwiej, i oparty na wysoko ułożonych poduszkach, starał się zadość uczynić zleceniu lekarza.

— Ojczulku mój najdroższy! — po chwili zawołała Alicya, której powierzono karmienie ojca — taką mam dla ciebie niespodziankę! Zobaczysz, ojczulku, nigdy w życiu nie zdziwiłeś się tak, jak się teraz zdziwisz.

Wiedziała, jakby jój był odpowiedział ojciec, gdyby był w zwykłym stanie zdrowia. Był-by podniósł do góry brwi i obudził w niej wrodzonego ducha sprzecznosci tém leciutkiem przekomarzaniem się, które nastąpiło pomiędzy bliskimi krewnymi, co kochają się i rozumieją wzajemnie. Teraz jednak mógł tylko skinieniem głowy okazać, że jest obiecanéj niespodzianki ciekawym. Wtedy Alicya zrobiła coś, co wobec innych okoliczności było-by zupełnie do niej niepodobne. W szufladce gotowni ojca poszukała najulubieńszej jego tabakierki, wzięła malutką szczypkę tabaki pomiędzy dwa białe i giętkie paluszki i wszystko razem ku miejscu ich przeznaczenia poniosła, ufając naturze, że reszty dokona.

Przyjemném światłem zabłyśły jego oczy, i uczuła Alicya, że na pocałunek zasłużyła. Na pół płacząc, na pół się śmiejąc, wzięła go sobie, a potem obawiając się zaziębienia, otuliła ojca kołdrą i sama spokojnie przy nim usiadła. Nauczyła się już tego, czego wszyscy w składzie się uczymy, że *vacuis committere venis*.

Gdy się przedrzęmał parę godzin w ciszy, którą oddechem nawet lękała się przerwać Alicya, chwyciła go nagła chęć czynu. Ciało jego znacznie sił nabrało, po spożyciu najposilniejszej z potraw, umysł więc jego zaczął teraz zmierzać ku takiemu samemu sił i ruchu zwiększeniu.

— Jak téż ojczulkowi się zdaje: co ja mam do pokazania ojczulkowi? — odezwiała się Alicya, spostrzegłszy ten stan chorego. — O ile mi się zdaje, będzie to ni mniej, ni więcej, tylko klucz od téj osobliwszej starego astrologa szkatułki? Ma się rozumieć, domyslałam się tego tylko, bo ojczulek trzyma tę szkatułkę w zamknięciu, ale, wnosząc z tożsamości metalu i podobieństwa kształtu, i siedmiu zębów klucza, i z tego wreszcie, że znaleziony został w Shoreham, gdzie podobno zgubił go był Memel; sądzą, że musi to być ten sam klucz. I znalazłam go, ojciec... no! znalazłam go zbiegiem szczególnych okoliczności. Czy mogę pójść, spróbować klucza? Choć-by się nawet pokazało, że to proste przywidzenie, toć przecie nie w tém złego.

Ojciec przyzwolił skinieniem głowy i wskazał na szafkę, gdzie

trzymał ważniejsze klucze, o czém zresztą córka bardzo dobrze wiedziała. Po pięciu minutach, wróciła znowu Alicya, z dziwną starą szkatułką w jednej, a dziwaczną laleczką Polli w drugiej ręce. Mabel zatrzymała się w kurytarzu, niepewna, czy wejść do pokoju powinna, chociaż Alicya usiłowała ją ściągnąć. Wtedy Alicya postawiła szkatułkę, czy poduszkę, na stoliczku, przy łóżku ojca stojącym, i, pewną ręką klucz w zamek wsunawszy, starała się obrócić go; ale nie obrócił się, nie poruszył ani na linią, chociaż najmniej bystre oko odrazu spostrzedz mogło, że klucz i zamek nawzajem do siebie należą.

— Tak! to klucz, ojculkul! — zawołała Alicya — pasuje doskonale, ale nie chce się obracać. Ten osobliwy stary zamek kręci się ciągle w kółko, zamiast stać w miejscu spokojnie i czekać, aż go otworzą. Przypuszczam, że mam za mało siły w rękach... O! znowu się kręci jak na złość! Już wiem, jakbym sobie na to poradziła, gdybym mogła, kochany ojcze! W pokoju astrologa widziałam różne narzędzia z któremi, jako jego prawnuczka, jako tako obejść się potrafię. Może tam znajdzie się coś, czém zamek da się otworzyć? Czy mogę pójść na górę? Nie będę się wcale bała, jeżeli Mabel pójdzie ze mną.

Milczące otrzymawszy przyzwolenie, pobiegła po klucze od pokoju astrologa, zabrawszy z sobą Mabel i niebawem przyniosły mocną śrubę, od dwóch przeszło już wieków nieużywaną, która to śruba silnie chwyciła upartą szkatułkę.

— Kręć teraz, Mabel, kręć, klucz musiał zaciąć się w zamku — mówiła Alicya, nie wiedząc, że nadwreżyły go szczęki osiełka Jacka. Kręciły więc, ale klucz tkwił nieporuszony, aż wreszcie w ucho jego włożyły stare jakieś dłóto i niém sobie pomogły. Wtedy dopiero z ostrym, piskliwym zgrzytem, zwolna obracać się zaczęły zęby klucza i górna połowa szkatułki sunąć się na bok zaczęła.

— Ach! taki mi strach, Alicyo! — wołała Mabel, ręce za siebie chowając — tak tu zimno w tym pokoju... Może to grzech! może to jakie czary? Patrz, wszystkie te stare narzędzia przyglądają się nam...

— Choć-by to były czary, czy uroki, czy czarnoksiężtwo, ja się ztąd teraz nie ruszę—rezolutnie oświadczyła Alicya.—Ty sobie uciekaj, jeżeli chcesz... ale ja chcę dojść aż do dna téj historii... jeżeli... jeżeli będzie można...

Chciała powiedzieć: „choć-by nawet umrzeć miała...” Ale tak

niedawno, tak blizką była śmierci, że teraz bała się wzywać jój imienia napróżno.

— Jak się ten klucz wolno obraca! Jak twardo idzie! — zawołała Mabel, znów się do niego biorąc. — Miałam cię zawsze za silną... no! powinna-bym tam przynajmniej znaleźć coś, wartego tyle zachodu.

— To ogniotrwała szkatułka! asbestem wyłożona! — z żywością odparła Alicya. — Musi tam być ogromnie dużo złota?

— Nie, to niepodobna — odparła Mabel — nawet tysiąca gwinej, ani ty, ani ja nie dźwigniemy, a tyś to przecie z łatwością niosła w jednej ręce.

— Nie gadaj — zawołała Alicya — ale kręć jeszcze... straszliwie jestem niespokojna.

— Co do mnie, umieram z ciekawości.., daj-no mi moję chustkę do nosa, kochanie... Do krwi sobie ręce kaleczę.

— Oho! kręci się już, naprawdę kręcił! Patrz-no, jaka to osobliwsza szkatułka!

Szczyt ostrokągu, którego kształt miała szkatułka ustąpił z wolna i niechętnie wytrwałym usiłowaniom dwóch zacnych panienek. Zsuwał się on na bok, razem z kluczem, na silnych zawiasach metalowych, naumyślnie tak urządzonych, aby ciężko chodziły, ale, raz poruszony, już teraz z łatwością dał się odsunąć do reszty. Wszystko to było dziełem ręki jednego tylko człowieka, prostodusznego wschodniego mędrca, który lubiał pasterzy i trzodę, a którego niepospolity umysł radował-by się teraz, gdyby mógł rękodzielnictwa swego skutki oglądać.

Obiedwie piękne panny pochyliły się ku sobie, czoło do czoła, włos obok włosa, nad ciężką szkatułą, bez wieka teraz przed niemi leżącą. Kawałek żółtkłego pargaminu, kształtem do kształtu szkatułki przypasowany, leżał płasko na wierzchu, z lekka po brzegach asbestową poszewką szkatułki przyciśnięty. Przemyślny rozum, oraz zręczne ręce poświęciły długie godziny, długie może dni pracy, by do wnętrza szkatułki kurzu i powietrza niedopuścić.

— Kto podniesie pargamin? — dysząc cała ze wzruszenia, spytała Mabel. — Ja się boję...

— Ma się rozumieć, że ja podniosę — odparła Alicya — ja jego pra-pra-wnuczką i przepowiednię jego do tego już przeznaczona.

Z pośród mnóstwa rozlicznych narzędzi, wzięła jakieś delikatne szczypczyki (których od czasów księcia Agaryklesa niczyje nie do-

tknęły ręce) i, delikatnie wysunawszy pargamin z pod przyciskającego brzegi jego asbestu, zaczęła mu się przyglądać. Pargamin pokryty był cały drobnusieńkim pismem, którego wyrazy, uszykowane były w koła, zaczynając od najmniejszego kółka, mającego zaledwie pół cala obwodu... nie mogła jednak ani jednego wyrazu zrozumieć. Pod pargaminem leżała gruba puszysta warstwa najcieńszej górskich owiec wełny, a pod nią jeszcze delikatniejsza złotawa przędza jedwabiu.

— Cóż, Alicyo, czy całą noc nad tém stać będziesz? — zawołała Mabel — patrz, jak się już ściemnia!

Ściemniało się już w istocie: światło dzienne odchodziło, oglądając się po-za siebie, zupełnie tak samo (mimo różnicy pory roku), jak przed dwoma i pół laty, i Alicyi żywo się przypomniła króciutka jój bytność w pokoju astrologa, gdzie sama jedna pomiędzy cienie wieczoru wstąpiła. Teraz zaś białe światło, z odbicia od śniegu powstałe, sprzyjało żywemu rozbłyśnięciu światła we szystkiem, co samo z siebie wrodzoną jaśniało pięknością.

Alicya najdelikatniejszym dotknięciem, czarodziejską mocą obdarzonych, swoich paluszków, ostatnią zasłonę jedwabiu cofnęła i westchnęła zdziwiona. Mabel (zawsze skora do zajrzenia wszystkiemu w oczy) pochyliła się, zajrzała, i odrazu w największym zdumieniu oczy i usta otworzyła.

Wśród bowiem i pomiędzy dwoma temi najśliczniejszymi exemplarzami rodu ludzkiego leżały najpiękniejsze i najtrwalsze dowody tego, co natura robić miała zwyczaj, zanim kobiety produkować zaczęła. Alicya i Mabel z blaskiem w oczach, z rumieńcem mieniącym się na piękném liczku, czuły, że piękność ich jest mniej niż niczem (wyjawszy chyba w opinii tych głupich mężczyzn) w porównaniu z tém, na co teraz patrzyły.

Ze wszystkich barw, przez przyrodę na świat rzuconych tak hojnie, jak Szekspir klejnoty swoje rozrzucił, ze wszystkich odcieni słońca i nieba, w kwiecie, w morzu i w tęczy widomych, nie było żadnego, który-by tu nie jaśniał, nie czał się, a potem nagle nie zapłonął, nie błysnął i znowu się na chwilę nie ukrył. Żaden nie czekał, aż kto na niego spojrzy: wszystkie mieniły się grą barw nieustanną, wieków parę przetrwały w zamknięciu; to też teraz, gdy wesołe padło na nich światło, strzelały blaskiem, jak meteory ogniste. A potem, jakby w nich życie wstąpiło, zaczęły splatać, wzajem się krzyżujące z sobą promienie, i plątać ognie swoich błyskawic, barw swoich połyski świetlne, jak Aurory płaszcze, różowemi dzierzgane iskrami.

A dla uwydatnienia zmiennéj gry kolorów, w pośród nich spokojna, słiczna, pogodna, nieśmiała, leżała mleczna biel jakaś...

— To czary jakieś potężne! — zawołała olśniona Mabel.

— Nie! — odparła Alicya — to są najpyszniejsze w świecie klejnoty: kosztowne opale i perły. Zaniesiesz je do ojca...

— Nie, nie zaniosę — wspaniałomyślnie oświadczyła Mabel — tyś je zdobyła i ty je ojcu zaniesiesz.

ROZDZIAŁ XXXV.

Rozwiązanie naukowe.

Ponieważ piękność ma świadomość siebie i w sobie jest zamkniętą, naturalnem jest przeto, że młode kobiety wielkie mają do klejnotów przywiązanie. Nie idzie jednak zatém, aby wiedziały o nich co bądź, cokolwiek nawet więcej, niż zazwyczaj o innych swego przywiązania przedmiotach wiedzą. Mimo to, zawsze pragną wiedzieć, jak jest pieniężna klejnotów wartość.

— Powiedziała-bym, że to wszystko razem warte z tysiąc funtów co najmniej — oświadczyła Mabel, ze znaczeniem potrząsając głową i przybierając nader uczonej osoby minę.

— Tysiąc! — zawołała Alicya. — Chcesz chyba powiedzieć, dziesięć tysięcy? Poskładajmy teraz wszystko tak, jak było.

Wzapale podziwu, Mabel tańczyła wokoło pokoju astrologa, zmiatając pył z koła jego tokarskiego warsztatu i rozrzucając osobliwsze, dziwacznie wyglądające narzędzia; podczas gdy Alicya, spokojnie się do niej uśmiechając, pakowała napowrót w szkatułkę jedwab', wełnę i pargamin, poczem, dawszy przyjaciółce wieko do niesienia, poprowadziła ją do pokoju ojca.

Sir Roland Lorraine był tak zdziwiony, że na chwilę umysł odzyskał panowanie nad ciałem, zdobył się na niezbędne wysilenie i „własnym językiem” przemówił, jakkolwiek niewyraźnie jeszcze i słabo.

— Ojczulku najdroższy, to dla mnie więcej warto — zawołała Alicya, etaczając go pieszczotliwém ramion objęciem — niż wszystkie klejnoty, od pierwszego roku istnienia świata, do dziś dnia powstałe. Ach! nigdy... nigdy-bym wyżyć nie potrafiła, nie słysząc twego drogiego głosu.

Dużo jednak czasu upłynęło, zanim Sir Roland odzyskał tyle sił

umysłowych, aby spróbować wytłómaczyć dokument przewidującego mędrca. Pismo było tak drobne, że do wyczytania go potrzebował szkła, bardzo silnie powiększającego; językiem do pisma użytym była łacina, w rzadko znanych i do zrozumienia mozolnych skróceniach. Przytém tak była przeładowana wyrazami technicznymi, że tłumacz słuszu nie mógł powątpiewać, co mu będzie trudniejszém: wyczytać słowa, czy téż znaczenie ich zrozumieć. Opuściwszy jednak niektóre całkiem niezrozumiałe ustępy, brzmiało to mniej więcej jak następuje:

„O! ty, krwi mojej potomku, kiedyś za wieków parę na świat przybyć mający, nie daj się unosić żądzy bogactw, ani téż przypuszczaj, że przodek twój unieść się im pozwolił. Zalecam ci raczej, abys pieniądz swój za nic miał sobie i wiedział o tém, że potęgi królewskiej jest to dziełem, najszlachetniejszej krwi godném, przemysłną wytrwałością ludzką upór ślepych sił przyrody pokonać. Wiele pracując, mało czego dokonałem zaledwie; wielu rzeczy szukając, niektóre zaledwie odkryłem; nie jest przeto słuszném, abym miał być zapomniany, lub zmieszany z tłumem współczesnych i równych mi, którzy z gwałtu jedynie żyją, nie dla dobra ludzkości nie czyniąc.

„Pomiędzy wielu różnemi rzeczami, które przez cierpliwość i naukę zdobyłem, ta, która najprawdopodobniej do bogactwa doprowadzić może, prostą jest bardzo. Tak, jako niegdys Glaukus z Chios odkrył był *Χόλλησις* żelaza, tak ja téż odkryłem skład drogich kamieni: opali, a może nawet i rubinów. Co się tycze opalu, jestem zupełnie pewny; co się tycze rubina, mam jeszcze niektóre trudności do pokonania. Każdy, kto zna opal, jasno widzieć to może, że ogień jego i zmienność barw pochodzą z niezliczonych warstewek, które skutkiem nieskończonego lat upływu zjednoczyły się, zlawszy się z sobą. Odkrywszy sposób, jak rozpuszczać można opale w gryzącej cieczy” — tu następowały znaki chemiczne, które biegły tylko chemik zrozumieć był w możności — „i jak je napowrót do stanu stężenia doprowadzić, spędziłem rok cały w Węgrzech, zbierając potrzebną mi ilość niedużych opali najpiękniejszego gatunku. Po wielu próbach i zmarnowaniu wielkiej ilości materiału, dokonałem rzeczy, o których się nie śniło Bacciusowi, Graxowi lub Leonardowi; wytworzyłem opale nieocenionej wartości, wylwane w formie, jak najżywszym ogniem gorejące, od wielkości orzecha tureckiego, do wielkości kasztana. Większych już robić nie chciałem, znam bowiem niedo-

wiarstwo ludzi, którzy za fałszywe uważają wszystko, dwakroć przenoszące rozmiarami rozmiary ich własnego doświadczenia.

„Niestety! żadnemu nie dano człowiekowi, jakkolwiek wielkich by dzieł nie dokonał, widzieć, co się z nimi kiedyś stanie. Drogie te kamienie nieocenionej wartości, własną płynnością wypolerowane. jak tęcza w sobie spoiste, potrzebują jeszcze (o ile przynajmniej sądzić o tém mogę) przynajmniej ze sto lat ciemności i podziemnego zamknięcia, co jedno i drugie naturze, oraz bóstwom do wydoskonalenia wszelkiego ich dzieła jest niezbędne. A gdy po raz pierwszy wystawione będą na działanie powietrza, musi się to nader powoli odbywać, inaczej wszystko pójdzie prożo w niwecz, jakbym ich nigdy nie był dotknął. To już, z czujną wielkiego filozofa przenikliwością, sam opatrzyłem należycie.

A teraz żegnaj mi, ty, czy ode mnie pochodzący, czy może (jeżeli tak losy rozrządzą) krwi mojej obcy. Filozof, który, tajniki przyrody przeniknąwszy, ujarzmić ją zdołał, nie należy do rzędu tych, co dumnie przemawiają, lub też wspominają wielkie dokonane przez siebie czyny. To zostawia on niższym i mniej spokojnym umysłom, jakimi są umysły poetów. Nie sprzedawaj tylko kamieni tych za małą cenę, jeżeli sprzedać je masz zamiar. Najmniejszy z nich, większy jest i piękniejszy, niż opał Senatora Noniusa, lub ten, który zowią „Płonącą Troją” z powodu iskrzących się w nim ogniu. Nie daj się handlarzom w błąd wprowadzić. Oszusty to są i naśladowcy, i nieustannie ubiegający się o nieszlachetne zyski. Nie słuchaj więc słów ich, ale zachowaj te kamienie, jeżeli możesz. Jeżeli poziome względy doradzają ci sprzedaż, idź wtedy do króla twojej ziemi, lub moźnych jój, którzy cię pokrzywdzić nie będą chcieli. I staraj się, abyś ich dobrze o tém przekonał, żeby się ani zrzecznością rąk, ani głębością nauki, nie probowali mierzyć ze mną, Agaryklem Karyjczykiem”.

ROZDZIAŁ XXXVI.

Jego jest serce jój.

Na długo przed tém, zanim w ten sposób wyrozumiano pisanie ostrożnego mędrca, szkatułka, a raczej jój zawartość, powierzona wiarogodnym rękom Radcy Prawnego, gdy do Londynu powracał, przeszła przez najrozmaitsze próby i została uznana za rzecz nader

wysokiej ceny. Wielki filozof nie raczył ani słowa powiedzieć o perłach, czy były one wytworem jego nauki i zręczności, czy spadkowem starodawnego rodu dziedzictwem. Jubilerowie twierdzili, że były to perły wschodnie jak najrzadszego gatunku, i za nie jedne poważna pewna firma (działająca z upoważnienia bogatego właściciela kopalni węgla) dawała najprzód piętnaście, potem dwadzieścia, a w końcu i dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Ale Sir Roland postanowił nie rozstawać się z niemi, ale podzielić je pomiędzy córkę, a przyszłą synową, jeżeli bez nich uda mu się dostać potrzebnej sumy. W tém najniższej nie miał trudności. Chociaż wtedy właśnie opale były niemodne (jak i teraz nawet szacowane są niżej swjej wartości, skutkiem głupiego przesądu) jednak sześć drobniejszych kamieni sprzedano za sześćdziesiąt pięć tysięcy funtów sterlingów, a teraz właściciele ich nie przyjęli-by dwa razy takiej za nie sumy.

Lady Walerya z przynależną szybkością pozbyła się obawy, przez owę szkatułkę wzbudzanęj, i nader spokojnie przywłaszczyła sobie w środku leżącą pyszną gemmę. Wieka-to od szkatułki, zdobnego spiralnym kręgiem metalu, tak się bała jaśnie pani. Kobiety silnego rozumu bywają zazwyczaj najbardziej uparte w lękanii się tego, co co im raz ból lub przykrość sprawiło. Hrabia of Thanet, ojciec owęj damy, był wielkim lubownikiem pszczoł i, wśród innych przyrzędów, miał też i mały ul metalowy, który córka raz przewróciła, którego to skutki przewrócenia nie mogą nas obchodzić tak, jak w swoim czasie obeszły one owę panią. Szkatulka zaś astrologa, jakkolwiek dużo mniejsza, dziwnie była podobną do owego nieszczęsnego ula.

Gdy plama, ciężająca na Hilarym, została z niego zmytą, a jemu samemu (kosztem niewątpliwie wysokiej cyfry) dozwoloném zostało znów miecz z pochwy wyciągnąć, odzyskał wprędce dawniejsze siły i zdrowie, nabrał więcej może, niż poprzednio, roztropności. Ale nie szedł on w tryumfie do Paryża, jak mu to kiedyś półkownik Clumps przepowiadał, przynajmniej nie w owym pamiętnym roku 1814. W Lipcu jednak następnego roku zjawił się tam niewątpliwie we własnej osobie, pod dowództwem nieśmiertelnego Wellingtona, który szczerze był rad, że go ma znowu pod swemi rozkazami, ale nigdy już w sztabie napowrót. A pod Waterloo jak najjaśniej (przez chmurę dymu) okazał Hilary Lorraine, że chociaż książę pomylił się był co do jego rozwagi, nie mylił się jednak, dowierzając jego waleczności.

A dowodziło to, naturalnie, dziesięć razy większego męstwa, spra-

wiać się tak, jak on się tam sprawiał, gdy sobie przypominał, że ma w domu prześlizną żonę, imieniem Mabel, i dzieciątko, któremu Roger na imię. Skorzystał on bowiem z pierwszej zapowiedzi pokoju i, gdy wszystkie „koronowane głowy” zebrały się w Anglii, włożył na głowę swoją tę „koronę chwały” (od wawrzynowej lub dębowej bogatszą), o której mędrzec mówi tém goręcej, że sam Koron tych miał tak wiele. W Czerwcu roku 1814, Hilary i Mabel stali się jednym ciałem, przez pocziwego rektora zjednoczonym, a natura, niezadowolona z tego zmniejszającego liczbę ludności zespalenia jęj składników, przywróciła do porządku swoje rachunki, ucieklszy się do tabliczki mnożenia.

Pod Waterloo, Hilary wywijał prawicą daleko pracowniej, niż nią potem przez resztę życia wywijał, ponieważ tam ją utracił. Gdy francuzcy kirasyerowie po raz trzeci szarżowali na artylerję angielską, by szalę losu na korzyść swoją przechylić, lub z dołą zginąć, jeżeli im tak sądzono, Hilary Lorraine, służąc teraz w pólku „Dasher-Hussars, dowodzonym przez pólkownika Aylmera, znajdował się na jego przedzie. W ludziach krew grała: cały dzień powstrzymywano ich od boju, nie widzieli więc powodu, dlaczego na nich nie miała-by przyjść teraz kolej. Koń i człowiek, jednomyślni w tęg mierze, nie potrzebowali bodźca, ani tęg kielznać się dłużej nie dali, popędzili przed siebie na oślep, jak psy na zwierza, a Hilary popędził przed wszystkimi. W zamęcie i rozgwarze bitwy wysadzony z siodła, spieszony, torował sobie drogę wśród koni, jak nawalny wichur pędzących, gdy wtem olbrzymi jakiś kirasyer zamierzył się na niego mieczem potwornej wielkości. Spotkały się ich oczy i poznali się wzajemnie: okradający i okradziony, zręczny intrygant i prostoduszny pocziwiec, zwycięzca i zwyciężony.

Alejd krzyknął po hiszpańsku:

— Ostatnie to chwile twego życia; ukochana moja żona żadnego teraz nie wydała mi rozkazu... bierz-że co twoje i gin!

I głęboko zapuściwszy w boki konia ostrogi, poskoczył ku Hilaremu, a ten, z sił wyczerpany, zdolny był zaledwie słabo się zastawić pałaszem, który niebawem wyleciał mu z dłoni, jego zaś śladem poszła tęg i ręka po łokieć, i cios śmiertelny już-już spaść miał na biedną głowę Hilarego, gdy wtém srogą odpowiedź naraz Alejd otrzymał. Szabla pólkownika Aylmera wcisnęła się między spojenia jego pancerza i krew jego wraz z życiem ciec zaczęła. Koń jego zrzucił już martwy ciężar, a on pozostał na równinie jak obalony, spróchniały pień jadowitego drzewa, na tęg samęj równinie, na której leżało już

tylu szlachetniejszych, a nieszczęśliwszych od niego tak mało. Roztrwoniwszy co do grosza skradzione pieniądze, przywdział on kiryś francuski, a żonę i dziecię w niedostatku zostawił.

Gdy czasy mordu minęły, a natura znowu się spostrzegła, że czém inném, niż krwią rozlaną, ziemię użyźniać może; gdy krowy nawet ryć mogły bez obawy zdradzenia się, gdzie ukryły cielecia, a klacze lizać mogły swoje źrebięta, nie opłakując ich przedwcześnie; gdy wzgórza i doliny znowu się zaczęły przysłuchiwać szmerowi spokojnie płynących wód (którego nie głuszył już teraz odgłos bębna), gdy wszystko, co każdemu w kraju drogie, droższém jeszcze i miłszém się stało; wtedy właśnie zdarzyło się coś, czego milczeniem pominąć nie można. W nawiasie powiedzieć tu można, (a fakt ten na inną, jak na nawiasową nie zasługuje wzmiankę), że żaden z Chapmanów nie zabił się, jak to kłamliwa niesła fama; potłukli sobie tylko głowy, nogi, brzuchy i inne do tego podobne miejsca. Stef poślubił pokojówkę Sally, i najlepsza to rzecz, jaką mógł zrobić, ze względu na czyste utrzymanie przystępu do domu.

Ale teraz właśnie pora powiedzieć, że musiał to już być znojnny Sierpień, gdy pola bieleją przed żniwem, było to już po znojnem Waterloo, gdy pólkownik Aylmer wyjawiał uczucie, które w głębi serca piastował dla Alicyi. Słowa jego proste były i krótkie, chociaż nie chciał, aby były takiemi... ale zszedł ją niespodzianie w Chancton-Ring, tam, gdzie ją po raz pierwszy oglądał, i takie na niego uderzyło wzruszenie, że nie zdjął nawet kapelusza, ale coś z pod niego wyszeptał. Szept dostał się pod inny kapelusz, gdzie spodziewano się go już oddawna i gdzie wielkie białe pióro chwiać się zaraz jakoś i w stronę pólkownika przechylać się zaczęło.

— Nie boisz się pan mnie? — spytała Alicya Lorraine, z lękliwym spojrzeniem, zdolnym każdego przerazić.

— Boję się i bardzo. Nigdy strachu tego nie przezwycięzę.

— To dobra wróżba — odparła z uśmiechem, takim, jakim nikt inny uśmiechać się nie umiał — ale ja co innego miałam na myśli: chciałam się spytać, czy pan się nie boisz tego, co świat będzie mówił o mnie.

— Tego nieskończenie się boję. Tak mi to będzie niemiło słyszeć wiekniście pytanie: „Co on zrobił, żeby na taką żonę zasłużyć?”

— Co zrobił? — zawołała Alicya, majestatycznie w tej chwili wyglądająca — poprostu to tylko: ocalił żyte tak jęj, jak i jęj bra-

tu, nauczył ją, jak należy lękać się siebie samęj, to też i serce jęj do niego należy, jeżeli... mieć je pragnie.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Ostatni odzywa się Bonny.

Niewiele już czasu potrzeba, by opowiedzieć, co się z resztą osób stało. Sir Roland Lorraine miał szczęście widzieć koło siebie dwie gromady wnucząt, które wypędziły go z biblioteki i najzupełniej uzdrowiły ze szkodliwych jego skłonności. Jeżeli w męzkim wieku swoim gorszył on „towarzystwo”, w końcu ono teraz odwet na nim brało, ścigając go, jak Eumenidy. Ta jednak zachodziła tu różnica, że były to Eumenidy prawdziwe, nie przez bojaźliwe omówienie tak nazwane; można także znaleźć było różnicę w budowie nóg ich i ciała, przytém nie miały one „kamiennęj w spojrzeniu martwoty”, ale najweselsze pod słońcem młode oczki, jaśniejące jak kwiat, poranną rosą napełnione.

Mali ci paniczek i panienki bawili się sobie w chowanego w dawném łóżysku Woeburnu, które echem krzyków ich rozbrzmiewało. Bo oto lęk sięjący ten strumień (wzorem innych tajemniczych wód) pokonany wulkanicznemi ogniami Bottlera, lub jak mówili inni: (ci, co Bottlera nie znali) długim suchym mrozem zmożony, cofnął się w głębiny podziemne, nigdy już nie mając zamiaru na powierzchni się ukazywać. Ale zanim znikł, zrobił jedną rzecz wyborną: zatopił starą Nanny Stilgoe. „Prorokini złowróźbna, nigdy już nie mi dobrego nie wywróżysz!” takie były uczucia owęj rzeki, gdy jęj Aiięją odebrało. Stara Nanny wybiegła nazajutrz przed drzwi swoje, grożąc kijem chłopcu, który śnieżkami na nią rzucał, poślizgnęła się na lodzie i w wodę wpadła; byli tacy, którzy wydobyć ją usiłowali, ale nie mogli z tak przewrotną kobietą poradzić. Rzucane przez nią przepowiednie złego, jak ołów padły na jęj własną głowę i zatopiły ją, a w parafii burzliwie podzieliły się zdania co do tego, czy Nanny należy się chrześcijański pogrzeb. Ale rektor Hales pozwalał wszystkim mówić, co im się podoba, nie chcąc jednak słuchać nikogo. Miał on już własne wyrebione o tém zdanie (co we wszystkiem arcy ważną jest rzeczą), pochował więc starą Nanny i za wszystko, co było trzeba, zapłacił, i nawet położył jęj kamień grobowy.

Bieg czasu jest jedną z tych rzeczy, które najbardzięj dziwią każ-

dego. Nikt-by naprzykład nie uwierzył (w obie nawet ręce głowę ująwszy) że gospodarstwo folwarku Aplewood i cały proceder hodowlany są teraz prowadzone przez dzielnego i wysoce światłego młodzieńca, któremu na imię Struan Lovejoy. Zawdzięcza on swoje pochodzenie ciężkiemu zaziębieniu, którego się nabawił jego ojciec (obecnie wysoce szanowany Admirał Sir Karol Lovejoy) skutkiem prze-moczenia marynarskich swych spodni, i tkliwemu dozorowaniu chorego, jakie następnie miało miejsce. W ciągu wszystkich faz kataru, serce Karola ciągle otworem leżało i, podczas najgorszych nawet paroxyzmów kichania, czuł dobrze, czyje-to litery wyhaftowane są włosami na trzech chustkach do nosa, znajdujących się pod jego poduszką. Krótko mówiąc, skoro tylko nos jego powrócił na obowiązujące go w ekonomii całego organizmu stanowisko, a z oczu przestały cieć łzy, natychmiast wzięwszy Cecylią Hales za rękę, powiedział, że ma jęj coś do powiedzenia. I powiedział to doskonale, jak zwykle marynarzel! ona zaś nie mogła zaprzeczyć, że to ma jakieś znaczenie... jeżeli tylko będą mieli z czego żyć!

Tak zwykle mówią młodzi: jedni z mniejszą, drudzy z większą roztropnością ten przedmiot rozważając. Jądro tego pytania zawiera się w stanowisku mężczyzny. Nie było jednak czasu długo o tem rozprawiać: Karol ożenił się z Cesią i mieli syna, którego Struanem nazwali

Struan Lovejoy odziedziczył zdolności do ogrodnictwa i hodowli owoców, których to zdolności nie dostawało środkowemu pokoleniu Lovejoyów. Podagra, zarówno jak i zamięłowanie do ogrodnictwa, przeskakują zawsze jedno w rodzie pokolenie; w pokoleniu, które się do tego nie rodziło, nikogo nie zmusisz, aby nogę postawił na motyce, lub wsunął obolały palec w pantofel.

Ale po większej części możemy dać uczuć niektórym ludziom, że, jakkolwiek małe, ciasne jest kółeczko nasze, znajdzie się w niem jednak miejsce dla nich; że pogardzamy obłudną dla poziomu ludzkości miłością, ale kochamy szlachetne jęj okazy... ilekroć uda nam się je spotkać; że wiemy, jak krótkimi są dni nasze i usiłujemy wyprzedzić choć trochę wolno toczący się wiek nasz; że, jedném słowem, ludzie ci, do naszego kółeczka przyjęci, są prawie równie dobrzy, jakby się tego po nich można było spodziewać, gdyby żyli sześćdziesiąt lat temu.

Zaledwie kilkanaście lat minęło, od chwili téj, (działo się to bowiem w roku 1861), gdy po raz dziewiąty i ostatni zasiadał sąd w ważnej sprawie o prawo używalności drogi, znanęj w aktach pod nazwą „Lo-

veyoy *pko Shatterlocks*”. Prezes Sądu, Sir Grzegorz Lovejoy, przez wygórowaną delikatność uczuć, nie zasiadał w sądzie dnia tego i nie chciał nawet pozwolić, aby żonę jego, znaną nam Phyllis Catheron, powoływano na świadka. Ale generał-major, Sir Hilary Lorraine, odważnie ku ławie świadków pomaszerował i tak żywo przypomniał wszystko, co się działo (i to czemu dźać się przeszkodziło) u owęj białej bramy, i gdzie przed pół wiekiem klucz od niej chowano, że obrońca przeciwnęj strony nie miał się na czém oprzeć. Mabel (słuchająca jego dowodzeń z rączką malutkiej swojej Alicyi w dłoniach swoich) dowodziła mu, że pomieszał klucze i bramy, i że miał na myśli tę bramę, do której ona wyszła kiedyś na jego spotkanie; czemu, zastanowiwszy się nieco, nie był w możności zaprzeczyć.

A co powiada Bonny? Bonny siedzi na swojej górze i przeszłość ma przed sobą, chociaż nie wie o tém, że za znalezienie klucza, ma mieć tysiąc funtów sterlingów już ulokowane i procentujące, który-to procent składać się będzie aż do czasu, kiedy Bonny się ożeni. Gdy czasy bowiem nastaną, Bonny wyrzeknie się niedającej się zbyć części rupieci swoich i poślubi kwadratową Polly Bottlera. Serca ich stanowią jedno serce; czekają oni tylko na zezwolenie redziców i na wykrzyk, czy też zapowiedź (niewiadomo jakie wyrażenie właściwsze) rektora, po trzykroć wyzywającego świat do przeszkodzenia małżeństwu tych dwojga. Teraz nie są jeszcze gotowi do połączenia się w jedno, przygotowują się jednak do tego.

A tymczasem widzieć można Bonnego, jak siedzi w jednéj z tych ustronnych kryjówek górskich, które zdaje się sama natura wyłobowała i miękko wysłała, by niespokojny ród ludzki do cichego skusień wytchnienia. Tu bowiem pochyłość góry takim się kręgiem zatacza, że wejść tu tylko mogą łagodne powiewy, wieść o kwiatach z sobą niosące, że trawa tu zieleniejsza, a daleki na równiny widok w najwyższym rozplywa się błękitnie. Spokojnie na głazie siedzi tu Bonny, niekoniecznie tak piękny, jak wrózek królowa (która może czuwa nad nim niewidzialna), zawsze jednak dostatecznie na wiek obecny malowniczo wyglądający i zaopatrzony w osła, godnego najczystszej miłości Tytanii. Jack przygląda się z głębokiem zajęciem podobiznie, którą pan jego bardzo zręcznie utrzymał na zielonej trawie konturem, ze śnieżnie białych wapiennych kamyczków ułożonym. Tak! jest to Jack wykapany! oto jest długi jego ogon, jego nos biały i uszy długie i dostatnie, jak pięknej Cerery symbol. Pociąga on nosem nad swoim nosem, depce po nogach swoich, a nie będąc zdolny pojąć te-

go, co widzi, układa się na własnym kształcie i zajada trawę, na własnym brzuchu rosnącą.

Ale cóż robi tu Bonny, zamiast pilnować swoich „kości i łachmanów”. Ha! Bonny powinien, chociaż tego nie robi, pilnować owiec rektora. Pan Hales bowiem, któremu już za ciężko wskoczyć na siodło, raczy się teraz hojnie baraniami siodłami (*saddle of mutton: comber barani*) a posagi swoich córek wypłacał i wypłaca sposobem przez starych Patryarchów używanym. Zostawiając jednak owieczki swoje samym sobie, (w czym, gdyby Bonny satyrykiem był z usposobienia, pana swego, jako wzór, mógł-by przytoczyć) Bonny otwiera szerokie usta swoje, a w świeżem powietrzu górskiém rozbrzmiewa donośnie prosta

Piosnka górską.

I.

Gdy na hale wyjdą owce
 W letni dzień pogodny,
 Mogą błędzić na manowce,
 A jam téż swobodny.

Chór. (*który składają owce i Jack*)

Możem błędzić na manowce
 A ty baw się, albo śpij!

II.

Gdy powieje wiatr na błonie
 Szronu sypnie strzały,
 Ja pod płotem głowę schronię
 Przed owcami świat jest cały.

Chór. (*z tychże samych śpiewaków złożony*)

Siedzisz cicho tu pod płotem
 Śpiewasz sobie jako ptak!

III.

Niech gadają zli oszezerce
 Że próżnuję, lub źle robię;
Dziurę w górze im przewiercę,
 Niechaj na mnie patrzą sobie.

Chór. (*ciż sami*)

Złapią ciebie na uczynku,
W skórę dadzą jakby nic!

IV.

Jagnię, skubiąc trawkę z pola,
 Znajdzie miętę — czyż narzeka:
„Oj! ta dola moja! dola!”
 Nie! nie biada, ale bryka.

Chór. (*ciż sami*)

Ty płacz sobie, ty narzekaj,
Nie my, nie my, lecz ty płacz!

V.

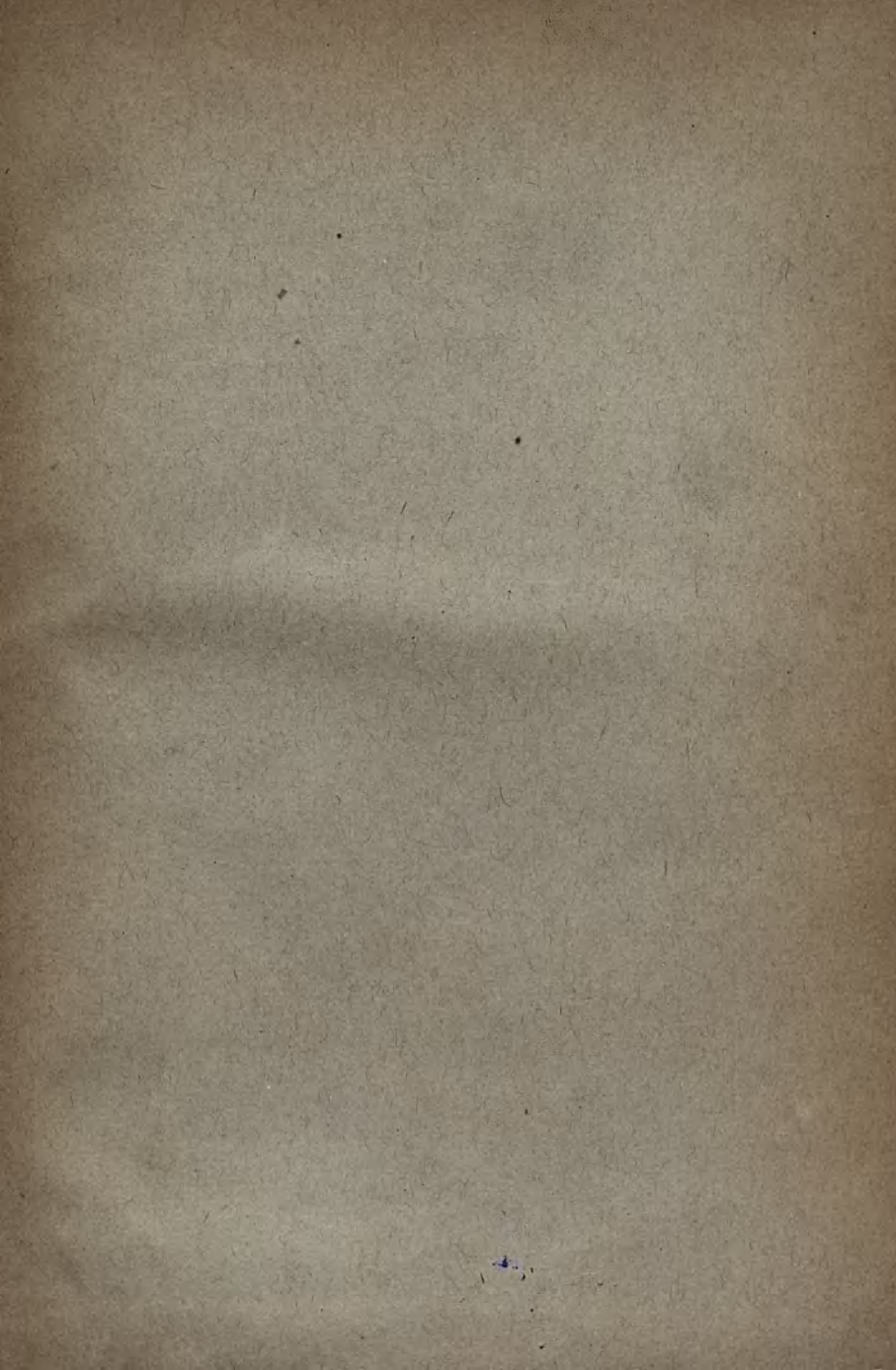
Patrz, jak słońce mrok spędziło,
 Jak pogodnie, jak błękitnie!
Choćby życie trawką było,
 W trawce zawsze kwiat zakwitnie!

Chór. (*ciż sami*)

Chociaż głównie żyjem trawką
Nieraz przecie zjemy kwiat!

I tak śpiewających zostawić ich możemy.





Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000966086



II 756785